

Operacja Talos

B.g.st.w Wołoszański
Operacja Talos

Q
Świat Książki
wydanie klubowe

Redakcja Irma Iwaszko
Korekta Bożenna Lalik
Copyright © by Bogusław Wotoszański, 2006
Copyright © for this edition
by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2006
Świat Książki Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o.o. ul. Rosola 10 02-786 Warszawa
Druk i oprawa
DNT - oddział PAP S.A., Warszawa
ISBN 978-83-247-0454-5 ISBN 83-247-0454-X Nr 5741

Spis treści

Część I. Czas kryzysu.....	7
1. Wypadek.....	9
2. Sosnowitz	12
3. Schellenberg.....	18
4. Narodziny „Heinricha”	25
5. Nocna rozmowa	30
6. Johann E.....	36
7. Przyjęcie w Carinhallu.....	37
8. Blok „E”	44
9. Monachijski trop.....	52
10. Alarm	59
11. Tancerka z „Bilbao”	61
12. Zasadzka.....	64
13. Gabinet doktora Schöffera.....	66
14. Ruletka.....	69
15. Dług.....	75
16. Łączniczka	81
17. Pierwsza próba.....	86
18. Plan Himmlera.....	90
19. Noc	99
20. Transakcja	103

21. Kodar.....	106
22. Największa tajemnica Wehrmachtu	110
23. „Kardynał”.....	112
24. Tajemnica Sieversa.....	114
25. Tajna służba Jego Królewskiej Mości.....	123
26. SD atakuje	126
27. Nocny wypad	128
28. W poszukiwaniu Michała.....	140
29. Cela.....	143
30. Granica.....	144
31. Himmler i Schellenberg.....	153
Część II. Rok 1939.....	159
1. Ucieczka	161
2. Nocna misja	167
3. Rozkaz króla Heinricha.....	172
4. Haga	176
5. Nadzieja na pokój.....	181
6. Towarzysz.....	184
7. Ostatnia próba.....	192
8. Agent „V-807”.....	196
9. Ostatni cios.....	200
10. Zamach.....	207
11. Szwajcarska granica.....	216
12. Venlo.....	220
13. Krótka wolność Johanna.....	222
Część III. Wojna.....	229
Sojusznicy.....	231
Spotkanie w Londynie.....	242
Schellenberg kontratakuje.....	250
Baza w Szkocji	259
1. 2. 3. 4.	
5. Lot do Strasburga.....	270
6. Spotkanie w „Hotel de la Maison Rouge”.....	276
7. Nalot.....	282
8. Wspólnicy	287
9. Raport Wadingtona	292
10. Sanatorium ludzi zdrowych.....	301
11. „Łasica”	306
12. Długi cień	313
13. Gorące popołudnie.....	320
Epilog.....	324
Drogi Czytelniku!	325
Część I	
Czas kryzysu	

1. Wypadek

Rudiger Krauss stanął na brzegu chodnika. Krótki urlop, jaki otrzymał w swojej kompanii specjalnej, dobiegał końca i już następnego dnia miał stawić się do służby obozie w Dachau. Jego żona, kobieta cicha i potulna, nie była zadowolona, że ledwie przyjechał na niespełna tydzień, a co wieczoru wymykał się gdzieś. Zapewne podejrzewała go o zdradę. Może dlatego wychodząc tego wieczoru, włożył mundur, elegancki, czarny z trupią główką na kołnierzu, żeby wszystko było bardziej oficjalne. Ale tak naprawdę, to chciał zrobić wrażenie na mężczyźnie, z którym miał się spotkać. Poprawił krawat i spojrzał w głąb ulicy, czy nie dostrzeże taksówki. Co prawda mężczyzna, z którym się umówił, zwracał mu uwagę, że powinien przyjechać autobusem, ale Rudiger tego nie rozumiał. Dlaczego bogaty człowiek ma jeździć autobusem? A on był bogatym człowiekiem. No, miał być.

Podniósł rękę, usiłując zatrzymać nadjeżdżający samochód, ale kierowca nie zwrócił na niego uwagi. A może widząc esesmana, udał, że nie dostrzega jego gestu. Pewnie komunista - pomyślał z niechęcią Krauss.

Nieco dalej zatrzymał się inny samochód, ale nie była to taksówka, więc nie zwracał na niego uwagi.

- SS-Scharführer Rudiger Krauss? - usłyszał nagle za plecami. To musiał podejść ktoś, kto wysiadł z samochodu.

Krauss odwrócił się. Zobaczył przed sobą dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach. Nie miał wątpliwości, że są to gestapowcy, gdyż oni zawsze tak chodzili ubrani. Długie skórzane płaszcze

i tyrolskie kapelusze stały się ich nieoficjalnym umundurowaniem. Poczł falę panicznego strachu.

Spokojnie. To przypadek - pomyślał szybko.

- Kto pyta? - podniósł głowę, nie mógł pokazać po sobie, że obawia się konfrontacji. W załodze w Dachau nie było mięczaków.

- Gestapo - niższy wydobyl z wewnętrznej kieszeni płaszcza legitymację w skórkowej oprawie. Nie otwierał jej, gdyż uznał, że widok samej okładki ze złotymi literami i swastyką wystarczy.

- Nie widzę - burknął Krauss.

- Nie stawiaj się - powiedział wyższy. - Idziesz z nami.

- Zaraz! O co chodzi? - usiłował jeszcze protestować, ale nie miał już wątpliwości, że pojawienie się tych dwóch na ulicy nie było przypadkiem.

- Musimy porozmawiać na temat Baumillera.

Odetchnął. Ernst Baumiller był dowódcą jego kompanii w Dachau. Widocznie Gestapo powzięło jakieś podejrzenia i postanowiło wyjaśnić je, ale bez zbędnych formalności.

Ujęli go pod ręce i poczuł, jak boleśnie uderzyła go lufa pistoletu w okolicę kręgosłupa.

Zrozumiał, że dalszy opór może tylko pogorszyć jego sytuację. Już bez oporu zrobił krok w kierunku, w którym go prowadzili, dostrzegając ze zdziwieniem, że nie idą w stronę

samochodu, lecz zawrócili do wąskiej ślepej uliczki. Znał ją dobrze, gdyż od dzieciństwa bawił się tam z kolegami. Były tam tylko rudery, w których gnieździły się szczury i bezdomni, zanim tych ostatnich nie wypłoszyła policja.

Zatrzymał się i usiłował wyszarpnąć, ale żelazny uścisk ich palców, jaki czuł na swoich rękach, i ponowne dźgnięcie lufą pistoletu w okolicach kręgosłupa zmusiły go do posłuszeństwa. Bał się. Panicznie.

Dlaczego prowadzą go na niezamieszkaną uliczkę? Czyżby tam mieli swoją melinę?

Nieformalne więzienie? Pamiętał, że tuż po przejęciu władzy przez nazistów, gdy był w SA, założyli takie dzikie więzienie w jednej z ruder w okolicy i trzymali tam komunistów.

Przeszli, przekładając nogi przez barierę grodzącą dostęp do niebezpiecznej ulicy. Zrobili jeszcze kilkanaście kroków i zatrzymali się pośrodku. W oddali zabłyśły światła samochodu. Spojrzał

10

na nich, zupełnie nie rozumiejąc, co dzieje się wokół niego. Wtedy dostrzegł, że na przegubie wyższego gestapowca wisi na krótkim rzemieniu pałka.

A potem wszystko stało się błyskawicznie.

Podrzucił ją lekko i uchwycił w dłoń. Szybko zamachnął się i ze straszliwą siłą uderzył Kraussa w kark. Źle wyliczył ruch, pałka trafiła nieco za nisko, aby ogłuszyć. Krauss czując, że drugi gestapowiec puścił go i odsunął się, aby samemu uniknąć ciosu, napiął mięśnie i chciał uskoczyć, ale w tym samym momencie drugi cios spadł na jego skroń.

- Żyje?

Gestapowiec z pałką pochylił się nad leżącym.

- Chyba rozwaliłeś mu czaszkę - orzekł drugi, kucając przy ciele i przyglądając się głowie.

Położył dwa palce na aorcie szyjnej i starał się wyczuć puls. Po chwili pokręcił głową i podniósł się szybko, aby pomachać do samochodu stojącego w oddali.

Odeszli na kilka kroków, gdy ciężarówka nabierała rozpędu. Wyższy wyjął papierosy i podsunął paczkę koledze. Ten wziął papierosa i wsunął do ust.

Koła ciężarówki podskoczyły na ciele leżącym pośrodku ulicy.

Bez słowa odwrócili się i ruszyli w stronę bariery, przed którą stanęła ciężarówka.

- Ty, Hans... - wyższy zatrzymał się - wpadł pod samochód na zagrodzonej uliczce?

- Jasne, na Maximilianstrasse byłoby lepiej - zaśmiał się drugi i szedł dalej.

- Sam o mało nie wpadłem tam pod samochód - zgodził się wyższy, mówiąc o głównej monachijskiej ulicy. - Nikogo by nie dziwiło.

Stał, wciąż nie chcąc pogodzić się z fuszerką, jaką jego zdaniem było wykonanie wyroku w miejscu, które mogło budzić podejrzenia.

- Czekaj! - rzucił papierosa na bruk i podszedł do zwłok. - Zdejmę mu spodnie, to będzie wyglądało tak, jakby wszedł tutaj za potrzebą. Uzasadnienie będzie.

Hans pokręcił niezadowolony głową i podniósł niedopałek, który schował do kieszeni.

11

2. Sosnowitz

Smuga słonecznego światła, jaka wpadła przez rozsuwane zasłony, podziałała jak bolesny impuls, który nakazał Michałowi odwrócić głowę.

- Zasłoń, do cholery! - warknął, pewny, że to ordynans odstonił okno. Nie usłyszał jednak szumu kółek kotary przesuwających się po drążku.

- Zygmunt? - zapytał, nie otwierając oczu.

Nie było odpowiedzi, więc zmusił się do rozchylenia ciężkich powiek. Na tle okna zamajaczyła ciemna sylwetka mężczyzny, którego nie rozpoznawał. Na pewno nie był to ordynans. Kto więc śmiał wejść do jego mieszkania?

Podniósł się z wysiłkiem i oparł o metalowe obramowanie łóżka.

- Kim pan jest? I co pan tu robi?

Położył rękę na karku, gdzie zdawał się rodzić dotkliwy ból promieniujący w górę głowy, i patrzył spod przymrużonych oczu na mężczyznę wciąż stojącego na tle okna.

- Czekam, aż będzie się pan nadawał do rozmowy, panie majorze - odezwał się wreszcie nieznajomy.- Wiedziałem, że kawalerzy-ści tego piją, ale żeby aż tak...

- Kim pan, do cholery, jest? - powtórzył Michał.

Zamknął oczy. Promienie słońca zadawały ból. Najwyraźniej cierpiał na światłowstręt.

- Kazał pan mnie wezwać.

Nie przypominał sobie takiego polecenia, ale to go nie zdziwiło. Próba odtworzenia wydarzeń z ostatniej nocy wydawała się nadmiernie uciążliwa, aby podejmować taki wysiłek.

Usłyszał ciche kliknięcie gałki radia stojącego na stoliku przy oknie, potem szuranie odsuwanego krzesła, trzask zapalanej zapałki i chwilę później poczuł smród papierosowego dymu.

Z głośnika popłynęła marszowa muzyka, nazbyt często w ostatnich tygodniach nadawana przez niemieckie rozgłośnie.

- Nie, tego już za dużo! - Michał podniósł się ponownie i, przewyciężając niechęć, wstał z łóżka, okrywając się kołdrą.

- Zygmun! - krzyknął w stronę korytarza. Krew mocniej napłynęła do głowy, wzmagając przenikliwy ból w skroniach i z tyłu

12

czaszki. Postanowił nie podejmować już żadnego wysiłku i z rezygnacją poddać się biegowi wydarzeń. Usiadł na łóżku.

- Nie ma go - wyjaśnił spokojnie nieznajomy. - Wysłałem go do apteki. Specyfiki, które przyniesie, bez wątpienia pomogą panu, ale naprawdę nie jestem tu po to, aby panu łagodzić męki, jakie wywołuje przebieg minionej nocy.

Podszedł do radia i ponownie przekręcił gałkę, tym razem zwiększając siłę głosu, co Michał skwitował skrzywieniem niezadowolenia, jakie wywołała zbyt hałaśliwa muzyka.

- Jestem doktor Schóffer. Wezwał mnie pana służący, widząc, jak bardzo pan cierpi, i słusznie podejrzewając, że konieczne będzie odtrucie organizmu.

Wrócił do stołu i ponownie usiadł na krześle.

- A muzyka to początek terapii? - zapytał Michał, usiłując zdobyć się na uprzejmość, choć miał ochotę wywalić bezczelnego gościa. Przyglądał mu się spod półprzymkniętych powiek. Mężczyzna podający się za doktora Schóffera miał koło sześćdziesięciu lat i rzeczywiście wyglądał na lekarza: gładko zaczesane rzadkie włosy, siwe wąsy krótko przystrzyżone, oczy dobrotliwie patrzące spoza okularów w cienkich złotych oprawkach, starannie wypielęgnowane dłonie z wielkim sygnetem z rubinowym oczkiem na małym palcu prawej ręki.

- Nie - Schóffer pokręcił głową. - Zagłuszam podśluch, chociaż nie podejrzewam, żeby zdołali założyć tutaj mikrofony.

Wyjął z kieszeni portfel i wydobył dziesięciomarkowy banknot.

- A, to pan... - Michał zawiesił głos.

Schóffer uśmiechnął się i przesunął banknot bliżej Michała.

- Ostatnie cyfry serii to siedem zero trzy - powiedział cicho. -Odczytuję na wypadek, gdyby miał pan kłopoty z ostrością widzenia, a przyjmuję, że tak może być.

Michał kiwnął głową.

- Nie sądziłem, że będzie to pan... - powtórzył.

- Chciał pan powiedzieć, że spodziewał się kogoś młodszego -wciąż uśmiechał się dobrotliwie. - Nie lekceważyłbym jednak zalet, jakie daje mój wiek i zawód.

Podszedł do okna i ukrywając się za kotarą, wyjrzał na ulicę.

- No cóż, gdyby ktoś obserwował pana dom, to do głowy mu nie przyjdzie, że mam tu coś innego do załatwienia niż tylko lekarską pomoc w wypadku skrajnego opilstwa, z czego jest pan znany. Od dawna, panie majorze.

Michał uśmiechnął się blado i wstał z krzesła, szczelnie otulając się kołdrą.

- Szczerze mówiąc, nie czuję się najlepiej tak ubrany w pana towarzystwie, doktorze. Proszę zostać tu chwilę, a ja postaram się doprowadzić od ładu.

Wsunął pantofle na bose stopy i wymaszerował do łazienki, słysząc, jak na dole ktoś otwiera drzwi wejściowe. Uznał, że to ordynans wraca z apteki, i ta świadomość sprawiła wyraźną ulgę w cierpieniu, jakie było efektem minionej nocy, gdy rzeczywiście wypił za dużo wódki na przyjęciu w pałacu Kurta von Schrödera, wydającego kawalerskie przyjęcie dla najbliższych przyjaciół, do których zaliczał się major Michał Sosnowitz.

Napełnił umywalkę zimną wodą i zanurzył w niej twarz.

Spodziewał się, że kontakt nastąpi tego dnia, 11 lipca 1938 roku, ale uważał, że będzie miał rutynowy przebieg: na stacji S-Bahn przechodzący obok mężczyzna wypowie półgłosem nazwę ulicy i kawiarni, a brak słowa „pilne” oznaczałby, że do spotkania z łącznikiem dojdzie następnego dnia o godzinie szóstej wieczorem. Zazwyczaj w takiej sytuacji miał za zadanie upewnić się, że nie śledzą go agenci Abwehry. Niebezpieczeństwo takie było czysto teoretyczne, gdyż Michael Sosnowitz był dobrze przyjmowany w kręgach niemieckiej finansjery i arystokracji, a naziści patrzyli na niego łaskawym okiem, gdyż łożył duże sumy na ich partię w czasach, gdy borykała się z biedą. Zdawał sobie sprawę, że nadmierna pewność zgubiła wielu szpiegów, i dlatego wybierając się na tajne spotkania, najpierw wyjeżdżał do podberlińskiej stadniny, gdzie trzymał swoje dwa wierzchowce. Tam dosiadał konia i galopował przez okoliczne łąki, co nikogo nie mogło dziwić. Dojeżdżał do umówionego miejsca, w którym ordynans czekał przy samochodzie, zostawiał tam konia, przebierał się i spokojnie, bez niebezpieczeństwa, że agenci kontrwywiadu mogli za nim nadążyć, bez obstawy wracał do Berlina na spotkanie.

Podniósł głowę i z zamkniętymi oczami przesunął dłoń po szafce obok umywalki, aby odnaleźć leżący tam ręcznik. Przetarł twarz, czując ulgę, jaką sprawiła mu zimna kąpiel.

- Dobrze, że chociaż lekarza przysłali, a nie policjanta. - Spojrzał jeszcze raz w lustro, zaczesując do tyłu gęste włosy. Założył szlafrok, starannie zawiązał fular, osłaniając tors, naciągnął spodnie pidżamowe, które poprzedniego wieczoru pozostawił na obrzeżu wanny po wielu bezskutecznych próbach ich nałożenia, i szybko wrócił do pokoju.

Doktor Schóffer piłował szyjkę ampułki, której zawartością napełnił strzykawkę.

- Co to? - Michał patrzył na niego nieufnie.

- Privitin, nie sądzę, żeby pan o tym słyszał. - Schóffer skoncentrował uwagę na strzykawce, wypychając z niej powietrze, i ruchem głowy nakazał, aby Michał podwinął rękaw.

Przejechał watką zwilżoną alkoholem po skórze przedramienia i wbił igłę.

- To nowy wynalazek niemieckiej armii - wyjaśnił. - Sądzę, że zawiera mieszaninę witamin z amfetaminą. Przeznaczają to dla rannych lub krańcowo wyczerpanych żołnierzy sił specjalnych. A pan bez wątplenia jest taki.

Odłożył strzykawkę do metalowego pudełka i usiadł przy stole.

- Stawia na nogi - mówił dalej lekarz o specyfiku, który nazwał privitinem - w ciągu kilkunastu minut, dając ogromną porcję energii. Na szczęście nie na długo. W przeciwnym wypadku mielibyśmy po drugiej stronie okopów watahy oszalałych, nieczułych na ból, zmęczenie i strach żołnierzy Wehrmachtu. A im by się to marzyło.

W drzwiach stanął Zygmunt trzymający tacę z filiżankami i dzbankiem kawy, której zapach rozniósł się po pokoju.

- Zgodnie z pana wieczornym poleceniem zadzwoniłem po pana doktora - powiedział, przyjmując, że rotmistrz może tego nie pamiętać.

- Dziękuję - mruknął Michał.

Służący ustawił filizanki i nie usłyszawszy innych poleceń, szybko wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

15

- Jak rozumiem, możemy swobodnie rozmawiać? - Schóffer zadał pytanie szeptem.

Michał skinął głową. Zaczynał odczuwać działanie specyfiku, który zaaplikował mu lekarz. Willa, którą wynajął w podberlińskiej dzielnicy Kópenick, z pięknym widokiem na Szprewę, kosztowała go majątek i była stanowczo zbyt duża, jak na potrzeby samotnego mężczyzny, ale dawała poczucie bezpieczeństwa. Stare drzewa w ogrodzie dobrze zasłaniały okna przed obserwacją z zewnątrz. Nie istniała też groźba, że ktoś może wdrapać się na ich konary - dwa owczarki były wystarczająco czujne, aby podnieść alarm, wyczuwając człowieka przeskakującego przez wysokie ogrodzenie. Zainstalowanie podsłuchu też nie wchodziło w grę, gdyż Zygmunt, który zawsze zostawał w domu podczas nieobecności Michała, był zbyt dobrze przeszkolony, aby dać się nabrać fałszywemu elektrykowi lub specjaliście od telekomunikacji, przysłanych w celu założenia mikrofonów. W tym pokoju tylko telefon mógł służyć podsłuchowi. Doktor Schóffer dobrze o tym wiedział, więc przeszedł wzrokiem bieg telefonicznego kabla i odnalazłszy czarne gniazdko, odłączył kabel.

- Otrzymaliśmy sygnały, że Niemcy poczynili duże postępy w tajnym programie. Udało nam się poznać kryptonim: „Heinrich”. -Schóffer, choć wierzył w zapewnienia Michała, że mogą rozmawiać, nie obawiając się podsłuchu, wciąż mówił cicho.

- Co to za program?

- Stanowi nadzwyczaj pilnie strzeżoną tajemnicę SS. Wiemy tylko, że obejmuje eksperymenty, które prowadzą w obozie koncentracyjnym w Dachau.

- Jakies przypuszczenia? Schóffer wzruszył ramionami.

- Człowiek, który poinformował nas o tym, co ciekawe, esesman z Dachau, nie żyje. Wpadł pod ciężarówkę na ulicy Monachium, gdy szedł na spotkanie z naszym agentem.

Najwidoczniej namierzyli go.

- To niewiele wiemy...

16

- Wbrew pozorom nie jest tak źle. Znamy dwa nazwiska ludzi związanych z eksperymentami w Dachau: doktor Plótnner, chyba ma na imię Kurt, i Wolfram Sievers.

- Sievers? - Michał zmarszczył brwi. To nazwisko nie było mu obce, choć nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie mógł spotkać tego mężczyznę.

- Zna go pan?

- Słyszałem, że bywa w domu von Netz, a ja tam mam pewne... układy...

Schóffer uśmiechnął się pod wąsem, domyślając się, o jakich układach mówi Michał. Jego miłosne podboje były dobrze znane w kołach berlińskiej śmietanki towarzyskiej.

- Poza tym może uda mi się go poznać. Jeżeli to ktoś ważny, to będzie na przyjęciu u Göringa.

- To jest bardzo ważne - stwierdził Schóffer wstając. Zerknął na zegarek.

- Wizyta nie powinna trwać zbyt długo. Jak pan się czuje?

- Coraz lepiej. Privitin działa! Michał czuł, że wraca mu chęć do życia. Schóffer wyjął z portfela wizytówkę.

- Mam gabinet na Hombacher Weg w Muggelheim, to piętnaście minut stąd. Czy w przeszłości miał pan jakąś kontuzję?

Michał uśmiechnął się.

- A jaką by pan chciał?

- Poważne złamanie?

- Lewa noga, sześć lat temu, w czasie zawodów konnych w Sopocie.
- Bardzo dobrze... to znaczy - Schöffer zorientował się, że palnął gafę, i roześmiał się - chciałem powiedzieć... bardzo dobrze, że już się zagoiło. Zarejestruję pana jako mojego pacjenta skarżącego się na powracające bóle.
Rozejrzał się za kapeluszem, który odnalazł na krześle obok stołu. Nałożył go i skierował się do drzwi.

17

3. Schellenberg

Walter Schellenberg, mężczyzna średniego wzrostu, o pociągłej twarzy, z charakterystyczną blizną na brodzie, która pozostała mu po studenckim pojedynku na szpady, i prostych ciemnych włosach gładko zaczesanych do góry, otworzył szeroko drzwi do swojego gabinetu. Był to niewielki pokój w kwaterze głównej Służby Bezpieczeństwa SS w Berlinie, gdzie pracował od niedawna przeniesiony z Frankfurtu. Oficjalnie zajmował stanowisko radcy prawnego, ale była to tylko przykrywka mająca maskować jego rzeczywiste zadanie, jakim było prowadzenie wywiadu i kontrwywiadu. Jego zwierzchnik, reichsführer SS Heinrich Himmler, nie chciał ujawniać, że buduje w ramach SS samodzielną komórkę wywiadowczą, gdyż spowodowałoby to protesty admirała Wilhelma Canarisa kierującego Abwehrą, wywiadem i kontrwywiadem wojskowym. Co prawda każdy pion nazistowskiej administracji miał swój wywiad, ale cele organizacji, którą tworzył Himmler, pokrywały się z zadaniami Abwehry. Admirał bez wątpienia poskarżyłby się Hitlerowi, że nadmiar struktur i organizacji powoduje szkodliwy zamęt. Trudno orzec, czy protest zostałby wysłuchany, ale Himmler, człowiek ostrożny i kochający działania w ukryciu, wołał zawnoczu temu zapobiec. Gabinet był mały i skromnie urządzone dość zużyтыми meblami, ale Schellenberg nie przejmował się tym. Uważał, że od czasu, gdy jako dwudziestotrzyletni absolwent wydziału prawa wstąpił do SS we Frankfurcie nad Menem, osiągnął i tak wiele. Zwrócił na siebie uwagę samego Heinricha Himmlera, w 1936 roku przeniesiono go do centrali SD w Berlinie i mógł spodziewać się dalszego awansu. Trzecia Rzesza potrzebowała ludzi młodych, zdolnych, wiernych i bezwzględnych, a on spełniał wszystkie te wymagania. Dlatego pracę w małym pokoju w Berlinie traktował jako pierwszy stopień na drodze prowadzącej do prawdziwych zaszczytów.

Przecisnął się między blatem biurka, pokrytym poplamioną zieloną skórą, a regałami pełnymi dokumentów, które trzeba było mieć pod ręką. Ważne papiery trzymał w poobijanej szafie pancernernej za drzwiami, zbyt dużej jak na jego potrzeby, ale jeszcze nie śmiał domagać się bardziej luksusowego sprzętu.

18

Usiadł na krześle za biurkiem, tyłem do okna, i otworzył szufladę, z której wyjął kalendarz. Nie traktował go jako tajnego dokumentu, ale wołał nie trzymać na wierzchu. Pod datą 13 lipca 1938 roku odczytał, że na godzinę dziesiątą wyznaczył spotkanie Alfredowi Naujockowski. Mały zegar w mosiężnej obudowie na biurku wskazywał za pięć dziesiątą. Nie lubił Naujocksa, gdyż uważał go za opryszka, gotowego na każde draństwo, ale z drugiej strony przyjmował, że w tej służbie potrzebni są i tacy ludzie. Bardziej niepokoiły go ambicje Naujocksa, który był o rok młodszy, a uważał, że ma więcej doświadczenia i zasług od Schellenberga. Zwłaszcza po zamordowaniu niemieckiego antynazisty, który uciekł do Czech i stamtąd nadawał audycje radiowe krytykujące Hitlera. Pukanie do drzwi przerwało jego rozważania.

- Wejść! - powiedział Schellenberg, wstając zza biurka. Naujocks w czarnym mundurze hauptsturmführera zamknął za sobą drzwi, zrobił dwa kroki i podniósł rękę do góry.

- Heil Hitler! - powiedział zdecydowanie za głośno, co wywołało grymas niezadowolenia na twarzy Schellenberga.

Naujocks zdjął czapkę i przygładził włosy. Zawsze był starannie uczesany, a szczególną wagę przywiązywał do utrzymania nienagannie równego przedziałka z prawej strony głowy.

Maniery i wymuskany wygląd nadawały mu wygląd żigolaka.

- Niech pan siada - powiedział Schellenberg i podszedł do szafy pancерnej. Chwilę manipulował przy niklowym pokrętle z wyrytymi cyframi, nieco już zatartymi, aż otworzył grube drzwi i wyjął teczkę w czarnych okładkach. Zrobił to wyłącznie po to, aby stworzyć wrażenie, że ma dokumenty tak tajne, iż nie może ich nawet pokazać koledze ze służby, a co miało wskazywać na zaufanie, jakim obdarzają przełożeni tylko jego.

- Himmler żąda szczególnej ochrony dla operacji „Hein-rich” - oznajmił. - Co oznacza, że wszelkie próby wroga zyskania jakichkolwiek informacji na ten temat musimy bezwzględnie likwidować.

- Mogę? - Naujocks wyjął z kieszeni kurtki srebrną papierośnicę. Widząc przyzwalający gest Schellenberga, otworzył ją i skierował w jego stronę, ale ten pokręcił głową.

19

- Dotychczas zanotowaliśmy tylko jedną próbę wtargnięcia do tej sfery - powiedział, zaciągając się dymem.

Cały Naujocks - pomyślał z niechęcią Schellenberg. - Eleganckie słownictwo, wypomadowane włosy, srebrna papierośnica i bezwzględny bandzior.

- O ile wiem, zajmowało się tym Sicherheitsdienst z Monachium -niechętnie zauważył Schellenberg, wyczuwając próbę przywłaszczenia sobie sukcesu tamtejszej placówki Służby Bezpieczeństwa.

- O, tak - potwierdził skwapliwie Naujocks, zrozumiawszy, że jego próba spaliła na panewce. Jednakże nie zrezygnował z pochwalenia się swoją wiedzą na ten temat. - Nadzorowałem przesłuchanie.

- Może wie pan coś więcej, niż wyczytałem w dokumentach...

- To był strażnik z „Totenkopfvarbande” z Dachau. Niestety i w naszym zakonie trafiają się parszywe owce. - Naujocks był wyraźnie zadowolony, że może pochwalić się swoimi informacjami. - Koledzy zwrócili uwagę, że nagle zaczął wydawać więcej, niż zarabiał.

Donieśli przełożonym. Ci, na szczęście, byli na tyle inteligentni, że przekazali sprawę Sicherheitsdienst. Przycisnęliśmy go. Przyznał, że potrzebował pieniędzy. Dostał dwa tysiące marek od znajomego, a gdy nie mógł spłacić, tamten zaczął szantażować go, że powiadomi szefów i wyrzuci go z SS. Załamał się, zgodził się przekazywać informacje o obozie. Był w ochronie bloku „E”... -Naujocks zawiesił głos.

Schellenberg gwizdnął cicho. Musiał przyznać, że tego faktu nie znał. Przeglądał protokoły z przesłuchania esesmana, ale nigdzie nie wspomniano, że był tak blisko miejsca operacji „Heinrich”.

- W raportach nie ma nic o skali zagrożenia, jaką mogła stworzyć zdrada tego esesmana - zauważył Schellenberg.

Naujocks pokiwał głową z zadowoleniem. Oczekiwał takiej reakcji. To on przekonał oficera śledczego, żeby ze względu na szczególną tajność operacji w protokole zamieścił jak najmniej informacji. Było to słuszne, ale czyniło Naujocksa, znającego wszystkie szczegóły śledztwa, niezastąpionym.

- Skala zagrożenia... - powtórzył Naujocks z namysłem - duża, albo bardzo duża. A to dlatego, że ze względu na konieczność ograniczenia liczby osób mających dostęp do bloku „E” od początku,

20

- Dotychczas zanotowaliśmy tylko jedną próbę wtargnięcia do tej sfery - powiedział, zaciągając się dymem.

Cały Naujocks - pomyślał z niechęcią Schellenberg. - Eleganckie słownictwo, wypomadowane włosy, srebrna papierośnica i bezwzględny bandzior.

- O ile wiem, zajmowało się tym Sicherheitsdienst z Monachium -niechętnie zauważył Schellenberg, wyczuwając próbę przywłaszczenia sobie sukcesu tamtejszej placówki Służby Bezpieczeństwa.

- O, tak - potwierdził skwapliwie Naujocks, zrozumiałwszy, że jego próba spaliła na panewce. Jednakże nie zrezygnował z pochwalenia się swoją wiedzą na ten temat. - Nadzorowałem przesłuchanie.

- Może wie pan coś więcej, niż wyczytałem w dokumentach...

- To był strażnik z „Totenkopfvarbande” z Dachau. Niestety i w naszym zakonie trafiają się parszywe owce. - Naujocks był wyraźnie zadowolony, że może pochwalić się swoimi informacjami. - Koledzy zwrócili uwagę, że nagle zaczął wydawać więcej, niż zarabiał. Donieśli przełożonym. Ci, na szczęście, byli na tyle inteligentni, że przekazali sprawę Sicherheitsdienst. Przycisnęliśmy go. Przyznał, że potrzebował pieniędzy. Dostał dwa tysiące marek od znajomego, a gdy nie mógł spłacić, tamten zaczął szantażować go, że powiadomi szefów i wyrzuci go z SS. Załamał się, zgodził się przekazywać informacje o obozie. Był w ochronie bloku „E”... -Naujocks zawiesił głos.

Schellenberg gwizdnął cicho. Musiał przyznać, że tego faktu nie znał. Przeglądał protokoły z przesłuchania esesmana, ale nigdzie nie wspomniano, że był tak blisko miejsca operacji „Heinrich”.

- W raportach nie ma nic o skali zagrożenia, jaką mogła stworzyć zdrada tego esesmana - zauważył Schellenberg.

Naujocks pokiwał głową z zadowoleniem. Oczekiwał takiej reakcji. To on przekonał oficera śledczego, żeby ze względu na szczególną tajność operacji w protokole zamieścił jak najmniej informacji. Było to słuszne, ale czyniło Naujocksa, znającego wszystkie szczegóły śledztwa, niezastąpionym.

- Skala zagrożenia... - powtórzył Naujocks z namysłem - duża, albo bardzo duża. A to dlatego, że ze względu na konieczność ograniczenia liczby osób mających dostęp do bloku „E” od początku,

20

a więc od 1935 roku, straż pełnią ci sami ludzie. Ten esesman, o nazwisku Krauss, stał na warcie na zewnątrz, ale nie należy sądzić, że jego koledzy nie dzielili się z nim swoimi spostrzeżeniami. Mógł wiedzieć wiele.

- A ten znajomy, który kupował informacje? Wiemy coś więcej na jego temat?

- Nie, ulotnił się, nie zostawiając żadnego śladu, zanim doszliśmy do niego.

- Co z esesmanem?

- Powiedział wszystko, co wiedział, i... wpadł pod ciężarówkę. - Naujocks przeciągnął ręką po wypomadowanych włosach.

Czyżby ten gest miał znaczyć, że to on osobiście zabił esesmana? Schellenberg był o tym przekonany.

- Reichsfuhrer byłby niezadowolony, gdyby wyszło na jaw, że jeden z naszych okazał się zdrajcą - dodał Naujocks, jakby się usprawiedliwiając.

Schellenberg pokiwał głową ze zrozumieniem. Teraz przyszła kolej na jego ruch.

Wysunął spośród kartek złożonych w czarnych okładkach zdjęcie i odwrócił je w stronę Naujocksa.

- Coś wie pan na jego temat?

Naujocks przypatrywał się przez chwilę fotografii przedstawiającej młodego mężczyznę w świetnie skrojonym garniturze siedzącego na trybunie obok pięknej kobiety trzymającej lornetkę.

- Kto to? - zapytał wreszcie.

- Niejaki Michael Sosnowitz. Od dziewięciu lat mieszka w Berlinie, przedtem w Poznaniu.
- Polak?
- Podaje się za Niemca. Jego ojciec był Niemcem, matka - Polką. W 1929 roku wygrał zawody hippiczne w Zoppot i zdecydował się przenieść do centralnych Niemiec.
- Z czego żyje?
- Handluje końmi wyścigowymi i zgarnia wygrane w berlińskich gonitwach. Wystawia dwa konie tak cudnej urody, że inni hodowcy mdleją z zazdrości na ich widok.
- Jak widzę, nie tylko konie - Naujocks roześmiał się, wskazując na towarzyszkę Sosnowitza.

21

- Tak, to pani Kerstin von Netz.
 - Żona barona von Netza? Człowieka tak bogatego, że nawet ryby w jego jeziorze mają na płetwach brylantowe kolczyki?
 - Tak, ona. Baron zapewne też gdzieś jest w pobliżu - Schellenberg stuknął palcem w fotografię - ale poszedł na szampana lub omawiać interesy.
 - Czy mamy jakieś podejrzenia wobec nich?
 - Otóż ... - Schellenberg zawiesił głos - nie! Naujocks spojrzął na niego zdziwiony.
 - Dlaczego więc zajmujemy się piękną baronową i przystojnym handlarzem końmi?
 - Kazałem sprawdzić wszystkich ludzi, którzy mogą cokolwiek wiedzieć o operacji „Heinrich”. Jednym z nich jest Wolfram Sievers...
 - Sam wielki Wolfram Sievers? - Naujocks był wyraźnie zaskoczony, że Schellenberg włączył sekretarza generalnego Deutsche Ahnenerbe Verein - Towarzystwa Dziedzictwa Niemieckiego - do kręgu podejrzanych.
 - ...który przyjaźni się z państwem von Netz - dokończył spokojnie Schellenberg. - Tym samym Polak znalazł się w kręgu podejrzeń.
 - To niewiele - Naujocks wzruszył ramionami. Zdusił papierosa w popielniczce i sięgnął po następnego, już nie pytając Schellenberga o zgodę. - A w dodatku, gdy szanowny baron dowie się, że interesujemy się nim lub jego piękną żoną, pójdzie od razu do Himmlera. I zostanie przyjęty, gdyż jest jednym z założycieli „Koła Przyjaciół Reichsführera SS”. A my wylecimy ze służby.
 - Dlatego nie będziemy interesowali się baronem, lecz tym Sosnowitzem.
- Schellenberg nie miał jednak zamiaru ujawniać całego planu, jaki przygotował. Przez wiele tygodni analizował wszelkie informacje na temat Sosnowitza. Jedynym punktem zaczepienia były jego związki z baronową von Netz. Zdawał sobie sprawę, że to zbyt mało, aby wystąpić z oskarżeniem, tym bardziej że dotyczyło osoby tak wpływowej jak baron i jego żona. Co gorsza, nic w zachowaniu Sosnowitza nie dawało powodów do podejrzeń. Jego majątek pochodził ze sprzedaży rodowej posiadłości w Poznańskim i licznych nagród, jakie zdobywał na międzynarodowych

22

JT

zawodach hippicznych. Pomnożył go, sprowadzając z Polski dwa konie czystej krwi arabskiej i dżokejów mniejszych niż małpki. Przez trzy lata jego konie zdobywały większość nagród w najbardziej prestiżowych wyścigach. Stał się znany i ceniony jako niezastąpiony doradca w sprawach hodowli. Jego popularność wzrosła, gdy wydało się, że jako kawalerzysta walczył na Ukrainie przeciwko bolszewikom, a o jego brawurze i odwadze opowiadano legendy. Każda dama z najlepszego towarzystwa berlińskiego uważała za swój obowiązek pójść z nim do łóżka, a opowieści o tym, jak wspinał się jest kochankiem, dodatkowo umacniały jego towarzyską pozycję.

Co więcej, od 1929 roku, a więc na długo zanim naziści przechwycili władzę, wspomagał ich finansowo, łożąc całkiem pokaźne sumy na NSDAR. Przy tym za granicę wyjeżdżał rzadko, a długotrwała obserwacja jego zachowań w Niemczech nie dała żadnego powodu do podejrzeń!

Tyle, że Schellenberg nauczył się wierzyć swojemu wyczuciu. Instynkt i doświadczenie łowcy szpiegów podpowiadały mu, że styl życia, miłośki i rozrzutność, szerokie znajomości, a nawet przyjaźnie w najwyższych kręgach berlińskiego towarzystwa idealnie pasują do wzorca agenta obcego wywiadu. Przyjął więc, że Sosnowitz jest szpiegiem pozostającym w uśpieniu, budującym znajomości, wpływy i pozycję, do czasu, gdy szefowie uznają, iż należy wprowadzić go do akcji. A czas taki nadszedł ze względu na międzynarodowy kryzys, jaki wywołały żądania Hitlera pod adresem Czechosłowacji, zgłaszane w coraz bardziej agresywny sposób od maja 1938 roku.

- Powinien pan stworzyć dookoła niego sieć tak gęstą, żeby nie mógł się z niej wyplątać - powiedział do Naujocksa. - I dam panu radę: trzeba z nim walczyć bronią, którą on, być może, walczy z nami.

Naujocks spojrział na Schellenberga z zaciekawionym.

- Kobiety?

- Tak.

- Jakiś określony typ? Blondynki, brunetki? Występne, niewinne?

Schellenberg pokręcił głową. - Jeżeli jest szpiegiem, to wie, że nie może ujawniać swoich słabości. Ale pomogę panu.

23

Schellenberg ponownie otworzył czarną tekturową teczkę i wydobył zdjęcie tancerki w orientalnym kostiumie. Podsunął je Naujockowski, który podniósł fotografię, aby przyjrzeć się kobiecie na niewielkiej, zapewne kabaretowej scenie, wygiętej w egzotycznym tańcu.

- Lea Rosa Kruk - dodał Schellenberg. - Pseudonim artystyczny: Lea Niako. Niech pan pójdzie na jej występ do „Bilbao”, to kabaret na Danziger Strasse. Potem już tylko wystarczy zaaranżować spotkanie z Sosnowitzem. To nie będzie trudne. A on połknie tę przynętę. Zaręczam.

- Ona współpracuje z nami? - Naujocks oddał zdjęcie.

- Jeszcze nie, ale nie będzie się opierała. Grozi jej deportacja. Jest Bułgarką, która mieszka w Niemczech nielegalnie. Kupiła sfałszowane dokumenty.

Schellenberg zamknął teczkę i odniósł do szafy pancерnej.

Nie powiedział Naujockowski całej prawdy. Już wcześniej skłonił tancerkę do współpracy. Była jego agentką i umyślnie podsuwał ją Naujockowski. W ten sposób, otrzymując jej raporty, orientowałby się zarówno w posunięciach Naujocksa, jak i Sosnowitza. I w odpowiednim momencie mógłby wkroczyć do akcji, zabierając Naujockowski sukces sprzed nosa.

- Bezpieczeństwo operacji „Heinrich” jest w pana rękach, drogi Alfredzie - powiedział przez ramię do Naujocksa, który również wstał z krzesła i sięgał po czapkę.

Gestem zatrzymał wychodzącego.

- Jeszcze jedna rada: aresztowanie Sosnowitza byłoby najgłupszym rozwiązaniem.

Naujocks spojrział na niego i skinął głową.

- Ludzie, którzy poznają w najmniejszym stopniu tajemnicę „Heinricha”, muszą zniknąć na zawsze - oznajmił z charakterystyczną pewnością siebie.

Opryszek i to głupi - pomyślał z niechęcią Schellenberg. - Czy zawsze muszę trafiać na takich durniów?!

Zrobił krok w stronę Naujocksa i stanął tuż przed nim. Byli równego wzrostu, więc patrzył mu prosto w oczy.

- Jeżeli ten ułan już cokolwiek wie o „Heinrichu”, to zapewne przekazał swoim szefom...

24

- A skąd miałby wiedzieć?

- Chociażby od tego esesmana z Dachau. - Schellenberg wzruszył ramionami. - Nie wiemy, kim był ten „znajomy”, który dał pieniądze esesmanowi. Nie wiemy, czy nie działał w porozumieniu z Sosnowitzem...

Oczy Naujocksa zwięźli się.

- Nie wiemy - podjął ton Schellenberga - czy mamy rację, podejrzewając uczciwego Niemca! Ten nie przejął się uwagą Naujocksa.

- Taka jest nasza praca! - powiedział jakby z wyrzutem wobec młodszego kolegi, że jeszcze nie rozumiał istoty działania kontrwywiadu, i mówił dalej:

- Jeżeli więc Sosnowitz zdołał dowiedzieć się czegoś o operacji „Heinrich” i przekazać to swoim szefom, to likwidując go, utwierdzimy ich w przekonaniu, że sprawa jest naprawdę poważna.

- Rozumiem! - Naujocks stanął na baczność i podniósł rękę. -Heil Hitler!

- Gówno rozumiesz - mruknął Schellenberg, gdy zamknął za nim drzwi.

4. Narodziny „Heinricha”

Doktor Kurt Plotner pochylił się nad dokumentami, które położył przed nim esesman. Jego twarz pozostawała w cieniu, gdyż światło biurkowej lampy przysłoniętej czarnym metalowym kloszem oświetlało jedynie tułów i nogi wielkiego sturmführera SS z Kwatery Głównej Gestapo, który przyjechał wieczorem do pod-berlińskiej kliniki, aby przywieźć dokumenty.

- Mogę usiąść? - zapytał gestapowiec i nie czekając na odpowiedź, przysunął sobie twarde krzesło do białego biurka.

Zaraz zapyta, czy może zapalić - pomyślał z niechęcią Plotner i widząc, że esesman sięga do bocznej kieszeni munduru, mruknął, nie podnosząc głowy.

- Tu się nie pali!

Na twarzy gestapowca pojawiło się zdumienie.

25

- A skąd pan wiedział...

Nie zdążył zadać pytania, gdy Plótner zniecierpliwiony rzucił:

- Proszę nie przeszkadzać!

Miał przed sobą akta pięciu ludzi zawierające jedynie podstawowe dane personalne oraz ich fotografie. A on potrzebował zapisu wnikliwej analizy psychologicznej, zachowań, podatności na stres, odporności psychicznej. Tylko na takiej podstawie mógł dokonać prawidłowego wyboru, gwarantującego sukces wielkiego przedsięwzięcia naukowego. Plótner przełknął ślinę i wsunął palce obu dłoni za kołnierzyk, jakby był za ciasny i uwierał go. Poczuł wilgoć, jaka wsiąkała w płótno koszuli, co było oczywistym znakiem, że zaczyna się bać.

Miał czterdzieści sześć lat, z których dziesięć poświęcił badaniom zachowań ludzi w sytuacjach szczególnych, uznając, że może to być klucz do rozwiązania wielu problemów psychiatrycznych. Nie osiągnął wiele, a jego prace spotykały się z lekceważeniem berlińskiego środowiska naukowego, zarzucającego mu „szarlatanerię”. To jeszcze bardziej pobudzało go do pogoni za wynikiem, którego naukowych podstaw nie mógłby podważyć nikt!

Czuł, że udział w operacji „Heinrich” wyniesie go na szczyt naukowej sławy, a jego imieniem będą nazywać sale wykładowe w najlepszych wydziałach uniwersyteckich. Ale jak na podstawie tak skąpych materiałów, nie widząc nawet pacjentów, mógł dokonać trafego wyboru kandydata do eksperymentu medycznego, którym interesował się sam reichsführer SS, a może nawet i Adolf Hitler!

W dodatku pozwalano mu przeglądać dokumenty tylko w obecności gestapowca, który je przywiózł. Prawdopodobnie dlatego, że doktor Plótner nie był członkiem SS, choć coraz częściej rozważał wstąpienie do tej organizacji. Miał jednak wątpliwości, czy nie odrzucą jego kandydatury. Był zaprzeczeniem ideału esesmana. Jego szeroka twarz o nadmiernie

wystających kościach policzkowych i siodełkowatym nosie, rzadkie ciemne włosy, w niczym nie przypominały aryjskiego chłopca z plakatów SS. W dodatku miał słaby wzrok i bez okularów niewiele widział nawet w słoneczny dzień.

Odsunął na bok życiorysy, rezygnując z ich studiowania. Uznał, że musi zawierzyć jedynie swojemu wyczuciu i oprzeć się na fotografiach dołączonych do akt.

26

- A wyglądają na porządnych, prawda panie doktorze? - odezwał się gestapowiec.

Nudziło mu się. Najwyraźniej kazano mu nie spuszczać oka z dokumentów i siedzieć tak długo, jak to będzie konieczne. Przekrzywił głowę, aby lepiej widzieć zdjęcia. Plótner znowu spojrzął na niego z niechęcią. Miał już na końcu języka naganę za wtrącanie się w sprawy, o których esesman nie miał pojęcia, gdy nagle gestapowiec położył palec na jednym ze zdjęć.

- Tego znam! - powiedział zadowolony, że może się wykazać czymś więcej niż tylko pilnowaniem dokumentów.

- A skąd? - Plótner podniósł głowę i poprawił okulary.

- Zanim wstąpiłem do Gestapo, byłem policjantem w Konstancji. - Dostrzegł zainteresowanie w oczach lekarza, więc rozsiadł się wygodniej i znowu jego ręka powędrowała do prawej kieszeni munduru. Przypomniawszy sobie jednak uwagę, że w gabinecie nie wolno palić, więc szybko położył ją na biurku.

- Pan doktor wie, to nad Jeziorem Bodeńskim. Ach, pięknie tam. A on to był stolarzem...

- A dlaczego policja interesowała się stolarzem?

- Komunista. Do Czerwonego Frontu należał, ale spokojny był człowiek...

- Spokojny komunista? - zdziwił się Plótner i widząc, że znowu ręka gestapowca kieruje się do kieszeni, wyjął spod biurka szklaną popielniczkę i postawił na blacie. - No, już niech pan zapali.

- O, dziękuję! - Gestapowiec szybko wyciągnął paczkę papierosów.

- Co znaczy „spokojny był”? - powtórzył pytanie Plótner.

- Grał w orkiestrze na helikonie, jak komuniści chodzili na parady. - Gestapowiec zaciągnął się głęboko i wypuścił dym w bok, aby nie drażnić Plótnera. - Tak że nawet nie było za co go wsadzić. A jak przejęliśmy władzę w trzydziestym trzecim, to się uspokoił i już nawet na zebrania Czerwonego Frontu nie chodził.

Plótner nie słuchał dalszych wspomnień policjanta. Wydobył na wierzch kartkę z życiorysem, na której nie było nazwiska, a jedynie imiona:

„Johann Georg, urodzony 4 stycznia 1903 roku. Z zawodu kowal i cieśla”.

27

Przelatywał wzrokiem zdania, które uważał za nieistotne, a dotyczące jego kolejnych zawodów. Nigdzie nie znalazł żadnej informacji o rodzinie.

- Nie ma rodziny? Żona, dzieci, rodzeństwo...? - zapytał.

- Jak pamiętam, jego rodzice umarli dawno, a żony nie miał - odpowiedział gestapowiec. - Dziwny taki, zawsze sam chodził. Kobiet unikał.

Znowu zaczął coś opowiadać, a Plótner ponownie sięgnął po zdjęcie przedstawiające mężczyznę o ciemnych pofalowanych włosach, potarganych i niepoddających się łatwo grzebieniowi, półokrągłych brwiach i szeroko otwartych oczach, nadających wyraz zaskopotań lub zdziwienia twarzy, na którą nikt nie miałby powodu zwracać uwagi, a tym bardziej jej zapamiętać.

Plótner zapisał na kartce kilka informacji na temat Johan-na, jak go postanowił nazywać, złożył wszystkie akta i oddał je gestapowcowi, który w pośpiechu dopalał papierosa. Zerwał się z krzesła i schowawszy dokumenty do teczki, stanął na baczność, wznosząc rękę.

- Heil Hitler! - krzyknął. Plótner też podniósł rękę.

Odczekał, aż gestapowiec zamknie za sobą drzwi, i sięgnął po słuchawkę.

- Mówi doktor Plótner, proszę ze standartenfuhrerem SS Wolframem Sieversem - powiedział, gdy usłyszał głos telefonistki.

Nie miało znaczenia, że dzwonił kilka minut przed północą. Często odnosił wrażenie, że sekretarz generalny założonego w 1935 roku Towarzystwa Dziedzictwa Niemieckiego rozpoczynał urzędowanie późnym wieczorem. Wszystkie dyskusje, jakie z nim prowadził, odbywały się nocą. Wtedy też załatwiali najważniejsze sprawy urzędowe. Sievers twierdził, że noc pozwala na skupienie myśli, gdy dzień, ze swoim ustalonym porządkiem, je rozprasza.

- Sievers - usłyszał jego głos w słuchawce i przez moment zastanowił się, czy nie oderwał standartenfuhrera od jego ulubionej czynności: studiowania czaszek, które kolekcjonował. Plótner podejrzewał nawet, że lekarze w kilku obozach koncentracyjnych mieli polecenie wyszukiwać ludzi o ciekawych głowach i zabijać ich, dbając o nienaruszenie kości, aby Sievers mógł otrzymać wartość-

28

ciowy materiał badawczy. Ciekawe, jak ich zabijali? Zastrzykami czy dusili? A może strzelali w brzuch?

Czasami zastanawiał się, czy Sieversowi dostarczano wypre-parowane czaszki, czy całe głowy. Pasjonowały go mózgi. Kiedyś powiedział, że wierzy w podłączenie mózgu do mechanizmu, aby nim sterował.

- Wybrałem - oznajmił Plótner, nie przedstawiając się, gdyż uznał, że sekretarka i tak poinformowała szefa, kto dzwoni.

- Kto to?

- Stolarz, cieśla, mechanik, kiedyś członek Czerwonego Frontu, samotny - szybko wyliczył podstawowe cechy. - Przyjrzałem się jego zdjęciu. Mogę przyjąć, że to dobry materiał.

- Akceptuję pana wybór, doktorze Plótner - odpowiedział Sievers charakterystycznym nosowym głosem. - Jak długo potrwa eksperyment?

- Co najmniej rok. Może półtora.

- To długo.

Plótner nic nie odpowiedział. I tak uważał, że właściwy skutek będzie można osiągnąć dopiero po paru latach, ale wołał nie przedstawiać swoich wątpliwości.

- Straciliśmy już dużo czasu - dodał Sievers.

- Nie rozumiem...

- Poprzedni eksperyment, jaki prowadziliśmy od 1935 roku, zakończył się niepowodzeniem. Jeden pacjent zmarł, a drugi zwariował.

- Czy będę mógł zapoznać się z dokumentami tamtej sprawy?

- Oczywiście, wolelibyśmy uniknąć popełniania takich samych błędów.

- Co było powodem niepowodzenia?

- W jednym przedawkowano tortury, chyba prąd, a w drugim narkotyki - wyjaśnił niechętnie Sievers.

Plótner zrozumiał, że nie powinien zadawać więcej pytań.

- Jestem gotów przystąpić do badań, gdy tylko obiekt będzie... - zawahał się, nie wiedząc, jak ma określić doprowadzenie Johanna - dostarczony.

- To możemy zrobić jutro. Niech pan przyjeżdża do Dachau jak najszybciej. Na początek zatrzyma się pan w hotelu „Vier Jahreszeiten” na Maximilianstrasse...

29

Przyjął tę informację z zadowoleniem, wiedząc, że to najlepszy hotel w Monachium.

- ...dopóki nie przygotujemy dla pana kwatery w Dachau-uzupełnił Sievers. - Proszę przekazać mojej sekretarce, o której będzie pan w Monachium, abyśmy mogli wysłać po pana samochód na dworzec.

- Dziękuję. Heil Hitler! - odpowiedział Plótner, odkładając słuchawkę.

Przeciągnął się na krześle.

Był szczęśliwy. Dokona czegoś, co wstrząśnie światem! Zastanawiał się tylko, jaki cel ma ten eksperyment. Zakładał, że jego zadaniem będzie wyszkolenie człowieka, tak aby wykonywał rozkazy, nie analizując ich, nie mając żadnych wątpliwości co do konieczności ich wykonania, może nawet panującego nad uczuciem głodu, strachu, bólu. Czy chodziło o stworzenie żołnierza doskonałego? A może Sievers chciał podłączyć druciki do jego mózgu i umieścić jego głowę w swojej maszynie bojowej, o której tak często wspominał? Odrzucił szybko tę myśl, gdyż wydała mu się absurdalna! Spojrzał na elektryczny zegar nad drzwiami. Minęła północ. Niechętnie wstał z krzesła. Powinien zajrzeć do dyżurki i sprawdzić, czy nie dzieje się coś istotnego wśród pacjentów prywatnej kliniki, w której bywał często jako konsultant do spraw psychiatrii.

5. Nocna rozmowa

Szum wody ustał i mężczyzna, który po chwili wyszedł z łazienki, wycierając ręcznikiem wysoko podgoloną głowę, zbliżył się do dużego lustra umocowanego na niskiej toalecie o zaokrąglonych kształtach, pokrytej jasnym brzoźowym fornirem. Był to jedyny sprzęt przywołujący na myśl bogate mieszczańskie wnętrza, całkowicie niepasujący do surowego pokoju o wysokich oknach, przysłoniętych do połowy rzymskimi roletami. Stało tu tylko szerokie łóżko, mała nocna szafka z lampką o szklanym kloszu i fotel, obok którego leżała książka, co mogło świadczyć o tym, że gospodarz

30

lubi czytać wieczorami, siedząc wygodnie, a nie leżąc, gdyż ta pozycja zbyt szybko przywoływała sen.

Przepasał ręcznik wokół bioder i sięgnął po rogowy grzebień wbity we włosie szczotki na toalecie. Powoli i starannie przejechał nim kilkakrotnie po rzadkich włosach, zaczesując je do tyłu.

Nie było w nim nic, co skłaniałoby do zatrzymania dłużej wzroku na jego sylwetce. Był przeciętny pod każdym względem. Jego głowa miała wyraźny trójkątny kształt, co podkreślała ostra broda, charakterystyczna dla ludzi chwiejnych, uciekających przed podjęciem decyzji. Blisko osadzone, zawsze lekko przymrużone oczy patrzyły przenikliwie i nieprzyjemnie.

Wąskie spadziste ramiona, klatka piersiowa pozbawiona mięśni i chude ręce wskazywały, że nigdy nie zajmował się sportem, a szerokie biodra dopełniały obrazu człowieka nawykłego do długotrwałej pracy umysłowej, stroniącego od wysiłku fizycznego.

Do tego obrazu dobrze ułożonego urzędnika nie pasowała niewielka blizna na lewym policzku, pozostałość po pojedynku, modnym wśród studentów niemieckich, gdy szermierze starali się skaleczyć twarz przeciwnika. Trudno było wyobrazić sobie tego człowieka ze szpadą w dłoni, walczącego z przeciwnikiem twarzą w twarz.

Końcem grzebienia zaczesał wąsik i podniósł okulary w delikatnej złotej oprawie. Założył je na nos, poprawił i ponownie przyjrzał się sobie, nie znajdując nic, co mogłoby popsuć mu nastrój.

- Karl! - krzyknął i rozłożył ręce. Ten ruch sprawił, że ręcznik zsunął się z bioder.

Stał przed lustrem, nie dbając o nagość, nawet wówczas, gdy do pokoju wszedł kamerdyner. Wysoki chłopak w wieku dwudziestu lat, mocny i muskularny, w czarnym mundurze esesmana, który był tak opięty na jego mięśniach, że wydawał się zbyt mały, poruszał się ze sprężystością sportowca. Zatrzymał się na moment, by sprawdzić, w jakim celu został wezwany, a widząc ruch głowy pryncypała w stronę szafy zajmującej całą ścianę pokoju, podszedł tam i wyjął bieliznę oraz białą koszulę. Szybko nałożył ją na rozpostarte ramiona szefa, po czym podał białe luźne kalessony. Odwrócił się, aby wyjąć z szafy czarny mundur.

Ubiór maskował ułomności postaci reichsführera SS, dodając mu pewności, a nawet siły. Ukoronowaniem dzieła było wżucie wysokich butów, lśniących od dobrze wypolerowanej pasty.

Heinrich Himmler chwycił za brzegi kurtki i ściągnął je energicznie, aby mundur ułożył się na jego tułowiu.

- Dziękuję, Karl. Samochód jest?

- Czeka, gotowy do drogi.

Himmler spojrział jeszcze raz w lustro i niepewny, czy właściwie ocenił swój wygląd, odwrócił się do Karla, który skinął głową, poświadczając, że nie zauważa niczego niestosownego.

Człowiek obserwujący tę scenę z boku mógłby odnieść wrażenie, że Himmler przygotowuje się do szczególnie ważnej uroczystości, której uczestnicy będą zwracali baczną uwagę na strój.

Założył czapkę, starannie poprawił ją i ruszył ku drzwiom, które tuż przed nim otworzył Karl. Lipcowa noc była pogodna. W czasie całej podróży z Berlina do Quedlinburga Himmler wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, upatrując w nim dobry znak. Czasami mówił coś do siebie, jak aktor powtarzający rolę przed wejściem na scenę. Głównie jednak milczał, rozważając, jak przebiegnie rozmowa, do której przygotowywał się od wielu dni, a której wynik mógł zmienić jego los, a nawet los Niemców. Niepokoiło go, że na żadne z pytań nie otrzyma jednoznacznej odpowiedzi, lecz będzie musiał sam dojść do ich sensu. Musiał więc tak prowadzić rozmowę, aby jak najmniej pozostało wątpliwości, i to pochłaniało jego uwagę w czasie całej podróży.

Do Quedlinburga wjechali od wschodu szeroką Magdeburger Strasse i skierowali się do centrum. Tu uliczki były już wąskie, wybrukowane bazaltową kostką. Opony ciężkiego, opancerzonego mercedesa wydawały głuchy dźwięk, odbijający się od średniowiecznych ścian domów miasta, które o tej porze wydawało się całkowicie wymarłe.

Za kamiennym mostem otwierał się widok na romański kościół na wzgórzu. Jego dwie kwadratowe wieże ze szpiczastymi dachami ostro odcinały się od nieba jasno oświetlonego promieniami księżyca.

Himmler, zdawał się już nie interesować obserwacjami nieba i otoczenia. Myśli pochłaniały go całkowicie. Można nawet było odnieść wrażenie, że się modli.

32

Esesmani tkwiący na warcie u podnóża skały, na której przed dziesięcioma wiekami wzniesiono kościół, stawali na baczność, widząc czarny mercedes. Nie tyle poznawali samochód reichsführe-ra, ile zostali powiadomieni o jego przyjeździe. Zadbali więc, aby w okolicach kościoła nie kręcił się nikt niepożądany, choć od ponad roku i tak nie przychodzili tam wierni.

Samochód Himmlera podjechał drogą stromo biegnącą do kościelnego dziedzińca. Wbrew oczekiwaniom esesmańskich straży, dyskretnie ukrytych wśród drzew, nie zatrzymał się przed głównym wejściem, lecz pojechał dalej i stanął dopiero przy bocznych drzwiach. Kierowca wysiadł i podszedł do bagażnika. Wysunął jedną z trzech skórzanych waliz umocowanych na szynach, co ułatwiało przeglądanie ich zawartości, i wyjął duży, ciężki pakunek. Niosąc go oburącz przed sobą, przeszedł do przodu samochodu i stanął na baczność, oczekując, aż Himmler zwróci na niego uwagę i wysiadzie. Wtedy rozwinął czarną pelerynę i pomógł Himmlerowi narzucić ją na ramiona. Była ciężka, sięgająca do ziemi, utkana z grubego wojskowego płótna. Nie miała nic z elegancji, jakiej można się było spodziewać po odzieniu tak wysokiego urzędnika, nie wydawała się też potrzebna w ciepły letni wieczór. Himmler stał jeszcze przez moment, skupiony na swoich myślach, a jego wzrok błędził po wielkich kamieniach ściany kościoła, jakby starał się je przeniknąć. Skłonił wreszcie głowę i

ruszył do bocznego portalu, którego masywne drzwi były lekko uchylone, jakby przez kogoś, kto oczekiwał jego wizyty.

Ostatnie nabożeństwo odbyło się w tym kościele w święta Wielkiejnocy w 1938 roku.

Później katolicka świątynia straciła swój charakter. Esesmani zdemontowali ołtarz i stalle w prezbiterium, aby z wzniesionego w dziesiątym wieku kościoła Świętego Serwacjusza uczynić świątynię nowej religii.

Himmler przeszedł szybko przez nawę boczną i wzdłuż kolumn nawy głównej kierował się do prezbiterium.

Łukowe okna pod prostym stropem dawały niewiele światła, gdyż pogoda zaczęła się psuć i napływające chmury często przesłaniały księżyc. W krótkich chwilach, gdy jaśniała cała pełnia, wewnątrz stawało się zimnosrebrne, a cienie kamiennych roślin na kielichowych głowicach romańskich kolumn poruszały się.

33

Z przodu, na miejscu, z którego wyrwano ołtarz, stało kilkanaście świec w prostych drewnianych lichtarzach. Ich światło, słabe i chybotałe, dopełniało niezwykły nastrój, któremu Himmler poddał się szybko, słysząc w surowym wnętrzu tylko swoje kroki.

Puścił poły peleryny, które dotychczas przytrzymywał, aby nie przeszkadzały w marszu, i odrzucił je na boki. Wyjął grubą świecę i trzymając ją przed sobą jak miecz, poszedł w stronę łukowego otworu w kamiennej posadzce. Tu nie docierało ani światło księżyca, ani świec, a ciemność rozjaśniał jedynie płomyk gromnicy. Wąskie, wytarte przez wieki schody prowadziły w czeluść, zimną i cuchnącą stęchlizną.

Himmler ponownie podciągnął poły peleryny, aby nie zawadzić o nie w czasie schodzenia, i bez wahania zszedł do krypty.

Zrobił kilka kroków i przyklęknął na jedno kolano, jak wasal oczekujący wezwania przez swojego seniora.

Świeca, którą postawił obok, oświetlała kamienną ścianę nagrobną, na której widać było zatartą już płaskorzeźbę przedstawiającą postać mężczyzny. Dalej z mroku wyłaniały się inne rzeźby w prostokątnych kamiennych ramach.

Himmler milczał, ni to modląc się, ni medytując. Czekał cierpliwie, jak człowiek, który ma pewność, że wydarzenie nastąpi, lecz nie zna godziny. Mijały minuty, w czasie których zdawał się zapadać w trans. Aż podmuch, który mógł wywołać otwierane drzwi lub nagły poryw wiatru wpadający przez półotwarte okno, poruszył płomieniem świecy.

Himmler skulił się i opuścił głowę.

- Królu Heinrichu, ja, twój wierny rycerz, przybywam do ciebie - odezwał się po chwili. - Przybywam, aby wysłuchać twojego głosu. Mów do mnie!

Ostatnie słowa wypowiedział mocno, głośno, aż echo odbiło się od kamiennych łuków.

Czekał.

- Podjąłem twoje zadanie, królu, walki ze słowiańskimi poganami i zdobycia ziemi dla naszej rasy. Będę je wypełniał niezłomnie. Nie znając litości ani słabości! Aż my, Germanie, opanujemy świat!

34

Gdy umilkł jego głos, odbity echem od kamiennego sklepienia, powróciła martwa cisza, ale tylko na moment, gdyż nagle przerwał ją dziwny szmer. Himmler słyszał wyraźnie słowa, nie głośniejsze niż szept.

Podniósł głowę, lecz nie odważył się odwrócić, choć głos najwyraźniej dobiegał z tyłu.

- Słyszę cię, gdyż po tysiącu lat odrodziłem się w tobie, Heinrichu.

Himmler chciał przytaknąć, powiedzieć, że czuje jego siłę, ale się nie odezwał*, wiedział, że w stosownym momencie uzyska pozwolenie. Wsłuchiwał się w głos, aby nie stracić żadnego słowa.

- Wiem, że podejmiesz moją walkę. Tylko ty masz moją siłę i ty możesz tę walkę wygrać. Ten, który mieni się wodzem narodu niemieckiego, przegra ją, przynosząc ogrom nieszczęść swoim ludziom. Ale potem ty wygrasz! Choć minie wiele długich lat. Więcej niż pięć. Walcz! Szept ustał.

Himmler czekał pochylony. Mijały minuty, ale nic już nie zakłócało grobowej ciszy.

Uznał, że jest to przyzwolenie na zadawanie pytań.

- Królu, jakże ja, wasal, mam wypowiedzieć posłuszeństwo mojemu seniorowi, Fiihrerowi? Przysięgałem mu...

Zamilkł i czekał na odpowiedź. Nie nastąpiła.

Czy słusznie zrobił, wyjawiając wątpliwości, gdy usłyszał prorocstwo, tak jasne, że nic bardziej prosto nie mogło wyznaczyć jego drogi?

Podniósł się z klęczek i sięgnął po świecę, która wypaliła się już do połowy długości. To najlepiej wskazywało, jak wiele czasu spędził w krypcie, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Kolano, na którym klęczał, zdrętwiało i każdy krok sprawiał mu ból.

Rozejrzał się, czując lęk, jakiego nie zaznał, schodząc do podziemi. Położył palce na szyi, wyczuł szybki puls. Chciał wyjść stąd jak najprędzej, ale zdrętwiała noga uniemożliwiała szybki ruch.

Kulejąc, podszedł do schodów, aby wspiąć się na górę.

35

6. JohannE.

- Johann! Zostań! - Pijany Rudolf złapał za rękę kompana, który podniósł się z ławy w niewielkim ogródku piwnym nad brzegiem Jeziora Bodeńskiego. - Dzieci płaczą? Żona czeka?

Strząsnął jego rękę.

- Sam byś o dzieciach pomyślał! Idę i już!

Miał już dość pijaków, z którymi siedział od kilku godzin nad glinianymi kuflami. Odebrali pensje w zakładach stolarskich i wyciągnęli go na popijawę. Nie lubił ścisku przy stoliku, klepania się po plecach i bujania w rytm akordeonu, na którym grał niewidomy starzec siedzący na podwyższeniu pod namiotem.

Był samotnikiem, co raziło jego kolegów, którzy zmówili się, że przywrócą go społeczeństwu, i zaczęli od tego, że zawlekli go do burdelu, ale zdołał im uciec. Ciekawe, co wymyślą tego wieczoru, gdy już będą całkowicie pijani. Dlatego wołał zawczasu uciec do niewielkiego mieszkania, które wynajmował w starej czynszowej kamienicy na czwartym piętrze.

Zeskoczył ze stopnia autobusu, gdy ten zwolnił na zakręcie, i skierował się do bramy domu, w którym mieszkał. Było ciemno. Pomyślał, że dozorca zapomniał włączyć światło, więc po omacku wyszukał włącznik i przekręcił porcelitowy kurek. Światło nie rozbłysło, chyba przepaliła się żarówka. Dozorcówka była kilka kroków dalej. Ruszył pewniej w tamtą stronę, gdyż jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, ledwo rozpraszaną przez światło odległych latarni ulicznych. Zastukał do drzwi, ale nikt nie odpowiedział, co zdziwiło go, gdyż wiedział, że o tej porze dozorca zawsze jest w swoim mieszkaniu. Uderzył mocniej, nasłuchując odgłosów z wnętrza. Cisza. Odwrócił się, postanawiając przynieść żarówkę ze swojego mieszkania i następnego dnia zgłosić się po jej zwrot do dozorca, gdy zobaczył dwóch potężnych mężczyzn stojących za jego plecami. Nie słyszał, jak podeszli! To niemożliwe, żeby nie usłyszał ich kroków na kamieniach. Nagle zrozumiał, że musieli stać ukryci w ciemnościach!

- Co panowie... - zaczął nieśmiało.

- Krzyknij, a zabiję! -jeden przyłożył palec do ust. Dostrzegł błysk światła na klindze noża sprężynowego, otwieranego z charakterystycznym szczękiem. Napastnik szybko przy-

łożył mu ostrze do szyi i nacisnął lekko, tak że mógł poczuć, jak ostra jest klinga.

- Ja nie mam pieniędzy. - Z pewnością napadli go, bo wiedzieli, że odebrał pensję. Nie miał żadnych szans, aby uciec dwóm osiłkom, którzy przyparli go do ściany.

Ten z nożem położył mu rękę na ustach i docisnął mocno.

Przed bramą zajaśniały światła samochodu.

Drugi wykręcił mu ręce do tyłu i założył kajdanki. Pchnęli go w stronę wyjścia tak mocno, że się przewrócił, a mając ręce skute za plecami, upadł na twarz, uderzając się boleśnie o kamienie.

- Uważaj, bo go uszkodzisz - syknął drugi napastnik.

Podnieśli go szybko i powlekli do samochodu. Z bliska dostrzegł, że była to niska dostawcza furgonetka, z długimi drzwiami z boku. Otworzyli je i wcisnęli go do środka, tym razem uważając, żeby nie uderzył się o framugę. Po chwili wewnątrz zapadła całkowita ciemność. Słyszał tylko, że uruchamiają silnik, i samochód szybko ruszył z miejsca.

7. Przyjęcie w Carinhallu

Zakręt kończył się i łagodnie przechodził w prosty odcinek. Zbyt krótki, aby dało się wyprzedzić złośliwego kierowcę opla, który przez ostatnie kilka kilometrów nie pozwalał na to, zajeżdżając drogę na każdym odcinku, na którym manewr wyprzedzania wydawał się bezpieczny. Najwyraźniej widząc w lusterku wstecznym sportową maskę bugatti, postanowił pokazać, że jego samochód stać na więcej.

Michał nacisnął pedał gazu, oceniając, że mimo krótkiej prostej uda mu się pozbyć natręta.

Ośmiocyndrowy silnik jego samochodu odpowiedział natychmiast. Moc dwustu sześćdziesięciu koni w sekundach rozpędziła dwuosobowy samochód do prędkości, przy której minął opla, nawet nie zadając sobie trudu, aby zerknąć na złośliwego kierowcę.

Przyhamował lekko przed zakrętem, a potem znowu przycisnął akcelerator, chcąc usłyszeć piękny dźwięk silnika sportowego auta. Kupił

37

je dwa tygodnie wcześniej za dość dużą kwotę trzydziestu tysięcy dolarów, tylko po to, aby podkreślić swoją pozycję towarzyską. Za każdym razem, gdy siadał za kierownicą smukłego ciemnozielonego samochodu, przekonywał się, że wydatek spełniał swoje zadanie, gdyż auto będące dziełem sztuki motoryzacyjnej, o zachwycających kształtach i proporcjach, zwracało powszechną uwagę. Ciemniejsze błotniki, biegnące jak fale od zderzaka przedniego do tylnego, podkreślały niezwykłą długość maski kryjącej ośmiocyndrowy silnik, a szeroka opaska osłony chłodnicy zdawała się powstrzymywać potężny motor, żeby nie oderwał się od kół.

Za kolejnym zakrętem dostrzegł w oddali sznur samochodów, które mijają wielką bramę z kutego żelaza. Zmniejszył prędkość i powoli przejechał między żołnierzami Luftwaffe stojącymi po obu stronach drogi i pozdrawiającymi gości przybywających do leśnej posiadłości generała lotnictwa Hermanna Göringa.

Wielkie przyjęcie wyznaczone na dwudziestego lipca 1938 roku miało uświetnić rocznicę rozbudowy pałacu nazwanego Carinhal-lem na cześć Carin, zmarłej żony Göringa.

Brukowana aleja prowadziła wśród pięknych starych drzew na parking, położony na tyłach myśliwskiego pałacu.

Michał, w jasnym garniturze w drobne prążki, w białej koszuli, na której ledwo odznaczał się błękitny walor, i ciemniejszym krawacie w tej samej tonacji, zatrzasnął drzwi i stanął niezdecydowany. Po raz pierwszy zaproszono go do posiadłości Göringów i nie wiedział, jak

się tu poruszać, ani nie znał tutejszych zwyczajów. Zaproszenie było efektem działania baronowej von Netz, szukającej każdej okazji do spotkania kochanka.

Ludzie wysiadający z samochodów rzucali zaciekawione spojrzenia, tym bardziej zaintrygowani, że samochód Michała nie miał reflektorów, co skłaniało ich do podejrzeń, że zostały przemyślnie ukryte.

Gruby pułkownik w galowym mundurze Luftwaffe zatrzymał się przy nim.

- Pan wybaczy, ośmielam się zaczepić pana, gdyż zaciekało mnie, czemu jeździ pan bez reflektorów?

Michał uśmiechnął się.

- Przez szacunek dla historii.

38

- Nie rozumiem. - Pułkownik pochylił głowę, bacznie przyglądając się błotnikom, jakby poszukiwał tam schowka na reflektory.

- Ten samochód Ettore Bugatti zbudował w 1932 roku dla Armanda Esdersa, francuskiego przemysłowca, który nigdy nie jeździł po zmroku. Reflektory nie były potrzebne. Nie mogę więc zmienić zamysłu konstruktora.

- Piękny! - Pułkownik stał z przechyloną głową. - Musi być szybki.

- Dwieście sześćdziesiąt koni - wyjaśnił Michał, nawet nie siląc się na zachowanie pozorów skromności.

Pułkownik gwizdnął cicho, wyrażając swój podziw i dla urody, i dla mocy samochodu.

Michał był zadowolony z tej rozmowy. Liczył, że pułkownik, który wyglądał na stałego bywalca rautów u Góringa, zaprowadzi go we właściwe miejsce.

Ruszyli powoli aleją opadającą w stronę dwóch jezior, między którymi, na malowniczym przesmyku wśród starych drzew, stał pałac myśliwski.

Baron von Netz dostrzegł Sosnowitza, gdy wchodził na wielkie podwórze, z trzech stron otoczone białymi budynkami przykrytymi spadzistą strzechą.

- O, jest i dzielny pogromca bolszewików - mruknął do stojącego obok Wolframa Sieversa.

- O kim mówisz? - Sievers rozejrzał się. Na przyjęcie przybył w jasnym garniturze, niechętnie rozstając się z czarnym mundurem esesmana.

- O kochanku mojej żony. - Von Netz podniósł kieliszek szampana, wskazując na Sosnowitza. - Ten wysoki, obok pułkownika Radenberga.

Sievers podążył za jego gestem.

- Kerstin już go dostrzegła. Zapewne od rana czekała na to spotkanie. - Zwrócił głowę w stronę żony stojącej kilkanaście metrów z boku w gronie kilku kobiet.

Rzeczywiście, od chwili, gdy tylko przyjechała do pałacu, wypatrywała Sosnowitza, a widząc go, podniosła rękę. Pożegnała przyjaciółki i maskując nadmierną ochotę jak najszybszego przywitania

39

się z kochankiem, powoli, rozmawiając zdawkowo z napotkanymi znajomymi, zmierzała w jego stronę.

Sievers patrzył z zainteresowaniem na piękną kobietę, która w jasnobeżowym kostiumie, w niewielkim toczku na ciasno upiętych czarnych włosach wyraźnie odbijała od otoczenia niezbyt urodziwych żon niemieckich oficjeli.

- Tak łatwo się godzisz, że żona cię zdradza? - Odwrócił się do Netza. - Nie zabijesz go?

- Mój drogi - Netz odstawił kieliszek na tacę trzymaną przez kelnera, który wyłonił się z tłumu, i sięgnął po następny - cóż by to zmieniło? Znalazłaby sobie następnego. Impotencja uczy pokory. I nadziei. Czekam bowiem, kiedy znajdziecie lekarstwo na tę przykrą przypadłość mężczyzn po sześćdziesiątce.

Najwyraźniej wywołał temat interesujący szczególnie Sievera, gdyż ten przestał wodzić wzrokiem za baronową i spojrzał na barona.

- To tylko sprawa braku materiału badawczego - powiedział. Netz patrzył na niego z zainteresowaniem.
 - Niemieccy naukowcy mają wiele śmiałych koncepcji, a w ostatnich latach dokonali odkryć na miarę naszych czasów! Również w tej dziedzinie.
 - To czemu mój lekarz, sława niemieckiej medycyny, każe mi brać kąpiele i przepisuje proszek z żeń-szenia, jak przed wiekami?
 - Nasi naukowcy sprawdzają swoje koncepcje na szczurach, królikach, myszach, małpach i psach. A wyniki są równie odległe od prawdy, jak królik od człowieka. Dopiero gdy zyskamy możliwość obserwowania efektów działania nowych lekarstw na organizmie ludzkim, postęp będzie nieprawdopodobnie szybki!
 - W ten sposób będziemy narażać ludzi, poddawanych takim eksperymentom, na okropne cierpienia, może nawet śmierć - zauważył baron.
 - Ludzi? - Sievers był wyraźnie zdziwiony. - A kto mówi o ludziach?! Żydzi, Cyganie i cała słowiańska hołota! To chwasty, które musimy wyplenić. Dlaczego przed śmiercią nie mają się przydać nam?! Ludzkości! Oddać swoją nędzną i szkodliwą egzystencję nauce!
- Oczy Sieversa rozbłysły. Mówił coraz głośniej, zwracając uwagę stojących obok. Von Netz uznał, że należy jak najszybciej zakończyć

40

temat, który wywołał takie emocje rozmówcy, i rozejrzał się ostentacyjnie w poszukiwaniu żony, która zniknęła gdzieś w tłumie.

Sievers zreflektował się. Pochylił się nad dużo niższym baronem i niemalże przytykając usta do jego ucha, powiedział cicho:

- Przełom już jest blisko, uwierz mi. Badania w Dachau, gdzie nareszcie mamy dużo materiału, doprowadzą do rewolucji w medycynie! I nie tylko.
- Netz odsunął się o pół kroku, zdecydowany za wszelką cenę zakończyć tę rozmowę.
- Kim jest ten mężczyzna obok twojego męża? - zapytał Sosnowitz, muskając ustami dłoń Kerstin.

Spojrzała w tamtą stronę.

- Nazywa się Sievers, straszny nudziarz, ale podobno bardzo ważny w SS.
 - Słyszałem, że zamierzają sformować oddziały konne. Może to być dobry interes dla mnie. Poznasz mnie z nim?
 - Pod warunkiem że dzisiaj wieczorem znajdziesz dla mnie czas.
- Oparła dłoń na jego ramieniu. Wiedziała, że ich romans nie jest dla nikogo tajemnicą, nie miała więc zamiaru udawać, że spotyka Michała po raz pierwszy.
- Dzisiaj?
 - Ten stary dureń, mój mąż, zaraz się upije i szofer zabierze go do domu, gdzie położy się na kanapie i będzie chrapał. Umowa zawarta?
 - Tak.
 - To chodź do Sieversa.

W drzwiach głównego budynku stanął Göring w białym mundurze bez odznak. Zrobił parę kroków i zatrzymał się pośrodku tarasu między dwoma imponującymi brązowymi posągami jeleni. Tuż za nim szła jego żona, Emma, była aktorka Pruskiego Teatru Państwowego, z którą ożenił się w 1935 roku, tuż po śmierci pierwszej żony Carin.

Odczekał, aż wszyscy goście zebrani na wielkim trawniku przed pałacem zwrócą się w jego stronę, i podniósł dłoń.

- Witam was, moi drodzy, w rocznicę przebudowy mojej leśnej rezydencji. Nazwałem ją Carinhallen ku pamięci mojej biednej

41

Carin, która opuściła mnie już tak dawno. Carinhall stanie się miejscem ważnym dla niemieckiej kultury. Zamierzam bowiem w tych budynkach, do których zwiedzenia was zapraszam, urządzić muzeum sztuki. Bawmy się więc i myślmymy o przyszłości.

Kamerdyner, który za drzwiami czekał na znak, pojawił się na tarasie, podsuwając Góringowi i jego żonie tacę z kieliszkami szampana.

Tłum ruszył w stronę wejścia do jednopiętrowego domu, otynkowanego na biało, z kamiennymi przyporami, zwieńczonego wysokim dachem krytym trzcina.

- Mój drogi Wolframie - Kerstin zatrzymała przechodzącego obok Sieversa - pragnę ci przedstawić najślynniejszego jeźdźca, być może znanego ci z wielkich wygranych w najważniejszych zawodach hippicznych Rzeszy.

Sievers wyciągnął rękę, patrząc z zainteresowaniem na Sosno-witza.

- Nie widziałem pana na torze wyścigowym, ale słyszałem o pana koniach wygrywających w Karlshorst.

- Pamiętaj, co mi obiecałeś na dzisiejszy wieczór - szepnęła Kerstin i dodała głośno: - Zostawiam panów, widzę, że Emma macha do mnie.

Podniosła dłoń, dając znać Emmie Góring, że dostrzegła jej zapraszający gest, i odeszła szybko.

Obydwojczy patrzyli na nią przez chwilę, znajdując przyjemność w obserwowaniu jej ruchów i sposobu, w jaki szła, zwracając uwagę nadzwyczajną urodą i zgrabnymi nogami.

- Wie pan - odezwał się Sievers - pasjonuje mnie dziedziczne przekazywanie cech.

Poświęcam temu wiele czasu. A myślę, że to zagadnienie bliskie hodowcy koni szlachetnej krwi.

- To rzeczywiście nadzwyczaj ciekawe. Czy pan wie, że wszystkie konie szlachetnej krwi pochodzą od nielicznego stada?

- Czyżby? - Sievers wydawał się bardzo zainteresowany słowami Michała.

- W ósmym wieku do Europy przywieziono kilkadziesiąt koni, zdaje się, że dwadzieścia osiem, z Bliskiego Wschodu. Wśród nich było dziesięć, od których pochodzą najwspanialsze konie biegające dzisiaj na najślawniejszych torach europejskich.

42

- Niewiarygodne!

- Jeszcze bardziej pasjonujący jest los jednego z ich potomków, konia Eclipse, który w osiemnastym wieku wygrywał wszystkie wyścigi. Z tego powodu wycofano go z toru.

- A to czemu?

- Wyścig z udziałem Eclipse'a nie miał sensu, gdyż było wiadomo, że ten koń wygra.

- Przyroda jest jednością, a więc przenosząc ten mechanizm na ludzi, można założyć, że gdyby udało się stworzyć idealnego człowieka, to, powiedzmy, za tysiąc lat powstałaby idealna społeczność!

- Można tak przyjąć, ale dotychczas udało się to tylko Bogu, a i tak ideał z biegiem lat się zdegenerował.

- Gdyż Bóg pozostawił to własnemu losowi, zamiast doglądać rozwój prototypu!

- Jest pan naukowcem? - Michał starał się nadać swojemu zdziwieniu wyraz sympatii. Nie chciał kontynuować rozmowy o doskonaleniu człowieka przez esesmanów, obawiał się, że wzbudzi to podejrzenia rozmówcy.

- W pewnym sensie. - Sievers nie wykazał odrobiny zakłopotania. - Interesuję się wieloma dziedzinami i w wielu prowadzę badania naukowe: w historii, archeologii, medycynie, a nawet w okultyzmie! Łączę je!

- To jest możliwe?

- Tak, a nawet konieczne. Nadchodzą czasy, w których trzeba będzie odrzucić skostniałe podziały.

- O czym pan myśli?

- Jestem sekretarzem generalnym Towarzystwa Dziedzictwa Niemieckiego. Ono w przyszłości stanie się akademią nowej nauki.
- Przepraszam, że tak wypytyuję, ale wciąż nie rozumiem, na czym polega łączenie tak odległych dziedzin jak medycyna i historia.
- Chętnie opowiem panu przy sposobnej okazji. - Sievers rozglądał się niecierpliwie wokół, nie chcąc tracić więcej czasu na rozmowę. Wyjął z kieszonki marynarki wizytówkę i podał Sosno-witzowi, który zrewanżował się swoją.
- Wobec tego, do szybkiego spotkania - Sievers wyciągnął dłoń.

43

8. Blok „E”

Blok „E” różnił się od innych budynków obozu koncentracyjnego w Dachau. O ile jego architektura nie odbiegała od niskich pawilonów pokrytych dwuspadowymi dachami, o tyle miejsce, w którym stał, wskazywało, że jest tam coś szczególnego, otoczonego wielką tajemnicą.

Już przed wejściem na teren wyodrębniony z reszty obozu drutami kolczastymi, na ścianie niewielkiej drewnianej wartowni, umieszczono białą tablicę z trupią czaszką zakazującą zbliżania się do ogrodzenia i informującą, że strażę otworzą ogień bez uprzedzenia do tych, którzy zakaz naruszają. Pod daszkiem ganku zawsze stał esesman starannie sprawdzający specjalne przepustki tych, którzy zamierzali przejść przez bramę. Innej drogi nie było, gdyż plac ogrodzony był podwójnym rzędem drutów kolczastych rozciągniętych na izolatorach, co jednoznacznie wskazywało, że płynie tam prąd po napięciu wielu tysięcy woltów. W nocy włączano lampy przytwierdzone do betonowych słupów ogrodzenia, tak że plac był jasno oświetlony, a dodatkowo wartownicy na wieżach w rogach placu kierowali snopy światła reflektorów na dach i ściany budynku.

Długi korytarz dzielił barak na połowy. Po każdej stronie było pięć cel, które łatwo dało się poznać po masywnych sztabach, judaszach i wielkich zamkach z zasuwami. Kilkoro drzwi prowadziło do pomieszczeń o nieoznaczonym przeznaczeniu, w wyjątkiem jednych, tuż przy wejściu, na których wisiała tablica „Straż. Wchodzący mają obowiązek się meldować”.

W celach panował półmrok. Niewielkie zakratowane okna od zewnątrz osłaniały drewniane okiennice, przylegające do dolnej framugi i odchylone u góry, aby więźniowie nie mogli porozumiewać się z kimś stojącym pod barakiem. Nigdy też nie spotykali się na korytarzu, gdyż zawsze wyprowadzano ich oddzielnie.

W celi numer 4 zapaliła się lampa na suficie, umieszczona za kloszem z grubego szkła i dodatkowo osłonięta drucianą siatką, rzucając jaskrawe światło.

Więzień siedzący na stołku, bokiem do drzwi, podniósł głowę zaniepokojony. Wiedział, że działo się tak, gdy do celi wchodzili

44

8. Blok „E”

Blok „E” różnił się od innych budynków obozu koncentracyjnego w Dachau. O ile jego architektura nie odbiegała od niskich pawilonów pokrytych dwuspadowymi dachami, o tyle miejsce, w którym stał, wskazywało, że jest tam coś szczególnego, otoczonego wielką tajemnicą.

Już przed wejściem na teren wyodrębniony z reszty obozu drutami kolczastymi, na ścianie niewielkiej drewnianej wartowni, umieszczono białą tablicę z trupią czaszką zakazującą zbliżania się do ogrodzenia i informującą, że strażę otworzą ogień bez uprzedzenia do tych, którzy zakaz naruszają. Pod daszkiem ganku zawsze stał esesman starannie sprawdzający

specjalne przepustki tych, którzy zamierzali przejść przez bramę. Innej drogi nie było, gdyż plac ogrodzony był podwójnym rzędem drutów kolczastych rozciągniętych na izolatorach, co jednoznacznie wskazywało, że płynie tam prąd po napięciu wielu tysięcy voltów. W nocy włączano lampy przytwierdzone do betonowych słupów ogrodzenia, tak że plac był jasno oświetlony, a dodatkowo wartownicy na wieżach w rogach placu kierowali snopy światła reflektorów na dach i ściany budynku.

Długi korytarz dzielił barak na połowy. Po każdej stronie było pięć cel, które łatwo dało się poznać po masywnych sztabach, judaszach i wielkich zamkach z zasuwami. Kilkoro drzwi prowadziło do pomieszczeń o nieoznaczonym przeznaczeniu, w wyjątkiem jednych, tuż przy wejściu, na których wisiała tablica „Straż. Wchodzący mają obowiązek się meldować”.

W celach panował półmrok. Niewielkie zakratowane okna od zewnątrz osłaniały drewniane okiennice, przylegające do dolnej framugi i odchylone u góry, aby więźniowie nie mogli porozumiewać się z kimś stojącym pod barakiem. Nigdy też nie spotykali się na korytarzu, gdyż zawsze wyprowadzano ich oddzielnie.

W celi numer 4 zapaliła się lampa na suficie, umieszczona za kloszem z grubego szkła i dodatkowo osłonięta drucianą siatką, rzucając jaskrawe światło.

Więzień siedzący na stołku, bokiem do drzwi, podniósł głowę zaniepokojony. Wiedział, że działo się tak, gdy do celi wchodzili

44

strażnicy, aby dokonać rewizji, lub obserwował go ktoś z zewnątrz.

Klapka w otworze judasza podniosła się i w ciemnej plamie pojawił się błysk światła odbitego od szkła okularów.

Więzień spojrzał na judasz. Wydało mu się, że dostrzegł złotą ramkę okularów, jakich nie miał nikt z ludzi, których widywał w baraku. Czyżby działo się coś nadzwyczajnego?

Szybko uznał, że to tylko rutynowy sprawdzian, i uspokojony wrócił do poprzedniej pozycji. Ułożył ręce na kolanach i opuścił głowę, jak człowiek, który ma przed sobą długie oczekiwanie, pozbawione nadziei, że przyszłość przyniesie poprawę losu.

Nie pamiętał, dlaczego znalazł się w celi ani jak długo trzymano go w zamknięciu. Zawsze gdy usiłował odtworzyć obrazy z przeszłości, pojawiała się nicość, a próby przywołania wspomnień były bardzo męczące. Przypominały chęć odtworzenia snu, który pozostawił niejasne obrazy, niedające się połączyć w całość.

Często przyglądał się swoim dłoniom, twardym, z odciskami między kciukiem i palcem wskazującym, zgrubiałymi torebkami pod zgięciami palców. To mówiło mu, że żył z pracy fizycznej. Ale co robił, zanim zamknięto go w celi z zaciemnionym oknem? Nie pamiętał.

Wyławiał z przeszłości ostrzeżenie wypowiediane histerycznym głosem przez kobietę. Kim była? Matką? Żoną, narzeczoną?

Znowu spojrzał w okno. Musiał być letni słoneczny dzień, gdyż dobiegała go stamtąd fala gorąca.

Błysk szkła w otworze judasza zgasł, co znowu skłoniło go do baczniejszego spojrzenia na drzwi. Napiął mięśnie gotów zerwać się ze stołka i uciec do rogu celi. Uważał, że należy tak zrobić, ale nie potrafił wytłumaczyć sobie, dlaczego.

Ktoś w okularach, obserwujący go od kilku minut, odsunął chyba głowę od szczeliny.

Bezszelestnie opadła metalowa klapka.

Oczekiwał szczęki zasuwu i dźwięku obrotu klucza w zamku, co zawsze napawało go niebywałym lękiem. Tym razem to nie nastąpiło.

Wydawało mu się, że słyszy stłumione kroki kilku mężczyzn. Uznał, że to nie strażnicy. Ci chodzili w ciężkich butach podkutych

45

gwoździami, których odgłos dobrze było słyszeć na cementowej podłodze baraku. Nie byli to lekarze, których kroki w cywilnych półbutach były prawie niesłyszalne. To szli ludzie w oficerkach. Oddalali się i po chwili zapanowała całkowita cisza.

Odnosił wrażenie, że od kilku miesięcy był jedynym więźniem w baraku, choć gdy wyprowadzano go na spacer, widział drzwi do innych cel. Kiedyś dobiegały stamtąd odgłosy. Nawet w nocy. Krzyk. Długi, przeciągły, jak zawodzenie o litość. Kiedy to było? Od pewnego czasu już nie słyszał hałasów. Zmienił się również stosunek strażników do niego. Stali się łagodniejsi. Już nie szturchali go ani nie bili kawałkiem gumowego węża, gdy spóźniał się ze wstawaniem z pryczy, składanej do ściany i zamykanej na dzień. Jedzenie też było smaczniejsze.

Może tamtych, w innych celach, też traktowano łagodniej?

Podszedł do drzwi i przyłożył ucho do metalowej sztaby zespalającej deski. Dawno już odkrył, że drzwi zostały wyciszone jakimś materiałem umieszczonym między deskami, ale metal dobrze przewodził dźwięk.

Ktoś krzyknął „Reichsfuhrer”. Dobrze słyszał? Czyżby sam Heinrich Himmler, dowódca SS, przyjechał, aby się mu przyjrzeć? Pamiętał jego zdjęcia z kronik filmowych i gazet.

Dlaczego zapamiętał akurat jego wizerunek?

Odsunął się szybko od drzwi i wrócił na stołek pośrodku celi. Nie chciał zadawać sobie kolejnych pytań, na które nieznał odpowiedzi było tak męczące. Wolał patrzeć na drewno okiennicy. Odczuwał wtedy ulgę.

Heinrich Himmler, wychodząc z mrocznego korytarza bloku „E”, przysłonił dłonią oczy, aby chronić je przed światłem letniego dnia. Okulary podbite nieostrożnym ruchem przekrzywiły się. Stojący tuż obok standartenfuhrer SS Wolfram Sievers wyciągnął dłoń, gotów schwytać spadające szkła, ale okazało się to niepotrzebne.

Himmler szybko poprawił pince-nez w oprawkach ze złota i rozejrzał się wokół, jakby zdziwiony, że jeszcze nie ma samochodu. Nie mówił nic. Nie komentował tego, co widział, ani nie interesował się przebiegiem eksperymentu, jakby pozostawiając to fachowcom.

46

Stał w grupie pięciu mężczyzn w czarnych mundurach, którzy towarzyszyli jemu i Walterowi Schellenbergowi. Cofnęli się o dwa kroki, aby zachować dystans podkreślający ich szacunek dla gościa.

Wreszcie Himmler, który najwyraźniej czuł się niezręcznie, postanowił przerwać milczenie.

- Kiedy będzie gotowy? - zapytał, zwracając się do Wolframa Sieversa.

- Już jest gotowy - odpowiedział sekretarz Ahnenerbe, wysuwając się do przodu. -

Eksperyment zakłada, że musi osiągnąć najlepszą formę w oznaczonym okresie - wyjaśnił Sievers. - Jak sportowiec wychodzący na stadion w ważnych zawodach.

Himmler patrzył na niego pytająco.

- Herr Reichsführer, chcielibyśmy wiedzieć, kiedy ma być w najlepszej formie - do rozmowy włączył się doktor Plötner. Od trzech miesięcy chodził w czarnym mundurze SS, co zdecydowanie go odmieniło. Stał się pewniejszy siebie i bardziej arogancki.

Przez twarz Himmlera przemknął grymas niezadowolenia. Nie zamierzał wyjawiać daty, która miała decydujące znaczenie w jego planie. Jeszcze było na to za wcześnie! Stanowczo za wcześnie!

- Jak długo tutaj siedzi? - zapytał.

- Osiemnaście miesięcy - odparł Sievers, uprzedzając Plötnera, który już otwierał usta.

- A po zwolnieniu... to jest... po wyjściu z obozu, będzie gotów do normalnego funkcjonowania? Na wolności!

Plötner uśmiechnął się.

- Jak dobrze naoliwiony mechanizm - potwierdził z pewnością w głosie, co zadowoliło Himmlera. - A czy możemy poznać charakter zadania?
- Nie! - Himmler odpowiedział tak twardo, że Plótner się skulił. - On ma funkcjonować jak normalny człowiek, z tą różnicą, że bezkrytycznie podejździe do wyznaczonego zadania! A nie jak pies myśliwski, który ma przynieść ustrzeloną kaczkę...

Zawiesił głos, oczekując potwierdzenia.

- Ależ oczywiście! - odezwał się Sievers i spojrział na Plótnera, który natychmiast pokiwał głową.

Przez bramę przejechał czarny mercedes, który ustawiono dalej, w cieniu drzew, chroniących wnętrze przed promieniami

47

sierpniowego słońca. Himmler odwrócił się, dając w ten sposób znać, że zakończył rozmowę. Pięciu mężczyzn w czarnych mundurach SS stojących przed drzwiami baraku podniosło ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, na co Himmler odpowiedział machnięciem dłoni i wsiadł do samochodu. Wychylił się przez okno i widząc, że Walter Schellenberg czeka na drugi samochód, wykonał w jego stronę zapraszający gest.

Szef wywiadu SS dał znać swojemu kierowcy, że jedzie z reichts-fuhrerem, i wsiadł do jego mercedesa.

Sievers stał jeszcze z wyciągniętą ręką, aż samochód Himmlera oddalił się długą brukowaną drogą obozową prowadzącą do bramy. Odwrócił się do Plótnera.

- Kiedy podaliście meskalinę?

Plótner odsunął mankiet i zerknął na zegarek.

- Szesnaście godzin temu, niestety... - przerwał, zastanawiając się, czy jest to odpowiedni moment na przekazanie szefowi niedobrych wiadomości.

- No... - Sievers spodziewał się, jaką informację może usłyszeć.

- Niestety, ten halucynogen zaczyna wywoływać niepożądane reakcje...

- A my nie wiemy, kiedy zostanie użyty - dokończył za niego Sievers, co Plótner potwierdził skinieniem głowy.

Bał się o wynik eksperymentu, który prowadził od 1935 roku, gdy stanął na czele Ahnenerbe, i w którym szczególną troską darzył projekt wyhodowania żołnierza doskonałego.

Posłusznego, bardzo wytrzymałego, silnego, odpornego na zmęczenie, ból i rany. Nie z jego winy cały wysiłek mógł zostać zmarnowany.

Plótner podszedł do Sieversa i niemalże dotykając ustami jego ucha szepnął:

- Czy może pan się dowiedzieć o charakter akcji, w jakiej zostanie użyty? To może mieć kluczowe znaczenie dla powodzenia przedsięwzięcia.

Sievers wzruszył ramionami.

- Pytałem - stwierdził, mając na myśli rozmowę z Himmlerem.

- Jak pan sądzi, na polu bitwy? - nie ustępował Plótner. - Mówi się o tym, że lada miesiąc ruszymy na Polskę.

48

- Nie sądzę. - Sievers ponownie wzruszył ramionami. - Tam ryzyko przypadkowej utraty unikatowego okazu byłoby za duże. Pozostaje nam tylko czekać. Co pan proponuje?

- Zostawimy go w spokoju przez trzy doby - odpowiedział Plótner po namyśle. - I będziemy obserwować jego reakcje. Powinien się wyciszać.

Himmler jechał w milczeniu, przypatrując się dwupiętrowym domom z czerwonymi dachami, jakie wystawiono wzdłuż głównej Alei SS. Był zadowolony, że obóz koncentracyjny w tej części wygląda jak spokojne bawarskie miasteczko.

To jest wzór, do którego powinniśmy zmierzać - pomyślał. -Pozwoli zachować w porządku psychikę obozowej załogi SS, która wykonuje tak niewdzięczne zadania. Niedobrze byłoby, gdyby nabywali cech szkodliwych dla społeczeństwa.

Schellenberg nie chciał zakłócać nastroju reichsführera i czekał, aż ten odezwie się pierwszy. Minęli wielką, obłożoną kamiennymi płytami bramę wjazdową, przy której stało na baczność kilkudziesięciu esesmanów straży obozowej pozdrawiających Himmlera.

- Eicke wykonał wielką pracę. Dobra niemiecka robota - powiedział z uznaniem Himmler, myśląc o byłym komendancie obozu Theodorze Eicke.

Odwrócił się do Schellenberga.

- Oni chcą wiedzieć, kiedy! - szepnął, jakby obawiał się, że słowa te usłyszy kierowca.

- Czy już nie nadszedł czas? - Schellenberg pochylił się w stronę Himmlera. Ten spojrział na niego zaskoczony. Nigdy nie rozmawiał z młodym esesmanem o swoich planach.

- O czym pan myśli? - zapytał.

- Sytuacja jest bardzo napięta. Czesi ogłosili mobilizację, Francja pobrzękuje szabelką, a Fiihrer nie może się cofnąć...

- Myśli pan, że dojdzie do konfliktu zbrojnego między nami a Francją?

- Nie, nie! - gwałtownie zaprzeczył Schellenberg.

- No, więc...

49

Schellenberg miał świadomość, że Himmler go prowokuje. Postanowił jednak nie ukrywać swoich poglądów.

- Dopóki Europie zagraża Stalin ze swoją wielką armią, Francja i Anglia będą popierać Hitlera. Potrzebują go i stłumią odruchy Czechów, którzy zapewne nie zamierzają samotnie z nami walczyć...

- No, więc... - powtórzył Himmler.

- Nasi generałowie nie są zadowoleni. Obawiają się, że Hitler prowadzi bardzo ryzykowną politykę, która może wywołać wojnę. W ich ocenie o kilka lat za wcześnie.

- Znam ich poglądy - mruknął Himmler. - Gotowi są bić się, ale od 1943 roku.

- Dlatego zamierzają wykorzystać czechosłowackie napięcie do zamachu stanu!

- O kim pan mówi?

Himmler w dalszym ciągu sprawdzał Schellenberga. Pytał o niezadowolonych, a nawet spiskujących wojskowych, chociaż dobrze znał ich nazwiska.

- Przede wszystkim o generale Ludwigu Becku. Himmler skinął głową.

- Bez poparcia Anglii nasi generałowie nie odważą się podnieść ręki, a Anglia ich nie poprze, gdyż ostatnie, czego by sobie życzyła, to osłabienie Niemiec w obliczu agresji Stalina. Niech pan ich obserwuje.

Po chwili, jakby po krótkim namyśle, dodał:

- Najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa operacji, której „bohatera” pan oglądał.

- Ciągłe nie wiem, jaką rolę ten mężczyzna ma odegrać w polityce...

Himmler nie odpowiedział. Odwrócił głowę do okna, zdając się obserwować drogę.

Myślał o Schellenbergu, zastanawiając się, na ile może mu zaufać. Powoli wprowadzał go do swojej polityki, bardziej czując, niż przewidując, że może odegrać w niej dużą rolę.

Ten dwudziestodwuletni prawnik wybijał się wśród młodych funkcjonariuszy tajnych służb przenikliwością umysłu i trafnością sądów. Poza tym, zdaniem Himmlera, miał niezwykłą umiejętność dostrzegania istoty najbardziej zagmatwanych spraw, co

50

w świecie szefa SS miało znaczenie szczególne. Himmler był intrygantem w każdym słowie i czynie. Nawet milczenie było częścią gry, jaką bezustannie prowadził. Budował układy, związki, pozornie oderwane od siebie, aby po wielu miesiącach utworzyły całość działającą na jego korzyść. W każdej rozmowie z Schellenbergiem przekonywał się, że ten młody

człowiek doskonale rozumie jego zamierzenia, bez względu na to, jak bardzo wpisane byłyby w sieć intryg, fałszywych śladów i mylących oświadczeń. Dlatego zdecydował się, że w odpowiednim czasie przekaze mu ważne stanowisko, na przykład szefa wywiadu i kontrwywiadu SS. Było jednak za wcześnie, aby zdradzać mu swój największy sekret, choć przyjmował, że musi do tego dojść. Potrzebował sprawnych, inteligentnych i bezwzględnych pomocników, a Schellenberg zdawał się spełniać wszystkie wymogi.

Mężczyzna siedzący w celi drgnął, słysząc, jak ktoś otwiera drzwi. Odwrócił głowę w tamtą stronę, żeby sprawdzić, kto wchodzi.

Barczysty esesman stał w wejściu i przyglądał mu się uważnie, jakby oceniając jego stan. Czy widział już tego strażnika? Chyba tak. Nawet wydawało mu się, że zna jego imię. Ernst? Ogarniało go dziwne uczucie. Jakby wracał z dalekiej i męczącej wycieczki. Stół pod oknem, prycza złożona i przypięta łańcuchem do ściany, stołek, na którym siedział, nabierały realnych kształtów. Nie potrafił sobie uzmysłwić, czym były dotychczas.

- Jest spokojny - usłyszał głos esesmana, który podszedł i stanął tuż za jego plecami.

Dlaczego nie powinienem się odwrócić? - mężczyzna zadał sobie pytanie. Powracająca pamięć podsuwała mu ostrzeżenie, żeby tego nie robić. Widocznie już raz stało się coś złego, bolesnego.

W drzwiach stanął mężczyzna, który na esesmański czarny mundur narzucił kitel. Ten widok też przywołał falę lęku.

Usiłował wstać, choć wiedział, że nie ma dokąd uciec. Jego nieznaczny ruch spowodował natychmiastową reakcję esesmana stojącego za jego plecami. Najwidoczniej był przygotowany i w tym samym momencie schwycił go za rękę i wykręcił do tyłu, zmuszając go do pochylecia się.

51

Chłodny dotyk waty ze spirytusem i ukłucie.

Czuł, jak mięśnie rozluźniają się.

- Można puścić - usłyszał głos mężczyzny w fartuchu. - Za godzinę weźmiemy go.

Te słowa w odchodzącej świadomości wywołały nową falę lęku. Kojarzyły się z porażającym bólem.

9. Monachijski trop

Dochodziła dziewiąta rano, gdy Michał minął ciężkie drzwi biblioteki monachijskiego Ludwig Maximilians Universitat i skierował się wprost do podwyższenia. Siedział na nim mężczyzna w granatowym fartuchu i, nie mając innego zajęcia, bacznie obserwował trójkę studentów przeglądających opasłe tomiska.

- Interesują mnie wyniki gonitw końskich, które odbywały się w tym roku w Monachium.

Nie jestem stąd, nie znam miejscowych gazet. Jaką by mi pan wskazał?

Bibliotekarz poprawił okulary o grubych szklach.

- Sportową. Bo specjalnych końskich sobie nie przypominam.

- Może być każda miejska gazeta, byleby miała dział sportowy. Bibliotekarz wskazał na krzesło przy długim stole.

- Z tego roku, 1938? - upewnił się i poszedł w stronę regału za jego plecami.

Michał kątem oka dostrzegł młodą kobietę w szarym kostiumie, która weszła do sali i stanęła przy regale obok. Zaczęła przeglądać wyłożone tam katalogi.

Bibliotekarz wrócił po chwili, niosąc dwa grube tomy gazet oprawione w brązowe okładki, związane z dwóch stron tasiemkami.

- Znalazłem „Przegląd Hippiiczny” - powiedział, kładąc je na blacie stołu. - Tam powinno wszystko być, ale przyniosłem też naszą gazetę miejską.

Kobieta przy regale chyba znalazła coś, co ją interesowało, gdyż odczekała chwilę, aż bibliotekarz wróci na swoje miejsce na katedrze, i podeszła do niego.

52

- Chyba nie śledzi mnie - pomyślał o niej Michał, ale postanowił obserwować jej zachowanie. Rozmawiała o czymś półgłosem z bibliotekarzem.

Zaczął od kolumny sportowej, notując nazwy koni i ich wyniki. Zapisał je starannie w notatniku, który położył obok. Dodał kilka uwag o koniach i dżokejach. To znakomicie maskowało prawdziwy cel jego pobytu w bibliotece i wertowania lokalnej prasy. Za dwa miesiące miała się odbyć wielka gonitwa i było całkowicie naturalne, że wystawiając swoje konie, zbierał informacje o rywalach.

Zapełnił dwie strony notatnika, zanim doszedł do wniosku, że to wystarczy.

Czas na właściwe poszukiwania - pomyślał, rozglądając się po pustej o tej porze bibliotece. Kobieta siedziała wystarczająco daleko od niego, żeby nie mogła zobaczyć, co ciekawi go w gazetach.

Otworzył okładkę „Wiadomości Monachijskich”. Niewielkie miał szansę na znalezienie interesującego go śladu. Wiedział tylko, że esesman wpadł pod ciężarówkę na jednej z monachijskich ulic w kwietniu lub maju 1938 roku. Jeżeli został zlikwidowany przez Służbę Bezpieczeństwa, to szansa na znalezienie informacji w kronice wypadków była niewielka. Sicherheitsdienst zadbało o zatarcie wszelkich śladów tej sprawy.

Nie mylił się. W rubryce wypadków z tych miesięcy nie znalazł żadnej wzmianki o potrąceniu mężczyzny w wieku, w jakim był prawdopodobnie esesman.

Policja mogła utajnić informację o wypadku lub zabronić publikowania jej - pomyślał - ale nie mogła zabronić rodzinie zamieszczenia nekrologu.

- Znalazł pan to, czego szukał? - bibliotekarz pojawił się przy jego stole.

- Jeszcze nie - Michał uniósł głowę. - Już wiem, jakie konie są najszybsze, ale jeszcze nie znam ich wyników.

- Dobrze - bibliotekarz pokiwał głową i odszedł szybko.

W półmroku panującym w bibliotecznej sali, rozpraszonym jedynie przez małe lampy na stołach, nikt nie mógł dostrzec, jakie strony przegląda. Czyżby bibliotekarz po to podszedł? Otworzył dział nekrologów, który w gazecie znajdował się na szóstej stronie.

53

„Rudiger Krauss. Tragicznie zmarły w wieku 38 lat” - odczytał nekrolog zamieszczony osiemnastego kwietnia. To mógł być esesman, którego szukał, ale w czarnej ramce nie było żadnej wzmianki

o jego przynależności do SS.

Przerzucił stronę i znalazł informację o tragicznej śmierci niejakiego Paula Halba, który miał czterdzieści lat. Potem kolejne trzy zawiadomienia o zgonach mężczyzn, których zawód nie został określony. Każdy z nich mógł być esesmanem, którego szukał.

Przerzucił jeszcze kartkę, przebiegł wzrokiem czarne ramki z krzyżami, gdy nagle uzmysłowił sobie, że w nekrologu Kraussa nie było krzyża.

„Wyprowadzenie zwłok nastąpi z domu żałobnego”. Nie z kościoła! To mógł być esesman!

Sprawdził, na jakim cmentarzu „złożono do grobu drogie zwłoki”, zamknął okładki gazet, wsunął notatki do kieszeni i wstał. Zdjął z oparcia krzesła marynarkę. Bibliotekarz uniósł głowę i spojrzał na niego badawczo. Michał podziękował mu skinieniem głowy i poszedł do wyjścia, starając się minąć jak najbliżej kobietę, która położyła przed sobą dwie encyklopedie. Zatrzymał się na moment. Miała ze dwadzieścia pięć lat

i mogła uchodzić za ładną. Nie było więc nic dziwnego w tym, że zaczyna ładną dziewczynę w bibliotece.

- Zastanawiałem się, czego pani szuka w tyłu encyklopediach - powiedział, pochylając się nad nią.

Podniosła głowę, ale nie spojrzała na niego. Wydawała się wyraźnie spłoszona. Nie odpowiadała, rozglądając się na boki, jakby szukała pomocy.

- Ciii! - dobiegło z katedry. Bibliotekarz doszedł do wniosku, że Michał mówi zbyt głośno, jak na obyczaj w tej bibliotece, i syczał ze swojego wysokiego miejsca, przykładając palec do ust.

- Może mógłbym pani w czymś pomóc? - Michał przybrał ton uroczego podrywacza.

- Nie, nie! - Dziewczyna stawiała się coraz bardziej nerwowa. -Dziękuję!

- Ciii! - Bibliotekarz ponownie ich uciszył.

- No cóż, żałuję. - Michał ukłonił się. - Do widzenia pani. Jego manewr spełnił swoje zadanie. Dziewczyna, jeżeli go śledziła, to miała już pełną świadomość, że została zdemaskowana

54

„Riidiger Krauss. Tragicznie zmarły w wieku 38 lat" - odczytał nekrolog zamieszczony osiemnastego kwietnia. To mógł być esesman, którego szukał, ale w czarnej ramce nie było żadnej wzmianki o jego przynależności do SS.

Przerzucił stronę i znalazł informację o tragicznej śmierci niejakiego Paula Halba, który miał czterdzieści lat. Potem kolejne trzy zawiadomienia o zgonach mężczyzn, których zawód nie został określony. Każdy z nich mógł być esesmanem, którego szukał.

Przerzucił jeszcze kartkę, przebiegł wzrokiem czarne ramki z krzyżami, gdy nagle uzmysłowił sobie, że w nekrologu Kraussa nie było krzyża.

„Wyprowadzenie zwłok nastąpi z domu żałobnego". Nie z kościoła! To mógł być esesman! Sprawdził, na jakim cmentarzu „złożono do grobu drogie zwłoki", zamknął okładki gazet, wsunął notatki do kieszeni i wstał. Zdjął z oparcia krzesła marynarkę. Bibliotekarz uniósł głowę i spojrzał na niego badawczo. Michał podziękował mu skinieniem głowy i poszedł do wyjścia, starając się minąć jak najbliżej kobietę, która położyła przed sobą dwie encyklopedie. Zatrzymał się na moment. Miała ze dwadzieścia pięć lat i mogła uchodzić za ładną. Nie było więc nic dziwnego w tym, że zaczepia ładną dziewczynę w bibliotece.

- Zastanawiałem się, czego pani szuka w tyłu encyklopediach -powiedział, pochylając się nad nią.

Podniosła głowę, ale nie spojrzała na niego. Wydawała się wyraźnie spłoszona. Nie odpowiadała, rozglądając się na boki, jakby szukała pomocy.

- Ciii! - dobiegło z katedry. Bibliotekarz doszedł do wniosku, że Michał mówi zbyt głośno, jak na obyczaj w tej bibliotece, i syczał ze swojego wysokiego miejsca, przykładając palec do ust.

- Może mógłbym pani w czymś pomóc? - Michał przybrał ton uroczego podrywacza.

- Nie, nie! - Dziewczyna stawiała się coraz bardziej nerwowa. -Dziękuję!

- Ciii! - Bibliotekarz ponownie ich uciszył.

- No cóż, żałuję. - Michał ukłonił się. - Do widzenia pani. Jego manewr spełnił swoje zadanie. Dziewczyna, jeżeli go śledziła, to miała już pełną świadomość, że została zdemaskowana

54

i będzie musiała wezwać kogoś, kto podejmie jej zadanie. A to potrwa co najmniej kilkanaście minut.

Wyszedł na niewielki plac przed uniwersytetem. Tam zostawił samochód. Rozejrzał się szybko. Nie dostrzegł nikogo, kto mógłby go obserwować. Pomyślał, że dziewczyna na pewno podeszła do telefonu wiszącego na ścianie w korytarzu i zadzwoniła do miejscowej

placówki SD, aby wezwać posiłki. Za chwilę powinna stanąć w drzwiach, aby zobaczyć, dokąd odjeżdża.

Uśmiechnął się, widząc w lusterku wstecznym jej sylwetkę w drzwiach biblioteki.

Nacisnął gaz. Ruszył szybko, nie przejmując się tym, w którym kierunku jedzie. Chciał jak najszybciej opuścić plac przed biblioteką i skryć się w jednej z małych uliczek, aby ująć obserwacji. Dopiero gdy zaparkował pod rozłożystym platanem, wyjął mapę, aby odnaleźć drogę do Gauting, gdzie na miejscowym cmentarzu pochowano Riidigera Kraussa.

Kupił niedużą wiązaną w kwiaciarni obok cmentarza i podszedł do parterowego budynku z czerwonej cegły przy bramie, gdzie mieściła się administracja cmentarza komunalnego.

Urzędnik o smutnym wyrazie twarzy, który pasował jak ulał do wykonywanego przez siebie zajęcia, szybko przerzucił kilka kartek grubej książki w płóciennych, mocno wybrudzonych i zaplamionych atramentem okładkach, aż wreszcie rozłożył ręce.

- Nie, na naszym cmentarzu nie pochowano pana Riidigera Kraussa - powiedział. - Jest grób Amelii Krauss, ale ona zmarła w 1929 roku. Pana Kraussa nie ma! - oświadczył stanowczo i zamknął książkę.

- Proszę pana, to mój krewny, na którego pogrzebie nie byłem, bo dopiero co wróciłem do Niemiec. Muszę odnaleźć jego grób!

- Nie ma, nie ma! - powtarzał urzędnik, najwyraźniej rozżłoszczony nieustępliwością Michała. - Te książki nie kłamią! Nic nie poradzę!

Odwrócił się, aby zanieść dokumenty na półkę.

- A gdzie jest ten grób Amelii Krauss?

- Sektor III numer 41 - burknął urzędnik, nie odwracając się.

- A gdzie to jest?

- Niech pan idzie prosto główną aleją, to pan znajdzie - w dalszym ciągu mówił odwrócony plecami.

- Bardzo pan uprzejmy - powiedział z przekąsem Michał.

- Bo człowiek po bożemu powinien być chowany, w poświęconej ziemi, a nie jak pies pod płótem! - wybuchnął urzędnik. - To wbrew Bogu i może pan donieść swoim przełożonym, że tak powiedziałem!

- Nikomu nie doniosę, ja też nad tym boleję. - Michał stwierdził to stanowczo i spokojnie, co zaskoczyło urzędnika. Powoli odwrócił się i spojrzał badawczo.

- Co pan mówi?

- Rudiger był moim dalekim krewnym. Nie obchodzi mnie, że wstąpił do SS i że pochowali go według ich religii. Ale skoro zmarł, to na grób powinienem przyjść. Bo to po bożemu.

Urzędnik powoli podszedł do bariery oddzielającej go od Michała i oparł o nią ręce.

- Panie, ja ten pogrzeb pamiętam - zaczął mówić, jakby wstydząc się swojego wybuchu. -

Było to dwudziestego kwietnia tego roku. Skromny pogrzeb, cywilny. To mnie zdziwiło, że bez księdza. Państwowy. Ale potem przyszło dwóch, po cywilnemu. Kazali z tej książki, gdzie zapisałem dane, wydrzeć kartkę. Jeszcze raz przepisać, ale bez tego Rudigera. I kazali meldować, jakby kto o niego pytał...

Michał patrzył na niego zaskoczony. Nie sądził, że podjęto aż takie środki ostrożności.

- Ale kto tam pyta o grób? Pan pierwszy. Rodzina to wie gdzie znaleźć.

- Proszę pana, dawno mnie w Niemczech nie było. Straciłem kontakt z jego rodziną. Nie wie pan, gdzie mieszkają?

- Wiem, na Klosterstrasse, pod osiemnastym.

- Dziękuję panu.

Michał włożył kapelusz i obrócił się do wyjścia.

- Główną aleją prosto do końca i potem w prawo. Też do końca. Pod murem - usłyszał głos urzędnika.

Napis wyryty na niedużej płycie z piaskowca głosił, że spoczywa tu Rudiger Krauss urodzony w 1901 roku, zmarły w 1938 roku. Przy nazwisku było niewielkie owalne wgłębienie.

Wyraźny ślad po fotografii, którą ktoś wydłubał z kamienia.

Po rozmowie w administracji cmentarza nie spodziewał się, że odnajdzie więcej informacji.

Fascynowała go myśl, że znalazł niezwykle ważny ślad, choć nie wiedział, dokąd go zaprowadzi.

56

Dom na Klosterstrasse był typową czynszową kamienicą, gdzie bez trudu odnalazł nazwisko Krauss, choć nie wiedział, kogo zastanie w mieszkaniu.

Drzwi na trzecim piętrze otworzyła mu drobna kobieta w czerni. Szybko ocenił, że może być wdową po Riidigerze.

- Pani Krauss? - zapytał, uchylając kapelusza.

- Tak - odpowiedziała niepewnie.

- Ja w imieniu kolegów Riidigera. Jestem notariuszem. Czy mogę wejść?

Bez wątpienia informacja, że jest notariuszem, sprawiła, że kobieta nabrała zaufania i otworzyła szerzej drzwi, puszczając go do przedpokoju. Stąd przeszli do pokoju, w którym pośrodku stał okrągły stół z kilkoma krzesłami, kredens pod ścianą i tapczan naprzeciwko. Odsunęła jedno z krzesel, a sama oparła się o piec. Na ścianie widać było ślady po zdjętych obrazach.

Rzut oka pozwolił Michałowi zorientować się, że kobieta musi żyć w biedzie, a obrazy zdjęta, aby je sprzedać, choć zapewne nie przedstawiały wielkiej wartości.

- Przychodzę do pani na polecenie kolegów Riidigera z Da-chau - powiedział Michał, wyjmując portfel. - Wiedzą, że nie wolno im działać otwarcie, gdyż byłoby to sprzeczne ze stanowiskiem władz. Dlatego zdeponowali u mnie pewną sumę pieniędzy, aby wspomóc panią.

W oczach jej pojawiły się łzy. Zacisnęła usta i wyraźnie starała się stłumić płacz.

- Zastrzegli, że moja wizyta oraz ich wielkoduszność wobec zmarłego przyjaciela muszą pozostać tylko między nami. Pieniądze pani przekażę, gdy podpisze pani oświadczenie o dochowaniu tego faktu w tajemnicy.

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać tak gwałtownie, że ramiona unosiły się jej w spazmatycznych drgawkach.

Przez chwilę poczuł współczucie dla tej drobnej kobiety, która nie była winna zbrodniczego zajęcia jej męża.

Opanowała się szybko i starła dłonią łzy z policzków.

- Wszyscy odwrócili się ode mnie. Jestem napiętnowana! Dlaczego? Co on takiego zrobił?

Czasami to sobie myślę, że nie był to wypadek...

57

- Nie wiem tego. Jestem tylko wysłannikiem kolegów pani męża.

Michał starał się zachowywać jak notariusz. Podniósł teczkę z podłogi i wyjął kartkę, na której napisał pokwitowanie odbioru tysiąca marek i zobowiązanie zachowania tego spotkania w absolutnej tajemnicy. Podał pióro żonie Riidigera.

Odliczył pieniądze, gdy podpisywała dokument. Złożył go starannie i schował do teczki.

Odliczała banknoty powoli, dotykając każdego, jakby sprawdzała ich autentyczność.

Potrzebowała ich. Wreszcie nie wytrzymała. Zacisnęła zwitek banknotów i znowu wybuchła płaczem.

- Niech im pan powie, że będę się modliła do Boga, aby ich miał w swojej opiece. A zwłaszcza Ernsta.

- Ernsta? - zainteresował się Michał.

- Ernsta Baumillera, przecież to on wszystkich zorganizował! Niech pan nie zaprzecza!

- Szanowna pani, zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy. Nie mogę zdradzić moich zleceńodawców.

- Ja wiem, że to on!

- Będę z panią w kontakcie, niewykluczone, że koledzy zdecydują się ponownie panią wspomóc. SS to wielka rodzina!

Wstał i sięgnął po kapelusz, który położył obok siebie na stole.

- A dlaczego pani mówi, że nie był to wypadek? - zapytał jakby od niechcienia, zatrzymując się po drodze do drzwi.

- Bo wiedział za dużo! - wybuchła.

Ścisnęła mocno zwitek banknotów w dłoni. Bez wątplenia one sprawiły, że poczuła sympatię i zaufanie do człowieka, który dał jej tak dużą sumę - mogła za nią żyć spokojnie przez kilka miesięcy.

- Służył w Dachau - podsunął Michał.

- Tak! W najtajniejszym oddziale, gdzie tworzą człowieka!

- Jak można „tworzyć człowieka”?

- Ano mają paru takich, których kształtują, jakby byli posągami z gliny.

- Po co? - Michał udawał zdziwienie i bezinteresowną ciekawość.

- Rudi tego nie widział. Nazywał ich „bezwolnymi ludźmi”, takimi, co to mówi pan „idź”, a on idzie, „stój”, to stoi. Jak manekin. Raz tylko powiedział, że sam Himmler tym się interesuje.

58

- Ech, jakie to wszystko dziwne. - Michał uznał, że niczego więcej się od niej nie dowie, a poza tym nie chciał, aby kobieta nabrała podejrzeń, że ją wypytuje. - Do widzenia pani. Zbiegł szybko po schodach, zastanawiając się, jak odnaleźć Ernsta Baumillera.

10. Alarm

Dzwonek telefonu wyrwał Schellenberga ze snu tak gwałtownie, że zerwał się z łóżka i stanął na równe nogi, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, ani która może być godzina. Musiało upłynąć kilkanaście sekund, zanim świadomość rzeczywistości dotarła do niego.

Nacisnął włącznik nocnej lampki i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta w nocy, co oznaczało, że dźwięk telefonu wyrwał go ze snu godzinę po tym, jak po trzech nieprzespanych nocach położył się do łóżka z nadzieją, że wreszcie będzie mógł spokojnie wypocząć.

- Schellenberg - powiedział do mikrofonu, najwyraźniej z tak niekontrolowaną wściekłością w głosie, że w słuchawce zapadła cisza.

- No... -warknął.

- Naujocks, przepraszam - usłyszał.

- Naujocks, do cholery, czy musi pan dzwonić o północy!?

- Przepraszam, wracam właśnie z Monachium i mam dla pana ważną informację.

- Dobrze, proszę. - Schellenberg wyszukał papierosnicę na nocnej szafce i wyciągnął papierosa. Senność pryskała w błyskawicznym tempie, a jej miejsce zajmowała świadomość, że Naujocks ma z pewnością coś szczególnie ważnego do przekazania.

- Przepraszam, nie chciałem mówić o tym przez telefon.

- Dobrze, niech pan do mnie przyjedzie. Za ile pan będzie?

- Za pół godziny.

- Czekam - odłożył słuchawkę.

Siedział jeszcze przez chwilę na łóżku, zastanawiając się, czy nie wrócić pod kołdrę, ale uznał, że to niedobry pomysł.

Poszedł do łazienki, przemył twarz wodą i włożył bonżurkę. Niewiele później zabrzmiał dzwonek.

- Co się stało? - zapytał Schellenberg, widząc Naujocksa w drzwiach. Wskazał ręką na fotel widoczny przez drzwi w gabinecie.

- Wracam z Monachium i przywożę wiadomości, którymi muszę się natychmiast - wypowiedział to słowo ze szczególnym naciskiem i po chwili powtórzył - natychmiast z panem podzielić! Liczy się już każda godzina!

- Niech pan mówi. - Nastrój podniecenia udzielał się Schellenbergowi.

- Przekazał mi pan odpowiedzialność za ochronę tajemnicy operacji „Heinrich”, nieprawdaż... - zawiesił głos i wskazał na pudełko papierosów stojące na okrągłym stoliku. - Mogę?

Schellenberg podsunął Naujockowskiemu ciężką biurkową zapalniczkę.

- Uznałem, że może istnieć zagrożenie ze strony Sosnowitza. - Naujocks zaciągnął się dymem i pochylił, jakby chciał nadać specjalne znaczenie swoim słowom.

- Pojechał do Monachium. Kazałem go śledzić. Poszedł do uniwersyteckiej biblioteki, aby przeglądać miejscową prasę. Nasza wywiadowczyni ustaliła, że interesowały go wyniki gonitw końskich, co wydaje się naturalne.

Schellenberg ponownie skinął głową, potwierdzając ocenę Naujocksa.

- Tyle, że tuż potem bardzo sprytnie pozbył się naszej agentki. Zaczął z nią flirtować.

Dziewczyna była spalona i nie mogła pójść za Sosnowitzem, a ten zniknął.

- I dlatego budzi mnie pan w środku nocy? Schellenberg sięgnął po papierosa. Zdawał sobie sprawę, że nie

o to chodzi Naujockowskiemu, ale starał się przyspieszyć jego relację.

- Dwa dni później otrzymaliśmy meldunek, że Klara Krauss...

- Kto to?

- Wdowa po esesmanie z Dachau z obstawy bloku „E”. To on usiłował nawiązać kontakt z obcym wywiadem.

- No, co ta wdowa? - Schellenberg kiwnął głową na znak, że sobie przypomina.

- Spłaciła długi, jakie miała w pobliskim sklepie kolonialnym. A od śmierci męża u niej się nie przelewało.

- Skąd miała pieniądze?

- Zadałem sobie to pytanie i pojechałem do niej. Długo nie chciała mówić. Wreszcie, gdy zagroziłem, że ją zamknę, a dziecko pójdzie do sierocińca, przyznała, że zjawił się u niej notariusz, który przekazał jej tysiąc marek, jako datek od kolegów męża.

- Koledzy nie zbierali pieniędzy, a rysopis notariusza odpowiadał rysopisowi Sosnowitza - dokończył Schellenberg.

- Właśnie - przytaknął Naujocks. - Wie już o operacji „Heinrich"! Zakładam, że nie zdążył przekazać meldunku. Zdejmujemy go?

Schellenberg wstał. Nie potrafił skupić myśli ani przeanalizować nowej sytuacji. Wolałby w tym stanie nie podejmować decyzji, ale zwłoka mogła mieć fatalne następstwa.

- Gdzie jest Sosnowitz?

- Nie wiem, ale znajdziemy go. Aresztować? Schellenberg krążył po pokoju, nie będąc w stanie stwierdzić,

jakie rozwiązanie jest najkorzystniejsze.

- Nie - powiedział wreszcie. - Niewiele mógł się dowiedzieć od tej kobiety, a to, czego się dowiedział, już przekazał. Czy skontaktował się pan z Leą Niako?

- Tak jest. Czekam na okazję, żeby zaaranżować ich spotkanie. To musi potrwać.
- Niech pan to zrobi jak najszybciej. Musimy przystąpić do następnej fazy naszej operacji, czyli skompromitowania rewelacji Sosnowitza. I jego samego...

11. Tancerka z „Bilbao”

Lea zsunęła prześcieradło.

- Gorąco - westchnęła.

Michał podniósł głowę i przyglądał się jej nagiemu ciału z lubością i satysfakcją zwycięzcy, choć zdawał sobie sprawę, że było to łatwe zwycięstwo. Nie pamiętał już, kto w sobotni wieczór zaproponował udanie się do kabaretu „Bilbao”, co koledzy, którzy

61

zebrali się u doktora Thomasa Sincorena, ważnej osobistości w zarządzie zakładów Messerschmitta, aby uczcić jego piąty rozwód, uznali za wyśmienity pomysł, ze względu na zapowiadane występy nowej Maty Hari, jak nazywano Leę Niako. Perspektywa porzucenia dość nudnego przyjęcia uzyskała aprobatę wszystkich i kilkunastu rozochoconych mężczyzn wyruszyło dorożkami do kabaretu.

Rzeczywiście była zachwycająca w tańcu, w którym osłaniała ją jedynie opaska wokół bioder, i to niezbyt szeroka. Michał odniósł wrażenie, że zwróciła na niego uwagę, co nie było trudne, gdyż siedział przy stoliku tuż przy scenie. Rzuciła mu kilka przelotnych spojrzeń, co zostało natychmiast podchwyczone przez jego kolegów, nakazujących mu wykorzystanie tak mile rozpoczętego wieczoru.

Podjął wyzwanie tym chętniej, że Kerstin wyjechała do wód na dwa tygodnie i nie bardzo wiedział, co zrobić z samotnymi wieczorami. Z żalnym westchnieniem, że szlachectwo zobowiązuje, zamówił kosz kwiatów i podążył do garderoby, gdzie Lea szykowała się już do wyjścia z kabaretu.

- Czułam, że kwiaty są od pana - powiedziała, wyciągając dłoń i podnosząc ją tak wysoko, że musiał ucałować skrawek ciała między rękawem a rękawiczką. Z zadowoleniem dostrzegł, że ubrana wygląda równie ponętnie jak w scenicznym kostiumie.

W czasie kolacji we francuskiej restauracji dowiedział się, że jest Turczynką, co wydawało się aż nadto oczywiste, zważywszy na jej śniadą cerę, lekko skośne, wielkie oczy i pełne usta. Jak w klasycznym romansie bogatego lekkoducha i pięknej aktorki odwiózł ją do domu, gdzie zaprosiła go na lampkę szampana. I w ten sposób znaleźli się w łóżku.

- Podaż mi coś do picia? - przeciągnęła się.

Usiadł na łóżku i ściągnął z niej prześcieradło, aby obwiązać się w biodrach. Zawadził o ramkę z fotografią stojącą na nocnej szafce, która upadła z brzękiem pękającego szkła.

Michał podniósł ją.

- Pękło - powiedział zakłopotany.
- I tak miałam ją wyrzucić.

62

Zerknął na fotografię. Przedstawiała Leę w towarzystwie generała Wehrmachtu. Miał krótkie włosy, okrągłą twarz i bardzo rozbawioną minę. Być może był nieźle wstawiony. Dziwne, że pozwolił sobie zrobić zdjęcie w takim stanie.

- Kto to?

Uniosła się na łokciu i wyjęła mu z ręki fotografię.

- Miałeś mi podać coś do picia. W kuchni na kredensie. - Była wyraźnie niezadowolona, że przyglądał się zdjęciu generała. Odebrała mu je i położyła na szafce.

Poszedł, ciągnąc za sobą po podłodze ogon prześcieradła. Znał tego mężczyznę z fotografii, choć nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

Bloch! Tak, nie miał wątpliwości: generał Ludwig von Bloch! Pracował w Sztabie Generalnym Wehrmachtu, gdzie zajmował wysoką pozycję, choć Michał nie mógł sobie przypomnieć, jaką. Pamiętał, że spotkał generała na jakimś przyjęciu i zapewne zamienił z

nim kilka słów. Może wymienili się wizytówkami. Postanowił to sprawdzić po powrocie do domu.

- Nie przypuszczałem, że znasz tak wysokich oficerów ze sztabu Wehrmachtu - powiedział, wracając do łóżka.
- Może znam, może nie znam. - Lea zaczęła się przekomarzać.
- To skąd to zdjęcie?
- Przypadkowe, był na moim występie. Jest czarujący. I bardzo męski.
- Jest twoim kochankiem?
- Może jest, może nie jest. Przyjdiesz jutro na mój występ? -nagle zmieniła temat. Położył się obok niej.
- A poznasz mnie z generałem? Lubię takie znajomości
- Przyjdź jutro. Generał będzie, to was poznam. A ja lubię inne przyjemności. Odstawiła szklankę i przytuliła się do niego całym ciałem.

63

12. Zasadzka

Schellenberg wiedział, że telefon w sobotni poranek może oznaczać tylko ważną wiadomość. Jednak zanim podniósł słuchawkę, zawahał się na moment. Nie chciał, aby było to wezwanie do Himm-lera, które zepsułoby mu sobotnie plany. Zdał sobie sprawę, że nie ma możliwości uniknięcia losu człowieka dyspozycyjnego.

- Mówi Naujocks - usłyszał z ulgą. - Nasz rycerz wpadł w zasadzkę jak dziecko. Co to kobieta potrafi zrobić z mężczyzną.
- Nie podejrzewa podstęp?
- Lea twierdzi, że nie. Zainteresował się generałem Blochem, którego fotografię ustawiliśmy na nocnej szafce.
- Rozpoznał go?
- Lea mówi, że tak. Wie, że jest to oficer ze sztabu Wehrmachtu.
- Dobrze, a nawet bardzo dobrze...

Schellenberg był nieco zaskoczony łatwością, z jaką udało im się omotać agenta, którego uznawał za groźnego przeciwnika. W takich wypadkach zwykł jednak podchodzić z dużą ostrożnością do sukcesu. Zbyt łatwo osiągnięty okazywał się często wynikiem sprytnego zagrania przeciwnika. Należało jednak wykorzystać okazję.

- Wobec tego przystępujemy do fazy numer dwa - powiedział, nie ujawniając swoich wątpliwości.
- Najlepiej w przyszłym tygodniu.
- Dlaczego akurat wtedy?
- Nie chciałbym, aby gra rozwijała się zbyt szybko. Może to wzbudzić jego podejrzania. Jeżeli jest szpiegiem, to zacznie zabiegać o spotkanie z generałem Blochem. A Lea nie powinna tego zrobić.
- Kto, wobec tego?
- Nasza piękna kotka...
- Dobry pomysł - potwierdził Schellenberg, rozumiejąc kogo ma na myśli. - Jak krupierzy?
- Moi ludzie - odparł Naujocks z wyraźną chętnością w głosie.
- W którym kasynie?
- „Adlon”.
- Niech pan obstawi co najmniej trzy stoły. Nie chcę się tłumaczyć z wydania zbyt wielu pieniędzy. I niech pan działa! - rzucił

64

Schellenberg. - I jeszcze jedno: niech pan nie lekceważy tego Sosnowitza. To wytrawny gracz.

Odłożył słuchawkę. Naujocks działał mu na nerwy. Zaplątywał się w grę z piękną dziewczyną, a zanedbywał główny trop, jakim była żona zabitego esesmana. W dalszym ciągu nie wiedzieli, co ta kobieta zdradziła Sosnowitzowi. Nie pytał go o to, gdyż nie chciał zwracać uwagi na błąd, jaki Naujocks popełniał. Nie w jego interesie było dbanie o sukcesy ani też naprawianie błędów rywala. Postanowił sam zająć się panią Krauss.

Nie sądził, żeby wiedziała zbyt dużo o pracy męża w Dachau, ale wystarczyło, że znała nazwę operacji. Był przekonany, że należało ją zmienić, gdyż niebezpieczeństwo, że wróg ją poznał, było zbyt duże. Musiałby jednak zameldować Heinrichowi Himmlerowi, że chce usunąć jego imię z przedsięwzięcia, które szef SS traktował jak swoje dziecko. Szybko odrzucił tę myśl. Po dwakroć byłby samobójcą, gdyż uzasadniając zmianę, musiałby ujawnić, że obcy wywiad dowiedział się zbyt dużo, a to mogło przekreślić przychylnie nastawienie Himmlera do niego.

Sam zadawał sobie pytanie, co kryło się za kryptonimem „Heinrich”. Himmler zlecił mu ochronę tajemnicy, zabrał do tajnego baraku, ale nie zdradził, kim jest człowiek, którego widział siedzącego na stołku pośrodku celi. Zapewne poddawano go eksperymentom, ale nikt nie wyjawiał Schellenbergowi, do czego miały prowadzić. Uważał, że wynika to z braku zaufania Himmlera do niego, ale nie martwił się tym zbyt. Uznawał to za kwestię czasu. Zdobycie zaufania i uznania szefa SS było jego pierwszym celem na drodze do realizacji wielkiego zamierzenia. Kanclerz Walter Schellenberg!

Jedno go tylko martwiło. Udział w tak tajnej operacji mógł oznaczać jego zgubę. Nawet wtedy, gdy operacja zakończyłaby się pełnym sukcesem. A może zwłaszcza wtedy. Zaczynał podejrzewać, jaki był cel operacji „Heinrich”, i bał się, że po jej sukcesie Himmler zechce zatrzeć wszelkie ślady. A przede wszystkim likwidować ludzi, których wykorzystał do przeprowadzenia tego zadania. Schellenberg nie miał jeszcze pomysłu, jak się przed tym zabezpieczyć. Ale czy mógł się zabezpieczyć przed potężnym szefem SS?

65

13. Gabinet doktora Schöffera

Michał zatrzymał samochód w cieniu jednej ze starych lip, rosnących wzdłuż wybrukowanej kocimi łbami uliczki. Zaciągnął ręczny hamulec i zerknął w lusterko wsteczne. Samochód dostawczy z szyldem piekarni „Bretckera”, który jechał za nim przez ostatnie kilkaset metrów, minął go i zatrzymał się niedaleko, co wzbudziło podejrzenie Michała. Po chwili jednak niepokój zniknął, gdyż mężczyzna w białym fartuchu, który wysiadł z szoferki, otworzył tylne drzwi i wyjął tacę z ciastkami. Uniósł ją wysoko nad głowę i skierował się do małej cukierenki na rogu. Poza tym nic na tej ulicy nie przyciągało uwagi. Jakaś staruszka łąła pieska. Kobieta w ciąży pchała wózek i szybko skręciła za róg. To wszystko.

Wbrew pozorom ten spokój zaniepokoił Michała. Wolałby dostrzec mężczyznę w kapeluszu czytającego gazetę na ulicznej ławeczce. Skoro przestali wysyłać za nim obserwujących go agentów, oznaczało to, że znaleźli inny sposób kontrolowania jego zachowań. Jaki? Czyżby był to doktor Schöffler?

Zapalił papierosa i skierował się do kiosku.

Co wiedział o Schöfflerze? Zjawił się niespodziewanie pewnego lipcowego dnia. Zajął miejsce łącznika, który z nieznanых powodów został wycofany, o czym uprzedzono go kilka dni wcześniej. Nie było to niczym nadzwyczajnym w szpiegowskim fachu. Poprzedni łącznik przed wyjazdem powiadomił Michała, że jego następcą pokaże banknot dziesięciomarkowy, którego trzy ostatnie cyfry numeru serii to siedemset trzy. Wszystko się więc zgadzało. Nie miał najmniejszego powodu, aby podejrzewać doktora Schöffera.

- „Berliner Zeitung” - powiedział do kioskarza i natychmiast zapytał: - Gdzie tutaj jest gabinet doktora Schöffera?

Kioskarz wysunął gazetę przez okienko i sam się wychylił.

- Schöffera nie znam, ale tam - wskazał na willę za ogrodzeniem z żeliwnych słupków - był gabinet Griinneberga. Przeszedł na emeryturę ze dwa miesiące temu, sprzedał praktykę nowemu. Może to on. Pan podejdzie tam, jest tabliczka.

Michał wsunął gazetę to kieszeni marynarki i poszedł we wskazanym kierunku.

66

Numer domu zgadzał się z tym, który podał mu doktor Schöffler. Nie było powodów do niepokoju, a jednak obawa, która pojawiła się niespodziewanie, kazała mu baczniej przyglądać się otoczeniu i wydarzeniom, które działy się wokół niego.

- Pan doktor czeka. - Pielęgniarka otworzyła drzwi do gabinetu, gdzie Schöffler siedział za niewielkim biurkiem i wypełniał karty.

- Gwałtowne nasilenie bólu w lewej nodze. - Michał utykając, podszedł do Schöffera i podał mu rękę. Kątem oka dostrzegł, że pielęgniarka zamknęła drzwi obite skórą, która, jak przyjął, dobrze tłumiła głos, nie pozwalając komuś stojącemu w przedpokoju podsłuchiwać rozmów w gabinecie. Rozejrzał się szybko po dużym pokoju, nie znajdując w nim nic ciekawego.

Typowy gabinet dobrze prosperującego lekarza.

Duże biurko, przed którym stał skórzany fotel, drugi, taki sam, za biurkiem. Obok na stoliku grało radio Philipsa z wysuwaną skalą. Na ścianie wisiał dyplom Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Wurzburgu, biblioteczka wypełniona grubymi książkami ze złotymi napisami na grzbietach, obok biała szafka na medyczne specyfiki i wąska leżanka obita zieloną skórą. Schöffler rozumiejąc, dlaczego Michał tak bacznie rozgląda się po pokoju, podszedł bliżej i powiedział cicho, tak cicho, że żaden mikrofon nie mógłby zarejestrować jego głosu, tym bardziej że zagłuszała go muzyka z radia.

- Możemy rozmawiać, ale cicho i z daleka od okna. Michał skinął głową.

- Odezwała się kontuzja? - zapytał głośno lekarz.

- Tak, sprzed sześciu lat. Nie sędzę, żeby to było coś poważnego, ale dokucza. Mocno dokucza...

- Zwłaszcza przy zmianie pogody?

- Tak.

- Niech pan się położy

Schöffler usiadł na kręconym białym krzeselku przy kanapce i odczekał, aż Michał opuści spodnie. Ostrożnie dotykał jego golenia.

- Tu boli?

Michał skinął głową.

67

- Odnalazłem żonę esesmana zabitego osiemnastego kwietnia w wypadku w Monachium. Lekarz przerwał badanie i patrzył zaciekawiony na Michała.

- Esesman zdradził jej, że w Dachau jest tajny oddział, gdzie „tworzą sztucznego człowieka”. Tak to określił.

- Niech pan wstanie. - Schöffler uniósł się z taboretu. Znowu mówił głośno. - To nic poważnego.

Usiadł przy biurku i przysunął bloczek z receptami. Michał podciągnął spodnie i usiadł na fotelu przed biurkiem.

- Nazywał ich „bezwolnymi ludźmi”, działającymi jak manekiny. Podobno Himmler tym się interesuje.

Schöffler kiwał głową, potwierdzając, że zapamiętał słowa Michała.

- To jest recepta. Powinno panu pomóc w przewycięzeniu bólu.

Michał spojrział na receptę, złożył ją na pół i wsunął do kieszonki marynarki. Przesunął jedną z kartek bliżej i napisał: 1. Kim jest Lea Niako, tancerka kabaretowa z „Bilbao”? 2.

Odnajdźcie esesmana z załogi Dachau Ernsta Baumillera.

Schóffer zmiął kartkę. Pochylił się nad biurkiem, aby być bliżej Michała.

- Z Warszawy nadeszło ostrzeżenie - mówił bardzo cicho. -Ktoś zdradził. Znamy pseudonim „Łasica”. Tylko tyle.

Michał pomyślał o tancerce i wskazał wzorkiem na kartkę, na której zapisał jej imię. Schóffer pokręcił przecząco głową.

- Zdradził ktoś z naszych - odpowiedział szeptem i natychmiast dodał głośno. - Przed następną wizytą niech pan zrobi prześwietlenie. I proszę przyjść do mnie za trzy dni.

Schóffer wstał, zaniósł kartkę do umywalki, gdzie zapalił ją i dokładnie splukał popiół.

- Za trzy dni - dodał, co należało odczytać jako informację, że w ciągu najbliższego czasu postara się dowiedzieć czegoś więcej o tancerce z „Bilbao”. Otworzył drzwi gabinetu.

- Zapiszę pana na czwartek. Należność proszę uścić u pielęgniarki - powiedział na pożegnanie. Odprowadził Michała do drzwi, gdzie zatrzymał go gestem.

- Skrzynki kontaktowe i łączność telefoniczna bez zmian. -Szybko uścił mu rękę.

Oznaczało to, że kilka miejsc na terenie

68

Berlina, gdzie Michał mógł zostawiać materiały dla Schoffera, pozostaje aktualne. Podobnie jak numery telefonów, jeden funkcjonujący w dniach parzystych, drugi w nieparzystych. Było to wygodne, gdyż nie musiał uczyć się na pamięć nowych telefonów ani zwiedzać nowych tajnych skrytek.

14. Ruletka

Szczyście dopisywało Michałowi. Wygrał kilka razy pod rząd, obstawiając kolor. Potem trafił, stawiając na nieparzyste numery. Po każdej wygranej Kerstin przytulała się do niego, przypominając, że ona też ma swój udział w niewielkiej fortunie, jaką tworzyły żetony na stoliku przed nim. Obiecał jej wystawną kolację, co wywołało grymas niezadowolenia na pięknej twarzyczce i groźne zmarszczenie brwi, dopiero obietnica trzydziestoprocentowego udziału w wygranej sprawiła, że się rozpromieniła. Ostatecznie to ona namówiła go, aby poszli tego wieczoru do kasyna „Adlon”. Stało się tak, gdy dowiedziała się, że ostatnia gonitwa w Karlshorst przyniosła mu okrągłe dwanaście tysięcy marek, co uznała za wystarczającą kwotę, aby dalej kusić szczęście.

Przesunął kupkę żetonów, jakieś tysiąc marek, na szóstkę i odchylił się od stołu, aby sięgnąć do kieszeni smokinga po etui z cygarami. Wtedy w niewielkiej gromadce gapiów, jacy zebrali się dookoła, dostrzegł znajomą twarz. Przez kilka sekund nie potrafił odnaleźć w pamięci, gdzie spotkał tego mężczyznę. Średniego wzrostu, z krótko przyciętymi siwymi włosami, po pięćdziesiątce, ubranego w idealnie skrojony dwurzędowy smoking.

- Rien ne va plus!

Kulka zaterkotała w kole ruletki. Kątem oka Michał dostrzegł, że Kerstin uniosła dłoń, jakby pozdrawiając mężczyznę, którego twarz wydała mu się znajoma. Ten skłonił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Madame et messieurs, doux rouge - ogłosił krupier, zgarniając łopatką żetony ze źle obstawionych numerów i szybko

69

przesuwając w stronę Michała kilka rulonów. Trzydzieści pięć tysięcy marek!

- Trzydzieści procent, tylko z tej wygranej, czyni jedenaście tysięcy pięćset marek. - Kerstin przysunęła się blisko i szeptała mu do ucha uszczęśliwiona tak wysoką premią. - A przecież dopiero zaczęliśmy.

- Nie. - Michał wstał.

Zgarnął żetony, przesuwając kilka w stronę krupiera.

- Skończyliśmy - dodał. - Za dużo szczęścia na dzisiaj.

I nagle skojarzył twarz mężczyzny, który stał niedaleko i rozmawiał z jakąś kobietą. Generał Bloch! Na zdjęciu przy łóżku Lei wyglądał zupełnie inaczej. Miał na sobie mundur, a i zdjęcie zapewne zostało zrobione kilka lat temu.

- Znasz go? - Odwrócił się do Kerstin, wskazując na generała.

- Generała von Blocha? Tak. - Wzruszyła ramionami. - Stary nudziarz, a w dodatku ciągle bez pieniędzy. Karciarz i dziwkarz.

Generał, jakby wyczuł, że mówią o nim, pożegnał się szybko z kobietą i podszedł do Kerstin.

- Moja droga, spotkać cię to szczęście na cały wieczór - powiedział, zerkając na żetony, które trzymał Michał. - Pan pozwoli, generał von Bloch.

Michał uściskał jego rękę.

- Przepraszam, pójdę do kasy.

- A my do stołu. - Kerstin wzięła pod ramię generała. Drugą rękę ukryła za plecami i zwinęła dłoń w pięstkę, pozostawiając wyprostowane trzy palce, co miało być sygnałem dla Michała, że oczekuje na trzydziestoprocentową prowizję. Uśmiechnął się.

Ciekawe, jaką prowizję weźmie od generała? No cóż, w tym środowisku nie wypada się targować - pomyślał, wykładając żetony w okienku kasy.

Zastał Kerstin i generała z kieliszkami szampana w bocznej nawie wielkiej sali kasyna, co zdziwiło go, gdyż był przekonany, że spotka ich rozognionych grą przy którymś ze stołów.

Generał, dostrzegając jego zdziwienie, wyjaśnił:

- Ruletka nie jest moją pasją, wolę pokera, ale jak grać, to grać!

70

Wskazał w stronę trzech stołów, co miało oznaczać, że szukając najszczęśliwszego miejsca, zaryzykował niskie stawki na każdym z nich.

- O! - podniósł palec. Krupier stołu stojącego najbliżej wysokiego łukowatego okna ogłosił, że wygrał kolor czerwony.

- To czas zacząć grać, baronowo! - dodał i tanecznym krokiem ruszył w stronę stołu, który uznał za szczęśliwy.

- Jakiej prowizji zażądałaś od niego? - uśmiechnął się Michał. Kerstin wyduła wargi.

- Obym nie musiała dokładać - powiedziała niechętnie, najwyraźniej nie wierząc w szczęście generała.

Michał stanął za jego plecami i obserwował, jak hazard pochłania tego człowieka. Stół nie był dla niego szczęśliwy, co dało się stwierdzić po kilku rundach. Obstawił wysoko i wszystko przegrywał. Jedynie drobne zyski na niskich wygranych podtrzymywały jego optymizm.

Kerstin też zauważyła, że generał traci zdrowy osąd sytuacji, i zaproponowała, aby odszedł na chwilę od stołu, ale właśnie wtedy kulka wpadła na czerwone pole, które obstawił, co przyniosło mu kilkusetmarkową wygraną. Machnął ręką, jakby opędzał się przed muchą, i natychmiast postawił wygraną na poczwórne pole, przegrywając wszystko, co zyskał na kolorze.

- Może jednak? - Kerstin dotknęła ramienia generała, aby ponownie dać mu do zrozumienia, że powinien zakończyć grę tego wieczoru. Nawet nie zwrócił na to uwagi.

Odwróciła się urażona i przysunęła do Michała.

- Jedziemy do ciebie czy do tego uroczego hoteliku w Poczdamie? - Bliska była położenia mu głowy na ramieniu.

- Zaczekajmy jeszcze trochę. - Michała zaczynał pasjonować pojedynek generała ze szczęściem.

- Chcesz zobaczyć, jak ten dureń popełnia samobójstwo? Spojrzał na nią zaskoczony.

- Swoje pieniądze to on już dawno przegrał. Teraz przegrywa państwowe, gdyż nie sądzę, aby ktokolwiek chciał mu pożyczyć. Jest w długach po uszy.

W ruletce kulka ominęła osiemnastkę, na którą postawił generał, i wpadła do przegródki obok.

71

- Zaraz wystawi czek bez pokrycia - mruknęła Kerstin z wyraźnym niesmakiem i odwróciła się.

- Wychodzimy? - Zerknęła na niego przez ramię, a widząc, że Michała bardziej interesuje los generała niż ona, oddaliła się obrażona. Dostrzegł, jak podchodzi do mężczyzny z blizną na brodzie i wita się z nim czule. Nie zwracał już na nią uwagi. Generał wstał właśnie od ruletkowego stołu i rozejrzał się bezradnie, aż dostrzegł Michała. Najwyraźniej widok nowego znajomego podziałał na niego uspokajająco, gdyż uśmiechnął się i podszedł szybko.

- Napije się pan ze mną? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, wziął Michała pod ramię i skierował się w stronę baru. Michał nie dostrzegł już Kerstin, ale nie miało to większego znaczenia. Wiedział, że zgłosi się po swoją prowizję.

- Ten stół nie był szczęśliwy - ponuro przyznał generał, sadowiąc się na wysokim stołku zwolnionym właśnie przez otyłą kobietę obwieszoną brylantami. Michał stanął obok.

- Dwie podwójne szkockie, bez lodu - rzucił generał do barmana, który zmierzał w ich stronę, trzymając butelkę whisky, co świadczyło, że dobrze znał gusty generała. Ten odwrócił się do Michała.

- Panie Michale, mogę tak do pana mówić? Widząc, że Michał potakuje, ciągnął dalej:

- Nie będę owijał w bawełnę, że ta przegrana postawiła mnie w trudnej sytuacji...

Mówił cicho, rzucając baczne spojrzenia dookoła, czy nikt nie słyszy, o czym rozmawiają.

- Przegrałem dzisiaj dwadzieścia pięć tysięcy marek...

- Dużo. - Michał pokiwał głową, jakby ze współczuciem. - Bardzo dużo.

- Chyba nie dla człowieka, który właśnie wygrał przeszło trzydzieści tysięcy.

- Czy nie sądzi pan, generale, że jest pan bezczelny?

- Nie!

Bloch wychylił whisky jednym haustem i podsunął szklankę w stronę barmana, który stał w pewnej odległości, nie chcąc podsłuchiwać, o czym mówią, ale gotów do ponownego napełnienia szklanki generała.

72

- Nie - powtórzył, przysuwając szklankę z whisky. - Wyrażam moją desperację. Muszę zdobyć dwadzieścia pięć tysięcy marek. Co jest dzisiaj?

- Sobota.

- Do poniedziałku!

Znowu odsunął pustą szklankę w stronę barmana.

- Trudne zadanie.

- Chcę pożyczyć od pana!

- Panie generale, znamy się od godziny. Czy sądzi pan, że dam nieznajomemu tak ogromną kwotę?

- Dam panu weksel!

Michał wzruszył ramionami i podniósł szklankę.

- Pozwoli pan, że zapłacę za whisky. - Kiwnął w stronę barmana. Generał złapał go za rękę i ścisnął mocno.

- Panie... - zawiesił głos, oczekując aż Michał przypomni mu swoje nazwisko.

- Sosnowitz.

- No właśnie. Panie Sosnowitz, umówmy się tak: pan mi pożyczysz, a ja dam panu poręczenie w postaci mojego domu. Jest wart znacznie, znacznie więcej. Jeżeli w ciągu tygodnia nie oddam dwudziestu pięciu tysięcy, to dom stanie się pana własnością.

- I ma obciążoną hipotekę do granic możliwości.

- Niech pan tu zaczeka. - Generał wstał, zadziwiająco sprawnie jak na trzy duże szklanki whisky, które wypił bardzo szybko, i ruszył do hollu.
- Michał rozejrzał się. Nie widział już Kerstin. Czyżby obraziła się bardziej niż przewidywał?
- Jedziemy do mojego notariusza. - Generał pojawił się niespodziewanie. - Dzwoniłem do niego. Czeka!
- Ależ dochodzi północ!
- Nieważne. Dam panu notarialny akt sprzedaży domu. Ten dom będzie pana własnością, jeżeli za tydzień nie oddam dwudziestu pięciu tysięcy marek, plus, powiedzmy, pięć tysięcy. To dwadzieścia procent w tydzień. Żaden bank na świecie nie da panu takiego oprocentowania!
- Panie generale. - Michał pochylił się nad dużo niższym mężczyzną. - Ja nie zarabiam na lichwie!

73

- Ja pana proszę o przysługę bliźniemu! Tylko pan jest w stanie mnie uratować! Może kiedyś będę mógł się panu zrewanżować. Ja błagam pana!
- Generał mówił coraz głośniej, a stojący najbliżej zerkali na nich z zaciekawieniem.
- Dobrze. - Michał wyraźnie ściszył głos, aby w ten sposób skłonić generała do spokojniejszego tonu. - Pożyczę panu, przez wzgląd na naszą wspólną znajomą.
- Wiedziałem, że jest pan porządnym człowiekiem, panie

Michale.

Schellenberg przyglądał się Michałowi i generałowi. Nie mogli zwrócić na niego uwagi. Był jednym z setki mężczyzn w smokingach kręcących się po sali kasyna lub pochylających się nad stołami. W pewnym momencie pstryknął palcami tak głośno, że przechodząca obok para odwróciła się i spojrzała na niego z zaciekawieniem. Ukłonił się i poszedł do sali restauracyjnej obok kasyna, gdzie czekała na niego Kerstin.

Notariusz nie mieszkał daleko. Przyjął ich w swoim gabinecie w szlafroku, za co przeproszał, tłumacząc, że nie dali mu czasu na przebranie się.

Najwyraźniej nocne wizyty generała zdarzały się częściej, gdyż wszystkie formalności załatwiono bardzo szybko. Michał wypłacił pieniądze, uzyskując pokwitowanie pożyczki oraz akt sprzedaży domu w modnej dzielnicy, którego wartość wynosiła około dwustu tysięcy marek. Notariusz miał w swoim sejfie dokumenty świadczące, że dom jest wyłączną własnością Maximiliana von Blocha, a hipoteka nie jest obciążona.

Michałowi wydawało się to dziwne, że generał, którego Kerstin nazwała karciarzem i dziwkarzem, zachował czystą hipotekę swojego domu, gdyż najłatwiej byłoby mu w ten sposób zdobywać pieniądze, ale dokumenty mówiły co innego, więc przyjął to za dobrą monetę.

Bardziej zastanawiało go, w jaki sposób generał, o którym Kerstin mówiła, że żyje z pożyczek, zamierzał w ciągu tygodnia zgromadzić tak pokaźną kwotę pieniędzy. Było już zbyt późno, aby rozważać i ten problem.

74

Wyszli od notariusza dużo po pierwszej godzinie w nocy.

- Za tydzień zadzwonię do pana, abyśmy ustalili miejsce spotkania - zaproponował generał. Był wyraźnie odprężony i zadowolony z transakcji.

Michał uznał, że generał wziął pieniądze z państwowej kasy, aby, licząc na wygraną w sobotę, w poniedziałek oddać stare długi i zwrócić pieniądze, a popadł w nowe tarapaty, z których ratowała go nowa pożyczka.

Ale skąd weźmie pokaźną sumę, aby zwrócić dług Michałowi?

- Wolałbym, żebyśmy teraz ustalili czas i miejsce spotkania -powiedział do generała.
 - Sobota, jedenasta, kawiarnia „Karusel”. Wie pan, gdzie to jest?
 - Tak.
 - Wobec tego do zobaczenia. A... Zatrzymał się i zrobił krok w stronę Michała.
 - Chcę powiedzieć, że jest pan wspaniałym człowiekiem. -Podszedł blisko i chwycił Michała za ramiona. - I niech pan się nie obawia o swoje pieniądze. Nigdy w życiu nie ryzykowałbym utraty domu, w którym spędziłem najszcześniejsze chwile mojego życia. Dlatego nie dopuściłem nawet, żeby hipoteka była obciążona.
- Miał w oczach łzy i był bliski rozplakania się. Opuścił ręce i odszedł szybko.

15. Dług

Telefon zbudził Michała wcześniej rano.

- Proszę mi wybaczyć tak wczesną porę - usłyszał głos generała. - Jest to jednak ostatnia szansa, kiedy mogę do pana zadzwonić z cywilnego telefonu. Za pół godziny będę już tylko korzystał z łączności wojskowej.
- Co się stało? - Michał usiadł na łóżku. - Wojna wybuchła?
- Nie, nasze wojska przygotowują się do pokojowej operacji. Czy możemy spotkać się, w trybie pilnym, w ciągu, powiedzmy, godziny?
- Będzie to trudne, ale zależy od tego, gdzie mamy się spotkać.

75

- Proponuję Tiergarten. Pogoda piękna, więc spacer wśród drzew będzie dla mnie miłą przerwą w zapracowanym dniu.

- Przy kawiarni?

- Dobrze, będę czekał za godzinę. Do zobaczenia.

Michał pomyślał natychmiast, że generał będzie chciał odroczyć spłatę długu, ale do wyznaczonego terminu brakowało jeszcze trzech dni. Musiało stać się coś innego.

Przy okrągłych stolikach parkowej kawiarni siedziało niewiele osób i Michał z daleka dostrzegł generała w mundurze, czytającego gazetę.

- Przyjechałem, jak tylko mogłem najwcześniej. - Uścisnął rękę generała i usiadł na krzeselku obok, od razu czując, jak jest niewygodne. Żeliwne oparcie wbijało się w kręgosłup, nie pozwalając wygodnie się rozsiąść.
- Prosiłem pana o spotkanie, gdyż muszę odroczyć spłatę długu - powiedział generał i natychmiast dodał: - Stało się coś, czego nie mogliśmy przewidzieć.
- To ciekawe... - Michał przyjął wygodniejszą pozycję, opierając się na blacie stolika.
- Za pół godziny muszę być w moim okręgu wojskowym, gdyż rozpoczęły się przygotowania do ważnej operacji.
- Mówi pan o Czechosłowacji?

Michał zadał to pytanie, co było bardzo naturalne. Od miesiąca gazety nie pisały o niczym innym, jak tylko o szykanowaniu przez czeskie władze Niemców sudeckich i narastaniu kryzysu, w którym „Niemcy mogą zostać zmuszone do użycia siły w obronie niewinnych”.

- Wiadomo, że w wyniku inicjatywy Mussoliniego ma dojść w Monachium do konferencji premierów czterech mocarstw.
- Tak, ale jej wynik jest już przesądzony.
- Zna go pan? - Michał wyglądał, jakby słowa generała bardzo go zaskoczyły.
- Tak. Zostanie podpisana umowa zezwalająca naszym wojskom na wkroczenie na terytorium Sudetenlandu.
- Skąd ta pewność?

- Drogi panie Sosnowitz. - Bloch oparł się wygodnie, ale natychmiast powrócił do pochylonej pozycji przy stoliku. - Mocarstwa

76

zachodnie nie zrobią nic, co, wobec spodziewanej agresji Stalina, mogłoby osłabić władzę Hitlera. Po drugie, my lepiej potrafimy wykorzystać umocnienia w Sudetenlandzie do zatrzymania bolszewików niż Czesi. A ich prezydent Benesz za bardzo flirtuje ze Stalinem, żeby Francuzi i Anglicy nie byli tym mocno zaniepokojeni.

- I pan na czele swoich oddziałów wyrusza do Czechosłowacji...

- Tak, i to jest właśnie okoliczność, która nakazuje zmodyfikować naszą umowę.

Bloch stawał się bezczelny. Widać było, że wykorzystał pierwszy z brzegu pretekst, aby odłożyć spłatę. Michał pokręcił głową.

- Nie! Umowa przewiduje, że w najbliższą sobotę zwróci mi pan dwadzieścia pięć tysięcy marek. W przeciwnym wypadku pański dom staje się moją własnością.

Michał przyjmował jego ton, twardy, nieprzyjazny. Zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób osiągnie cel.

- Umowa nie przewidywała tak ważnego rozwoju wydarzeń -usiłował bronić się von Bloch, aczkolwiek mówił to już łagodniejszym głosem.

- No właśnie! Ponadto umowa ma klauzulę natychmiastowej wykonalności. Zostanie wykonana, zanim pan wróci z Czechosłowacji.

Generał przysunął się bliżej.

- Czy nie możemy dojść do porozumienia? - zapytał już tonem, w którym zabrzmiała nuta prośby o łaskę.

- Tak. - Michał znowu stawał się przyjazny. - Chcę dostać plan „Otto”.

- Plan naszej operacji w Czechosłowacji? - Generał uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Tak, chcę go mieć. Wtedy zniszczę umowę, która czyni mnie właścicielem domu.

Von Bloch zamknął oczy. Milczał długo, jakby przeżywał straszną zniewagę.

- Jak pan śmie - mówił cicho, powoli. - Jestem niemieckim oficerem. Pochodzę z wojskowej rodziny, która nigdy nie splamiła się zdradą. Mój dziadek...

- ...poległ za któregoś tam cesarza - przerwał mu Michał. - Pana rodzina nigdy też nie przegrywała bajońskich sum w kasynie.

77

Generał nie odzywał się. Nerwowo ugniatał gazetę.

- Umowa, którą panu proponuję, jest bardzo korzystna i uczciwa - dodał Michał.

- A jeżeli zawiadomię kontrwywiad? - Generał znalazł argument i chwycił się go, jakby była to ostatnia szansa ocalenia.

- Niech pan nie żartuje - roześmiał się Michał. - Pan, zadłużony u mnie na dwadzieścia pięć tysięcy marek, oskarży mnie o szpiegostwo? Nie ma pan żadnych dowodów, a oczywiste będzie, że stara się pan pozbyć wierzyciela. Poza tym, zaczną dochodzić, skąd wziął pan pieniądze, które przegrał w kasynie. Jak dojdą, że z wojskowej kasy, to zostanie pan skazany za kradzież. A myślę, że na jaw wyjdzie wiele innych spraw, które chciałby pan trzymać w ukryciu! Nie mam racji, panie generale von Bloch?

Generał siedział w milczeniu, poruszając ustami, jakby coś przeżuwał. Rozważał sytuację i nie mógł odmówić Michałowi racji. Został złapany i jedyną szansą dla niego było dostarczenie tajnych dokumentów.

Milczenie przedłużało się, a Michał nie chciał przeszkadzać generałowi.

- Dobrze - odezwał się wreszcie von Bloch. - Kiedy i jak?

- Kiedy będzie pan miał dokumenty?

- Dzisiaj wieczorem.

- Zadzwoń pan pod numer 25-17-17. Otrzyma pan instrukcję, jak je przekazać.

Michał wstał.

- Jeszcze chwila. - Generał zatrzymał go gestem. - Rozumiem, że mój dług zostanie w ten sposób spłacony, a umowa o zastawie domu - zwrócona mnie.

- Oczywiście.

Michał nie odchodził. Wyczuwał wyraźnie, że generał rozważa jeszcze jakąś propozycję, choć wahał się, czy może ją przedłożyć. Wstał i dotknął ramienia Michała.

- Odprowadzę pana - powiedział, jakby z namysłem. Przeszli kilka kroków w milczeniu, gdy Bloch zatrzymał się i szybko rozejrzał na boki, sprawdzając, czy ich spotkanie nie zwróciło uwagi kogokolwiek z otoczenia. We wczesny czwartkowy poranek park był prawie pusty. Staruszka z małym chłopcem rzucała

78

Generał nie odzywał się. Nerwowo ugniatał gazetę.

- Umowa, którą panu proponuję, jest bardzo korzystna i uczciwa - dodał Michał.

- A jeżeli zawiadomię kontrwywiad? - Generał znalazł argument i chwycił się go, jakby była to ostatnia szansa ocalenia.

- Niech pan nie żartuje - roześmiał się Michał. - Pan, zadłużony u mnie na dwadzieścia pięć tysięcy marek, oskarży mnie o szpiegostwo? Nie ma pan żadnych dowodów, a oczywiste będzie, że stara się pan pozbyć wierzyciela. Poza tym, zaczną dochodzić, skąd wziął pan pieniądze, które przegrał w kasynie. Jak dojdą, że z wojskowej kasy, to zostanie pan skazany za kradzież. A myślę, że na jaw wyjdzie wiele innych spraw, które chciałby pan trzymać w ukryciu! Nie mam racji, panie generale von Bloch?

Generał siedział w milczeniu, poruszając ustami, jakby coś przeżuwał. Rozważał sytuację i nie mógł odmówić Michałowi racji. Został złapany i jedyną szansą dla niego było dostarczenie tajnych dokumentów.

Milczenie przedłużało się, a Michał nie chciał przeszkadzać generałowi.

- Dobrze - odezwał się wreszcie von Bloch. - Kiedy i jak?

- Kiedy będzie pan miał dokumenty?

- Dzisiaj wieczorem.

- Zadzwoń pan pod numer 25-17-17. Otrzyma pan instrukcję, jak je przekazać.

Michał wstał.

- Jeszcze chwila. - Generał zatrzymał go gestem. - Rozumiem, że mój dług zostanie w ten sposób spłacony, a umowa o zastawie domu - zwrócona mnie.

- Oczywiście.

Michał nie odchodził. Wyczuwał wyraźnie, że generał rozważa jeszcze jakąś propozycję, choć wahał się, czy może ją przedłożyć. Wstał i dotknął ramienia Michała.

- Odprowadzę pana - powiedział, jakby z namysłem. Przeszli kilka kroków w milczeniu, gdy Bloch zatrzymał się

i szybko rozejrzał na boki, sprawdzając, czy ich spotkanie nie zwróciło uwagi kogokolwiek z otoczenia. We wczesny czwartkowy poranek park był prawie pusty. Staruszka z małym chłopcem rzucała

78

okruszki kaczkom na jeziorze. Kobieta prowadziła wózek. Starszy pan wystawił twarz do słońca. Kelnerka była zbyt daleko, aby usłyszeć cokolwiek. Nikt z nich nie mógł być agentem kontrwywiadu.

- A co by pan powiedział, gdybym dostarczył panu plan mobilizacyjny Wehrmachtu? Oczywiście za odpowiednią cenę... - zaproponował generał, wciąż rzucając badawcze spojrzenia dookoła.

Plan mobilizacyjny Wehrmachtu był dokumentem o niezwyklej wartości dla polskiego wywiadu. Pod warunkiem że był autentyczny.

- Za jaką cenę?
 - Powiedzmy... sto tysięcy marek. Michał pokiwał głową.
 - Dużo! Najpierw musiałbym otrzymać jakąś próbkę, aby sprawdzić, czy oferuje pan, panie generale, autentyczny plan.
- Generał zerknął na zegarek.
- Muszę już wracać do sztabu. Dzisiaj wieczorem zadzwonię pod numer 25-17-17. Po powrocie z Czechosłowacji skontaktuję się z panem w sprawie następnej transakcji.
 - Chyba że wybuchną walki.
 - Nie, Czesi nie będą się bronić bez wsparcia mocarstw, a te już ich sprzedały.
 - Niech pan dzwoni z budki telefonicznej, nie z gabinetu. Mogą podsłuchiwać pana rozmowy
 - doradził Michał.

Skłonił głowę i odszedł szybko boczną alejką, kierując się do bramy, przed którą pozostawił samochód.

Generał zadzwonił punktualnie o dwudziestą tuż po wyjściu ze sztabu. Stał w ulicznej budce telefonicznej najwyraźniej przejęty i zdenerwowany.

Michał, który przyjął, że generał nie zadzwoni z telefonu w swoim gabinecie, lecz zrobi to po wyjściu z budynku sztabu, przyglądał mu się z samochodu zaparkowanego przy krawężniku sto metrów dalej. Interesowało go, czy generał jest sam. Miało to istotne znaczenie, gdyż rozmawiając z telefonu z budki, generał nie miał żadnej szansy przekazania komukolwiek informacji o miejscu odbioru dokumentów, nie dzwoniąc, lub, co wydawało się bardziej oczywiste, nie kontaktując się osobiście z agentami kontrwywiadu. Gdyby

79

więc został podstawiony przez kontrwywiad, musiałby poinformować kogoś, co stanie się dalej. Na ulicy nie działo się nic podejrzanego. Sprawa wyglądała na absolutnie czystą. Zgodnie z instrukcją, jaką von Bloch otrzymał przez telefon, poszedł szybko na pobliską stację metra. Tam, dokładnie o godzinie dwudziestej trzydzieści dwie, powinien zostawić teczkę z dokumentami przy ławce na północnym peronie i szybko się oddalić. Punktualność, jak go ostrzeżono przez telefon, miała znaczenie zasadnicze.

Minutę później na peron wjechał pociąg. Wskoczył do niego młody człowiek, który przejął teczkę. Zrobił to w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi wagonów. Ktoś, kto śledziłby go, nie miał szans na wejście do wagonu, a gdyby usiłował to zrobić, zostałby zauważony. Oczywiście agenci kontrwywiadu obserwujący peron mogliby spróbować dotrzeć na najbliższą stację, przez którą przejeżdżało metro. Nie miałyby to jednak większego sensu. Dokumenty zeczki zostały szybko przeniesione do skrytki w wagonie. Michał zakładał, że policja obstawi peron i zrewiduje wszystkich wychodzących. Jeżeli tak by się nie stało, kobieta sprzątająca wagon na ostatniej stacji miała wyjąć papiery.

Godzinę później otrzymał wiadomość, że cała akcja przebiegła bez najmniejszych zakłóceń. A dwie godziny później wyjął kopertę ukrytą za kaloryferem na piętrze jednej z berlińskich kamienic.

Michał zatrzymał samochód przy budce telefonicznej, kilka przecznic od swojego domu, z którego wyjechał kilkanaście minut wcześniej.

- Zygmunt, zapomniałem ci powiedzieć, że dzisiaj wieczorem idę na przyjęcie - powiedział, gdy jego ordynans podniósł słuchawkę. - Zanotuj, co masz przygotować...

Długo wymieniał wszystkie części garderoby, które Zygmunt miał odebrać z pralni lub wyprasować.

Gdy tylko rozmowa dobiegła końca, nie odkładając słuchawki, wsunął monetę do otworu i wykręcił numer w lokalu kontaktowym. Zrobił to, zasłaniając ciałem aparat, nikt więc nie mógł zauważyć, że zamierza odbyć drugą rozmowę. Jeżeli był śledzony, to obserwujący go agenci odnotowali, że dzwonił. W tym samym

80

czasie podsłuchujący telefon w jego domu zanotowali tę rozmowę. Wszystko się zgadzało.

- Raz, dwa, trzy - liczył sygnały, po których ktoś w lokalu kontaktowym powinien podnieść słuchawkę. Tak się stało.

- Przesyłka na miejscu - zakomunikował.

Nie przedstawiał się. Pod ten numer telefonu mógł dzwonić tylko on lub tylko jakaś kobieta.

Odbierający telefon, słysząc głos męski lub żeński, wiedział, kto dzwoni. Padła odpowiedź:

- Kurier odbierze ją jutro. Bliższe informacje przekaże ci „Skaut”. Jeszcze coś?

- Nie.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Wyszedł z budki i zamknął za sobą drzwi. Zerknął na zegarek i wskoczył do samochodu.

Pomyślał, że podobną informację odebrał doktor Schóffer pseudonim „Skaut”. Musiał więc jak najszybciej znaleźć powód, żeby udać się do niego pod pretekstem uzyskania porady lekarskiej. Postanowił w najbliższym czasie publicznie zademonstrować, jak bardzo dokucza mu ból nogi, i zadzwonił do lekarza, prosząc o szybkie przyjęcie go.

16. Łączniczka

Pociąg z Paryża wjechał na berlińską stację Anhalter z niewielkim opóźnieniem. Michał, który siedział na ławce i przeglądał gazetę z wielkimi zdjęciami przedstawiającymi radosne powitanie przez Niemców sudeckich żołnierzy zajmujących czeskie umocnienia, podniósł głowę. Niewiele wiedział o kobiecie, którą miał spotkać na dworcu. Szczupła, wysoka, w wieku dwudziestu pięciu lat, w czerwonym berecie i beżowym płaszczu, z torbą podróżną z jasz-czurzej skórki. Tak opisał tę kobietę doktor Schóffer. I dodał: „Powinien pan ją przyjąć jak starą znajomą. Może pierwszą miłość?”.

Spotkania z kurierem należały do rzadkości, gdyż w istocie była to najbardziej niebezpieczna operacja. W krąg podejrzeń jednej osoby wprowadzono drugą. Skoro więc szefostwo Drugiego Oddziału Sztabu Głównego zdecydowało się na to, to znaczy, że

81

oceniało sprawę jako szczególnie ważną. Zadbano o szczegóły, aby zmniejszyć ryzyko spotkania.

Urszula zadzwoniła do niego z Paryża.

- Michał, jadę do rodziny we Wrocławiu. Zatrzymam się w Berlinie. Czy możesz odebrać mnie na dworcu?

Podsłuchujący go ludzie z SD nie mogli więc zdziwić się, że nagle pojechał na dworzec, aby spotkać się z dziewczyną. Miała zawieźć dokumenty do Wrocławia i zapewne tam przekazać je komuś, kto przemycałby je do Warszawy.

Głos miała miły, ciepły. Wyobraził sobie, że jest wysoką blondynką z długimi włosami i wielkimi smutnymi oczami. Ciekawe, jak wygląda naprawdę.

Złożył gazetę i poszedł w kierunku wagonu pierwszej klasy, myśląc, że i tak dobrze, że nie przyjeżdża trzecią klasą, gdzie wśród tłumu wysiadających nie tak łatwo byłoby ją znaleźć. Bez trudu dojrzał czerwony beret i skierował się w stronę kobiety noszącej takie nakrycie głowy, gdy nagle dostrzegł, że nie zgadza się kolor płaszcza. Czyżby stało się coś, co zmusiło łączniczkę do zmiany płaszcza? Nie mógł tego wykluczyć. Udał, że upuścił gazetę, i schylił się. Zyskiwał kilka sekund. Niewiele. Na szczęście wystarczyło, aby w dalszych drzwiach zobaczył drugi czerwony beret. Odetchnął z ulgą, ta druga miała na sobie beżowy płaszcz i niosła torbę.

- Urszula! - pomachał. Dojrzała go i też uniosła rękę.

Gdybym jeszcze wiedział, co dotychczas robiliśmy - pomyślał, dostrzegając, że dziewczyna jest bardzo ładna. - Jeżeli byłem z nią w łóżku, to powinienem inaczej się przywitać. Takiej bym nie przepuścił - dodał w myślach, uznając, że powinien odegrać scenę powitania

kochanków, którzy dawno się nie widzieli. Ludzie z SD, jeżeli go śledzą, przyjmą to bardziej naturalnie niż zimne powitanie na odległość.

- Witaj, stęskniłem się - objął ją i pocałował.

Przyjęła to z zaskoczeniem, które starała się jak najszybciej zamaskować.

- Nikt mi nie powiedział, że byliśmy kochankami - uśmiechnęła się nieco zażenowana.

82

- Mnie też - wziął jej torbę - ale pomyślałem, że to bardziej naturalne. W każdym razie w moim stylu.

- Uch - jęknęła - ja to zawsze mam szczęście. Czy jesteś śledzony?

- Otaczają nas tłumy agentów SD - szepnął Michał. - Spójrz na tę kwiaciarkę. Niby miła babcia, ale pod spódnicą dostrzegłem bryczesy i wysokie buty. Ach, na śmierć zapomniałem! Podbiegł do kwiaciarce i kupił kilka róż.

- Przepraszam cię, ale rzadko witam na dworcu moje... - wręczył kwiaty Urszuli, całkowicie ją rozbrajając - ... no właśnie, jaką mamy legendę? - dokończył.

- Studiuję w Paryżu filozofię, to fakt. Jadę do rodziny do Wrocławia na kilka dni.

Spotkaliśmy się w 1936 roku w lecie na zawodach w Czechach.

- Jeździsz konno?

- Nieźle.

- Byliście kochankami?

- Nie! I nie będziemy! Michał wzruszył ramionami.

- Głupia legenda. Co za dureń ją wymyślił! Zeszli szerokimi schodami do głównej sali dworca.

- A teraz poważnie - zatrzymała się na moment, żeby poprawić mu krawat. Przygładziła dłonią klapy marynarki. Gdzieś w głębi pojawiło się dziwne uczucie, jakby ciepło rozlało się dookoła serca.

Jeszcze by brakowało, żebym się w niej zakochał - pomyślał.

- Dokumenty od generała, któremu nadaliśmy kryptonim „Karciarz”, są u ciebie?

Skinął głową. Urszula wykorzystywała spacer, podczas którego nikt nie mógł ich podsłuchiwać, aby przekazać mu najważniejsze informacje.

- Wyjeżdżam pojutrze rannym ekspresem. Czy ktoś może dostarczyć mi paczkę do pociągu?

- Załatwi się.

Ponownie przytulił się do niej, jak kochanek manifestujący swe zadowolenie ze spotkania z dawno nie widzianą kobietą. Zdawała się nie zwracać na to uwagi.

- Najważniejsza jest druga propozycja „Karciarza”.

83

- Plan mobilizacyjny?

- Tak! Cena jest jednak za wysoka. Inaczej mówiąc, nigdy nie płaciliśmy tak wiele.

- Nigdy nie mieliśmy szansy dotarcia do planu mobilizacyjnego.

- Wiesz co? - Spojrzała na niego badawczo. - Przy takich transakcjach zawsze powstają podejrzenia...

- Że towar może być podstawiony?

- To też, ale przede wszystkim, że agent chce zarobić. W tym wypadku dużo! - To zabrzmiało jak ostrzeżenie.

- Bzdura. - Michał wzruszył ramionami. - Chcę tylko wiedzieć, czy gotowi jesteście zapłacić tyle za tak ważne dokumenty.

- Nie znam odpowiedzi.

- Więc co?

- Niech „Karciarz” dostarczy próbkę. Musimy sprawdzić.

- Jasne!

Wyszli przed dworzec, gdzie Michał zaparkował swoje bugatti. Uśmiechnęła się na widok samochodu.

- Tak myślałam - powiedziała z uśmiechem.

Zerknął na nią, ale nie dostrzegł w jej głosie śladu drwiny.

- Taki samochód pasuje do ciebie - dodała szybko. Zgrabnie wsunęła się na wąskie siedzenie w sportowym samochodzie.

Naujocks zastukał do drzwi gabinetu Schellenberga i otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Trzymał pod pachą grubą kopertę, którą natychmiast położył na biurku.

- Zdjęcia z dworca - wyjaśnił.

Schellenberg sięgnął po kopertę. Otworzył ją i rozłożył na biurku kilkanaście zdjęć dużego formatu.

- Ładna - mruknął, patrząc na Urszulę. - Wiemy coś o niej? Naujocks pokręcił głową.

- Być może za kilka dni, jak sprawdzimy wszystkie archiwa.

- Przyjechała z Paryża - zauważył Schellenberg.

- Tak, sprawdziłem w straży granicznej. To prawdopodobnie Urszula Klesterfeld. Studiuje w Paryżu, jej rodzice mieszkają we Wrocławiu. Dwa, trzy razy do roku odwiedza ich.

84

- Skąd się wzięła w Berlinie?

Naujocks ponownie wykonał gest wskazujący, że nie zna odpowiedzi na to pytanie.

- Sądząc ze zdjęcia, znają się, a może nawet byli blisko. - Wskazał na fotografię przedstawiającą powitalny pocałunek. - Kilka dni temu dzwoniła do niego, informując o przyjeździe.

Schellenberg zebrał zdjęcia, wsunął do koperty i włożył do biurka.

- Zostawcie ich w spokoju.

- Dlaczego? - Naujocks był wyraźnie zdziwiony.

- Jeżeli ta dziewczyna jest kurierem, to będą się bardzo pilnować. Nie chcę, abyśmy ją przepłoszyli. Może być ważniejszym źródłem informacji niż ten koński bubek.

Naujocks zasalutował, choć z jego miny wynikało jasno, że nie zgadza się z szefem. Nie miał jednak nic do powiedzenia, więc odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

- Ładnie mieszkasz - Urszula rozejrzała się po ulicy, gdy zatrzymali się przed domem Michała.

Na drzewach widoczna już była rozpoczynająca się jesień. Rząd lip po obydwu stronach wąskiej uliczki zmieniał kolory, co nadawało okolicy szczególnego uroku.

- I bezpiecznie - Michał otworzył bagażnik i wyjął torbę Urszuli.

Z domu wybiegł ordynans, któremu Michał oddał torbę.

- Przygotuj kąpiel dla pani - polecił.

Odwrócił się do niej. Odnosił wrażenie, że Urszula nie tylko jest kurierem, ale także kontrolerem, który miał go sprawdzić. Czyżby w centrali pojawiły się jakieś wątpliwości? Co oznaczało ostrzeżenie przed nielegalnym zarobkiem podczas transakcji ze szpiegiem?

Rzeczywiście kwota, której zażądał generał, była ogromna, ale wartość dokumentów, jakie proponował, uzasadniała tak wysoką cenę. Miał wielką ochotę zadać jej wprost pytanie, ale doszedł do wniosku, że może odebrać to opacznie.

- Pięknie tu. - Podeszła bliżej i położyła mu głowę na ramieniu, jak rozmarzona pensjonarka.

Widząc, że spojrział na nią zdziwiony, dodała szybko:

85

- Nie zwracaj na to uwagi, pomyślałam, że warto powtórzyć naszą rolę... kochanków.

- W domu nie ma podsłuchu, ale wolę powiedzieć ci to tutaj. - Objął ją ramieniem i skierował w stronę alejki prowadzącej do ogrodu.

- Sprawa „Karciarza” pojawiła się w momencie, gdy zająłem się zabitym esesmanem z obozu w Dachau.

- „Skaut” meldował o tym. Centrala uważa, że „Karciarz” jest ważniejszy niż jakieś tam eksperymenty medyczne.
- Nie jestem pewien. Czasami uważam, że te sprawy łączą się. To znaczy, że podsunęli „Karciarza”, gdy zobaczyli, że interesuję się Dachau.
- Zapewne dokumenty dostarczone przez „Karciarza” są autentyczne. Jeżeli plan mobilizacyjny też okaże się oryginalny, to będzie największe zwycięstwo polskiego wywiadu w tym dziesięcioleciu.

17. Pierwsza próba

Kurt Plótnier spojrział na zegarek. Dochodziła piętnasta.

- Jeszcze pięć minut - powiedział do kierowcy, którego najwyraźniej ta uwaga nie obchodziła, bo ledwo skinął głową, potwierdzając, że usłyszał uwagę doktora.

Trudno go było rozpoznać, gdyż przykleił sobie brodę i wąsy, które z bliska wyglądały dość śmiesznie.

Wsunął palec za kołnierzyk i przeciągnął kilkakrotnie, jakby usiłując poluzować zbyt ciasną materię. Pomyślał, że taki ruch jest tikiem nerwowym, który wykonuje zawsze w stanie najwyższego napięcia. Nie dziwiło go to. Za kilka minut miała odbyć się próba generalna.

Mówił sobie, że to rutynowy sprawdzian, konieczny dla zapewnienia odpowiedniego efektu ostatecznego. Ale w głębi duszy czuł, że od tego, co stanie się za kilka minut, może zależeć przyszłość całego eksperymentu „Heinrich”. I jego przyszłość także.

U wylotu ulicy dostrzegł żółty autobus piętrowy. Podniósł lornetkę. Według jego kalkulacji Johann powinien siedzieć na górze.

86

Przejechał po twarzach pasażerów i zobaczył jego ciemną czuprynę. Zastłaniała go jakaś kobieta, więc nic więcej nie mógł dostrzec, ale to nie było już ważne. Skonstatował, że zachowuje się zgodnie z jego przewidywaniami. Był posłuszny.

Autobus piszcząc hamulcami, zatrzymał się na odległym

o dwieście metrów przystanku. Plótnier założył, że Johann nie powinien go dostrzec, a tym bardziej rozpoznać, dlatego dokleił sobie teatralny zarost.

Ponownie podniósł lornetkę, aby zaobserwować, czy „pacjent”, jak zwykł określać Johanna, wysiądzie na tym przystanku, co zakładał plan.

Rzeczywiście po chwili pojawił się na stopniach autobusu

I zszedł na chodnik, gdzie stanął niezdecydowany. Sprawiał wrażenie człowieka zagubionego w obcym mieście, który musi rozważyć, w którą stronę powinien się udać. Jego bezruch przedłużał się. Wyglądał jak zepsuta lalka, w której pękła sprężyna napędzająca wewnętrzny mechanizm.

- Redundancja - mruknął Plótnier, usiłując przez lornetkę dostrzec twarz Johanna, ale ten stał odwrócony.

- Słucham...? - zainteresował się kierowca.

- Nadwyżka informacji. Zaczął się blokować - ni to wyjaśnił, ni powiedział do siebie Plótnier.

Kierowca uznał, że dalsze wypytywanie nie ma sensu. W tym czasie Plótnier odwrócił się i spojrział na najbliższe skrzyżowanie. Dostrzegł tam dwóch policjantów.

- No, przynajmniej ci są punktualni.

Policjanci nadchodzili z tyłu Johanna. Dostrzegłby ich dopiero wtedy, gdyby się z nim zrównali. Stał w dalszym ciągu bez ruchu, jak człowiek, który nie może podjąć decyzji. Aż zobaczył ich. Ten impuls podziałał na niego jak kubek zimnej wody wylanej na twarz śpiącego.

Jak za dotknięciem różdżki wszystko zaczęło działać.

Johann podniósł głowę, nałożył kapelusz, który trzymał dotychczas w ręku, i spokojnym, pewnym krokiem wyprzedził policjantów.

- Bum! Bum! - krzyknął, stanąwszy przed nimi. Przechodząca obok para spojrzała na tę dziwną scenę. Uznali,

że wariat zaczepia policjantów, ale najbardziej zadziwiająca była ich reakcja.

- Proszę nie stać. Przechodzić - warknął jeden z policjantów.

- Tu nie ma nic ciekawego - dodał drugi.

Johann poprawił kapelusz i jakby nigdy nic ruszył przed siebie różnym krokiem, jak człowiek zadowolony z dobrze wykonanego zadania. Policjanci popatrzyli za nim nieco zdziwionym wzrokiem i poszli dalej, wykonując w ten sposób rozkaz. Zostali uprzedzeni, że podejdzie do nich obywatel, który wykrzyknie jakieś niezrozumiałe słowa i będzie wyglądał na wariata.

Mieli to przyjąć spokojnie i nie reagować.

Johann skręcił w boczną uliczkę, gdzie była filia Bayerische Hypothek Banku.

Plötner zatarł ręce z zadowolenia i wysiadł z samochodu. Na ścianie domu, przy którym stali, znajdowała się niebieska skrzynka. Otworzył ją kluczykiem i sięgnął po słuchawkę policyjnego telefonu. Automatycznie został połączony z pobliskim komisariatem, ale tam wiedzieli, że mają go przełączyć do banku.

- Plötner mówi - powiedział, gdy usłyszał głos mężczyzny, który odebrał telefon w banku. - Proszę mnie przełączyć do kierownika sali, pana Rautkego. Szybko, to pilne.

Po chwili usłyszał jego głos.

- Wszedł do sali i stanął w kolejce do kasy - relacjonował Rautke.

- Jak się zachowuje?

- Całkowicie spokojnie, może nawet nieco znudzony. Rozgląda się.

- Czy zwraca na siebie uwagę?

- Nie, absolutnie nie.

- Niech pan opowiada, co się dzieje.

- Przed nim jeszcze jedna osoba. Kobieta. Wypadła jej jakaś kartka, schylił się i podał jej.

Plötner przełożył słuchawkę do drugiej ręki. Był zadowolony. Bardzo zadowolony.

- O, już stanął przy kasie.

- Słyszysz pan, co on mówi?

- Tak, podaje hasło konta.

- Jak brzmi?

- „Talos”.

88

- Zgadza się.

- Czy mamy zastosować...

- Nie! - Plötner aż krzyknął do mikrofonu. - W żadnym razie! Wypląć mu dwieście marek i niech wyjdzie spokojnie z banku.

- Dobrze, tak zrobimy.

Plötner odłożył słuchawkę i wrócił do samochodu.

- Podjedź pod drzwi banku, tam za rogiem - zwrócił się do kierowcy.

Stanęli przed drzwiami dokładnie w momencie, w którym Johann, jeszcze trzymając w dłoni pieniądze, wyszedł z banku. Plötner otworzył drzwi i wychylił się.

- Dzień dobry, panie Johann. Cóż za spotkanie!

Johann drgnął i spojrzał na niego uważnie. Bez wątplenia nie przypominał sobie doktora Plötnera. Hipnoza działała.

Odwrócił głowę. Zachowywał się tak, jak po wyjściu z autobusu, gdy sprawiał wrażenie człowieka zagubionego w nieznanym mieście.

- Proszę - powiedział Plötner.

Johann mechanicznym ruchem schował pieniądze do kieszeni marynarki i wsiadł do samochodu. Wciąż nie rozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

- Dobry, dobry chłopiec - przemawiał Plótner jak do psa, który wykonał wyuczone zadanie. Kierowca zablokował drzwi, przy których siedział Johann, i spojrzał pytająco na Plótnera. Ten skinął głową i rozparł się wygodnie na fotelu. To ćwiczenie kosztowało go wiele nerwów, ale był zadowolony. Bardzo zadowolony.

Przemknęli jasno oświetloną ulicą, której nazwy nie zdążył zauważyć, i wyjechali na przedmieście Monachium.

Plótner osunął się głębiej w fotelu. Ogromne napięcie, jakie towarzyszyło ostatnim godzinom, sprawiło, że poczuł się senny. Widział, jak pewnego dnia przejedzie długim czerwonym chodnikiem, tak jak to widział na kronikach filmowych, i stanie przed Himmlerem. Ten wręczy mu medal i uściśnie dłoń.

89

18. Plan Himmlera

Schellenberg zatrzymał się przed szerokimi schodami prowadzącymi do kwatery Gestapo na Prinz Albrechtstrasse zainteresowany niezwykłym ruchem. Esesmani zbiegali po schodach i ustawiali się w równy szereg przy krawężniku. To mogło oznaczać tylko jedno.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina ósma, a więc pora, w której Heinrich Himmler zwykł zaczynać urzędowanie. Rzeczywiście po chwili przy chodniku zatrzymał się czarny mercedes.

Schellenberg odwrócił się w jego stronę, oczekując, aż reichts-fiihrer wysiądzie. Był nawet zadowolony, gdyż zamierzał tego dnia zdać raport, a rozmowa w czasie przechadzki po długich korytarzach, w drodze do gabinetu, czyniłaby całą sprawę mniej formalną.

Ze zdumieniem dostrzegł, że z samochodu nikt nie wysiada, za to po chwili Himmler pojawił się w wielkich drzwiach budynku Gestapo ubrany w ciemny garnitur w drobne prążki. Nie przyjechał do pracy, lecz opuszczał ją, co było dość dziwne, zważywszy na wczesną porę. Widząc Schellenberga, podniósł rękę i przywołał go.

- Schellenberg, dobrze, że pana widzę. Niech pan jedzie ze mną - zatrzymał się. - Czy ma pan dzisiaj coś szczególnie ważnego do roboty?

Schellenberg opuścił rękę, którą trzymał uniesioną w hitlerowskim salucie, dopóki Himmler nie podszedł do niego.

- Jak zwykle, ale mogę to odłożyć!

Nie mógł odmówić wspólnej podróży z reichts-fuhrerem. Ten podszedł bliżej.

- Jadę do Monachium. Dzisiaj wieczorem Hitler będzie przemawiał w „Burgerbraukeller”.

Był pan tam kiedyś?

- Nie.

- To niech pan wsiada. Przedstawię pana Hitlerowi.

- Sądziłem, że zawsze jeździ pan tam z Fuhrerem - Schellenberg był zdziwiony niespodziewanym zaproszeniem.

- W istocie, ale tym razem Fiihrer dojedzie do Monachium z Bayreuth. Jest tam u Winifred Wagner. Czasami myślę, że w niej się kocha, a nie w muzyce jej ojca.

90

Schellenberg zbiegł kilka stopni i otworzył drzwi przed Himm-lerem, po czym wsiadł z drugiej strony.

- Jedziemy na dworzec. Zobacz pan moją nową salonkę. Wygodna - wyjaśnił Himmler, co Schellenberg przyjął skinieniem głowy.

W drodze do dworca wymienili jedynie kilka zdawkowych uwag. Schellenberg odnosił wrażenie, że Himmler ma mu do przekazania coś bardzo ważnego, ale nie chce tego zrobić w samochodzie, gdzie kierowca słyszałby każde słowo. Uśmiechnął się, myśląc, że szef tajnych służb i policji, dowódca oddziału „Leibstandarte Adolf Hitler”, którego żołnierze pełnią służbę przed wszystkimi najważniejszymi gabinetami, chroniąc urzędujących tam dostojników, obawia się czegoś. Tym bardziej frapowała go możliwość wspólnej podróży, którą Himmler musiał mu zaproponować nie bez powodu.

Rozumiał jego ostrożność. Jego największy rywal szef lotnictwa Hermann Göring też utrzymywał tajną służbę, specjalizującą się w podsłuchach, kryptologii i przechwytywaniu korespondencji listownej. Nie można było wykluczyć, że zbiera dowody przeciwko Himmlerowi, tak jak ten zbierał przeciwko niemu.

Salonka okazała się specjalnym pociągiem sztabowym złożonym z kilkunastu wagonów. Stała na bocznicy stacji Anhalter otoczona przez kilkunastu esesmanów z karabinami. Do wagonu weszli z niewielkiego drewnianego pomostu ustawionego po to, aby łatwiej było wspinać się na wysokie stopnie. Minęli krótki korytarzyk, gdzie było dwoje drzwi, jak ocenił Schellenberg, prowadzących do podręcznych pomieszczeń gospodarczych, i weszli do dużego salonu, w którym pod ścianami stały wygodne pluszowe fotele, pośrodku duży stół pokryty mahoniowym forem, podobnie jak szafki i boazerie zajmujące każdą wolną przestrzeń między oknami wagonu.

- Niech pan siada - Himmler wskazał na kanapę pod oknem. Sam stanął pośrodku wagonu, najwyraźniej zadowolony, że może zaprezentować swój pociąg.

- Później pokażę panu wszystkie wagony, jest ich dwanaście, choć dzisiaj nie wszystkie dołączono. Na tak krótką podróż nie potrzebuję ani wagonu bagażowego, ani kąpielowego. Sztabowy też nie jest dziś potrzebny. Normalnie oczywiście ten pociąg stanowi ruchomą kwaterę.

91

- Gratuluję, Herr Reichsführer. - Schellenberg nie wiedział, co powiedzieć, i gratulacje były jedynymi słowami, które przyszły mu na myśl.

- Dziękuję. - Himmler usiadł na kanapie obok niego.

Kłęb pary, jaki uniósł się za oknem, i delikatne szarpnięcie wagonu były nieomylnym znakiem, że rozpoczęli podróż.

- Niech pan sobie wyobrazi, że nawet specjalne pociągi muszą stosować się do rozkładu jazdy Reichsbahn.

Znowu wstał i zrobił kilka kroków.

- W tym momencie połączenia telefoniczne zostały przerwane i zachowujemy jedynie łączność radiową. Tam, dalej - wskazał w stronę końca pociągu - jest wagon łączności.

- Chce pan powiedzieć, reichsführer, że nawet gdyby ktoś odważył się założyć podsłuch, to i tak zostałby on przerwany.

Himmler uśmiechnął się. Zerknął spod okularów na Schellenberga, najwyraźniej zadowolony.

- Zaczekajmy, aż kelner poda nam herbatę, i porozmawiamy. Odwrócił się do okna.

- Lubię podróże koleją - powiedział. - Wtedy powracają wspomnienia z dzieciństwa, gdy podróżowałem z rodzicami na wakacje nad morze. W przedziale ojciec często śpiewał, a właściwie nucił arie operowe. Wie pan, że był śpiewakiem operowym, tenorem?

Schellenberg pokręcił głową, dostrzegając kątem oka, że w drzwiach pojawił się kelner, który ustawił na stole dzbanek z herbatą i filiżanki. Przyjął to z ulgą, gdyż nie miał ochoty na wysłuchiwanie historii z dzieciństwa Himmlera.

- Schellenberg, musimy sprawić, że mocarstwa zachodnie przestraszą się niebezpieczeństwa wojny. - Himmler zamieszał cukier w filiżance i odłożył łyżeczkę.

- Odnoszę wrażenie, że po konferencji w Monachium są przekonani, iż zagwarantowali sobie pokój.
- Wiem. Musimy więc wyprowadzić ich z błęgiego stanu poczucia bezpieczeństwa.
- Może tak się stać tylko wtedy, gdybyśmy złamali monachijskie postanowienia.

Himmler uśmiechnął się.

92

- Tak będzie, ale później, niż ja tego oczekuję. Ja - wypowiedział to z naciskiem - nie mogę tak długo czekać.
- Przepraszam, reichsfuhrer, ale dokonanie tego, aby było wiarygodne, musi angażować wielkie siły. To leży poza moimi możliwościami. Musiałbym...
- Wiem - przerwał mu Himmler. - Wiem, ale nie wymagam od pana rzeczy niemożliwych. Chcę, aby pan przekazał swoimi kanałami szpiegowskimi informację o tym, co się stanie. Muszą to być kanały absolutnie wiarygodne dla Anglików i Francuzów, aby potraktowali tę informację poważnie.
- Jeżeli mam tego dokonać, muszę wiedzieć o co chodzi.
- Dowie się pan. Szybko. Jutro będą o tym pisały wszystkie gazety. W Paryżu Żyd postrzelił sekretarza naszej ambasady Ernsta von Ratha, który walczył ze śmiercią w szpitalu.
- A ten Żyd?
- Ma siedemnaście lat. Nazywa się Grynszpan, Herszel Grynsz-pan. Twierdzi, że działał pod wpływem wzburzenia, jakie wywołał list od ojca z Hanoweru, w którym skarżył się, że wyrzucamy go z naszego pięknego kraju.

Schellenberg patrzył uważnie na Himmlera. W kącikach jego ust pojawił się uśmiech. Czyżby zamach był efektem działania służb SS?

- Nie mógł nam zrobić lepszego prezentu w bardziej odpowiednim czasie. Tuż przed wielkim spotkaniem prawdziwych nazistów w Monachium. Goebbels już naostrzył szpony...
- Himmler wstał i podszedł do jednej z szafek, z której wyjął teczkę zawierającą kilkanaście kartek.

O ile przed minutą Schellenberg mógł jeszcze przypuszczać, że żydowski chłopak zdobył się na akt desperackiego protestu, to nagle stracił złudzenia. Jakże proste było zmuszenie go do terrorystycznego działania, skoro jego ojciec i matka pozostawali w Hanowerze, a ich życie zależało od Himmlera. Herszel mógł zdecydować się poświęcić swoje życie, aby ratować rodziców.

Himmler podał Schellenbergowi kartkę.

- Ten rozkaz zostanie jutro, a więc po wiecu w „Bürgerbrau-keller”, rozesłany do wszystkich komisariatów policji.

Schellenberg uniósł wyżej kartkę, aby padało na nią więcej światła z wagonowego okna.

93

„Berlin, nr 242 404

Do wszystkich komisariatów policji

Dowódcy i zastępcy dowódców. Tajne.

1. Demonstracje przeciwko Żydom, a zwłaszcza ich synagogom, wkrótce będą miały miejsce w całym Niemczech. Nie należy przeszkadzać w tych demonstracjach...”.

Przebiegł wzrokiem dalszy tekst i zatrzymał się przy punkcie trzecim.

„Dokonać przygotowań do aresztowania 20 000-30 000 Żydów w Niemczech (około 5000 w Austrii). Początkowo wybierać Żydów bogatych. Dalsze instrukcje przekazane zostaną w nocy”.

Himmler śledził go uważnie.

- Tak - powiedział, widząc, że Schellenberg skończył lekturę. - Jutro w nocy zaczniemy wielkie uderzenie, które przyniesie nam rozliczne korzyści. Rozgromimy Żydów, przejmujemy

ich warsztaty i sklepy, pozbawimy środków do życia i zepchniemy ich na margines naszego życia! A na koniec...

Wybuchnął śmiechem tak radosnym, jakby usłyszał najprzedniejszy dowcip. Schellenberg patrzył na niego zaskoczony. Nigdy nie widział tego wyważonego i ponurego człowieka w tak dobrym nastroju.

- Na koniec - powtórzył Himmler, wciąż się śmiejąc - minister Goring obłoży ich grzywną w wysokości miliarda marek za szkody, jakie wyrządzili narodowi niemieckiemu. Przednie, prawda?

Uniósł okulary i otarł palcem łzy, które napłynęły mu do oczu w czasie wybuchu śmiechu.

- Pana zadaniem będzie wyolbrzymienie tej akcji. Nie będzie to trudne, skoro pięćdziesiąt tysięcy Żydów zamkniemy w obozach, a inni zostaną pobici i pozbawieni majątku. To nie jest najgorsze, co może ich spotkać w przyszłości, ale chodzi o to, żeby się przestraszyli.

Żydowskie lobby we Francji i Anglii zacznie naciskać na rządy tych państw, aby ujęły się za ich krzywdzonymi siostrami i braćmi. Bo oni dobrze będą rozumieli, że to początek, a nie koniec naszej polityki wobec Żydów.

Odebrał kartkę od Schellenberga i włożył ją do teczki, którą zamknął w szafce. Wrócił na kanapę.

- Nie sądzę, żeby brytyjski premier zechciał zrobić cokolwiek, aby bronić Żydów - odezwał się Schellenberg.

94

- Ani ja - niespodziewanie zgodził się Himmler. - Musimy tworzyć odpowiednią atmosferę zagrożenia, która przekona tych wymuskanych Anglików, że my, narodowi socjaliści, jesteśmy zdolni do wszystkiego. Chcę, aby zaczęli usztywniać swoje stanowisko, a nawet zbroić się. Inaczej mówiąc, żeby nie byli takimi fajtlapami jak dotychczas.

Schellenberg nie śmiał zapytać, do czego Himmler zmierza. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, to że postanowił utrudnić działania Hitlerowi, który odnosił zbyt łatwo sukcesy. Naród wielbił swojego Führera, który mówił Niemcom: „Trzeba zmyć hańbę Wersalu” i krok po kroku realizował to hasło. A to oznaczało, że stawał się niezwyciężony dla każdego, kto chciałby zająć jego miejsce. Dlatego Himmler zaczął swą skrytą kampanię, aby podkopać jego pozycję.

Pomysł otwartego uderzenia na Żydów wydawał się bardzo skuteczny. Hitler, w swej antyżydowskiej zaciekłości, na pewno zaakceptuje taką kampanię, a pewny przewagi nad premierami Wielkiej Brytanii i Francji, nie będzie się zastanawiać, jakie wrażenie na nich zrobi krwawa rozprawa.

Taki cel kampanii zaplanowanej przez Himmlera wydawał się oczywisty. Ale pozostawało jeszcze pytanie, które Schellenberg oceniał jako bardzo ważne. Jak miał się dziwny więzień bloku „E” w Dachau do zabójstwa niemieckiego dyplomaty w Paryżu?

Nie umiał znaleźć bezpośredniego związku, choć podświadomie wyczuwał, że taki istnieje.

Himmler urastał w jego oczach do rangi geniusza intrygi, w której, jak pionkami i figurami na szachownicy, posługiwał się wywiadem, policją, tysiącami niewinnych ludzi, a nawet Hitlerem, Göringiem i Goebbelsem.

Himmler zauważył jego nastrój.

- O czym pan myśli?

- Usiłuję poskładać wszystkie elementy układanki - szczerze odpowiedział Schellenberg.

- Tak myślałem, ale niech pan tego nie robi. Jest na to za wcześnie.

Wstał z kanapy i nacisnął przycisk dzwonka umieszczony na ścianie.

95

- Sądzę, że zechce pan się odświeżyć przed przyjazdem do Monachium.

Służący stanął w drzwiach, gotów zaprowadzić Schellenberga do jego przedziału.

- Spotkajmy się za pół godziny na obiedzie w wagonie restauracyjnym.

- Tak jest. - Schellenberg skłonił się i ruszył za służącym, zadowolony, że będzie mógł przez pół godziny rozważyć w spokoju słowa Himmlera.

Czy ten biedny chłopak Herszel Grynszpan został zmuszony przez ludzi Himmlera do dokonania zamachu na niemieckiego dyplomata, aby uratować swoich rodziców? A może nie wiedział, co robi, jakby zdalnie sterowany. Jeżeli tak było, to jakie zadanie Himmler wyznaczył Johannowi?

Odsunął drzwi do swojego przedziału i położył się na wygodnej, choć wąskiej leżance.

Mglistą noc w centrum Monachium rozświetlało tysiące pochodni, jakie na Marienplatz przynieśli młodzi ludzie. Z głośników przytwierdzonych do ulicznych latarni płynęły dźwięki Horst Wessel, dzieciaki w mundurkach Hitlerjugend waliły pałkami w wielkie bębny, wybijając marszowy takt dla tych, którzy zdążyli pod średniowieczny ratusz. Monachijczycy świętowali rocznicę nieudanego zamachu stanu, który rozpoczął się 8 listopada 1923 roku na nieodległej Rosenheimer Strasse. Tamtego wieczoru Hitler w czarnym płaszczu z Krzyżem Żelaznym na piersi, otoczony przez bojówkarzy z oddziału „Stosstrupp Hitler” wtargnął do piwiarni „Burgerbraukeller”, aby wykrzyknąć na podium:

- Narodowa rewolucja rozpoczęła się! Sala jest otoczona przez sześciuset świetnie uzbrojonych ludzi i nikt nie może wyjść. Rząd bawarski i rząd Rzeszy zostały rozwiązane i zostanie utworzony tymczasowy rząd Rzeszy.

Proklamował walkę, która ledwo rozwinęła się następnego dnia, gdy na czele swoich zwolenników ruszył w stronę rządowych gmachów. Drogę zagroziła im policja. Rozległy się strzały, na bruk osunęli się zabici i ranni. Hitler ze zwichniętą nogą wymknął się z ulicznej bitwy. Zamiast o rewolucji mówiło się o piwiarnianym

96

puczu, ale nie przeszkodziło to Hitlerowi od 1933 roku obchodzić rocznicę nieudanej próby zdobycia władzy.

Schellenberg odsunął się pod ścianę, obserwując, jak na Rosenheimer Strasse zatrzymuje się kolumna samochodów. Z pierwszego wysiadł Adolf Hitler w jasnym płaszczu. Unosząc rękę, przemknął szybko wzdłuż szpaleru esesmanów i wszedł przez piwiarniane drzwi, udekorowane flagami ze swastykami i świerkowymi girlandami. Tuż przed przyjazdem do Monachium minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop poinformował go o zamachu na von Ratha.

- Żydowska świnia! - wykrzyknął Hitler o Grynszpanie. - Kto dał mu rozkaz? Kto mu zapłacił? Oni tego pożałują!

W takim nastroju przybywał do starej piwiarni, zadowolony, że będzie mógł wykorzystać nowe wydarzenie w swoim przemówieniu, choć główny atak pozostawił Josephowi Goebbelsowi, który kuśtykał tuż za nim, rozważając, co ma powiedzieć starym towarzyszom partyjnym, a co miało się odbić głośnie echem w całych Niemczech. Himmler, kroczący jako trzeci w orszaku zmierzającym do piwiarni, dostrzegł Schellenberga w tłumie i skinął, aby ten poszedł za nim.

W wysokiej sali piwiarni trudno było znaleźć wolne miejsce, z wyjątkiem wąskiego korytarzyka, jaki pośrodku utworzyli na-ziści, aby tamtędy mógł przejść Hitler. Zmierzając wprost do podium, pod girlandami świerkowych gałązek i portretami nazistów, którzy padli w pochodzie w 1923 roku.

Jego przemówienie było krótkie i dość chaotyczne. Można było odnieść wrażenie, że celem Hitlera było tylko stworzenie tła dla właściwego wystąpienia Goebbelsa. Niewiele mówił o wrogach zewnętrznych, czyli „hipokrytach z Zachodu” i „kryminalistach z Moskwy”, a skoncentrował się na ostrzeżeniu przed wrogami wewnętrznymi, czającymi się wszędzie i gotowymi uderzyć, gdy tylko nadejdzie odpowiedni moment.

Zszedł z podium wśród okrzyków i wiewatów, ustępując miejsca Goebbelsowi.

- Członkowie Starej Gwardii! - krzyknął Goebbels.

Unosił wysoko głowę, starając się w ten sposób zyskać nieco centymetrów przy jego niewielkim wzroście, ledwo przekraczającym metr pięćdziesiąt.

97

- Zebraliśmy się, aby uczcić jeszcze jeden rok rozwoju naszej partii i naszego narodu. Nasz ukochany Fiihrer powiedział, że ciągle maszerujemy i odnosimy sukcesy, ale wciąż mamy wrogów i oni ukryli się, czekając na sposobność do zaatakowania i wdeptania nas w ziemię, gdy tylko stracimy czujność.

Przerwał i uniósł kartkę, którą cały czas trzymał w dłoni.

- Dzisiaj otrzymałem wiadomość, która wskazuje, co stanie się z dobrym Niemcem, gdy na chwilę przestanie być czujny. Ernst von Rath był dobrym Niemcem, lojalnym obywatelem Rzeszy, pracującym dla dobra ludzi w niemieckiej ambasadzie w Paryżu. Czy mam wam powiedzieć, co się z nim stało? Został postrzelony.

Schellenberg odszukał wzrokiem Himmlera, stojącego z boku obok filaru, z rękami złożonymi na podołku. Uśmiechał się nieznacznie. Jego plan działał. Jakby czując wzrok Schellenberga, odwrócił się i spojrzał na niego. Niedostrzegalnie skinął głową.

- Czy muszę wam mówić, jakiej rasy jest ta brudna świnia, która dokonała tego strasznego czynu? Żyd! Pełzający, przebiegły, bez skrupułów Żyd! Teraz kłamie w więzieniu w Paryżu, twierdząc, że działał sam, że nie miał mocodawców. Ale my wiemy lepiej!

- Wiemy! Brudni Żydzi! Precz z Żydami! Zabić Żydów! - rozległo się z kilku stron sali.

To klakierzy rozpoczęli akcję. Sala podjęła ich okrzyki, ku wyraźnemu zadowoleniu Goebbelsa, który nie starał się uciszyć zebranych. Widzieli, że ich zapal zyskuje uznanie.

Wielkie gliniane kufle uderzały o białe, a ich głuchy stukot odbijał się od sklepienia piwiarni.

- Zabić Żydów! Zabić Żydów!

Okrzyki wyrównywały się z marszowym rytmem. Skandowali równo, coraz mocniej i głośniej. Byli zjednoczeni.

Himmler odwrócił się. Jego obecność nie była już potrzebna. Esesmani odepchnęli tłum, który powstał zza stołów i blokował przejście.

Tuż przy drzwiach do Himmlera dołączył Schellenberg. Szybko wyszli i wsiedli do samochodu czekającego na Rosenheimer Strasse.

- Tłum jest straszny - westchnął Himmler.

Zdjął czapkę i otarł czoło, jakby usuwając pot. Potem zerknął na zegarek, jasno oświetlony na tablicy rozdzielczej mercedesa.

98

- Pochodnia została rzucona. - Odwrócił się do Schellenberga. -Będzie z niej pożar. A my go ugasimy!

Schellenberg patrzył zaskoczony. Wydawało mu się, że przejrzał grę Himmlera, tymczasem padły słowa, które wprawiły go w zdumienie. Wciąż nie potrafił zrozumieć tego człowieka.

Himmler podał mu kartkę.

- Widział pan to w pociągu - wyjaśnił. - To rozkaz Miillera dla komisariatów policji o nieprzeszkadzaniu w pogromie Żydów, który zacznie się za dwie, trzy godziny. Niech pan to przemyci na Zachód. Potem dam panu drugi dokument. Raport o przepełnieniu obozu w Buchenwaldzie i konieczności kierowania aresztowanych Żydów do Dachau i Sachsenhausen. Schellenberg złożył kartkę.

- Chciałbym, aby przy okazji otrzymali wiadomość, że nie pochwalam tego, co stanie się w Niemczech. Dysponując moją władzą policyjną, chętnie bym temu zapobiegł i zagnał do koszar rozjuszonych bojówkarzy z SA, ale mam związane ręce.

- Tak jest - powiedział Schellenberg, uznając, że to bardzo sprytne posunięcie. Wywołać pożar i być pierwszym, który zabierze się do gaszenia.

19. Noc

Wieczór dziewiątego listopada był szczególnie nieprzyjemny. Czuło się, że śnieg i mróz nadejdą szybko.

Michał odwrócił się do okna, słysząc narastający warkot ciężarówek. Po chwili zobaczył kilka samochodów z umundurowanymi mężczyznami.

- Szturmowcy, ciekawe, dokąd tak pędzą?

Przemknęli za oknem włoskiej restauracji, do której zaprosił Urszulę.

Wybrali stolik pod oknem. Siedzieli naprzeciw, udając, że są wpatrzeni w siebie i wspominają wydarzenia sprzed lat.

- Podjęcie oferty von Blocha jest bardzo ryzykowne. On może łatwo wpaść. - Urszula zdawała się nie zwracać uwagi na

99

ciężarówki, których kolejna kolumna przejechała za oknem. - Musimy przygotować plan twojej ewakuacji.

- Nie rozważałem tego. - Michał przestał obserwować samochody i zwrócił się do dziewczyny.

- Do polskiej ambasady mogą cię nie dopuścić. Musisz przedostać się do bezpiecznego mieszkania.

- Gdzie to?

- Wynajęte na Wittestrasse 18, w północnym Berlinie. Czwarte piętro.

Wyjęła z torebki chusteczkę, aby zetrzeć odrobinę tuszu z powieki. Nawet nie zauważył, że równocześnie wyjęła klucz, który położyła pod serwetką.

- To klucz do tego mieszkania. Stamtąd masz bezpośrednio wyjście na dach. Przedostaniesz się do następnego domu do zejścia pożarowego. Nawet jeżeli obstawią dom pod numerem osiemnastym, do głowy im nie przyjdzie, aby zablokować to zejście. Tym samym kluczem otworzysz garaż na podwórku. Prawo jazdy, dowód rejestracyjny i paszport, wszystko na nazwisko Hiitte, są w skrytce. Od razu pojedziesz do Hamburga, gdzie w tawernie „Zum Fisch”, łatwo zapamiętać, odnajdziesz właściciela kutra „Amelia”. On przemyci cię przez granicę.

Patrzył na nią trochę zaskoczony, dostrzegając, jak z uroczej, nieco romantycznej dziewczyny zmieniła się w osobę skupioną i uważną, choć znakomicie to maskowała. Trzymając w dłoni pękaty kielich chianti, uśmiechała się, co chwilę zerkając na boki. Nie obawiali się podsłuchu, gdyż Michał nie rezerwował stolika w tej knajpce. Po prostu udali się na spacer i niespodziewanie weszli do restauracyjki prowadzonej przez włoską rodzinę, co dodatkowo eliminowało niebezpieczeństwo podsłuchu.

Wybrali stolik przy oknie, w oddaleniu od szafek, kredensów i żyrandoli, w których mógłby być mikrofon, a gdy usiedli, Michał przesunął dłonią pod blatem, sprawdzając, czy nie wyczuje kabli. Dopiero wtedy zaczęli rozmawiać otwarcie.

- Przecucie mówi mi, że sprawa z Dachau może mieć znaczenie równie duże jak plany mobilizacyjne.

- Być może, ale w tej chwili rozkaz jest jednoznaczny: pilnować Blocha. Wszystkie informacje na jego temat i przesyłki przekazuj przez „Skauta”.

100

- Co wiemy o von Blochu?

- Stereotyp. Pochodzi z Alzacji z rodziny o tradycjach wojskowych. Zasłużony w czasie wielkiej wojny na froncie wschodnim. Od pierwszych dni w Reichswehrze. Dowodzi korpusem, może mieć dostęp do najważniejszych planów. Rozwodnik.

Gdzieś z daleka dobiegły ich krzyki, jakby ulicznej burdy. Michał spojrział na zegarek. Dochodziła północ, więc podniósł dłoń, wzywając kelnera.

- Co się tam dzieje? - zapytał, wskazując w kierunku, z którego dochodziły hałasy.
- Posłałem chłopaka. Wrócił i mówi, że biją Żydów. Tam dalej pod numerem drugim mieszka Franz Rinkel. Porządny Żyd. Jak miałem kłopoty, to zawsze mi pożyczał pieniądze. Już tak nie będzie.

- A co mu zrobili?

- Chłopak mówi, że esesmani zmusili go do sprzedania domu i wywieźli. A teraz demolują jego sklep z antykami. Znaczą...

Przerwał, spoglądając badawczo na Michała, jakby chciał się przekonać, czy może to powiedzieć, ale uznał, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, więc wyrzucił z siebie:

- Rabują! Dranie! Nie wiem, czy kiedyś nie przyjdą do mnie. Dziś im się Żydzi nie podobają, a jutro Włosi!

Michał wyciągnął portfel i odliczył pieniądze.

- Czas, żebyśmy poszli do domu.

Uznał, że nie może narazić Urszuli na niebezpieczeństwo wciągnięcia w jakąkolwiek burdę, co mogłoby skończyć się na komisariacie policji.

Wyszli szybko na ulicę, po której niosły się piosenki wykrzykiwane przez esesmanów.

Do domu pojechali tramwajem, pustym już o tej porze. A może berlińczycy również obawiali się zamieszek i słysząc brzęk tłuczonego szkła wystaw żydowskich sklepów, błagalnie okrzyki bitych ludzi, wołanie o pomoc, nie wychodzili na ulice. Ci, którzy tam byli, umykali szybko do domów.

Przed ostatnim przystankiem znowu minęła ich ciężarówka wypełniona mężczyznami w brunatnych mundurach SA. Jeden, siedzący na szoferce machał wielką flagą ze swastyką. Inni unosili

101

kije i pałki, krzycząc coś na całe gardło. Czuli przyzwolenie na zabijanie i rabowanie.

- Policja nie interweniuje - powiedziała Urszula, patrząc przez okno.

- Nie ma ich. Zdjęli mundury i założyli cywilne ubrania. Założę się, że dostali rozkaz przyłączenia się do pogromu.

Ostatni odcinek drogi do domu przeszli pieszo po opustoszałej podmiejskiej ulicy. Tu było cicho i spokojnie. Zaczął mżyć drobny deszcz.

Michał poniósł kołnierz kurtki.

- Jutro wyjeżdżasz? Urszula zatrzymała się.

- Tak.

- Szkoda.

- Nie zaczynaj. Już słyszę, jak mówisz, że dni bez mnie staną się puste, a noce pełne tęsknoty.

Zmieszał się.

- Nie, powiedziałem tylko „szkoda”.

Obróciła się do niego i spojrzała mu w oczy. Jej milczenie stawało się dla niego bardziej wymowne niż każde słowo, jakie mogło paść.

Czyżbym się zakochał? - pomyślał. - To głupio zrobiłem. Chyba...

Wziął ją pod rękę i skręcili w uliczkę, przy której stał jego dom.

- Kiedy spotkasz się z Blochem? - zapytała. Najwyraźniej chciała rozproszyć wrażenie, które pojawiło się w tej krótkiej chwili, gdy zatrzymali się na ulicy, patrząc sobie w oczy.

- Lada dzień. Powiedział, że chciałby obejrzeć moje konie.

- Próbkę dokumentów przekaz „Skautowi”.

- On zorganizuje przerzut?

- Tak. Ale nigdy w takich transakcjach nie żądano tak wiele. Skinął głową, myśląc zupełnie o czymś innym.

102

20. Transakcja

Bloch pojawił się w stajni niespodziewanie, gdy Michał uznał już, że propozycja oddania planu mobilizacyjnego spaliła na panewce.

Wysiadł z zielonego opla, którym podjechał tuż do bramy stajni, i wszedł do wnętrza, ubrany do końskiej jazdy.

- Skąd pan wiedział, że tutaj będę? - Michał ruszył mu naprzeciw.

- Zawsze w niedzielę jest pan tutaj - Bloch wzruszył ramionami. - A gdyby pana nie było, odjechałbym. Jak pan się słusznie domyśla, wolałem nie informować pana telefonicznie o tym spotkaniu.

Rozejrzał się po stajni.

- Piękne konie. Piękne - powiedział najwyraźniej pod wrażeniem kilkunastu koni pełnej krwi.

- Te po lewej przygotowujemy do wyścigu, ale niech pan spojrzy na tego...

Michał podszedł do jednego z boksów i skinął na stajennego, aby wyprowadził Faktora.

- Niech pan spojrzy. Metr siedemdziesiąt w kłębie - powiedział z wyraźną dumą.

- Proponuje mi pan przejażdżkę na nim?

Von Bloch tworzył wrażenie człowieka, który umie docenić piękno konia i jego zalety.

Faktor, trzymany krótko przez stajennego, uderzał nerwowo kopytem o drewnianą posadzkę.

- Pod warunkiem że jest pan dobrym jeźdźcem. Faktor od razu rozpozna niewprawną rękę.

- Proszę się nie obawiać. - Bloch był pewny swoich umiejętności.

- Przygotuj go. - Michał machnął do stajennego. - Dla mnie Huragan.

Odwrócił się do Blocha.

- Zaczekamy na zewnątrz.

Przeszli kilka kroków długim korytarzem wśród boksów prowadzącym do wyjścia.

- Mam próbkę, o której mówiliśmy - powiedział nagle Bloch.

103

- To dobrze, ale cena jest zbyt wysoka.

Bloch zatrzymał się, a na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, które szybko ustąpiło miejsca złości.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, co wam zaproponowałem? Czy pan zdaje sobie sprawę, na co się zdecydowałem? Ja, potomek oficerów od sześciu pokoleń? I czym ryzykuję?!

Zorientował się, że mówi zbyt głośno i natychmiast przysunął się do Michała i ściszył głos.

- Zaproponuję Rosjanom. Wezmą z pocałowaniem ręki. Niech pan się decyduje, bo tracę czas!

- Hola! - teraz Michał podniósł głos. - Niech pan nie zapomina, że wciąż mam weksel na pana dom! A, powtarzam, cena jest za wysoka!

Bloch poprawił kołnierzyk. Zorientował się, że metoda, jaką przyjął, nie skutkuje.

- Niech pan sprawdzi próbkę, którą przywiozłem, potem pogadamy o cenie - powiedział ugodowo.

- Gdzie są papiery? - zapytał Michał, gdy wyszli przed stajnię.

- Zaszyte w rękawie mojego płaszcza.

Michał odwrócił się i odszukał ordynansa, który nakrywał stół ustawiony pod rozłożystym klonem.

- Zygmunt! - krzyknął do niego. - Weź rzeczy pana generała do pokoju gościnnego, aby mógł się przebrać po przejażdżce.

Zygmunt skinął głową. Doskonale rozumiał, co dalej ma zrobić z rzeczami generała: zanieść w bezpieczne miejsce i nie spuszczać z oka.

Stajenni wyprowadzili konie.

Generał dosiadł Faktora z elegancją i wprawą. Po sylwetce, jaką zachowywał w siodle, sposobie, w jaki trzymał wodze jedną ręką, można się było od razu zorientować, że jest wytrawnym jeźdźcem.

- Ruszaj! - Michał spiał konia ostrogami.

Wysforował się o kilka długości, ale generał dogonił go z łatwością i pomknęli przez łąkę łagodnie opadającą ku wschodowi. Szron na trawach błyszczał w promieniach słońca, wciąż nisko nad horyzontem. Zatrzymali się dopiero przy rozłożystym buku, na którym pozostały ostatnie liście. Pora roku sprzyjała obserwowaniu otoczenia, gdyż zarośla nie pozwalały już nikomu skryć się za nimi,

104

a i tak były wystarczająco daleko, by ludzie obserwujący ich nie usłyszeli rozmowy.

Generał zeskoczył z konia.

- Dawno nie jeździłem - usprawiedliwił zadyszkę. Odkaszał i poklepał ogiera. - Piękny koń.

- Panie generale - Michał też zeskoczył z konia i przywiązał wodze do gałęzi - zakładam, że dokumenty mają wielką wartość. Kiedy dostarczy pan resztę i jak przekazać pieniądze?

- Już skopiowałem i mogę oddać panu w każdej chwili. Oczywiście, po wpłaceniu pieniędzy.

- Jak?

- Konto w Szwajcarii. Gdy otrzymam potwierdzenie, że pieniądze wpłynęły, przywiozę komplet dokumentów. W miejsce wskazane przez pana. Tu - rozejrzał się po łące - jest bardzo dobre miejsce.

- Czy nie jest pan śledzony? -Ja?

Wybuchnął śmiechem, nie próbując nawet przekonywać, że wobec jego osoby kontrwywiad nie może mieć jakichkolwiek zastrzeżeń.

Michał coraz bardziej ugruntowywał się w przekonaniu, że generał jest szczerzy. Poczynając od pierwszego spotkania w kasynie, gdy widział, jak von Bloch przegrał fortunę.

Wielokrotnie obserwował takich ludzi, zatracających poczucie rzeczywistości, odrzucających wszelką odpowiedzialność w dzikim zmaganiu z losem.

Ostatnia rozmowa w stajni też zdawała się potwierdzać szczerą intencję generała, który znalazł odpowiednie dla siebie źródło dochodów.

- Mogę się jedynie obawiać, że moi szefowie nie zaakceptują tak wysokiej ceny - powiedział Michał.

Generał wzruszył ramionami

- Musi pan podać inną.

- Nie! To jest ostateczna cena! I jeszcze coś panu powiem... Generał podszedł bliżej i ściszył głos, jakby, mimo pustki, jaka

ich otaczała, obawiał się, że ktoś może usłyszeć.

- Nie opłaca się wam tracić ze mną kontaktu. Wie pan, że w przyszłości potrafię zaoferować wiele innych wiadomości. Ogromnie

105

ważnych. A sytuacja międzynarodowa staje się coraz bardziej napięta.

- Mogę powiedzieć tylko jedno: sprawdzimy autentyczność dokumentów. A teraz proponuję trasę przez las. - Michał wskazał kierunek. - Jest bardzo malownicza.

Odwrócił się, aby podejść do konia, ale generał złapał go za rękę.

- Jeszcze jedno. Czy ma pan zaufanie do Kerstin? Michał spojrzał zdziwiony na Blocha.

- Znam ją od kilku lat, ale nigdy nie myślałem o niej w kategoriach zaufania.
 - Pytam, czy nie powziął pan podejrzeń, że może być na usługach Sicherheitsdienst?
 - Nie... - Patrzył na Blocha z coraz większym zainteresowaniem. - Czy ma pan jakiegokolwiek powody, żeby o to pytać?
 - Tylko tyle, że kiedyś widziałem ją z człowiekiem z SD. Mogło to być najbardziej niewinne spotkanie, ale skoro weszliśmy na drogę, która prowadzi nas prosto na gilotynę, to wolałbym wyjaśnić wszystkie wątpliwości.
- Generał puścił ramię Michała i wskoczył na konia.
- Mówi pan, w tym kierunku?
- Zawrócił w miejscu i ruszył galopem w stronę lasu zamykającego łąkę.

21. Kod ar

Pociąg z Berlina wjechał na wrocławski dworzec dokładnie w południe. Za wysokim szklanym dachem nad peronami ciągnęły się ciężkie deszczowe chmury, które sprawiały, że listopadowy dzień wydawał się wyjątkowo ponury.

Urszula miała tylko niewielką walizkę, więc odpędziła bagażowego, który koniecznie chciał umieścić jej bagaż na wielkim wózku, i ruszyła w stronę wyjścia z peronów, gdzie przy budkach zbierał się tłum podróżnych oddających tekturowe bilety.

Wiedziała, że od chwili, gdy stanęła na peronie, jest pilnowana przez dwóch ludzi z wywiadu, mających za zadanie wykrycie

106

śledzącego ją agenta. Nie zadawała więc sobie trudu z rozglądaniem się po okolicy i próbami wyłowienia osób podejrzanych.

Stanęła w kilkunastoosobowej kolejce przed budką biletera. Mężczyzna czytający gazetę na ławce przed wejściem, czekający na kogoś, podniósł głowę i bacznie poprzyglądał się ludziom na peronie, najwidoczniej poszukując osoby, na którą czekał. Na chwilę oczy jego i Urszuli spotkały się. Na moment przymknął powieki i poprawił kapelusz. To był umówiony znak „nie jesteś śledzona”. Natychmiast zagłębił się w lekturze gazety.

Urszula oddała bilet, wyszła szybko na plac przed dworcem i widząc nadjeżdżający tramwaj numer dziesięć, pobiegła na przystanek.

Tuż za nią wsiadła kobieta z zieloną torebką, która podała pieniądze konduktorowi.

- Czy dojadę na Junkernstrasse? - zapytała.

Urszula odwróciła się, szukając miejsca. Otrzymała drugi sygnał, że nikt jej nie śledzi.

Ponadto była to dla niej informacja, że w lokalu na tej ulicy czeka na nią „Stary”.

Zastanawiała się czasami, dlaczego wybrał ten pseudonim. Miał czterdzieści siedem lat i trudno było uznać go za starego. Z gęstą czarną czupryną, ciemnym zarostem, który mimo najdokładniejszego golenia zawsze był widoczny na jego twarzy, wysportowaną sylwetką wyglądał na znacznie młodszego. Był bez wątpienia najlepszym fachowcem, jakiego spotkała. Nie znała oczywiście jego drogi zawodowej, ale budził zaufanie. Małomówny, starannie rozważał każdy krok i każde posunięcie, a w tym fachu miało to wielokrotnie cenę życia. Może dlatego w siatce we Wrocławiu, którą kierował, nie było żadnej wpadki ani nawet sygnału zagrożenia, choć przyjechał tam w 1934 roku. Znała jego nazwisko Kodar, ale nie wiedziała, czy jest autentyczne.

Usiadła przy oknie i postawiła torebkę na podłodze obok. Choć patrzyła przed siebie, ani na moment nie spuszczała z niej wzroku. W podwójnym dnie były dokumenty, które wysłannik Michała dostarczył jej do wagonu, gdy pociąg ruszał z berlińskiego dworca.

Kobieta, która pytała konduktora o Junkernstrasse, stanęła obok.

Urszula kątem oka widziała, jak stawia swoją torbę na podłodze obok. Autobus zatrzymał się na przystanku. Jacyś dwaj mężczyźni

107

przeszli obok, zwalniając siedzące miejsce. Kobieta podniosła torbę i szybko poszła w tamtą stronę. Usiadła i całą uwagę skierowała na obserwowanie tego, co działo się za oknem.

- Następny przystanek Junkernstrasse - oznajmił konduktor. Urszula odczekała chwilę i wstała. Torebka, po którą sięgnęła, była już inna niż ta, z którą wsiadła do autobusu.

„Stary” zajmował lokal na piętrze nad elegancką kawiarnią „Lothar Wende Konditorei und Cafe”.

W sieni panował miły zapach dobrych środków czyszczących, o co zapewne dbał dozorca. Marmurowe schody lśniły czystością, podobnie jak mosiężne szyldy na drzwiach, które mijiała. Zerknęła na kaloryfer na półpiętrze. Pokrętko było nastawione na trójkę, co oznaczało, że wszystko jest w porządku. Następny sygnał potwierdzający bezpieczeństwo powinien być już na samych drzwiach. Dostrzegła go z daleka, tak że w przypadku zagrożenia mogła pójść piętro wyżej, udając, że szuka kogoś. Na mosiężnej tabliczce informującej, że w lokalu tym jest gabinet dentystyczny, wisiała kartka głosząca, że tego dnia doktor przyjmuje tylko do godziny szesnastej.

Zastukała, pomimo że przycisk dzwonka był dobrze widoczny pośrodku drzwi. Otworzył jej młody mężczyzna, którego nigdy dotychczas nie widziała.

- Ja do doktora. Jestem Urszula Hanke - powiedziała.

- Była pani zapisana na pierwszą?

- Tak, jestem trochę wcześniej.

Hasła zgadzały się i mężczyzna szerzej otworzył drzwi, cofając się o krok, aby mogła swobodnie wejść do przedpokoju.

Pomimo wszystkich zabezpieczeń zawsze odczuwała nieprzyjemny skurcz serca. Wyobrażała sobie, że nagle drzwi zatrzasną się za nią, a ona znajdzie się wobec gestapowców mierzących do niej z pistoletów.

Na krześle pod ścianą siedział „Stary”, czytając gazetę, jak przystało na pacjenta czekającego na przyjęcie przez lekarza.

- Witaj - uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. - Bez przeszkód? Skinęła głową.

- Żadnych.

- Chodźmy tam - wskazał na drzwi do gabinetu.

108

Weszła do gabinetu i stanęła niezdecydowanie. Kodar wskazał na fotel.

- Masz jakieś kłopoty z zębami? - zapytał, odwracając głowę w jej stronę.

- Nie.

- Może jakiś ubytek się pojawił. Pan doktor zaraz przyjdzie, bo wolałbym, żebyś wyszła stąd jak od prawdziwego dentysty.

- Dobrze, że nie jestem w gabinecie chirurgicznym. Usiadł na kręconym krzeselku obok fotela.

- Co u naszego pięknoducha? Uwodził cię?

- Umiarkowanie.

- To dobrze, gdyż w przeciwnym wypadku musiałbym uznać, że to nie był on, a podstawili kogoś w jego miejsce. Jakie wiadomości?

- Dwie. Pierwsza, chyba nieważna, to eksperymenty w obozie w Dachau...

Kodar machnął lekceważąco ręką.

- Nas to nie dotyczy, a Anglicy i Francuzi nie chcą o tym słyszeć. Co dalej?

- Plan mobilizacyjny od „Karciarza”.

Kodar odchylił się na krzeselku i złożył ręce na piersiach.

- No! Dowódca korpusu zamierza sprzedać plan mobilizacyjny Wehrmachtu?

- Tak, za sto tysięcy marek! Kodar nagle zmienił się na twarzy.

- To niemożliwe! - krzyknął. - Nigdy tyle nie płaciliśmy!

- Ale to plan mobilizacyjny!
- Powtarzam: to niemożliwe!
- Za dwa dni powinniśmy dostać próbkę. Co, jeżeli będzie autentyczna?
- Nie za sto tysięcy!

Usiłowała coś powiedzieć, ale Kodar nie dopuścił jej do głosu.

- Obawiam się, że „Kardynał” postanowił zarobić na tej transakcji.
- Mało go znam, ale nie wyglądał na cwaniaka - nieśmiało zaprotestowała Urszula. Była przekonana, że Michała nie byłoby stać na taką grę.- A tak w ogóle, skąd pseudo „Kardynał”?

109

- Święty to on nie jest, a ma poczucie humoru. No właśnie, prowadzi bardzo wystawny tryb życia. Sytuacja w Europie stała się napięta, a wojna wisi na włosku. Być może postanowił zebrać trochę na koncie, aby wyjechać do bezpieczniejszego kraju.

- Przez „Doktora” ma przekazać próbkę. Powiedział, że decyzja należy do ciebie.
- Dobrze. Wycofuję cię z tej sprawy.

Spojrzała na niego zdumiona. Czyżby jej nie wierzył? A może podejrzewał, że Michał oczarował ją tak, że odrzuciła ostrożność, jaka zawsze powinna jej towarzyszyć?

Miała rację. Jedno zdanie rzucone w obronie Michała wystarczyło, aby Kodar uznał, że nie powinna już mieszać się do tej sprawy. Słabość była największym zagrożeniem dla oficera wywiadu.

- No dobrze - wstał z krzeselka. - Zawołam dentystę, a my spotkamy się jutro. Będę miał jakieś informacje z Warszawy.

Dentysta, który wszedł, gdy Kodar zastukał w drzwi, wyglądał sympatycznie, więc Urszula westchnęła głęboko i na wszelki wypadek zapytała:

- Obiecuję pan, że nie będzie bolało?

22. Największa tajemnica Wehrmachtu

Michał złożył gazetę i spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta, czas spotkania z doktorem Schófferem.

Dopił kawę, odliczył monety, położył je na stoliku obok filiżanki i wstał. Wskazał kelnerce, że należność zostawił na blacie, i szybko wyszedł z kawiarni.

Minął samochód, za którego kierownicą siedział Zygmunt, i skierował się do wielkich przeszklonych drzwi sklepu z odzieżą. W oddali dostrzegł Schoffera, ale nie dał tego po sobie poznać. Wiedział, że za chwilę spotkają się we wnętrzu. Co prawda podstawowa zasada szpiegowskiego fachu zabraniała umawiać się w miejscach, które, jak sklep, mogły być zamknięte w dniu spotkania, ale nie zwracał na to uwagi, gdyż przewidując to, jako miejsce rezerwowe wybrali kawiarnię.

110

- Co za spotkanie! - usłyszał głos doktora, gdy pochylił się nad gablotką z krawatami. - Jak pana noga?

- Dziękuję, kuracja bardzo pomogła.

- To dobrze, ale niech pan do mnie przyjdzie. Ekspedientka, która podeszła do nich, zawróciła, widząc gest

Michała, świadczący, że nie potrzebna mu pomoc.

- Jak materiał „Karciarza”? - Michał uniósł jeden z krawatów, aby lepiej zobaczyć jego barwy w świetle padającym z okna wystawowego.

- Piękny, bez zarzutu - odpowiedział Schoffer takim tonem, jakby doradzał Michałowi.

- No, więc kupujemy?

- Wie pan, te jedwabne krawaty są zbyt drogie. Stanowczo za drogie.

- Ale sprzedawca nie chce rozmawiać o niższej cenie. Powiedział, że z powodzeniem może sprzedać komu innemu. Na przykład jakiemuś Rosjaninowi.

Schoffer rozłożył ręce.

- Nie możemy tak postąpić! - Michał odłożył krawat i skierował swoje zainteresowanie na marynarki.

Schoffer ponownie wykonał gest świadczący, że nie on decyduje.

- A jaka cena wydaje się panu odpowiednia?

Schoffer szybko rozejrzał się dookoła i widząc, że nikt nie może usłyszeć, pochylił się nad ladą szepcząc.

- Parę tysięcy marek. Nawet nie dziesięć. Michał wyciągnął rękę.

- Kiedy mogę do pana przyjść, panie doktorze?

- Kiedy tylko uzna pan za konieczne.

- Dziękuję, myślę, że przyjdę pojutrze.

Uchylił kapelusza i ruszył do drzwi. Kątem oka dostrzegł, że doktor zdecydował się kupić jeden z jedwabnych krawatów.

Zygmunt, widząc, że Michał wychodzi ze sklepu, podjechał szybko i zatrzymał się przy krawężniku.

- Jedziemy do domu - powiedział Michał, siadając obok.

Zastanawiał się nad rozmową z generałem. Nie miał wątpliwości, że tamten nie zgodzi się opuścić cenę tak bardzo, jak tego oczekiwał doktor. Jeszcze niedawno był przekonany, że perfekcyjnie

111

rozegrał wielką partię, skłaniając von Blocha do sprzedaży wielkiej tajemnicy wojskowej. Jej zgłębienie było ogromnie ważne dla poznania niemieckich planów agresywnych, co pozwalałoby budować polski plan obronny. Zdawał sobie sprawę, że cena, której zażądał Bloch, była bardzo wysoka, ale uważał, że powinno się ją zaakceptować. Jego osąd przemienił się w przekonanie po spotkaniu z Blochem na konnej przejażdżce, gdy uznał, że generał jest szczerzy, a dostarczone dokumenty muszą być autentyczne. Potwierdził to Schóffer, przekazując wynik ekspertyzy. Na co więc szefowie wywiadu czekali? Rozumiał, że w Warszawie ruszyła biurokratyczna machina, a pozał się Boże fachowcy zaczęli deliberować i obawiając się jego sukcesu, wyszukiwać przeszkody.

- Polskie piekło - powiedział po polsku.

- Nie wiem, o czym pan myśli, ale wiem, o czym pan mówi. Dzwoniła pani Lea Niako.

- Dopiero teraz mówisz?!

- Był pan zbyt zajęty swoimi myślami, abym przeszkadzał.

- Dobrze, że w ogóle to powiedziałeś. Jedź szybciej!

- Czy mam się zatrzymać przy najbliższej budce telefonicznej?

- Dobry pomysł!

Michał rozsiadł się wygodniej. Czuł się całkowicie bezsilny wobec niezrozumiałego dla niego oporu Warszawy. Nie obchodziła ich sprawa eksperymentu w Dachau, choć on uważał, że może mieć bezpośredni związek z wielką polityką. Nie chcieli zapłacić stu tysięcy marek za największą tajemnicę Wehrmachtu.

- Dobry pomysł - powtórzył.

23. „Kardynał”

- Kiedyś spotkania z tobą były miłsze. - Urszula otworzyła drzwi do gabinetu dentysty.

Podniósł głowę znad papierów, które studiował przy niewielkim stole pod oknem.

- Widywaliśmy się w kawiarni albo na obiedzie w restauracji, a teraz zawsze w gabinecie dentystycznym - uśmiechała się, pod-

112

chodząc do Kodara. On jednak nie miał zamiaru podejmować lekkiego tonu.

- Mam informację z Warszawy - powiedział, ściskając dłoń Urszuli. - „Kardynał” jest oszustem!

Stała zaskoczona.

- Nie broń go! - uprzedził jej słowa.

- Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam zapytać, co się stało.

- Wszystkiego nie wiem, ale przysłał informację do centrali, że „Karciaz” zdecydował się sprzedać plany za pięćdziesiąt tysięcy.

- No i co z tego?

- Obniżył cenę o połowę. Wszystko to śmierdzi oszustwem. Niestety oszustwem dokonany przez naszego człowieka.

- Nie sądzisz, że to za mało, żeby zaufanego agenta oskarżać o oszustwo?

Urszula podeszła do dentystycznego fotela i usiadła.

- Powiedziałem, że wszystkiego nie wiem. Następna partia dokumentów, jakie Michałowi dał „Karciaz”, jest fałszywa.

- A więc następny zarzut: „Kardynał” jest podwójnym agentem? Kodar pokiwał głową zrezygnowany.

- Obawiam się...

- Co proponujesz?

Urszula poczuła strach. Przez moment myślała o Michale jak

o kimś bardzo bliskim, kto znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gorączkowo poszukiwała argumentów, których mogłaby użyć w obronie tego człowieka, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Obawiała się też, że zbyt gorący protest odsłoni jej uczucie i zostanie posądzona o współdziałanie. A tak miała cień szansy, że zdoła pomóc Michałowi, choć zupełnie nie wiedziała, jak tego dokonać. Jediną szansę dostrzegała w spotkaniu z nim i postanowiła w drodze powrotnej do Paryża zatrzymać się w Berlinie.

- Pozostawmy na razie sprawy swojemu biegowi - odezwał się Kodar po krótkim namyśle. - „Kardynał” otrzyma informacje, że „Karciaz” jest niewiarygodny i ma zerwać z nim negocjacje handlowe. Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro.

- Urszula - Kodar stanął przy fotelu. - Znam cię dobrze. Wiem, o czym myślisz.

113

- O! Aż tak? - usiłowała uśmiechnąć się i żartować, ale natychmiast poczuła, że zupełnie jej to nie wychodzi. Spuściła głowę. Kodar zauważył to.

- No właśnie, o tym mówię. Michał - po raz pierwszy nie użył jego pseudonimu, co zastanowiło Urszulę - ma szansę wygrzebać się z tego, a przy najbliższym pobycie w centrali może jakoś się wytłumaczyć.

- Dobrze znasz „Kardynała”? - zapytała.

- Jak zły szeląg.

24. Tajemnica Sieversa

Michał wysiadł z wagonika kolejki linowej. Było dość pusto, gdyż narciarskie warunki na Obersalzbergu tego dnia okazały się szczególnie trudne. Śnieg był twardy i pokryty cienką warstwą lodu, więc zjazd wymagał nie lada wysiłku, tym bardziej że narty, jakie wypożyczył w Berchtesgaden, nie miały dobrze naostrzonych krawędzi. Zdecydował się jednak na ten zjazd, aby sprawdzić, czy nie jeżdżąc przez ostatnie trzy lata, nie stracił tej umiejętności, która zawsze sprawiała mu wiele radości.

Uderzył kilkakrotnie końcami nart o drewniany pomost, aby zrzucić śnieg i kawałki lodu, jakie mocno przywarły do wiązań i pasków, i wbił je w kopę śniegu. Poranny zjazd miał

jeszcze tę wadę, że słońce nie zajrzało na tę stronę góry i zmarzył na kość. Powiesił kijki na nartach i schylił się, aby odpiąć paski butów. Wreszcie, uwolniwszy się od wszelkich skrępowań, jakie niosło za sobą poruszanie się po śniegu, przerzucił narty przez ramię i ruszył w stronę parkingu, na którym stało parę samochodów.

Przymocował narty paskami do bagażnika i zdjął buty, które zupełnie nie nadawały się do prowadzenia samochodu, tym bardziej że oblepiała je gruba warstwa zmarzniętego śniegu. Półbuty, leżące przez kilka godzin w bagażniku, były nieprzyjemnie zimne, ale założywszy je, poczuł ogromną ulgę, jaką daje uwolnienie stopy ze zbyt grubych skarpet i ciężkich butów ze ściętymi noskami.

114

Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta, miał więc jeszcze dwie godziny na dojazd do hotelu i przygotowanie się do kolacji. Spodziewał się, że spotka na niej Wolframa Sieverssa. Jego plany pobytu w Berchtesgaden zdradziła Michałowi Kerstin. Przyjechał tam, licząc na spotkanie z Hitlerem, po jego triumfalnym powrocie z Pragi, gdzie pozwalał się fotografować na hradezańskim zamku, gdy spoglądał na miasto podbite bez jednego wystrzału. Wracając do Niemiec, Fiihrer niespodziewanie zmienił plany i postanowił sobotę i niedzielę spędzić w swojej górskiej rezydencji na Ober-salzbergu, więc wszyscy, którzy mieli do załatwienia jakiejś sprawy, przybywali tam, licząc, że uda im się dostać do gabinetu Fiihrera i wyłożyć swoje racje.

Michał nie wiedział, co nakazało Sieversowi poszukiwać możliwości spotkania z Hitlerem, ale uznał, że może to być dobra okazja do poznania wielu tajemniczych spraw, z którymi esesman był związany.

Przejechał przez centrum miasta i skręcił do hotelu „Berch-tesgadener Hof”, brzydkiego trzypiętrowego budynku z płaskim dachem, który od strony ulicy wyglądał jak koszary strzelców górskich. Jedynie tarasy z drugiej strony łagodziły koszarowy styl budynku. Naziści przejęli go w 1936 roku i przebudowali na luksusowy dom. Zatrzymywali się w nim dostojnicy, którzy zdecydowali się tam spędzić urlop lub dla których zabrakło miejsca w górskiej rezydencji Hitlera i okolicznych budynkach.

Hotelowy boy odebrał kluczyki od samochodu, aby odprowadzić go do podziemnego garażu. Michał przeszedł przez ciężkie dębowe drzwi i znalazł się w recepcji. Oczywiście bez interwencji Kerstin nie miałby co marzyć o dostaniu pokoju w tym hotelu, a ona dostrzegła okazję spotkania kochanka, więc wstawiła się u jakiegoś hitlerowskiego dostojnika, który nakazał przydzielić Michałowi apartament.

Przez oszklone drzwi zauważył Sieverssa. Siedział z Kerstin przy stoliku pod szeroką prostokątną kolumną wyłożoną, jak wszystko w tym lokalu, jasną brzoźową boazerią. Ubrany był w tradycyjny bawarski strój: zieloną kurtkę z wyłogami, białą koszulę i skórzane spodnie do pół łydki, spod których wychodziły grube skarpety. Michał uśmiechnął się na ten widok.

Hitlerowscy dostojnicy

115

przyjeżdżający do Berchtesgaden zazwyczaj przywdziewali bawarskie stroje, wiedząc, że Hitler sam często tak się ubierał.

- Co za spotkanie! - Podeszedł do ich stolika. - Państwo też postanowili skorzystać z marcowego słońca?

Kerstin podała mu dłoń.

- Michael, co ty tu robisz? - Świetnie odgrywała rolę zaskoczonej.

- Jak widzisz, moja droga, przypominam sobie przyjemności, jakie daje jazda na nartach.

- Znacie się, panowie? - Kerstin spojrzała na Sieverssa. Ten podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę.

- Ależ tak, poznaliśmy się na przyjęciu u Göringa.

- A wciąż nie przyjechał pan na tor w Karlshorst -jakby z wyrzutem powiedział Michał.

- A powinienem?

- Mieliśmy rozmawiać o genetyce.

Sievers machnął ręką zrezygnowany. Michał zorientował się, że jest pijany, a lampka koniaku, która stała przed nim, na pewno nie była pierwsza.

- Przepraszam, pójdę się przebrać. Spotkamy się na kolacji?

Kerstin spojrzała na Sieversa, a ten skinął głową. Najwyraźniej zamierzał się upić, aby zapomnieć o problemach, które, jak przypuszczał Michał, pojawiły się po spotkaniu z Hitlerem. Propozycja dokonania tego na czyjś koszt musiała wydać się Sieversowi szczególnie pociągająca.

- O siódmej w restauracji. Zarezerwuję stolik. - Michał uklonił się i ruszył do drzwi. Był pewien, że Kerstin znajdzie jakiś pretekst, aby porozmawiać z nim, zanim dojdzie do pokoju. Nie mylił się: ledwie zdążył dojsć do recepcji, aby wziąć klucz od pokoju, dostrzegł kątem oka, jak Kerstin wychodzi z kawiarni i staje przed lustrem. Zamówił stolik na siódmą i obrócił się do niej.

- Coś nie w sosie twój towarzysz - odezwał się cicho.

- Dureń. - Wzruszyła ramionami. - Hitler ma go dość i on się tym tak przejął, że o mało nie popełnił samobójstwa. Już jest pijany, a przy kolacji wpadnie pod stół. I dobrze!

Jakby przypadkowo przesunęła dłoń po jego ramieniu.

- Noc jest nasza - szepnęła, odwracając się.

116

Patrzył przez chwilę, jak odchodziła. Wąskie narciarskie spodnie i krótki obcisły sweter znakomicie podkreślały linię jej bioder i wcięcie w pasie.

Nie miał zamiaru rozważać powabów swojej kochanki, wiedząc, że będzie miał na to całą noc. Jej słowa wydały mu się zastanawiające.

Dlaczego Sievers popadł w taki pesymizm? Cóż Hitler miał do jego badań? Był z nich niezadowolony, ale dlaczego?

Pomyślał od razu, że spotkanie przy kolacji zapowiada się nadzwyczaj interesująco.

Restauracja była jeszcze brzydsza niż kawiarnia. Żyrandole z żarówkami osłoniętymi kloszami z materiału świeciły jasno, pozbawiając lokal wszelkiego nastroju. Krzesła przy kwadratowych stolikach były niewygodne, a jasna boazeria pokrywająca ściany, prostokątne podpory stropu i sufit przywodziła na myśl bawarskie knajpy, a nie ekskluzywną restaurację. Sievers podszedł do stolika jeszcze bardziej pijany, niż był w kawiarni, choć starał się ukrywać swój stan.

- Naszej pięknej jeszcze nie ma - stwierdził z otwartością pijanego i usiadł ciężko na krześle. Wyciągnął nogi i rozparł się jak najwygodniej.

- Zacznijmy od porządnego koniaku na początek - zaproponował, podnosząc rękę, aby przywołać kelnera. Ten najwidoczniej dobrze znał zwyczaje Sieversa, gdyż widząc jego gest, skinął głową, potwierdzając, że przyjął zamówienie, i natychmiast poszedł do baru.

- Byłem dzisiaj u Hitlera - zaczął Sievers. Najwyraźniej odczuwał chęć pokazania, jak jest ważną osobą, gdyż dostęp do górskiej rezydencji „Berg Hof” na Obersalzbergu mieli tylko najbardziej liczący się dostojnicy nazistowskiego aparatu władzy. - Z Himm-lerem... - dodał. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle przerwał. Patrzył przez chwilę na Michała badawczo.

- Czy pan jest członkiem naszej partii? - zapytał.

- Nie - Michał pochylił się nad stolikiem. - Jestem natomiast jednym z członków „Koła Przyjaciół Reichsführera SS”, a mój obowiązek wobec Hitlera spełniałem, przeznaczając dużą część moich

117

dochodów na działalność partii na długo, zanim zdobyła władzę. Mogę więc powiedzieć, że zwycięstwo nazizmu jest także moją zasługą, choć nie lubię o tym mówić.

- To dobrze. - Sievers odchylił się, obserwując, czy nadchodzi kelner. Ten postawił na tacy dwie lampki koniaku i skierował się do ich stolika.

- To dobrze - powtórzył Sievers, oceniając informacje o zaangażowaniu Michała w ruch nazistowski, co mu wyraźnie zaimponowało.

Sięgnął po kieliszek koniaku i wychylił go natychmiast, zanim kelner zdążył odejść, dając natychmiast znać, żeby przyniósł następny.

- Jak rozumiem, ma pan powody, żeby fetować swoją wizytę u Fihrera. Niech mi pan powie, jaki on jest prywatnie, tu w górach, w swojej rezydencji.

Sievers machnął zrezygnowany ręką.

- Dzisiaj moje wszystkie plany wzięły w łeb! - niemalże krzyknął, zwracając uwagę najbliższej siedzących oficerów.

- Tak! - dodał równie głośno, jakby chciał ich sprowokować. - Wyprawa do Tybetu została odwołana!

- Proszę mi wybaczyć, nie rozumiem: co Fuhrer może mieć wspólnego z wyprawą do Tybetu?

- Słyszał pan o wyprawach Svena Hedina? - Sievers mówił już normalnym tonem, nie zwracając uwagi innych.

- Któż nie słyszał! Bodajże w 1925 roku do Chin...

- O właśnie! Tam, w Lou-lan, Hedin odkrył dywan sprzed dwóch tysięcy lat ze znakami swastyki i parę innych dowodów wskazujących na to, że tak dawno Germanie docierali daleko od Europy!

- Słyszałem o kamieniu w Ameryce ze znakami swastyki, co znaczyłoby, że nasi przodkowie byli tam długo przed Kolumbem...

- Tak, o ile jest autentyczny, bo w to można wątpić - przyznał Sievers z nieoczekiwaną szczerością. - Nam nie zależy na fałszywych śladach. Szukamy prawdziwych!

Znowu sięgnął po kieliszek, który kelner postawił na stoliku, ale pił już rozważniej, jakby zdając sobie sprawę, że powinien zachować resztki trzeźwości.

118

- Te dowody pozwalają pokazać naszym żołnierzom, dokąd mają iść!

- Do Tybetu daleka droga...

Sievers wykonał ruch zniecierpliwienia. Nie interesowały go plany militarnych podbojów.

- A wie pan, co dzisiaj powiedział Fihrer? - ściszył głos. - Powiedział, że nie rozumiem, dlaczego zajmujemy się badaniem czasów, w których nasi przodkowie siedzieli w jaskiniach, gdy w Grecji i we Włoszech rozkwitała kultura!

Pociągnął łyk.

- I koniec!

- Jedna wyprawa to jeszcze nie koniec badań.

- To koniec Ahnenerbe! Co gorsza, to koniec wielkiego planu!

Michał dostrzegł z niepokojem, że za szklanymi drzwiami pojawiła się Kerstin. Przychodziła w najgorszym momencie, gdyż należało się obawiać, że Sievers nie będzie chciał przy niej mówić o planach towarzystwa, którego był sekretarzem generalnym. Na szczęście zatrzymała się. Najwyraźniej rozmawiała z kimś stojącym obok i niewidocznym z miejsca Michała.

- Panu powiem, co to za plan, skoro jest pan członkiem naszego „Koła Przyjaciół Reichsfuhrera” - Sievers ściszył głos tak mocno, że Michał też musiał pochylić się, aby go dobrze słyszeć, tym bardziej że jego głos stawał się bełkotliwy. - Wybieram się na Kretę, aby podjąć tam poszukiwania legendarnego wojownika Talosa...

- Chyba mitycznego - przerwał mu Michał. - A na Kretę raczej pana nie wpuszczą. O ile wiem, generał Metaksas nie przepada za nami. Woli Anglików.

Sievers machnął zniecierpliwiony ręką.

- Pan wie, że wcześniej czy później Kreta będzie nasza, a wtedy muszę mieć środki, aby rozpocząć poszukiwania.
- Chce pan znaleźć mitologicznego wojownika? - Michał wydawał się szczerze zdziwiony, co pijany Sievers potraktował jako drwiny z jego wielkiego planu.
- A dlaczego Schliemann znalazł Troję? No? Bo uwierzył mitom.
- I pan wierzy, że Talos istniał naprawdę?

119

- Tak! - Sievers znowu podniósł głos zwracając uwagę otoczenia. - Wierzę, gdyż wszystkie opisy, jakie zebrałem, wskazują, że była to maszyna z napędem hydraulicznym.
- To wobec tego czego pan poszukuje?
- Muszę odnaleźć tę maszynę, aby odpowiedzieć na pytanie, jak nią sterowano.
- Ma pan jakieś przypuszczenia?
- Tak, mam. Uważam, że pod pancerzem był ludzki mózg!
- Potwierdzenie tej tezy byłoby odkryciem na miarę Schlie-manna. - Michał starał się, aby Sievers nie doszukał się w jego głosie ani odrobiny drwiny. - Rzuciłoby nowe światło na poziom techniki starożytnych.

- Tak jest!

- Życzę więc panu, aby te projekty znalazły zrozumienie władz.

Kerstin otworzyła drzwi i rozglądała po sali.

- Też na to liczę, zwłaszcza że Heinrich Himmler podjął decyzję o przejęciu naszej Ahnenerbe przez SS - powiedział Sievers, podnosząc kieliszek.
- A więc, za sukces Deutsche Ahnenerbe! - Michał podniósł swój kieliszek, a widząc, że Kerstin do nich zmierza, wypił szybko i wstał na jej powitanie. Miał tylko nadzieję, że Kerstin opuści ich pierwsza, a Sievers po kolejnych kieliszkach wina i koniaku, jeżeli nie zwali się z krzesła, będzie bardziej rozmowny. Nie pomylił się. Ledwo zjedli kolację, a Kerstin odłożyła serwetkę na stół.
- Wybaczą panowie, górską pogodą czasami przyprawia mnie o ostrą migrenę. Wstała od stolika. Spojrzała na Michała w sposób, w który jednoznacznie dawała do zrozumienia, że idzie do pokoju, aby na niego poczekać.
- Czy pojedziemy jutro na wycieczkę? - zwróciła się do Sieversa, który stał, chwiejąc się.
- Ależ tak - wybełkotał. Tworzył wrażenie człowieka, który natychmiast podpisałby cyrograf z diabłem, byle jak najszybciej usiąść.
- To rano przyjdź po mnie do pokoju 304. - Ponownie zerknęła na Michała, zadowolona ze sposobu, w jaki przekazała informację

120

o numerze swojego pokoju. W ten sposób nie musiał o to pytać w recepcji, co mogło wzbudzić podejrzenia, jakich bez wątpienia chciała uniknąć.

Pomachała im na pożegnanie i unosząc lekko długą suknię, zniknęła szybko za drzwiami.

- Ładna, suka. - Sievers patrzył za nią. Zwalił się na krzesło.
- Na nas też chyba czas. - Michał sprawiał wrażenie równie pijanego jak Sievers.
- Jeszcze nie - zaprotestował Sievers, co z trudem można było zrozumieć. - Jako założycielowi „Koła Przyjaciół” powiem ci coś!

Nagle zaczął mówić Michałowi po imieniu, jakby znali się od lat.

- Nadchodzi nasz czas!
- Czas zwycięstwa, do którego prowadzi nas Flihrer...
- Gówno! - przerwał mu Sievers. Znowu rozejrzał się dookoła. Wstał i natychmiast usiadł na krześle obok Michała. W ten sposób mógł mówić mu wprost do ucha.
- Do zwycięstwa poprowadzi nas nie Ftihrer, ale Reichs-fuhrer... - zaśmiał się z kalamburu. - A wiesz, dlaczego?

Michał nie odzywał się.

- Tylko wojska, które mają w sobie wiarę, zwyciężą!

Zaczął delikatnie uderzać dłonią w stół, wybijając marszowy takt.

- Bum, bum bum, maszeruje cały tłum - znowu się zaśmiał. - To daje Niemcom Hitler. I wie, co robi. Ubiera wszystkich w mundury, no nie...

Jak na stan zamroczenia alkoholowego Sievers, choć bełkotliwie, mówił bardzo logicznie. Aż Michał zastanawiał się, czy nie udaje pijanego, ale w jego obecności esesman wypił tak wiele, że nie mogło to nie pozostawić śladu.

- Takim społe...czeńs...twem - to słowo sprawiło mu szczególnie dużo kłopotu - łatwo się dowodzi, bo wszyscy poruszają się w takt marszu. Ale daleko nie zajdą. Do tego trzeba mieć wiarę!

Przerwał i rozejrzał się po sali za kelnerem, ale najwidoczniej uświadomił sobie, że już za dużo wypił, więc odwrócił się do Michała.

- To Himmler da nam wiarę! W siłę naszych przodków! Ahnenerbe.

- Wolfram - Michał uznał, że już więcej niczego się nie dowie. - Czas do pokoju.

121

Nie chciał, aby po przebudzeniu się z pijackiego transu Sievers doszedł do wniosku, że Michał wyciągał od niego tajne informacje. W dodatku nie był pewien, czy pod boazerią kolumny, przy której siedzieli, nie ma ukrytego mikrofonu, co zważywszy na charakter hotelu, było bardzo prawdopodobne.

- Nie chcę o tym rozmawiać - dodał. - Idę do pokoju. Wskazał kelnerowi, aby zapisał rachunek na jego pokój, i podniósł się.

- Ty też powinieneś iść do pokoju.

- Dobry... dobry pomysł - wybełkotał Sievers, który najwyraźniej rozważał, czy uda mu się wstać, czy też powinien położyć głowę na stole i przespać się. W tym eleganckim hotelu takie zachowanie nie należało do rzadkości.

Michał zrobił krok w stronę drzwi, ale nie przestawał bacznie obserwować Sieversa, który wstał, lecz nie miał odwagi zrobić kroku.

- Nie opuszczę cię w potrzebie - Michał wrócił do niego i ujął mocno pod rękę.

- Dziękuję, przyjacielu.

- Masz rację, Himmler da nam wiarę - powiedział Michał, gdy drzwi windy otworzyły się i wepchnął tam Sieversa.

Ten milczał przez chwilę, zbierając myśli.

- Tak - odzyskał świadomość. - Stoimy przy nim, a nasza praca temu służy!

- Mówisz o Dachau?

Sievers spojrział na niego zdziwiony.

- Skąd wiesz o Dachau?

- Jako przyjaciel reichsführera... - nie dokończył.

- To jest nasza wielka nadzieja na świat poddany naszej wierze esesmańskiej...

Dalsze słowa zamieniły się w niezrozumiały bełkot. Sievers oparty o lustro zasypiał, powoli osuwając się na podłogę.

Drzwi windy rozsunęły się. Michał przerzucił bezwładnego Sieversa przez ramię.

- Tylko nie rzygaj, kolego - mruknął po polsku. Ruszył długim korytarzem.

122

25. Tajna służba Jego Królewskiej Mości

Stewart Menzies, czterdziestodziewięcioletni wiceszef angielskich tajnych służb, podniósł głowę znad papierów, które zawsze zawały jego biurko. Każdego ranka panna Kathleen Pettigrew, nadzwyczajna sekretarka, bez której utonąłby w powodzi spraw błahych, porządkowała je starannie, kładąc na wierzchu najważniejsze, ale i tak po kilkunastu minutach wracał tam bałagan.

- To bardzo ważne. - Pettigrew stała w drzwiach, obserwując szefa, który najwyraźniej nie miał ochoty zabierać się do papierów.

W głębi duszy pozostał kawalerzystą, który w świecie brytyjskich służb specjalnych znalazł się jakby przypadkiem.

W 1915 roku jego regiment, walczący dzielnie od początku wojny we Francji, został przetrzucony w rejon miasteczka Bixschoote, gdzie zluźował oddział francuski. Tego samego wieczoru ktoś z niemieckich linii przerzucił butelkę z listem:

„Nasz batalion jest z alzackiego regimentu. Nie strzelajcie do nas, a my nie będziemy strzelać do was. Niech żyje Francja, ale Niemcy najpierw”.

Skąd Niemcy wiedzieli, że na front przybył angielski oddział? Wymiana wojsk przeprowadzana była w wielkiej tajemnicy! Menzies uznał, że jedynym sposobem uzyskania takich informacji mogło być podsłuchiwanie brytyjskich rozmów telefonicznych, i okazało się, że miał rację. Dwa dni później odkryto, że do drutów telefonicznych Niemcy podłączyli swoje przewody. Tak Menzies zwrócił na siebie uwagę i w grudniu 1915 roku rozpoczął służbę w wywiadzie kwatery głównej. Osiem lat później jego praca zyskała uznanie nowego szefa brytyjskich tajnych służb, admirała Hugh Sinclaira. Menzies szybko awansował, dochodząc do nieformalnego stanowiska zastępcy szefa tajnych służb.

Sięgnął po dokument wskazany przez sekretarkę jako szczególnie ważny.

Była to informacja od polskiego wywiadu, że w kierownictwie partii i rządu niemieckiego pojawiają się rysy.

„Istnieją wskazania pozwalające przypuszczać, że Heinrich Himmler szykuje się do przejęcia władzy, być może w formie zamachu stanu”.

123

- Dziękuję, Kathleen - mruknął Menzies. - To rzeczywiście ogromnie ważne.

- No właśnie - uśmiechnęła się panna Pettigrew i jak zwykle bezgłośnie zniknęła za drzwiami.

- Zamach stanu przygotowany przez Himmlera? - powiedział do siebie Menzies. - Niewiarygodne!

Zastanawiał się, co zrobić z taką informacją. Był to pierwszy taki sygnał. Nie mógł powiadomić o tym żadnego z polityków, gdyż fakt, że pochodził nie od ludzi jemu podlegających, był dość kompromitujący dla brytyjskich tajnych służb. A czy powinien uwierzyć w tę informację? Dotychczas nic nie wskazywało, że dojdzie do walki o władzę w gronie nazistów. Pozycja Hitlera i społeczne poparcie dla niego były tak wielkie, że nikt nie mógł rzucić mu wyzwania ani myśleć o rządzeniu. Jedynie słaba opozycja antynazistowska uważała, że może, korzystając z poparcia wojska, przejąć władzę. Jej problem polegał na tym, że generałowie nie kwapili się ponosić tak duże ryzyko. Nie widzieli też potrzeby usuwania Hitlera, który, jak uważali, ożywił gospodarkę, dał im szczególną pozycję.

Menzies podszedł do drzwi obitych skórą i uchylił je.

- Kathleen, zadzwoń do archiwum, aby przysłali mi akta sprawy „Posłaniec”.

Ta kwestia należała do kompetencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale jego podwładni zapewniali bezpieczeństwo ludziom, którzy w sierpniu 1938 roku wylądowali na lotnisku Croydon. Byli to doktor Ewald von Kleist-Schmenzin i Carl Görde-ler. Menzies dość mgliście pamiętał tematy rozmów, w których nie uczestniczył. Wiedział, że niemieccy wysłannicy zabiegali o poparcie dla spiskowców pragnących obalić Hitlera, i łączył ich głównie z grupą wojskowych skupioną wokół generała Ludwiga Becka i admirała Wilhelma Canarisa, szefa wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Czyżby to było możliwe, że za ich działaniami stał, dobrze ukryty, Heinrich Himmler? Ta myśl zrazu wydała mu się niedorzeczna. Dowódca SS, władający tajną policją Gestapo i służbą bezpieczeństwa Sicherheitsdienst, spiskujący przeciwko Hitlerowi, którego miał chronić?

Drzwi do sekretariatu otworzyły się i stanęła w nich panna Pettigrew trzymająca szarą tekturową teczkę z wyraźnym nadru-

124

kiem „Ścisłe tajne”. Przez uchylone drzwi dostrzegł pracownika archiwum, który przyniósł teczkę i pilnował, aby nie wyszła poza budynek, nawet gdy znalazła się w rękach zastępcy szefa tajnych służb.

Otworzył okładki i zaczął szybko przeglądać kartki protokołów. Były to notatki służbowe pisane przez brytyjskich polityków, którzy spotkali się z Niemcami przybywającymi w tajnych misjach do Londynu. Niemieccy politycy mówili o możliwości usunięcia Hitlera i powołania nowego rządu, ale chcieli uzyskać gwarancje, że Wielka Brytania nie wykorzysta czasowego chaosu w Niemczech, po ukonstytuowaniu się zaś nowych władz zgodzi się na pewne korekty granic, głównie kosztem Polski.

To nie były postulaty grupki idealistycznych antynazistów! Menzies po raz pierwszy uznał, że mogli być wysłannikami Himm-lera.

Przerzucił szybko pozostałe kartki, aż podniósł dokument zawierający krótką charakterystykę Carla Górdelera, jednego z tych, którzy byli najbardziej aktywni w działalności opozycyjnej. Jeżeli założenie, jakie poczynił Menzies, że tajni emisariusze pozostawali w kontakcie z Himmlerem lub wręcz go reprezentowali, jest słuszne, to musi istnieć choćby najmniejszy ślad wskazujący na ich wzajemne powiązania!

Menzies przebiegł wzrokiem dalsze linijki tekstu i zatrzymał się przy stwierdzeniu, że Górdeler prawdopodobnie doradza Himm-lerowi w sprawach finansowych.

Złożył starannie wszystkie kartki i położył teczkę na biurku. Miał pewną świadomość, że uchwycił za koniec liny, ale zupełnie nie wiedział, dokąd ona biegnie i co może być na drugim końcu. Udział Himmlera w antyhitlerowskim spisku wydawał mu się nadzwyczaj mało prawdopodobny, ale materiały, które miał na biurku, wskazywały na coś innego.

Mógł zrobić tylko jedno: czekać!

125

26. SD atakuje

- Cofnij!

Schellenberga zainteresowały słowa, które usłyszał w słuchawkach podłączonych do magnetofonu. Przysłuchiwał im się uważnie.

Pijacki bełkot Sieversa, a potem słowa Sosnowitza.

Schellenberg zdjął słuchawki.

- Czyżby powiedział coś po czesku albo polsku? Jakieś przekleństwo?

Wstał od biurka i sięgnął po papierosa.

- Daj te ostatnie słowa tłumaczowi polskiemu. To może być coś ważnego.

Zapis rozmowy pijanego Sieversa i Sosnowitza w windzie poruszył go. Esesman zdradzał największą tajemnicę, która zmroziła Schellenberga. Przypuszczał, że takie mogą być zamiary Himmle-ra, ale nigdy nie znalazł na to potwierdzenia. Słowa Sieversa już nie pozostawiały wątpliwości.

Problem polegał na tym, że Sosnowitz uzyskał potwierdzenie eksperymentów w Dachau.

- Kiedy dokonano tego nagrania? - zwrócił się do Naujocksa, który wciąż ze słuchawkami na uszach usiłował zrozumieć ostatnie słowa zarejestrowane przez mikrofony w windzie hotelu „Berchtes-gadener Hof”.

- Dwudziestego marca - odpowiedział Naujocks i ponownie założył słuchawki.

Schellenberg zastanawiał się nad następnymi krokami, jakie powinien podjąć. Sosnowitz uzyskał potwierdzenie eksperymentów w Dachau trzy dni temu. Należało przypuszczać, że zdołał już tę wiadomość przekazać do Warszawy lub nawet Londynu. Nie można było dłużej czekać.

- Trzeba go zdjąć! - zwrócił się do Naujocksa.
- Już chyba wiem, co to za słowa. - Naujocks nie słysząc Schellenberga, uśmiechnął się i zdjął słuchawki.

-No?

- Żeby się nie porzygał! Zaczął śmiać się głośno.

126

26. SD atakuje

- Cofnij!

Schellenberga zainteresowały słowa, które usłyszał w słuchawkach podłączonych do magnetofonu. Przysłuchiwał im się uważnie.

Pijacki bełkot Sieversa, a potem słowa Sosnowitza.

Schellenberg zdjął słuchawki.

- Czyżby powiedział coś po czesku albo polsku? Jakieś przekleństwo?

Wstał od biurka i sięgnął po papierosa.

- Daj te ostatnie słowa tłumaczowi polskiemu. To może być coś ważnego.

Zapis rozmowy pijanego Sieversa i Sosnowitza w windzie poruszył go. Esesman zdradzał największą tajemnicę, która zmroziła Schellenberga. Przypuszczał, że takie mogą być zamiary Himmlera, ale nigdy nie znalazł na to potwierdzenia. Słowa Sieversa już nie pozostawiały wątpliwości.

Problem polegał na tym, że Sosnowitz uzyskał potwierdzenie eksperymentów w Dachau.

- Kiedy dokonano tego nagrania? - zwrócił się do Naujocksa, który wciąż ze słuchawkami na uszach usiłował zrozumieć ostatnie słowa zarejestrowane przez mikrofony w windzie hotelu „Berchtes-gadener Hof”.

- Dwudziestego marca - odpowiedział Naujocks i ponownie założył słuchawki.

Schellenberg zastanawiał się nad następnymi krokami, jakie powinien podjąć. Sosnowitz uzyskał potwierdzenie eksperymentów w Dachau trzy dni temu. Należało przypuszczać, że zdołał już tę wiadomość przekazać do Warszawy lub nawet Londynu. Nie można było dłużej czekać.

- Trzeba go zdjąć! - zwrócił się do Naujocksa.

- Już chyba wiem, co to za słowa. - Naujocks nie słysząc Schellenberga, uśmiechnął się i zdjął słuchawki.

- No?

- Żeby się nie porzygał! Zaczął śmiać się głośno.

126

- Nasz dzielny Sievers uchlał się jak świnia i gadał, komu popadnie, o największych tajemnicach SS. Powinien zostać rozstrzelany.

- Nie zrobimy tego z tych samych powodów, dla których oszczędzimy Sosnowitza i wydamy go Polakom, zamiast wrzucić pod pociąg.

-Już?

- Tak, dalsza zwłoka staje się niebezpieczna. Bo on jest zbyt niebezpieczny. Przygotuj akcję. Dzisiaj wieczorem chcę poznać jej szczegóły.

Naujocks zasalutował.

- Czekaj! - Schellenberg jakby sobie o czymś przypomniał. Rozważał przez chwilę plan i wreszcie wskazał krzesło, zapraszając Naujocksa, aby ponownie zajął miejsce.

- Mamy trzech angielskich agentów pod kontrolą...

- Tak jest!

- Czy któryś często podróżuje, może dyplomata...

- „Grizzly”

- Co to?

- Zwalisty chłop, dlatego tak go nazwaliśmy. Pracownik towarzystwa żeglugowego. Namierzyliśmy go w Hamburgu, jak przekazywał materiały kapitanowi angielskiego statku. Groźny!

- Czyli wiarygodny dla Anglików. To dobrze.

- Bez wątplenia. Ostatnio... zdobył plany nocnych urzędzeń celowniczych, nad którymi pracują u Heinkla.

- Wprowadź do akcji naszą tancerkę z „Bilbao”...

- Lea Niako - podpowiedział Naujocks

- Tak, niech oczywiście pójdzie z nim do łóżka. Jak najszybciej. Gdy dowie się, że on jako pracownik linii żeglugowych ma możliwość przemycenia dużej kwoty pieniędzy, to poprosi go o pomoc w wywiezieniu stu tysięcy marek. I oczywiście zdeponowaniu w zagranicznym banku.

- Nie widzę trudności. - Naujocks wstał z krzesła. Jeszcze przez chwilę czekał na dalsze polecenia, ale widząc, że Schellenberg zajął się papierami, odwrócił się do wyjścia.

127

27. Nocny wypad

Naujocks bujał się na krześle przy swoim biurku, zerkając co chwila to na zegar na ścianie, to na telefon. Od dawna czekał na wiadomość, która miała nadejść lada chwila. Ale oczekiwanie przedłużało się.

Esesman siedzący na krześle pod ścianą cmoknął. Wsunął paznokciec kciuka między zęby, usiłując wydobyć resztkę jedzenia, która tam utkwiała. Znowu cmoknął kilka razy, co zdenerwowało Naujocksa.

- Nie masz wykałaczkę?

Esesman spojrzał na niego zdziwiony tym pytaniem.

- Skórka od jabłka, cholera - wyjaśnił.

Naujocks odchylił się i podjął bujanie na krześle, jedyne zajęcie, które uspokajało go i pozwalało cierpliwie czekać na wiadomość.

Nie bał się zadania, ale niepokoiła go możliwość porażki.

Zerwał się z krzesła i podszedł do dużej mapy Berlina, zapominając, że kilka minut wcześniej stał przed nią i po raz setny analizował trasę przejazdu kilku samochodów, które oczekiwały na dziedzińcu kwatery Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse.

Wywiadowcy, którzy wcześniej zajęli miejsca, meldowali, że „obiekt” dotarł do domu godzinę temu i jest tam cały czas.

Odwrócił się do krzesła i wtedy zadzwieczał telefon. Jednym skokiem dopadł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Naujocks - niemalże krzyknął do mikrofonu.

- Schellenberg - usłyszał. - Możecie wyruszać.

Naujocks spojrzał na esesmana, który zerwał się z krzesła, i skinął głową, dając mu znak, żeby zebrał swoich ludzi, czekających w korytarzu na dole. Ten zsalutował i wybiegł z pokoju.

- Około półtorej godziny temu otrzymał dokumenty i bez wątplenia ma je przy sobie - mówił Schellenberg. - Z obserwacji wynika, że nie mógł ich ukryć. Musisz je znaleźć, choćbyś miał cały dom rozebrać do ostatniej cegły.

- Tak jest! Ale...

- Co?

- Czy nie możemy zwinąć go rano, gdy będzie wychodził z domu? Prostsze byłoby.

128

- Nie! Chcę go mieć całkowicie zaskoczonego i nieprzygotowanego do obrony. W przeciwnym wypadku może ukryć dokumenty i diabli wiedzą, co jeszcze.

- Tak jest!

Naujocks zamierzał odłożyć słuchawkę, ale usłyszał jeszcze głos Schellenberga.

- Jesteś odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. Musi pozostać żywy. Za każdą cenę!

- Tak jest! - powtórzył i słysząc trzask przerwanej linii, odłożył słuchawkę.

W korytarzu na dole czekało sześciu gotowych do bojowej akcji esesmanów w hełmach.

- Broń załadowana? - zwrócił się do dowódcy.

- Tak jest!

- Rozładować!

Dowódca patrzył na niego ze zdziwieniem. Otworzył usta, niepewny, czy Naujocks nie żartuje.

- Ależ... - usiłował coś powiedzieć.

- Rozładować - krzyknął Naujocks. - Aresztowany musi przeżyć, choćby miał was wszystkich powystrzelać. Zrozumiano?

- Tak jest!

Dowódca machnął do żołnierzy, którzy wyjęli magazynki z pistoletów i zaczęli wyłuskiwać z nich naboje.

Naujocks spojrział na zegarek. Minęła godzina pierwsza w nocy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Generał przekazał Sosnowitzowi dokumenty tuż przed północą, co dawało gwarancję, że nie będzie jeździł z nimi gdzieś, gdzie mógłby je ukryć. Jak wynikało z meldunków agentów obserwujących Sosnowitza, rzeczywiście pojechał wprost do domu i cały czas miał przy sobie teczkę z dokumentami, których posiadanie stanowiło dowód jego działalności szpiegowskiej. Było wystarczająco późno, aby natychmiast poszedł spać, więc zaatakowany około godziny trzeciej nad ranem nie powinien stawiać oporu.

- Buty obwiązać szmatami - rozkazał Naujocks. - Atakujemy willę w ogrodzie, gdzie są dwa psy. Ich szczekanie zaalarmuje domowników, dlatego trzeba je uciszyć. Który ma słoik z zapachem suki?

129

Jeden z esesmanów wystąpił z szeregu.

- Najpierw ty odciągniesz psy na drugą stronę. Tam ty i ty - wskazał na drugiego esesmana - wykończycie je gazem. Na znak wy trzej podejdziecie do drzwi frontowych, a was dwóch obstawi wyjście kuchenne. Innego wyjścia z tego domu nie ma. Drzwi frontowe otworzycie tym kluczem...

Naujocks wyjął klucz z kieszeni i wręczył jednemu z esesmanów, który wyglądał na najbardziej rezolutnego.

- Agenci, którzy obserwują dom, poinformują was, w którym pokoju przebywa Sosnowitz. Najpewniej - w sypialni. To jest na pierwszym piętrze. Spróbujcie obezwładnić go w łóżku. Możecie go bić, ale nie wolno go zabić. To cenna zdobycz! Zrozumiano?

Gromkie „tak jest” zabrzmiało w wąskim korytarzyku jak karabinowy wystrzał.

- Oprócz niego będzie służący, prawdopodobnie w pokoju na poddaszu. Ty i ty - wskazał na dwóch esesmanów - wbiegniecie tam i obezwładnicie go. Gdyby się stawiał - zabijcie.

Naujocks spojrział na zegarek.

- Wyruszamy za pół godziny w samochodach osobowych. Kierowcy wiedzą, gdzie mają się zatrzymać: dwie przecznice od atakowanej posesji. Wykonać!

Zszedł powoli schodami prowadzącymi na dziedziniec, gdzie stało kilka samochodów osobowych z przysłoniętymi reflektorami. Wsiadł do pierwszego i spokojnie czekał, aż esesmani obwiążą buty szmatami. Uznał, że to dobry pomysł, gdy zobaczył ich w drzwiach.

Wyglądali komicznie w wysokich, wypolerowanych na błysk czarnych butach, na których dole były przewiązane białe szmaty. Ale szli niemalże bezgłośnie.

Naujocks wcisnął niedopałek do popielniczki.

- Jedziemy - powiedział do kierowcy.

W spokojnej willowej dzielnicy panowała całkowita cisza i warkot kilku samochodów mógłby wzbudzić zainteresowanie, więc ostatnie kilkadziesiąt metrów przejechali z wyłączonymi silnikami.

Do samochodu Naujocksa podszedł mężczyzna w skórzanym płaszczu.

Stuknął obcasami i podniósł wysoko rękę do góry. Miał już ochotę krzyknąć „Heil Hitler”, gdy Naujocks zasyczał.

130

- Ciszej do cholery, gdzie was szkolono?

Ten miał zamiar odpowiedzieć, lecz Naujocks uprzedził go.

- Meldować!

- Wszystko na swoim miejscu. Około wpół do drugiej zgasło światło w sypialni na pierwszym piętrze. Kilka minut później na poddaszu, w pokoju służącego.

-Psy?

- Biegają po ogrodzie.

Naujocks odwrócił się do grupki esesmanów.

- Zaczynać!

Dwaj pierwsi cicho i sprawnie podbiegli do kutych prętów ogrodzenia. Po drugiej stronie natychmiast przypędził owczarek. Nie zbliżył się do ogrodzenia, choć widać było, że gotów jest do ataku, gdyby ktokolwiek usiłował przeskoczyć przez płot. Z jego pyska wydobywał się jedynie ostrzegawczy warkot, ale nie szczekał.

Naujocks obserwujący go zza rogu syknął do gestapowca w skórzanym płaszczu:

- Gdzie jest drugi pies?

- Melduję, że są dobrze wyszkolone. Nie atakują razem.

- Usuńcie je!

Gestapowiec przy ogrodzeniu wydobył ze słoika szmatkę nasączoną wonią suki i ciągnąc ją tuż przy prętach, wywabiał psa dalej od domu. Ten, wiedziony instynktem, biegł posłusznie za nim. Po chwili zniknęli za rogiem i dał się słyszeć krótki skowyt, a minutę później drugi, świadczący, że dwa psy nie bronią już domu.

Naujocks spojrział na okna. Nikt nie usłyszał skomlenia. Podniósł rękę, dając znać gestapowcom, że mają atakować.

Pobiegli bezgłośnie, jeden za drugim, przez furtkę, którą ktoś otworzył podrabianym kluczem, i rozdzielili się na dwie grupy.

Alarmowy dzwonek, uruchomiony przez otwieraną furtkę, obudził Michała. Usiadł na łóżku, wyrwany z pierwszego mocnego snu, nie wiedząc, co się stało. Dopiero po kilku sekundach natarczywy dźwięk uprzytomnił mu, że ktoś wszedł do ogrodu. Spojrział na zegarek. Minęła godzina trzecia, więc nie mógł to być nikt przypadkowy. Zerwał się z łóżka i podbiegł do okna, rozumiejąc, że ma

131

jeszcze kilka minut, zanim napastnicy zdołają sforsować masywne drzwi wejściowe wzmocnione stalowymi sztabami. Na zewnątrz nie widział nikogo, a na ulicy przed domem nie było żadnego samochodu. Przez moment pomyślał, że alarm mogło wywołać złe działanie mechanizmu przy furtce, ale natychmiast powróciła świadomość, że najgorszym błędem jest lekceważenie zagrożeń.

Dokumenty, które tej nocy odebrał od von Blocha, schował do sejfku ukrytego pod deskami podłogi na parterze. Złodzieje nie mogli go znaleźć, a otwarcie zajęłoby im dużo czasu.

Narzucił szlafrok.

Usłyszał kroki na schodach prowadzących na poddasze. Najwidoczniej Zygmunt, usłyszawszy dzwonek, schodzi, aby sprawdzić powód alarmu.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z hukiem wyłamywanego zamka i do sypialni wtargnęli dwaj esesmani z pałkami.

Michał zdołał schylić się i uniknąć pierwszego ciosu, ale tuż potem poczuł potężne uderzenie w twarz. To drugi esesman kopnął go w brodę, pozbawiając przytomności.

Naujocks powoli wszedł na górę, mijając na schodach esesmanów, którzy sprowadzali skutego Zygmunta. Z rozciętej głowy spływała mu strużka krwi.

Zobaczył wyważone drzwi i wszedł do sypialni. Michał, z rękami skutymi kajdankami na plecach, leżał twarzą do podłogi, a dwaj esesmani stali nad nim. Nie widać było śladów walki. Naujocks spojrzał na nich pytająco.

- Butem w mordę dostał - wyjaśnił jeden z nich. - Obudzić?

Naujocks pokręcił głową. Rozejrzał się po pokoju urządzonej ze smakiem i elegancją.

Wygodne szerokie łóżko z nocnymi szafkami po bokach, reka-miera, na której leżało ubranie, stolik z radiem.

Podszedł do bocznych drzwi. Za nimi była obszerna garderoba bez okna. Drugie drzwi prowadziły do dużego pokoju kąpielowego. Żadne z tych pomieszczeń nie wydało mu się godne bliższej penetracji, więc usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

Michał poruszył się. Usiłował się podnieść, ale esesman postawił mu nogę na głowie i przycisnął do podłogi. Puścił dopiero po dłuższej chwili na znak Naujocksa.

132

- Niech pan nie wykonuje żadnych gwałtownych ruchów - ostrzegł Naujocks. - Tylko będzie bolało. Chce pan rozmawiać?

- To napad! - Michał znowu podniósł głowę, ale natychmiast esesman przygniół go do podłogi.

- Ostrzegałem - powiedział Naujocks. Podniósł się, podszedł do Michała i kopnął go z całej siły w bok. Głuchy jęk potwierdził, że kopniak był bolesny.

- Chyba nie złamałem panu żeber, panie Sosnowitz. - Naujocks wrócił na łóżko. - Zależy nam, żeby nie zrobił pan sobie krzywdy, więc proszę się nie ruszać, tylko odpowiadać na pytania.

Zdusił papierosa na podłodze.

- Gdzie są papiery, które pan przyniósł w nocy do domu? Michał nie odpowiedział.

- Panie Sosnowitz, milczenie, a tym bardziej kłamstwa, nie mają sensu.

Odczekał chwilę, ale nie słysząc odpowiedzi, ponownie podszedł do Michała. Tym razem jednak pochylił się tylko nad nim.

- Była to część planu mobilizacyjnego Wehrmachtu, który generał von Bloch chciał panu sprzedać za sto tysięcy marek. Niech pan spojrzy.

Naujocks wyjął z kieszeni zdjęcie przedstawiające Michała i von Blocha przy stoliku w restauracji „Esplanada”. Michał z trudem uniósł głowę. Policzek bardzo spuchł, a z rozciętych warg płynęła krew i kapiała na podłogę.

- O, stało się to wtedy...

Odczekał, aż Michał przyjrzy się zdjęciu, i dodał:

- Wasza rozmowa została nagrana. Schował pan dokumenty do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Rozejrzał się po pokoju i wskazał na marynarkę leżącą na re-kamierze.

- Tej marynarki. Dokumenty są w tym domu i musimy je znaleźć, choćbyśmy mieli rozebrać cały budynek. I znajdziemy! No, więc...

Michał poruszył spuchniętymi wargami.

- Nie słyszę... - Naujocks podszedł bliżej i pochylił się.

- Dobrze.

Na znak Naujocksa esesmani podnieśli Michała. Zdawał sobie sprawę, że dalszy opór nie ma sensu. Wiedzieli wszystko, więc

133

tylko kwestią czasu pozostawało sprowadzenie specjalistów od rewizji, a ci znaleźliby sejf w ciągu godziny. Zastanawiało go tylko, jak zdołali wpaść na trop całej transakcji. Kto zdradził generała i jego? Jeszcze bardziej zastanawiające było to, że ten gestapowiec nie mówił o generale z nienawiścią charakterystyczną dla ludzi z tej służby: „zdrajca”, „sprzedawczyk”, „ta świnia, która zhańbiła niemiecki mundur” i tak dalej.

Uznał, że milczenie ściągnie na niego kolejne razy, które osłabiają go już na samym początku zaczynającej się walki.

- Dobrze, pokażę, ale chcę się przebrać.

Naujocks wykonał gest świadczący, że nie ma nic przeciwko temu.

Esesmani rozkuli go i, bacznie obserwując, gotowi do natychmiastowego ataku, pozwolili założyć spodnie, koszulę i marynarkę. Potem niezwłocznie wykręcili ręce do tyłu i założyli kajdanki.

Zeszli na parter, gdzie w przedpokoju stał Zygmunt z rękami opartymi o ścianę.

- On jest niewinny - powiedział Michał, mijając ordynansa. - Nic nie wie.

- Skoro tak, to go puścimy. Naujocks zatrzymał się przy Zyguncie.

- Idź sobie - nakazał.

Zygmunt spojrzał na niego zdziwiony.

- No, idź - powtórzył Naujocks, wskazując na drzwi. Zygmunt opuścił ręce i niepewnie, patrząc to na Naujocksa, to

na Michała, szedł w stronę drzwi. Gdy je otworzył, Naujocks wyjął pistolet z kabury i strzelił dwa razy. Zygmunt zwał się na podłogę. Nie żył.

- Zastrzelony w czasie próby ucieczki - stwierdził spokojnie Naujocks, chowając pistolet.

- Ty draniu! - Michał rzucił się do przodu, ale esesmani schwycili go mocno za ręce i podciągając, zmusili do klęknienia.

- Dlaczego?! On był niewinny!

- Był nam niepotrzebny. A ty...

Podszedł do Michała wciąż zmuszonego do klęczenia i pochylił się.

- ... wiesz już, że nie żartujemy. Gdzie dokumenty?

134

Esesmani podnieśli Michała i wprowadzili do niewielkiego gabinetu.

- Tam jest sejf - Michał wskazał na miejsce w podłodze przy bibliotece, zasłonięte dywanem. Naujocks nogą odsunął dywan i spojrzał na Michała.

- Trzeba nacisnąć.

Panel podłogi wypchnięty sprężyną uniósł się, ujawniając okrągłe drzwiczki z pokrętkiem.

- W lewo trzydzieści dwa, w prawo piętnaście, w lewo osiem - Michał podał szyfr.

Naujocks skinął na jednego z esesmanów, aby wyjął dokumenty, a sam podszedł do Michała.

- To dobrze, że zdecydował się pan z nami współpracować. Oznacza to, że zasłużył pan na odpowiednie traktowanie. Nie będziemy pana męczyć.

Odwrócił się do żołnierzy.

- Zabrać go!

Przy wyjściu Michał zatrzymał się na moment, patrząc, jak policjanci zawijają ciało Zygmunta w brezentową płachtę. Pochylił głowę. Spędzili ze sobą wiele lat. Najpierw walcząc z bolszewikami od Kijowa po Warszawę. Zygmunt był wówczas szesnastoletnim chłopakiem z podpoznańskiej wsi, który uciekł z domu, żeby walczyć o Polskę.

- Do powstania nie wzięli, bo powiedzieli, że za młody i za mały. To poszedłem na wschód - wyjaśniał swoją obecność pod Kijowem.

Nie nadawał się do wojaczki. Nigdy nikogo nie zabił, gdyż, jak mówił, „tylko Bóg może odbierać życie”, a w wojsku chciał służyć. Dlatego Michał, dowodzący wówczas szwadronem kawalerii, przyjął go na swojego ordynansa. I tak pozostało. Cichy i pobożny, był po poznańsku sumienny. A przede wszystkim całkowicie lojalny. Zamieszkał z Michałem w Warszawie, aby „pan porucznik całkowicie w pogoni za spółniczkami się nie zatracił, a Boże broń, nie ożenił, bo by kobietę unieszczęśliwił”. Wreszcie, gdy postanowiono Michała wysłać w misji specjalnej do Niemiec, pojechał z nim.

Esesman idący za Michałem pchnął go mocno, zmuszając, aby jak najszybciej doszedł do policyjnej karetki, stojącej przed bramą.

135

W metalowym pudle, gdzie po obydwu stronach pod ścianami były drewniane ławki, oświetlonym małą lampką za gęstym metalowym kloszem, cuchnęło moczem i krwią. Usiadł w kącie, najwygodniej jak pozwalały mu na to ręce skute za plecami. Odnosił wrażenie, że samochód w ogóle nie miał resorów, gdyż na każdym wyboju rzucało nim niemiłosiernie.

Kto go zdradził? Bloch? Kontrwywiad mógł złapać go na kopiowaniu tajnych dokumentów i zmusić do współpracy. To wydawało się prawdopodobne, ale do mieszkania Michała wpadli funkcjonariusze Sicherheitsdienst, a nie Abwehry. Czyżby więc Bloch był ich agentem, podstawionym już w kasynie? Generał w służbie SD?! Wydawało mu się to absolutnie niemożliwe.

Samochód zahamował. Przez sekundę Michał pomyślał, że została podjęta próba odbicia go, ale natychmiast pozbył się tej nadziei. Któż mógłby stanąć w jego obronie? Doktor Schöffler jutro zorientuje się, że stało się coś niedobrego. Potem zadzwoni jego pielęgniarka, przypominając o umówionej wizycie, a skoro nikt nie podniesie słuchawki, stanie się jasne, że Michał został aresztowany.

Samochód ruszył gwałtownie, rzucając Michała na ścianę.

Powróciła myśl, że to Bloch zdradził i musiał być podstawiony przez SD. Zaczął przypominać sobie okoliczności, w jakich poznał generała.

Kasyno, w którym jemu sprzyjało szczęście, dając trzydzieści pięć tysięcy marek wygranej. Z kim wtedy był? Przeszłość nie była zbyt odległa, więc łatwo uprzytomnił sobie, że to Kerstin namówiła go do zabawy w hazard. Ona też poznała go z generałem. Nie! Nagle skojarzył, że widząc von Blocha w smokingu przy stole ruletki, zastanawiał się, skąd go zna. Potem już o tym nie myślał. A przecież widział go na zdjęciu! Natychmiast pojawił się obraz tamtej nocy, gdy leżąc z Leą w łóżku, w jej mieszkaniu, dostrzegł jej zdjęcie z generałem. Ostrość, z jaką zobaczył cały układ, wstrząsnęła nim.

To Lea została podstawiona tylko po to, aby w najbardziej naturalny sposób zwrócić jego uwagę na generała. Uwiarygodnić cechy jego charakteru. Łatwiej uwierzył, że tak wysoki oficer jest hazardzistą i hulaką. Spełniła swoje zadanie. Może dlatego więcej

136

się z nią nie spotkał, co, jak tłumaczyła jej służąca, wynikało z długiego tournée artystycznego panienki. A Kerstin? Czy ona również brała udział w tej grze SD przeciwko niemu?

Za dużo pytań.

Dotknął palcami opuchlizny na policzku. Obrażenie wydawało się dość powierzchowne. Nie sądził, aby but esesmana naruszył kość policzkową, ale bolało. Podobnie jak opuchnięta warga, na której zakrzepła krew.

Ambulans zatrzymał się ponownie. Usłyszał zgrzyt otwieranej bramy i po chwili ruszyli. Gdzie się znaleźli? To nie mogło być więzienie. Postój trwał zbyt krótko, jak na wjazd do więzienia, gdzie nie obeszloby się bez sprawdzenia dokumentów.

Znowu zatrzymali się na krótko. Potem samochód przejechał niedługi odcinek, aby stanąć na dobre.

Drzwi otworzyły się i w świetle silnych żarówek Michał zorientował się, że stoją w długim korytarzu, kończącym się ślełą ścianą. Jeden ze strażników dał znać, że ma wysiąść.

Zeskoczył na betonową posadzkę. Ktoś ujął go pod rękę i skierował do metalowych drzwi z boku. Kolejny wąski korytarz oświetlony lampami przy suficie prowadził do jedynych drzwi z judaszem. Strażnik idący przed nimi otworzył je dużym kluczem. Wyglądało to na więzienie, ale Michał nie mógł pozbyć się uczucia, że w więzieniu nie jest.

Pomieszczenie, do którego go wprowadzono, było dość duże i na pierwszy rzut oka robiło niezłe wrażenie. Może dlatego, że było jasno oświetlone, a żółta lamperia i beżowa farba na ścianie wydawały się przyjemne i czyste. Pod jedną ścianą stała drewniana prycza, przykryta szarym kocem. Pod drugą była umywalka i sedes bez deski. Na stoliku pod oknem, szczelnie zamkniętym drewnianą okiennicą, stał cynowy kubek oraz kilka książek.

Strażnik zdjął mu kajdanki. Po chwili usłyszał odgłos zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Został sam.

Położył się na pryczy. Nie miała siennika, a koc, nawet poczwórnie złożony, w niewielkim stopniu łagodził twardość desek. Nie sądził jednak, że jest to najgorsze, co może go tutaj spotkać.

Odnosił wrażenie, że przywieziono go do jakiegoś tajnego więzienia Gestapo, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego nie do Moabitu, gdzie

137

z reguły więziono takich ludzi jak on. Być może miało to związek ze śledztwem, jakiemu zamierzano go poddać.

Rozluźnił mięśnie. Ból z policzka promieniował na całą głowę.

Pomyślał, że najlepiej byłoby, gdyby zdołał zasnąć. Choć na kilkanaście minut. To byłoby najlepsze, co mógłby zrobić w takiej sytuacji. Ale sen nie nadchodził.

- Starzeję się - pomyślał.

W 1920 roku, schwytany i pobity przez Kozaków, spał całkiem dobrze w chlewku, gdzie zamknięto go wraz z kilkoma żołnierzami. Mieli zostać rozstrzelani o świcie, ale wypad oddziału polskiej kawalerii przepędził bolszewików i przyniósł mu wolność.

- Tak - pomyślał - ale było to osiemnaście lat temu.

Mijały godziny, a na korytarzu panowała całkowita cisza. Nie słyszał żadnego odgłosu, co niepokoiło go szczególnie. Dostrzegał jedynie, że co pewien czas kłapka judasza uchyla się i ktoś sprawdza, jak zachowuje się więzień. Dopiero po wielu godzinach zgrzytnęła zasuwka i w drzwiach stanął oficer, który go aresztował.

Rozejrzał się po celi, jakby był tam pierwszy raz, i usiadł przy stole.

- Mogę powiedzieć, że pana warunki życia się pogorszyły - uśmiechnął się.

Michał podniósł się z pryczy i usiadł na brzegu.

- Nie jestem zbyt rozmowny - wskazał na opuchniętą twarz.

- Przyjdzie lekarz. - Naujocks wydawał się przejęty stanem Michała. - Wie pan, mogło być gorzej. Ze szpiegami postępujemy dość bezceremonialnie. A pana odchuchamy, osądzimy i skazemy na jakieś piętnaście lat.

- Dziękuję - mruknął Michał. Naujocks wstał.

- Myślę, że widzimy się po raz ostatni. Był pan godnym przeciwnikiem.

- Powiedział rzeźnik do byka...

- Słucham? - Naujocks nie usłyszał tego, co powiedział Michał, albo udawał.

- Nic takiego.

Naujocks stanął przed drzwiami i uderzył w nie parę razy pięścią. Po chwili strażnik otworzył je.

138

Najpierw usiłował liczyć godziny, ale zrezygnował z tego, gdyż nie miał najmniejszej możliwości zweryfikowania swoich obliczeń. Potem starał się ustalić, ile dni minęło od jego aresztowania. I ta czynność okazała się bez sensu. Wreszcie uznał, że jedynym sposobem zorientowania się w upływającym czasie jest liczenie posiłków. Strażnik przychodził trzy razy dziennie, przynosząc zupę w cynowym talerzu, pajdę chleba posmarowaną pasztetową i kubek zbożowej kawy. Na każdy posiłek dostawał to samo, ale mógł na tej podstawie liczyć dni.

Po pierwszym tygodniu, który spędził, czytając książki, uznał, że musi trenować, aby zachować minimum sprawności fizycznej i psychicznej. Zwykle używał do ćwiczeń stołka, dość ciężkiego, który z powodzeniem zastępował mu hantle. Celem była dość duża, więc mógł godzinami krążyć wzdłuż jej ścian. Robił przysiady i pompki. Aż zauważył, że zwątpienie i zniechęcenie coraz częściej przykuwają go do pryczy, której twardość już mu nie dokuczwała. Czy to mogło być celem zamknięcia go w dziwnym więzieniu?

Nie przesłuchiwano go. Nikt nie zadawał pytań o jego działalność ani o kontakty. Odnosił wrażenie, że stał się pionkiem w jakiejś dziwnej grze, a raczej że był nim, gdy przebywał jeszcze na wolności. Na setki sposobów analizował zachowanie Blocha, Kerstin i Lei i dochodził do wniosku, że pierwsza ocena sytuacji, której dokonał od razu po aresztowaniu, jest najbliższa prawdy. Ktoś, nadzwyczaj przebiegły, podsunął mu Leę tylko po to, aby uwiarygodnić postać Blocha. Od tego momentu był już wciągany w grę, czego nie zauważył ani nie rozumiał. Dlaczego generał przekazał mu kilka oryginalnych dokumentów dotyczących najtajniejszej sprawy każdej armii? Gdyby kontrwywiad wpadł na trop tej zdrady, to po prostu aresztowałby Michała. Po co to całe przedstawienie? Dlaczego trzymają go w zamknięciu, nie starając się poznać ludzi z jego siatki, kontaktów i osiągnięć?

Myśl przyszła nagle, gdy obudził się z męczącego snu, chyba w środku nocy, czego nie mógł stwierdzić.

Zabity esesman! Nazywał się Krauss. Chyba tak. Fakt, że nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska, przstraszył go, ale postanowił tego nie rozważać. Krauss! Pamiętał dziewczynę, która śledziła go w bibliotece w Monachium. Zgubił ją, ale mogli odnaleźć jego ślady i dojść do tego, że odwiedził wdowę.

139

Usiadł na pryczy i ukrył twarz w dłoniach. Aby pójść dalej tym tropem, musiałby ułożyć chronologię wszystkich wydarzeń, ale czas w celi, w której nie było dnia ani nocy, stał się abstrakcją. Tym bardziej nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czy najpierw poznał Leę, czy też wcześniej dotarł do wdowy po esesmanie. Nie mógł odtworzyć, kiedy spotkał się po raz pierwszy z generałem.

Jeżeli jednak jego aresztowanie miało jakikolwiek związek ze sprawą esesmana, to dlaczego aresztowano go, a nie zabito? Tak jak Zygmunta? Lub nie upozorowano wypadku, jak z esesmanem?

Myśl, że stał się przedmiotem jakiegoś eksperymentu, dręczyła go coraz bardziej natarczywie. Słowa wdowy powracały z taką siłą, jakby siedziała przed nim i mówiła:

- Rudi tego nie widział. Nazywał ich „bezwolnymi ludźmi”, takimi, co to mówi pan „idź”, a on idzie, „stój”, to stoi. Jak manekin. Raz tylko powiedział, że sam Himmler tym się interesuje.

Tak, ten zabity esesman miał na imię Rudi.

Czyżby i on stał się materiałem na takiego „bezwolnego człowieka”? Dlatego zaczęli od zabrania mu czasu. Za miesiąc albo rok poddadzą go innemu działaniu, aż zwariuje.

- Pamiętaj, Michał, ćwicz! Raz-dwa, raz-dwa - przypomniał sobie nauczyciela gimnastyki z gimnazjum. - Zawsze ćwicz, to pokonasz wszystkie przeszkody życiowe!

Nazywał się Solarz. Wspaniały facet!

Wstał z pryczy. Oparł ręce o stół i zaczął wykonywać przysiady powtarzając „raz-dwa, raz-dwa”.

28. W poszukiwaniu Michała

Marcowy poranek 1939 roku zachwycał ciepłem, które nieomylnie wskazywało, że mroźna zima odchodzi już nieodwołalnie.

Urszula rozpięła brązowy płaszcz, który włożyła, wychodząc rano z domu, gdy nie sposób było przewidzieć, że w południe nagle buchnie wiosna.

Szła szeroką parkową ulicą, zerkając na gałęzie, na których zdawał się już pojawiać zielony nalot, spiesząc się na południowy koncert

140

chóru z Essen w auli uniwersytetu. Od kilku dni była we Wrocławiu i zamierzała pozostać jeszcze trzy, na co szefostwo wywiadu wyraziło zgodę, gdyż matka Urszuli była nieuleczalnie chora na raka.

Po kilku nocach spędzonych przy jej łóżku z radością przyjęła zaproszenie na koncert. W ten sposób wyrwie się z czarnych myśli, jakie cisnęły się każdej minuty przy umierającej najbliższej osobie. Wiedziała oczywiście, że w uniwersyteckiej auli spotka się z Koda-rem, który musiał wykorzystać jej pobyt we Wrocławiu i przysłał wiadomość, że ma pilną sprawę. Dostrzegła go już przed wejściem do budynku. Też ją zobaczył i uchylił kapelusza. Przecież spotykali się w poczekalni u dentysty, więc jeżeli ktoś ich śledził, to zwróciłby uwagę, że udają nieznanomych.

Podszedł, mile się uśmiechając.

- Widzę, że muzyka chóralna panią także interesuje. - Zdjął kapelusz i uścisnął jej dłoń.

Szli w tłumie ludzi zmierzających do wejścia do auli, aż skryli się za kolumną.

- „Kardynał” zniknął - szepnął Kodar.

Poczuła dziwne ukłucie na wiadomość, która wydawała jej się dziwna i niezrozumiała.

- Co to znaczy?

- Nie ma go od dwóch miesięcy. Próby sprawdzenia nic nie dają. Właściciele, od których wynajmował dom, twierdzą, że wymówił umowę i wyjechał.

- Uciekł? - To pytanie dziwnie zabrzmiało w jej ustach. Kodar pokiwał głową.

- Chodźmy - wziął ją pod rękę i poprowadził do drzwi sali.

- Miejsca nie są numerowane, możemy usiąść obok siebie. Była zadowolona, że koncert zacznie się za chwilę i nie będzie

musiała rozmawiać na temat Michała. Myślała o nim tak często, że nagle doszła do wniosku, iż za nim tęskni. Przemyśliwała, jak pojechać do Berlina i spotkać się z nim, nie budząc podejrzeń, ale świadomość, że taka wycieczka mogłaby narazić go na niebezpieczeństwo, odstraszała ją od realizacji podobnych zamiarów.

Usiedli na krzesłach wybitych czerwonym rypsem, wpatrując się w estradę, na którą wyszedł chór. Wszyscy podnieśli się z miejsc,

141

chóru z Essen w auli uniwersytetu. Od kilku dni była we Wrocławiu i zamierzała pozostać jeszcze trzy, na co szefostwo wywiadu wyraziło zgodę, gdyż matka Urszuli była nieuleczalnie chora na raka.

Po kilku nocach spędzonych przy jej łóżku z radością przyjęła zaproszenie na koncert. W ten sposób wyrwie się z czarnych myśli, jakie cisnęły się każdej minuty przy umierającej najbliższej osobie. Wiedziała oczywiście, że w uniwersyteckiej auli spotka się z Koda-rem, który musiał wykorzystać jej pobyt we Wrocławiu i przysłał wiadomość, że ma pilną sprawę. Dostrzegła go już przed wejściem do budynku. Też ją zobaczył i uchylił kapelusza. Przecież spotykali się w poczekalni u dentysty, więc jeżeli ktoś ich śledził, to zwróciłby uwagę, że udają nieznanomych.

Podszedł, mile się uśmiechając.

- Widzę, że muzyka chóralna panią także interesuje. - Zdjął kapelusz i uściśnął jej dłoń. Szli w tłumie ludzi zmierzających do wejścia do auli, aż skryli się za kolumną.

- „Kardynał” zniknął - szepnął Kodar.

Poczuła dziwne ukłucie na wiadomość, która wydawała jej się dziwna i niezrozumiała.

- Co to znaczy?

- Nie ma go od dwóch miesięcy. Próby sprawdzenia nic nie dają. Właściciele, od których wynajmował dom, twierdzą, że wymówił umowę i wyjechał.

- Uciekł? - To pytanie dziwnie zabrzmiało w jej ustach. Kodar pokiwał głową.

- Chodźmy - wziął ją pod rękę i poprowadził do drzwi sali.

- Miejsca nie są numerowane, możemy usiąść obok siebie. Była zadowolona, że koncert zacznie się za chwilę i nie będzie musiała rozmawiać na temat Michała. Myślała o nim tak często, że nagle doszła do wniosku, iż za nim tęskni. Przemyślała, jak pojechać do Berlina i spotkać się z nim, nie budząc podejrzeń, ale świadomość, że taka wycieczka mogłaby narazić go na niebezpieczeństwo, odstraszała ją od realizacji podobnych zamiarów.

Usiedli na krzesłach wybitych czerwonym rypsem, wpatrując się w estradę, na którą wyszedł chór. Wszyscy podnieśli się z miejsc,

141

co Urszula przyjęła z ulgą, gdyż odnosiła wrażenie, że Kodar zauważył jej dziwny nastrój. Na szczęście przypisał go zupełnie innemu powodowi.

- Wiem, że twoja matka jest ciężko chora. Współczuję - szepnął, pochylając się do niej. Skinęła głową.

Co to znaczy, że zniknął? Czyżby podejrzenia, że postanowił oszukać wywiad, zagarnąć pieniądze i znaleźć dla siebie bezpieczny kraj, okazały się słuszne? Nie! Odrzucała je. Nie słuchała głosów chóru. Była zbyt pogrążona w swoich myślach. Z trudem doczekała do przerwy.

- Przepraszam, źle się czuję. Czy może mnie pan odprowadzić? - powiedziała do Kodara. Skłonił się i idąc pierwszy, torował jej drogę wśród tłumu spieszącego do drzwi.

- Odprowadzę cię do taksówki - wskazał ręką kierunek. Dookoła nich nie było nikogo, kto mógłby podsłuchiwać.

- Nie mamy żadnej wątpliwości, że zdradził.

- Dowody?

- W naszym fachu dowodami są podejrzenia. W przeciwnym wypadku skończymy na szafocie. Ale jeśli chcesz wiedzieć, związał się z tancerką kabaretową Leą Niako. Ona jest agentką Sicherheits-dienst.

- To jeszcze nic nie znaczy... Zatrzymał się.

- Posłuchaj. Pojawia się tancerka z SD. „Kardynał” przesyła wiadomość, że może kupić plany za sto tysięcy marek. Pierwsze dokumenty były autentyczne. Drugie prawdopodobnie nie. Nie zgadzamy się zapłacić tak wielkich pieniędzy, więc okazuje się, że cena spadła o połowę. A na końcu „Kardynał” znika jak sen złoty. W dodatku w tym samym czasie w kabarecie „Bilbao” odwołano występy Lei Niako. Chcesz więcej dowodów?

- A może został porwany? - starała się powiedzieć to tak lekko, żeby nie wyczuł, że los Michała interesuje ją nie tylko ze względów zawodowych.

- Jego ordynans też zniknął. Myślisz, że porwano ich obu? Urszula widząc taksówkę, podniosła rękę. Była zadowolona,

że nie musi już dłużej rozmawiać z Kodarem. Nie miała żadnych

142

argumentów, ale nie wierzyła, że Michał byłby zdolny do zdrady i oszustwa. Czowała, że znalazła się w niebezpieczeństwie, ale nie potrafiła określić, skąd bierze się takie przekonanie. Tym samym dalsza rozmowa z Kodarem nie miała sensu. Wsiadła szybko do taksówki.

- Zajmuj się teraz matką - powiedział Kodar. - I nie myśl o niczym innym. W takich sytuacjach najczęściej popełnia się błędy, których nie można naprawić. Do widzenia. Uśmiechnęła się blado.

- Dam ci znak, gdy coś nowego się wydarzy - usłyszała jeszcze, zanim zatrzasnęła drzwi.

29. Cela

To straszne światło. Cały czas silna żarówka świeciła na suficie. Początkowo denerwowało go to. Nie mógł spać, a każde przebudzenie zamieniało się w długi bezsenny czas. Nawet gdy zamykał powieki, widział światło. Bezsenność stawała się coraz bardziej dolegliwa.

Ile czasu spędził w jasnej celi? Opracował nową metodę obliczania dni. Po liczbie posiłków, jakie otrzymywał, ustalił, że raz na siedem dni zabierają go do łaźni.

Z reguły było to po śniadaniu. Strażnik wyprowadzał go z celi. Szli kilka kroków po pustym korytarzu i skręcali w prawo, do pierwszych drzwi. Potem znowu korytarz, już krótszy, i znowu drzwi, pomalowane na biało. Za nimi znajdowała się niewielka łazienka z jednym tylko prysznicem. Zauważył, że drewniana krata, leżąca na cementowej posadzce, zawsze była mokra. Oczywiście to nic nie znaczyło, gdyż strażnicy mogli tam brać prysznic. Uznał jednak, że nie jest jedynym więźniem w tym dziwnym domu bez okien.

Do łaźni przychodził fryzjer, który pod okiem strażnika strzygł mu włosy i golił go. Potem Michał wracał do celi.

Tak obliczył, że trzymają go w zamknięciu co najmniej od dwóch miesięcy.

Nikt, poza strażnikami, wciąż tymi samymi, go nie odwiedzał. Nikt nie zadawał pytań ani nie starał się zmusić do ujawnienia

143

szczeółów jego działalności. To wydawało mu się najbardziej dziwne i niepokojące. Był częścią jakiegoś planu, ale nie potrafił zrozumieć, jakiego.

Odłożył książkę, którą czytał już po raz piętnasty, i przewrócił się na bok.

Jak długo tu jeszcze pozostanie? I po co?

30. Granica

Chmury niesione wiosennym wiatrem napłynęły niespodziewanie i zaczął padać ulewny, choć krótki deszcz. Bazaltowa kostka wąskiej drogi błysnęła w świetle księżyca, gdy tylko chmury go odsłoniły.

Kodar, który schronił się przed ulewą w autobusie Fiat, zdjął z półki wojskową pelerynę i narzucił ją na ramiona. Stał znowu przed samochodem. Po chwili podszedł do niego kapitan Jazdoń, dowodzący oddziałem, który miał ochraniać całą operację.

- Żołnierze na stanowiskach - zameldował.

Kodar podciągnął mankiet i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia.

- Powinni być za godzinę - stwierdził.

Droga, którą dalej przegradzała masywna zaporą graniczna, była całkowicie pusta. Tylko w oddali widać było światła pobliskiej wsi. Szczekanie psów, jakie stamtąd dolatywało, było jedynym dźwiękiem, który zakłócał ciszę marcowej nocy.

Obejrzał się. W przydrożnym rowie przykryci pelerynami leżeli dwaj żołnierze z karabinem maszynowym. Drugi ustawiono dalej, na skraju drzew, gdzie teren lekko się wznosił, dając lepszy wgląd w stronę niemiecką.

Kodar zastanawiał się, czy Niemcy równie dobrze przygotowali się do operacji, ale doszedł do wniosku, że nie musieli. Za szlabanem widział masywną bryłę bunkra, w którego strzelnicach od czasu do czasu błyskało światło.

- Trzymają nas na muszce - pomyślał. - Ale my ich też. Tyle, że oni są w bunkrze.

144

W nocnej ciszy rozległ się odległy warkot.

- Nadjeżdżają. - Kodar odwrócił się do Jazdonia. - Dajcie znać ambulansowi, żeby podjechał, gdy tylko Niemcy zbliżą się do szlabanu. I pełna gotowość. Mogą uderzyć. Z daleka widać było rozlewające się w kroplach deszczu światła nadjeżdżających samochodów.

- Nie mogą mnie tu widzieć - powiedział Kodar i wszedł do autobusu. Nie zdejmował peleryny ani nie odrzucił kaptura, uważając, że dobrze ukryje go przed spojrzeciami niemieckich oficerów.

Z za zakrętu po niemieckiej stronie dostrzegł światła dwóch samochodów osobowych. Wolno podjechały i zatrzymały się tuż przy zaporze. Wysiadł z nich oficer i podszedł do szlabanu. Czekał.

Kodar spojrzął do tyłu. W lesie błysnęły światła policyjnej karetki, która wyjechała na drogę.

- Puścić dalej? - Jazdoń, stojący w otwartych drzwiach autobusu, zwrócił się do Kodara. Ten skinął głową.

Na znak kapitana karetki wolno podjechała do zapory.

Z niemieckiego samochodu wysiadł mężczyzna w garniturze, ze skutymi rękami. Podszedł do niego policjant, który zdjął kajdanki i popchnął go lekko w stronę szlabanu.

Kodar podniósł lornetkę. Policjant tak prowadził mężczyznę, aby ten stanął w świetle lampy wiszącej na drucie rozciągniętym między dwoma słupami po bokach drogi. Kodar przyglądał mu się przez chwilę i odniósł wrażenie, że jest to Michał Sosnowicz, ale nie miał takiej pewności. Ostatni raz widział go kilka lat temu podczas zawodów hippicznych w Sopocie. Mężczyzna stojący przy szlabanie był szczuplejszy, lekko przygarbiony, o ostrzejszych rysach twarzy, w wytartej marynarce i spodniach z wypchniętymi kolanami. Trudno było się w nim dopatrzeć tego sprzed czterech lat, wysportowanego, w świetnie skrojonym garniturze, pełnego humoru i życia.

Z polskiego samochodu wysiedli dwaj mężczyźni eskortowani przez dwóch policjantów.

Dołączył do nich kapitan Jazdoń i razem podeszli do zapory, gdzie niemieccy żołnierze usunęli zwoje drutu kolczastego blokującego ścieżkę biegnącą obok szlabanu.

Wszyscy stanęli naprzeciw Michała. Zamarli tak w bezruchu, aż równocześnie, dwaj Niemcy i Polak, ruszyli z przeciwnych stron i powoli przeszli przez lukę, jaka powstała po usunięciu zasieków.

145

Oficer stojący po niemieckiej stronie granicy zsalutował i kurtuazyjnym gestem wskazał dwóm więźniom oddanym przez Polaków drogę do samochodu osobowego stojącego najbliżej. Wsiedli i samochody oddaliły się od szlabanu, dojeżdżając tyłem do placyku, gdzie zawróciły i szybko znikły za zakrętem. Światła po niemieckiej stronie zgasły.

Kodar, wciąż nie zdejmując peleryny ani nie odsłaniając twarzy, podszedł do mężczyzny, który wciąż stał przy szlabanie.

- Michał Sosnowicz?

- Tak - odpowiedział tamten. - A kto miałby być? Poznają pana, pułkowniku.

Dopiero wtedy Kodar odsłonił kaptur.

- Ma pan dobrą pamięć.

- Więzienie wyostrza.

Mówił powoli, jakby z trudem dobierając słowa.

- Niestety muszę pana aresztować - oświadczył Kodar.

- Jakie zarzuty mi postawicie? - Michał nie wydawał się zaskoczony słowami, które usłyszał.

Można było nawet odnieść wrażenie, że był na to przygotowany.

- Zdrady, panie majorze.

- Jest pan pewien, że dopuściłem się zdrady?

- Tak, a za to kula w łeb. Michał spuścił głowę.

- Dobrze to sobie wymyślili - powiedział tym samym spokojnym tonem człowieka zrezygnowanego. - W cokolwiek, co chciałbym wam przekazać, nie uwierzycie, bo jestem zdrajcą.

Kodar odwrócił się, aby dać znać dwóm żandarmom. Sosnowicz widząc zbliżających się żołnierzy z kajdankami, zatrzymał Kodara.

- Panie pułkowniku, jestem oficerem. Proszę, aby nie zakuwano mnie.

- Jest pan zdrajcą.

- Nie dowiedziono mi zdrady!

Kodar odwrócił się do czekających z boku żandarmów.

- Skuć go!

Nie patrzył już na Michała, lecz szybko wsiadł do autobusu. Zza szyby widział, jak żandarmi wprowadzają Michała do więzien-

146

nej karetki, z której kilka minut wcześniej wypuszczono dwóch niemieckich szpiegów.

Żołnierze ubezpieczający akcję wymiany znosili uzbrojenie i wsiadali do ciężarówki.

Metalowe drzwi karetki zatrzasnęły się za Michałem. Poczł się tak samo, jak kilka miesięcy wcześniej wrzucony do niemieckiego ambulansu. W tym też były dwie drewniane ławki pod ścianami, cuchnęło moczem, a jedyna różnica polegała na tym, że w tym samochodzie tuż pod sufitem było niewielkie zakratowane okno. Człł się znacznie gorzej niż wtedy. Nadzieja, jaka zaświtała mu, gdy wyprowadzano go z celi, nagle przysła. Polacy oskarżali go o zdradę i wszystko świadczyło przeciwko niemu.

Nieszczelna rama okienna wpuszczała cieniutką strużkę mroźnego powietrza. Odsunął się jak najdalej, pod same drzwi. Pomyślał, że powinien zdjąć kurtkę i utkać nią okno, ale wówczas pozbawiłby się jedynej ochrony przed zimnem, które obejmowało go z każdą minutą coraz bardziej. Wpijało się w jego ciało jak zęby wściekłego psa.

Objął się rękami i leżąc na boku, podciągnął kolana wysoko, przyciskając je do brzucha. Był już zbyt zziębnięty, aby kulenie się mogło rozgrzać go w najmniejszym stopniu, tym bardziej że struga powietrza rozplływając się po cementowej posadzce, ziębiła ją. Potarł szybko dłońmi po ramionach, co na moment dało wrażenie ciepła, szybko wsunął dłonie w rękawy kurtki i podniósł się z trudem, opierając się na kolanie. Już nie czuł bólu, jaki początkowo sprawiało mu leżenie na posadzce. Do twardości posłania można się przyzwyczaić. Do zimna - nie.

Oparł się o drzwi. Nie wiedział jak długo stał, aż nagle ugięcie kolan obudziło go. Zasnął. A może spał. Jak długo? Sekundę czy kilka minut?

Za oknem wciąż było ciemno, a pozostawała tylko nadzieja, że nadejdzie słoneczny dzień i temperatura w celi nieco wzrośnie. Ale kiedy będzie świt? Nie potrafił określić, która może być godzina. Nie wiedział, jak długo udało mu się spać na posadzce i jak długo trwał sen, gdy oparł się o drzwi.

W celi, w której go zamknięto, nie było żadnego sprzętu. Nawet jeść musiał, siedząc na podłodze i wyjmując palcami kartofle i kawałki

147

mięsa z zupy, która stanowiła jedyne danie w ciągu minionego dnia. A potem wypił zupę, ciesząc się, że nie była słona. Nie podawano mu wody. Mógł się napić, gdy wyprowadzano go do ustępu. Była to dziura w blaszanej podłodze z wyciętymi miejscami, gdzie należało postawić stopy. Grudki lizolu leżące dookoła otworu uniemożliwiały złapanie wody wypływającej z rury, której zakończenie znajdowało się parę centymetrów nad kloaczną dziurą. Szybko jednak zorientował się, że rura ze zbiornika była w połowie łączona i dolną część dało się lekko odsunąć, aby złapać na język strużkę wody płynącej z rezerwuaru. Strażnik nie chciał go jednak wyprowadzać częściej niż raz dziennie.

W celi zapaliło się światło i klapka w otworze judasza przesunęła się. Odkoczył od drzwi i stanął pośrodku, gotów złożyć przepisowy meldunek. Jednak nie stało się nic. Lampa na suficie zgasła, a klapka opadła. Wrócił więc do poprzedniej pozycji, uznając, że była najlepsza ze wszystkich, jakich próbował tej nocy.

Szmer zasuw i szcęk klucza przyniosły nadzieję, że za chwilę w drzwiach stanie strażnik z miską zupy. Nigdy o niczym tak nie marzył jak o ciepłej wodnistej zupie.

Wszedł Kodar, który szybko rozejrzał się po celi i odwrócił do strażnika stojącego za jego plecami.

- Przynieście dwa taborety.

I natychmiast dodał do Michała:

- Skromnie tu u ciebie.

- Tak, w niemieckim więzieniu było lepiej.

- Byłeś w niemieckim więzieniu? - W głosie Kodara nie było kpiny.

- Tak.

- W którym?

- Nie wiem.

- W Berlinie?

- Chyba tak. Nie widziałem, jak mnie wieźli.

Kodar pokiwał głową, jakby ze smutkiem, a może rozczarowaniem.

- Przyjmowałem cię do służby. Ręczyłem za ciebie. Proszę cię tylko o jedno: nie mów głupstw! Oszczędź mi tego!

- Przysięgam! Trzymali mnie w więzieniu!

148

- Jak długo siedziałeś?

- Tak jak obliczałem, to dwa miesiące. Może dwa i pół. Wszedł strażnik i postawił dwa taborety. Popatrzył jeszcze przez

chwilę na Kodara, ale nie słysząc innych poleceń, wyszedł z celi.

Kodar przysunął sobie stołek i wskazał na drugi, gestem tak szerokim, jakby zapraszał Michała do zajęcia miejsca w łoży honorowej. Postawił obok siebie teczkę, otworzył klamrę i wyjął z niej jakieś papiery.

- Mówisz, dwa i pół miesiąca?

- Tak.

- Skoro mamy marzec, to znaczy, że aresztowali cię w końcu grudnia lub na początku stycznia.

- Piątego stycznia - Michał powiedział to z pewnością w głosie.

- A tu jest gazeta „Berliner Zeitung”, gdzie widzimy szanownego Michaela Sosnowitza w stajniach Karlshorst, w rozmowie ze swoim dżokejem. Podpis głosi, że przygotowania do sezonu już się rozpoczęły...

Podsunał Michałowi gazetę pod sam nos.

- Zwróć uwagę na datę: trzeci lutego!

- Niemożliwe. Celowa dezinformacja. Kodar schował gazetę.

- A Zygmunt, twój ordynans?

- Zastrzelili go. Zrobił to oficer, którzy przyszedł mnie aresztować.

- Zastrzelili go piątego stycznia 1939 roku?

Michał skinął głową. Już wiedział, że Kodar wyciągnie za chwilę dowód wskazujący na inną datę śmierci Zygmunta lub potwierdzający, że żyje. Nie mylił się.

- To jest raport z przejścia granicznego. Trzeciego lutego Siegmunt Rau wjechał do Polski. Opuścił nasz kraj dwa dni później. Autentyczność podpisu nie ulega wątpliwości. Coś powiesz?

Michał pokręcił głową.

- A wyjaśnisz, w jakim celu wysłałeś go do Polski? Co miał stąd zabrać?

Michał pokręcił głową.

- To idźmy dalej. Mówisz, że nie potrafisz określić, jak długo trzymano cię w więzieniu.

149

- Tak, po aresztowaniu zawieziono mnie samochodem bez okien do celi, w której okno było zasłonięte. Nie wiedziałem, kiedy jest dzień, a kiedy noc.

- Zabrali cię stamtąd, aby dowieźć na granicę?

- Tak.

- Nie pamiętasz rozprawy? Michał spojrzał na niego zaskoczony.

- Rozprawy?

- Tak, sądowej. Zostałeś skazany na dwanaście lat więzienia...

Ponownie schylił się do teczek i wyjął gazetę. Wskazał palcem na informację na trzeciej stronie „Völkischer Beobachter” pod wielkim tytułem o sukcesach niemieckiego kontrwywiadu w zwalczaniu szpiegów.

- Zdjęcia nie zamieścili, ale podali twoje nazwisko. Rozprawa miała miejsce dwudziestego piątego. Niski wyrok uzasadniono „skruchą i chęcią zmazania win wobec narodu niemieckiego”.

- Albo zwariowałem, albo perfekcyjnie zrealizowali plan - powiedział Michał, jakby do siebie.

- Kto?

- Sicherheitsdienst!

- I wciągnęli w to szefa Abwehry admirała Canarisa, tak?

- Nie rozumiem...

- Dwa dni po skazaniu ciebie admirał Canaris spotkał się z naszym ambasadorem Lipskim, aby zaproponować wymianę więźniów. Zażądał pięciu za ciebie jednego!

Kodar wstał i zaczął krążyć po celi.

- Zimno ci? - spytał Michał, uśmiechając się. Było mu już wszystko jedno.

Nie potrafił ogarnąć całej sytuacji. Długi pobyt w niemieckim więzieniu, w pokoju bez okna, gdzie czas zlał się w jedno pasmo oczekiwania, wytrącił go z równowagi psychicznej. Nie umiał jasno kalkulować. Czasami odnosił wrażenie, że poddano go zabiegom, jednocześnie usuwając je z jego pamięci, lub tworząc fakty, których nie było. Czyżby widok padającego Zygmunta był tego przykładem? Kodar pokazał mu raporty graniczne stwierdzające, że podpis Zygmunta jest autentyczny! Jak to wyjaśnić? A rozprawa? A udział Canarisa w całym przedsięwzięciu? Przecież było niemożliwe, aby szef Abwehry zgodził się na udział w jakiejś grze SS!

150

Kodar zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się tuż przy Michale. Pochylił się nad nim.

- Wpadłeś, chłopie, w gówno po uszy. Usiłujesz się ratować, opowiadając jakieś bajeczki, a tu się nic nie trzyma kupy, żeby pozostać przy kloacznej metaforyce.

- Zimno, bardzo zimno. - Michał skulił się. - Czy mogę dostać choćby koc? Co wam przyjdzie z tego, że zdechnę tu z zimna?

Kodar nie zwrócił uwagi na jego słowa. Wciąż stał nad nim.

- Mów prawdę!

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą!

- Omotali cię, spreparowali wydania gazet, podstawili człowieka, który jako Zygmunt przejechał przez naszą granicę, poprosili Canarisa, żeby zagrał w ich przedstawieniu?

- Tak!

- Kpisz sobie?!

- Mówię jeszcze raz: tak!

Chwila, gdy odzyskał siły i mówił z całą stanowczością, minęła bezpowrotnie. Skulił się na stołku. Pochylił głowę i pocierał palcami czoło, jakby usiłował sobie przypomnieć coś ważnego. Kodar zamilkł, czekając na słowa Michała. Ale nie padały.

- Po co ta cała heca?

- Lea Niako... - odezwał się nagle Michał. Zamilkł natychmiast, jakby przestraszony własnym głosem. Znowu zapadło milczenie. Przedłużało się.

- Co ta Lea? - zapytał wreszcie Kodar. W jego głosie dało się wyczuć nutę nadziei, że Michał wreszcie zacznie się bronić. Ze wskaże jakiś ślad, który doprowadzi do dowodu, który mógłby wykorzystać na swoją korzyść. Był przekonany o jego zdradzie, ale gdzieś w głębi duszy odzywał się sentyment pierwszych lat wspólnej pracy. Nie mógł mu wybaczyć, że zdradził, ale z radością przyjąłby dowód świadczący na korzyść Michała.

- Co ta Lea? - powtórzył pytanie.

- Podsunęli mi ją.

- Doprawdy? - Kodar schylił się do teczki, co wywołało lęk u Michała. Ta teczka stawała się miejscem, z którego wypływały najcięższe argumenty, które miały przesądzić o jego życiu.

151

- Wywiad brytyjski uzyskał informację, że Lea Niako zwróciła się o pomoc do swojego kochanka, obywatela brytyjskiego, o wywiezienie z Rzeszy stu tysięcy marek i zdeponowanie ich w londyńskim banku. Nie zastanawia cię, że to taka sama kwota, jakiej rzekomo żądał generał Bloch?

- Już mnie nic nie zastanawia. - Michał skulił się na taborecie.

- To słuchaj dalej: Lea Niako... - Kodar przebiegł wzrokiem maszynopis, który wyjął z teczki. Podniósł głowę i przez chwilę patrzył Michałowi w oczy.

- To informacja z naszej ambasady, w nawiązaniu do artykułu o skazaniu szpiegów: „Lea Niako, pseudonim sceniczny tancerki, prawdziwe nazwisko Lea Rosa Kruk, skazana na pięć lat więzienia za współpracę z obcym wywiadem”.

Wstał, podnosząc teczkę.

- Jaki wniosek...? - zamilkł na chwilę. - Że wydałeś ją. Dość tego! Nie masz nic na swoją obronę, choć przychodząc tutaj, liczyłem... ba, miałem nadzieję, że może wskażesz jakiś ślad. Podszedł do drzwi i zastukał w nie otwartą dłońią.

- Ale powiesz mi wszystko: kto cię zwerbował i kiedy, jakie informacje ci podsuwali i ile za to płacili. Powiesz, bo inaczej zdechniesz tutaj. A ja ci w tym pomogę, bo nienawidzę zdrajców!

Michał też wstał ze stołka. Stał przed Kodarem.

- Stanisław... - powiedział wolno. - Zastawili zasadzkę, ponieważ odkryłem ich tajemnicę! Uwierz mi. Musieli mnie skompromitować, bo tylko w ten sposób mogli zdezwauować wartość mojego odkrycia! Ono jest naprawdę ważne! - mówił szybko, aby Kodar nie zdołał mu przerwać. - Heinrich Himmler...

- Wiem, czytałem twój raport. Wymyśl coś lepszego niż bajeczkę o tym, że Himmler, który waruje jak pies u stóp Hitlera, chce go odsunąć od władzy.

- Chce! - Michał krzyknął, ile miał tchu w płucach. - Chce! To on wysyła emisariuszy do Londynu, a nie antyhitlerowska opozycja, która nie istnieje! Albo raczej istnieje w klubowych fotelach gdzieś w Monachium, gdzie z nudów fantazjują, jak utworzyć nowy rząd!

Kodar stał niewzruszony przed drzwiami, całkowicie ignorując słowa Michała.

152

Drzwi otworzyły się i stanął w nich strażnik. Spojrzał pytająco na Kodara, a ten na moment odwrócił głowę.

- Zastanów się - zwrócił się do Michała. - Upór jest samobójstwem!

Strażnik zabrał dwa stołki i zamknął drzwi za pułkownikiem. Jeszcze przez chwilę słysząc było ich kroki na korytarzu. Za oknem wstawał świt.

- To dobrze - powiedział na głos Michał. - Dzień przynosi siłę! Chciał w to wierzyć.

31. Himmler i Schellenberg

Himmler odszedł od okna, przez które przyglądał się ruchowi na berlińskiej ulicy, i usiadł przy biurku. Nie czuł się dobrze. Dolegliwości żołądkowe nasilały się, a Kerstena nie było w Berlinie. Tylko ten człowiek, masażysta o uzdrawiających dłoniach, umiał uśmierzyć ból, czego nie potrafili najstłynniejsi niemieccy gastro-lodzy.

Usiadł na fotelu i podjął przerwana lekturę raportów policyjnych. Przejrzał pobieżnie kartki zaznaczone przez jego adiutanta Brandta jako szczególnie ważne, zrobił kilka notatek na marginesach, gdy jego wzrok padł na złożone gazety, których nie miał czasu przeczytać. Wielkie tytuły na czołowych stronach niemieckiej prasy głosiły: „Całkowity chaos w Polsce! Niemieckie rodziny uciekają!”, „Trzy niemieckie samoloty pasażerskie ostrzelane przez Polaków!”, „Cała Polska w wojennej gorączce! 1500 000 mężczyzn zmobilizowanych!”, „Wiele niemieckich domostw w płomieniach!”.

To była papierowa rzeczywistość ważna dla ministra propagandy Josepha Goebbelsa, więc nie zadał sobie trudu, żeby zagłębić się w artykuły, których treść była całkowicie fałszywa. O wiele bardziej interesowały go nastroje w niemieckim społeczeństwie, zważywszy, że za kilka dni miała rozpocząć się wojna z Polską. Niemcy nie wydawali się zachwyceni narastającym napięciem. Deklarowali swe poparcie na masowych imprezach sprytnie reżyserowanych

153
przez kulawego ministra, geniusza propagandy, ale w prywatności bali się walk. Zdawali sobie sprawę, że Polacy poskromić się nie dadzą tak łatwo jak Czesi i będą się bić. A to oznaczało ofiary. Tysiące ofiar. Sytuacja pogorszyłaby się niezmiernie, gdyby Francuzi uruchomili swą potężną armię i uderzyli na Niemcy od zachodu. Hitler nie wierzył w taką możliwość, ale Himmler jej nie wykluczał, tym bardziej że najwyżsi dowódcy Wehrmachtu alarmowali, iż siły zbrojne nie są przygotowane do przedłużających się działań wojennych. Oczywiście, starzy generałowie zawsze byli asekuran-tami, zwłaszcza że dobrze pamiętali przegraną w wielkiej wojnie, gdy potężne niemieckie armie musiały skapitulować ze względu na braki zaopatrzenia, chociaż wciąż były na francuskiej ziemi.

Zamknął raporty o sytuacji wewnętrznej i sięgnął po informacje wywiadu. Przerzucał kartki jedna po drugiej, nie znajdując na nich nic, co zwróciłoby szczególnie jego uwagę. Aż jego wzrok przyciągnęło nazwisko Góringa, którego uważał za swojego największego wroga. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Niech przyjdzie do mnie Schellenberg!

Odsunął od siebie papiery. Silny skurcz żołądka znowu przypomniał o chorobie. Wstał zza biurka i ponownie przez kilka minut krążył po gabinecie, jakby spacer po okręgu mógł uśmierzyć ból. Wreszcie otworzył szufladę biurka, wyjął buteleczkę z pigułkami, których kilka wysypał na dłoń. Nie zastanawiał się, co to za lekarstwo, przepisane przez doktora Morrella, którego Hitler polecał jako znakomitego medyka. Odpowiedź była oczywista: był to narkotyk, który uśmierzał ból na pewien czas.

Wysokie drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich Schellenberg.

- Wzywał mnie pan, reichsfuhrer - bardziej stwierdził, niż zapytał.

Himmler połknął pigułki i popił wodą ze szklanki, którą zawsze trzymał pod ręką na biurku.

- Otrzymałem pański raport o spotkaniu Góringa z Dahleru-sem. Coś więcej, proszę.

Wskazał na kanapę stojącą z boku wielkiego kominka, a sam usiadł na fotelu naprzeciw.

154

- Wczoraj wieczorem, czyli dwudziestego siódmego sierpnia, do pociągu Goringa na stacji Friedrichswalde dosiadł się Birger Dahlerus - zaczął relacjonować Schellenberg.

- Ten szwedzki przemysłowiec, co to chce uratować świat?

- Tak jest. Przyleciał z Londynu do Berlina, tam dano mu samochód, aby dogonił pociąg Goringa jadącego do kwatery głównej Luftwaffe w Oranienburgu.
- Reprezentuje brytyjskiego ministra spraw zagranicznych?
- Tak, minister Halifax zlecił mu przekazanie listu.
- Wiemy coś bliżej?
- Lord Halifax proponuje podjęcie negocjacji, które zapobiegłyby wybuchowi wojny.
- Czyli zamierza powrócić do swej koncepcji zmuszenia Polaków do oddania nam Gdańska, a gdy się nie zgodzą, a nie zgodzą się, wycofania gwarancji nienaruszalności ich granic. W ten sposób Anglicy umyją ręce.
- Nie inaczej.
- W tej chwili Dahlerus jest u Hitlera?
- Tak, zawiózł go tam Göring... - Schellenberg spojrział zaniepokojony na Himmlera. Po raz pierwszy widział go w takim stanie.
- Grubas nas wyprzedził... - Himmler przerwał w pół zdania, czując gwałtowny skurcz żołądka. Pigułki, które zażył przed kilkoma minutami, jeszcze nie zaczęły działać. Odchylił się i oparł wygodnie.
- Złe się pan czuje? - Schellenberg wydawał się przejęty stanem zdrowia reichsführera.
- Nie, to nic. Zaraz przejdzie... Milczał przez chwilę, rozważając sytuację.
- Hitler nie daje Anglikom możliwości dogadania się z nami - odezwał się Schellenberg.
- Błąd! - Himmler niemalże wykrzyknął. - Zmusza Anglików i Francuzów do wypowiedzenia nam wojny. Co prawda aktualnie nie wydaje się to groźne, ale król Heinrich mnie przed tym ostrzega!

Schellenberg nie starał się wyjaśnić tych dziwnych słów, które jakby przypadkiem wyrwały się Himmlerowi. Przyzwyczał się już, że jego szef czasami powoływał się na króla Heinricha, mówiąc, że on postąpiłby tak albo inaczej.

155

- Hitler zawsze wygrywa - Schellenberg powiedział to bardziej z przekory niż braku zrozumienia sytuacji międzynarodowej.
- Panie Schellenberg, wygrywał! - Himmler zaakcentował czas przeszły. - Ale tylko dlatego, że Anglicy i Francuzi mu na to pozwalali. Ale to już koniec! A wie pan, dlaczego? Schellenberg nie odpowiedział. Uznał, że było to pytanie retoryczne, i nie chciał przeszkadzać w przemówieniu szefa.
- Hitler popełnił dwa błędy. Po pierwsze odrzucił propozycje negocjacji, przez co uniemożliwił Anglikom eleganckie uwolnienie się od zobowiązań wobec Polski. A to oznacza wojnę z Anglią i Francją. Błąd drugi jest równie poważny: uznał, że wrogiem numer jeden są Żydzi, a nie bolszewicy! A na to przyzwolenia nie ma!
- Reichsführer, organizując „kryształową noc”, przyczyniliśmy się do tego.
- Myli się pan, Schellenberg. Biorąc Żydów za zakładników i demonstrując, co z nimi możemy zrobić, tylko stworzyliśmy odpowiednią atmosferę do negocjacji z Anglikami. A Hitler to zniweczył.
- Führer wierzy, że wygramy!

Himmler bez słowa wstał z fotela i podszedł do biurka. Przez chwilę przerzucał papiery. Schellenberg przyglądał mu się uważnie, zastanawiając się, do jakiego celu prowadzi ta rozmowa. Wiedział, że zdobył zaufanie szefa SS, co najmocniej wyraziło się w nominacji na szefa kontrwywiadu. Himmler szedł jednak dalej. Wciągał go w jakąś wielką grę, która miała się rozpocząć z pierwszymi strzałami na granicy z Polską. Nie mógł jednak przewidzieć, co to za gra i co będzie musiał zaryzykować, gdy Himmler wyjawi jej zasady. Wiedział jednak, że nie ma odwrotu. Miał ogromną ochotę na papierosa, ale Himmler był zagorzałym wrogiem palenia i nie dopuszczał, aby ktokolwiek palił w jego obecności.

Himmler podniósł jakąś kartkę i wrócił na fotel. Położył kartkę na stole i przesunął w stronę Schellenberga, aby ten mógł przeczytać.

Czarny nagłówek wskazywał, że leży przed nim dokument szczególnie ważny i ściśle tajny.
- To oceny Sztabu Generalnego wskazujące, że będziemy gotowi do wojny najwcześniej w 1941 roku. I trudno się dziwić, skoro mamy tylko trzysta sześćdziesiąt nowoczesnych czołgów Panzer IV,

156

a reszta to złom! Zapasy amunicji i ciężkiej broni są za małe. Dalej może pan przeczytać oceny sytuacji gospodarczej, wskazujące jak bardzo nie jesteśmy przygotowani do wojny. Do wojny, Schellenberg, a nie łatwej kampanii w kraju, który bez wsparcia sojuszników będzie się bronił może dziesięć dni.

Schellenberg przewrócił stronę i przebiegł wzrokiem wyliczenia wskazujące, że położenie gospodarcze jest bardzo trudne.

- W tej sytuacji... - Schellenberg odłożył dokumenty na biurko i nieco zdziwiony dostrzegł, że Himmler chowa je do szuflady, którą zamknął na kluczyk. Ciągłe był układnym urzędnikiem. Przynajmniej takie wrażenie tworzył. Być może dlatego zyskał zaufanie Hitlera, który nie potrzebował w swoim otoczeniu ludzi z wyobraźnią, lecz sprawnych administratorów.

- W tej sytuacji... - powtórzył, zawahał się na sekundę, ale szybko wyrzucił z siebie słowa, których, jak oceniał, Himmler oczekiwał - powinniśmy zająć się nawiązaniem rokowań z Anglikami.

- Za plecami Hitlera?! - Himmler wydawał się zdziwiony, lub tylko chciał, aby Schellenberg odniósł takie wrażenie.

- Panie reichsfuhrer, możemy podać, że to jedna z operacji, której celem jest usidlenie opozycji. Czyli: udajemy spiskowców, aby poznać nazwiska prawdziwych wrogów wewnętrznych.

Himmler stanął obok biurka i patrzył uważnie na Schellenberga, bębniąc palcami po blacie.

- Dobry pomysł!

- Dziękuję. - Schellenberg skromnie pochylił głowę, choć widać było, że nie potrzebuje tej pochwały. - Tym lepszy, że Canaris utrzymuje kontakty z Brytyjczykami przez Watykan. Nasze działania będą więc całkowicie uzasadnione.

Himmler zachował pokerową twarz, choć chyba zdał sobie sprawę, do czego zmierza Schellenberg.

- Naszym obowiązkiem jest więc spenetrowanie tej organizacji i pokrzyżowanie jej szyków - dokończył Schellenberg.

- Dobrze, niech pan to przygotuje i ściśle nadzoruje - po chwili milczenia powiedział Himmler. - Anglicy są przebiegli, mogą obrócić to przeciwko nam.

Schellenberg wstał.

- Dziękuję za zaufanie, reichsfuhrer!

Część II
Rok 1939

1. Ucieczka

Jechali wolno, co miało ten dobry skutek, że siedzenie na twardej ławce w więziennej karetkce stawało się bardziej znośne. Samochód zatrzymywał się często i wtedy z zewnątrz dobiegał gwar wielu ludzi, rżenie koni, czasami krzyki i przekleństwa, czasem płacz i zawodzenie kobiet. Najwidoczniej podążali drogami zatłoczonymi przez ludzi uchodzących na wschód przed niemieckimi wojskami, które stanęły pod Warszawą. Zanim zamknął się niemiecki pierścień wokół miasta, w więzieniu na Rakowieckiej zapanowało podniecenie. Więźniowie przekazywali sobie z celi do celi albo na spacerunku najrozmaitsze wieści, ale najczęściej pojawiała się informacja, że lada dzień brama zostanie szeroko otwarta i wszyscy wypuszczeni.

W nocy Michała obudziły hałasy na korytarzu, głośno wykrzykiwane rozkazy i równy stukot więziennych chodaków po betonowej posadzce. Potem strażnik otworzył jego drzwi i kazał stanąć na korytarzu, jak zwykle twarzą do ściany, z rękami uniesionymi wysoko. Szybko przejechał dłońmi po tułowiu, sprawdził, czy nie ukrył niebezpiecznego przedmiotu w nogawkach albo cholewie, i rzucił krótko „Czekaj”. Poszedł otwierać inne cele, przed którymi odbywała się ta sama procedura. Nie było wątpliwości, że więzienie zostanie ewakuowane. Partiami wyprowadzano aresztantów na dziedziniec otoczony wysokim murem, gdzie stały więzienne karetki, i wpychano ich do wnętrza, starając się zmieścić w każdej jak największej grupie. Michał stał w ostatniej czwórce i tylko tyłu wprowadzono do więziennego ambulansu. Pozostało trochę miejsca, ale najwidoczniej

161

plan przewidywał, że wyjedzie jeden konwój, i nie czekali, aż z budynku wyjdzie kolejna grupa. Dzięki temu mieli więcej wygody.

Mężczyzna siedzący najdalej wtulił się w róg i zasnął, ledwo wyjechali poza więzienną bramę. Krótco ostrzyżony, z więziennymi tatuażami na szyi i klatce piersiowej widocznymi przez rozchyloną kurtkę, był najprawdopodobniej pospolitym przestępcą skazanym za kradzieże lub włamania. Szczupły blondyn w drugim rogu, z łokciami opartymi o kolana, ze zwieszoną głową, wydawał się więźniem politycznym lub człowiekiem, który przypadkowo zaplątał się w konflikt z prawem. Tęgi mężczyzna naprzeciw Michała zwracał uwagę wielkimi dłońmi, którymi co chwila przejeżdżał po gęstej czuprynie. Tworzył wrażenie, że coś chce powiedzieć, ale nie może zdobyć się na odwagę. Wreszcie, gdy zatrzymali się po raz kolejny, oparł się o ścianę ambulansu i krzyknął, obracając głowę w stronę szoferki:

- A jeść dacie?

Nie należało oczekiwać, że kierowca i siedzący obok niego strażnik usłyszą ten okrzyk, więc wstał i uderzył pięścią w blaszaną ścianę oddzielającą więźniów od szoferki. Na ten dźwięk strażnik obrócił głowę i spojrzął przez niewielkie okienko.

- Jeść będzie dali, a nie jak było na rzeź więzi!

Strażnik uznał, że nie ma o czym rozmawiać, i przestał na nich patrzeć, zajmując się obserwowaniem nieba.

- Psie syny! - krzyknął jeszcze rozsierdzony więzień i wrócił na swoje miejsce.

- Za co cię wsadzili, kolego? - zainteresował się szczupły blondyn.

- Za to, że jestem uczciwy człowiek i sprawiedliwości społecznej chciałem! - burknął grubas, najwyraźniej szukający kogoś, na kim mógłby wyładować złość.

- Znaczący, komunista? - dopytywał się blondyn.

- A tak, komunista. To wsadzili mnie do więzienia, bo wolnej Polski chciałem, sprawiedliwej, bez panów krwiopijców. Bo co oni zrobili? Popatrzcie lepiej dookoła. Płonie ta ich Polska.

- Nasza Polska, proszę pana - odezwał się Michał.

Grubas spojrzął na niego wrogo, spode łba. Chyba był zadowolony, że ktoś zakwestionował jego poglądy, bo pochylił się do przodu, szukając zaczepki.

162

- Tylko nie „pana”. Powiem wam: cieszę się, że wreszcie runie to wszystko. Ten system niesprawiedliwości. Przyjdą towarzysze sowieccy, a mówi się, że już rozpoczęli marsz w obronie ludzi pracy, pomogą nam, polskim towarzyszom, i porządek zrobimy. Nowa Polska będzie...

- Jak się nie zamkniesz, to ci tę wredną komunistyczną mordę do dupy wsadzę - odezwał się kryminalista.

- Czy będę mógł panu pomagać? - uśmiechnął się blondyn.

- Dam sobie radę sam...

Grubas widząc, że ma trzech przeciw sobie, zamilkł. Wodził jeszcze po nich nienawistnym wzrokiem, ale nie odważył się mówić. Tym bardziej że kryminalista zacisnął dłoń tak, że strzeliły palce w stawach. Nie można było mieć wątpliwości, że gotów jest wykonać groźbę. Przez następne pół godziny samochód jechał szybciej. Najwidoczniej wyprzedzili kolumnę uciekinierów na wozach zaprzężonych w konie i mogli zwiększyć prędkość do czasu, aż w najbliższym miasteczku napotkają kolejną kolumnę nieszczęśliwych ludzi.

Przez równomierny warkot samochodowego silnika zaczął przebijać się inny odgłos. Odległy, jakby szum roju os. Zrozumieli, że nadlatują samoloty. Grubas znowu poderwał się z miejsca i uderzył pięścią w ścianę szoferki.

- Nie słyszycie? Samoloty lecą na nas!

- Dowiedzieli się, że towarzysza wieziemy, to i przylecieli, żeby go uwolnić - burknął blondyn.

Samochód zwiększył prędkość i mimo hałasu silnika i kół na nierównym bruku coraz wyraźniej słyszeli lecące samoloty.

- Chyba nie będzie im się opłacało atakować pojedynczego samochodu na drodze. - Blondyn wsłuchiwał się w samolotowy dźwięk. Zbliżały się.
- Jasna cholera! - krzyknął komunista. Wciąż stał przy ścianie szoferki i wpatrywał się w okienko, przez które widać było fragment drogi. - Kolumna przed nami!
- Nie bój się, towarzyszu! Wolnym będziesz! - rzucił blondyn.
- Tylko czy Bóg weźmie takiego skurwysyna? - znowu odezwał się kryminalista.

163

Samochodem zatrzęsło tak mocno, że komunista poleciał na ścianę.

Zdawało im się, że samoloty są tuż nad nimi, i wtedy usłyszeli ten dziwny dźwięk. Wycie! Narastało z sekundy na sekundę. Słyszeli to w Warszawie, gdy nad miastem pojawiały się samoloty o złamanym skrzydłach. Pikowały z dużej wysokości, wydając dźwięk, który przerażał.

Samochód zatrzymał się.

- Nie zostawiaj nas tutaj! - Komunista podniósł się z podłogi. Przetarł dłonią twarz, rozmazując na niej krew płynącą z rozciętej dłoni.
- Otwierac! - znowu załomotał pięścią w blachę szoferki. Drzwi z tyłu ambulansu otworzyły się. Na moment zobaczyli przerażonego strażnika, który nie zdążył nic powiedzieć i rzucił się do ucieczki. Wskoczyli z samochodu. Tuż nad nimi były samoloty ze złamanymi skrzydłami. Widać na nich było ogniki, a po sekundzie na bruku drogi pojawiły się dymki, szybko biegnące w ich stronę.

Michał pchnął stojącego obok kryminalistę i sam rzucił się do rowu, sekundę wcześniej, zanim pociski odbijające się z przeraźliwym gwizdem od kamieni przemknęły nad nimi i trafiły w drzewa, odłupując korę i gałęzie.

Uniósł głowę i zobaczył następną parę samolotów zniżających lot nad drogą, gdzie stała bezbronna kolumna. Ludzie uciekali w pole lub do lasu, jak najdalej od drogi, gdzie jeszcze pozostało wielu ciągnących rannych lub taszczących z wozów toboły, w obawie, że ich dobytek przepadnie.

Blondyn i grubas zdołali dobiec do pierwszych drzew. Kryminalista klęczący na jednym kolanie miał zwieszoną głowę. Wydawał się ranny lub oszołomiony, niezdolny do ucieczki. Michał poderwał się z murawy i złapał go za rękę. Dopiero wtedy zobaczył, że kryminalista ma twarz zalaną krwią płynącą z rozciętej głowy. Pociągnął mocno i nie dbając, że tamten się przewrócił, ciągnął go w stronę drzew. Skryli się w ich cieniu tuż przed pierwszymi pociskami, które trafiły w konie zaplątane w uprzęże, oszalałe, wrywające się spośród sterty wozów stojących lub przewróconych na boki.

164

Samoloty przemknęły szybko i wzbiły się wysoko. Oznaczało to, że mają kilkanaście sekund spokoju. I wtedy zobaczył dziewczynkę, klęczącą tuż na poboczu. Miała może dziesięć lat, włosy spięte w chude warkoczyki, ubrana była w sukienkę w kwiatki. Nie zwracała uwagi na piekło, które rozpętało się wokół niej. Wyglądała jakby się modliła. Spokojnie i ufnie.

Michał ponownie spojrzął w niebo. Sylwetki samolotów powiększały się. Zaczynały trzeci atak na to, co pozostało na drodze po ich pociskach.

Rzucił się w stronę dziewczynki. Gdy był przy niej, zauważył, że klęczy przy zwłokach kobiety, a po policzkach płyną jej wielkie dziecięce łzy. Przez sekundę odniósł wrażenie, że dziewczynka jest niemową, gdyż z jej ust nie dobiegał żaden dźwięk żalu. Dopiero gdy wziął ją na ręce i zaczął biec do lasu, usłyszał, jak powtarza „matuś, mateczko”.

Długie głuche serie z karabinów maszynowych zmieszały się ze świstem pocisków, przeraźliwymi odgłosami rykoszetów i rykiem silników samolotów mknących tuż nad drogą.

Ułożył dziewczynkę za drzewem, uznając, że gruby pień sosny da ochronę przed pociskami, i obserwował drogę, gdzie od płomieni, jakie ogarnęły samochód osobowy, zajął się pobliski wóz. Zaprzężone do niego konie leżały martwe, w kałuży krwi płynącej z grzbietów.

Gęsty dym z płonącego oleju i szmat tłących się na wozach za-snuwał drogę. Może dlatego piloci, tracąc widok celów, zrezygnowali z dalszych ataków. Może uznali, że spełnili swoje zadanie, blokując drogę, na której uprzątanie zniszczonych samochodów i wozów konnych musiało trwać wiele godzin.

Przeleciały jeszcze raz, machając skrzydłami, jakby na pożegnanie, i zniknęły daleko nad lasem.

Michał podniósł się. Dziewczynka skulona leżała za sosną. Wciąż płakała bezgłośnie. Uznał, że na drogę mogą wrócić jej krewni, więc wziął ją za rękę, gdy dobiegło go jęczenie. Pod krzakiem leżał nieprzytomny kryminalista.

- Zaczekaj tutaj - powiedział do dziewczynki. - Muszę mu pomóc.

Pochylił się nad kryminalistą.

165

Samoloty przemknęły szybko i wzbity się wysoko. Oznaczało to, że mają kilkanaście sekund spokoju. I wtedy zobaczył dziewczynkę, klęczącą tuż na poboczu. Miała może dziesięć lat, włosy spięte w chude warkoczyki, ubrana była w sukienkę w kwiatki. Nie zwracała uwagi na piekło, które rozpętało się wokół niej. Wyglądała jakby się modliła. Spokojnie i ufnie.

Michał ponownie spojrział w niebo. Sylwetki samolotów powiększały się. Zaczynały trzeci atak na to, co pozostało na drodze po ich pociskach.

Rzucił się w stronę dziewczynki. Gdy był przy niej, zauważył, że klęczy przy zwłokach kobiety, a po policzkach płyną jej wielkie dziecięce łzy. Przez sekundę odniósł wrażenie, że dziewczynka jest niemową, gdyż z jej ust nie dobiegał żaden dźwięk żalu. Dopiero gdy wziął ją na rękę i zaczął biec do lasu, usłyszał, jak powtarza „matuś, mameczko”.

Długie głuchoe serie z karabinów maszynowych zmieszały się ze świstem pocisków, przeraźliwymi odgłosami rykoszetów i rykiem silników samolotów mknących tuż nad drogą. Ułożył dziewczynkę za drzewem, uznając, że gruby pień sosny da ochronę przed pociskami, i obserwował drogę, gdzie od płomieni, jakie ogarnęły samochód osobowy, zajął się pobliski wóz. Zaprzężone do niego konie leżały martwe, w kałuży krwi płynącej z grzbietów.

Gęsty dym z płonącego oleju i szmat tłących się na wozach za-snuwał drogę. Może dlatego piloci, tracąc widok celów, zrezygnowali z dalszych ataków. Może uznali, że spełnili swoje zadanie, blokując drogę, na której uprzątanie zniszczonych samochodów i wozów konnych musiało trwać wiele godzin.

Przeleciały jeszcze raz, machając skrzydłami, jakby na pożegnanie, i zniknęły daleko nad lasem.

Michał podniósł się. Dziewczynka skulona leżała za sosną. Wciąż płakała bezgłośnie. Uznał, że na drogę mogą wrócić jej krewni, więc wziął ją za rękę, gdy dobiegło go jęczenie. Pod krzakiem leżał nieprzytomny kryminalista.

- Zaczekaj tutaj - powiedział do dziewczynki. - Muszę mu pomóc.

Pochylił się nad kryminalistą.

165

Rana na czole nie wydawała się groźna. Prawdopodobnie kamień, wyrwany przez pocisk z drogi, uderzył go w głowę, pozbawiając przytomności.

Michał obmacał delikatnie czaszkę. Nie odnosił wrażenia, żeby poza rozcięciem skóry i utratą przytomności temu człowiekowi mogło coś jeszcze zagrażać. Odwrócił się, szukając dziewczynki. Nie dostrzegł jej pod drzewem. Wyszedł na drogę i wtedy zobaczył ją w miejscu, z którego zabrał. Znowu klęczała ze złożonymi rękami nad trupem matki. Po chwili podbiegł do niej jakiś mężczyzna. Dziewczynka przytuliła się do niego, więc Michał uznał, że jest to krewny, może ojciec, i nie musi już się nią interesować.

Kilkadziesiąt metrów dalej widział więzienną karetkę z pootwieranymi drzwiami, wbitą przednimi kołami w przydrożny rów. Nie dostrzegł ani kierowcy, ani strażnika. Widocznie uciekli daleko w las i wrócą wcześniej czy później, jeżeli nie dosięgły ich kule z niemieckiego samolotu.

Pobiegł tam.

Spod maski, na której widać było kilka otworów po pociskach, wydobywała się para z rozbitej chłodnicy.

Zajrzał do szoferki, gdzie bez trudu odnalazł apteczkę. Zamierzał już się odwrócić, gdy jego wzrok padł na dwie walizki stojące między fotelem kierowcy i pasażera. Pomyślał, że mogą w nich być cywilne ubrania.

Rozejrzał się jak złodziej. Nie dostrzegł nikogo z pasażerów ambulansu. Zabrał walizki i rzucił się do ucieczki. Przystanął dopiero, gdy skrył się wśród drzew.

Kryminalista odzyskał przytomność i leżał oparty na łokciu, wciąż oszołomiony, usiłując zorientować się, co się dzieje dookoła.

- Żyjesz. - Michał przykucnął obok.

- Ty mnie stamtąd wyciągnąłeś? Michał skinął głową.

- Oberwałeś kamieniem, w sam środek czoła... Wyciągnął korek z buteleczki z napisem „Woda utleniona”

i wylał na watę.

- Przytrzymaj, ale będzie bolało.

Kryminalista uśmiechnął się z lekceważeniem, chcąc w ten sposób dać znać, że ból dla niego niewiele znaczy.

166

Michał zrobił z gazy prowizoryczny opatrunek i przyłożył go do rozciętej skóry. Potem szybko obwiązał bandażem.

- No, to wszystko, co mogłem dla ciebie zrobić. Bywaj!

- Zaczekaj. - Kryminalista podniósł się. - Jak masz na imię?

- Michał.

- A ja Grześ. Dziękuję.

- W tej walizce mogą być cywilne ubrania albo jedzenie. W więziennych łachach daleko nie zajdziesz. Jak coś będzie, to się przebierz.

Podniósł się i ruszył przesieką, zupełnie nie wiedząc, dokąd prowadzi.

- Zaczekaj! - usłyszał za plecami głos Grzesia. Odwrócił się.

- Mogę iść z tobą?

- A wiesz, dokąd?

- Nie, ale najbliższe dziesięć lat miałem spędzić w celi. To wolę już iść dokądkolwiek.

Razem będzie raźniej, chyba że masz jakiś plan.

- Taki sam jak ty, chodźmy. Byle dalek stąd, bo mogą nas szukać.

2. Nocna misja

Johann jadł powoli sztukę mięsa z kluskami i czerwoną kapustą, odnajdując za każdym razem, gdy podnosił głowę znad talerza, niechętnie spojrzenie kelnera. Był już ostatnim gościem w monachijskiej restauracji „Bürgerbraukeller”, więc nie dziwił się chłopakowi w długim białym kitlu, że patrzył na niego ze złością, gdyż nie mógł zakończyć pracy i pójść do domu.

Odsunął talerz i przetarł usta serwetką w biało-niebieską kratę.

- Pan życzy sobie rachunek - stwierdził kelner, który nie czekając ani sekundy dłużej, niż było to konieczne, zabrał talerz i położył na stole wypisany kwit. - Bo zamykamy!

Johann wstał i wysupłał z kieszeni banknot, który położył na stole.

- Reszty nie trzeba - powiedział tonem człowieka bogatego, choć napiwek, jaki zostawiał kelnerowi, na to nie wskazywał. -

167

Jeszcze tylko tam - wskazał ręką drzwi prowadzące do niewielkiego korytarzyka z toaletami. Kelner, który już zobaczył, jak niewiele pieniędzy leży na stole, skinął niechętnie głową i poszedł po miotłę, aby zamieść podłogę.

- Trzecie okienko po lewej stronie - powtórzył Johann, zamykając za sobą drzwi do korytarzyka.

Skąd wiedział, że właśnie trzecie okienko wychodzi na podwórze i akurat pod nim postawiono beczki?

Takie pytania przychodziły nagle, ale szybko je odrzucał, gdyż próba znalezienia odpowiedzi była zawsze bardzo męcząca i do niczego nie prowadziła.

Podszedł do okienka i przesunął haczyk, tak aby łatwo spadł po lekkim uderzeniu z zewnątrz w szybę lub ramę.

Pamiętał, żeby spuścić wodę, choć nawet nie zbliżył się do pisuaru, i wrócił do sali restauracyjnej. Jego teczka stała na stole, gdzie kelner przeniósł ją z krzesła, zanim postawił je do góry nogami na blacie.

Johann spojrział na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta.

Skinął głową na pożegnanie i wyszedł na zewnątrz, gdzie owiał go wiatr zimnego wrześnieowego wieczoru. Padał nieprzyjemny drobny deszcz, którego krople osiadały na ramionach jego marynarki.

Czy może to czymś grozić? - zadał sobie pytanie z pozoru bezsensowne, gdyż trudno w kroplach wody znaleźć zagrożenie, ale kazano mu analizować każdy element, jaki pojawiał się podczas zmiany miejsca lub sytuacji.

Kto kazał?

Kolejne pytanie musiał pozostawić bez odpowiedzi.

Jakie może być zagrożenie w kroplach wody?

Rozejrzał się po pustoszejącej ulicy. Ludzie szli w płaszczach przeciwdeszczowych albo pod parasolami. Nie widział nikogo, kto tak jak on stałby w wymiętym garniturze, z teczką pod pachą, pośrodku chodnika i gapił się w niebo. Każdy policjant mógł zwrócić na niego uwagę. Czuł, jak ogarnia go strach. Przycisnął mocniej teczkę do boku i ruszył przed siebie szybkim krokiem, jakby wyskoczył właśnie z autobusu, do którego wsiadł, zanim zaczął padać deszcz, a teraz był już blisko domu. Autobus!

168

Po drugiej stronie ulicy dostrzegł przystanek. Najprościej byłoby stanąć tam i wsiąść do pierwszego autobusu, jaki nadjedzie, aby spędzić w nim kilkadziesiąt minut, krążąc po ulicach Monachium. Nie zrobił tego. Niejasna świadomość zagrożenia nie pozwalała mu podejść na przystanek, choć u wylotu ulicy dostrzegł światła nadjeżdżającego autobusu. Człowiek odróżniający się od tłumu zwróci na siebie uwagę policjanta, biletera, kierowcy autobusu... - przypomniał sobie.

Kto go tego uczył?

Uznał, że zbyt długo stoi bezradny na ulicy, a w tej sytuacji najlepsze wydało mu się przejście na podwórko, z którego miał dostać się do piwiarni.

Skręcił do bramy i wszedł na długie wąskie podwórko, płosząc koty z niewielkiego daszku nad śmietnikiem.

Odnalazł wzrokiem okna zamalowane na biało, co było oczywistym znakiem, że prowadzą do toalety. Spojrział na zegarek. Minęła jedenasta, a więc było jeszcze za wcześnie.

Podsunał sobie skrzynkę po butelkach i usiadł na niej, aby przeczekać kilkanaście minut, gdy personel piwiarni pójdzie do domu.

Nie sprawdzał, jak długo tam siedział. Gdy poczuł, że woda przesiąkająca przez sukno marynarki spływa mu po plecach, wstał i podszedł do trzeciego okna. Wspiął się na beczkę i delikatnie kantem dłoni kilkakrotnie uderzył we framugę okna. Słyszał, jak wewnątrz spada haczyk. Pchnął lekko okno i bez trudu przełożył nogę ponad wąskim parapetem wyłożonym kamionkowymi kaflami.

Wewnątrz było ciemno i tak cicho, że słyszał, jak woda ciorka z niedokręconego kranu nad umywalką.

Oparł się o ścianę. Postanowił pobyć w wąskim korytarzyku kilka minut, aby przyzwycząić oczy do panującej tam ciemności, rozpraszanej jedynie przez wąski strumień światła w szparze pod drzwiami. Nic nie zakłócało ciszy. Najwidoczniej kelner skończył zamiatać i poszedł sobie.

Na wszelki wypadek przyłożył ucho do drzwi, starając się wyłowić każdy szelest, który wskazywałby, że nie jest sam w piwiarni.

Dotknął ostrożnie klamki i nacisnął ją. Opuściła się bezszelestnie, jakby ktoś zadbał o to, żeby drzwi nie czyniły hałasu.

169

Uchylił je i wyjrzał przez szparę. W piwiarnianej sali panował półmrok. W wielkich kryształowych żyrandolach nie wiadomo czemu pozostawiono kilka żarówek zapalonych. Podłoga była zamieciona, a krzesła ustawiono na grubych dębowych stołach zastanych kraciastymi obrusami. Żaden szmer nie zdradzał obecności innej osoby.

Bez trudu odnalazł wzrokiem kolumnę pośrodku sali. Choć była jedną z wielu, to centralne położenie wskazywało, że na nią spływa ciężar łukowatego sklepienia. Wybrał ją już w sierpniu, gdy po raz pierwszy pozostał na noc w piwiarni. Potem przychodził jeszcze wiele razy, obserwując zachowania i przyzwyczajenia personelu, architekturę, grubość paneli, jakimi wyłożono ściany i kolumny. Starał się dokładnie ocenić, jakie narzędzia powinien ze sobą zabrać i jak pracować, aby nie zwrócić uwagi lub nie wywołać podejrzeń kelnerów przychodzących rano do pracy. Wreszcie wrześniowego dnia uznał, że jest gotów.

Podszedł do kolumny. Przykucnął i wyjął latarkę. Płaską, z drucianymi nóżkami, którą można było ustawić na podłodze, tak aby oświetlała miejsce pracy. Wsunął rękę do teczki i wyczuł chropowatość grubego materiału, w który zawinął narzędzia. Położył je na podłodze, zdziwiony, że nie słyszy dźwięku charakterystycznego dla metalowych ostrz.

Gruba szmata - pomyślał. - Przecież po to wziętem grubą szmatę!

Rozwinął ją i wyjął dłuto o szerokim, pięknie wygładzonym ostrzu. Delikatnie wsunął je pod brzeg boazerii, jaką obłożono dół kolumny, i delikatnie uderzył otwartą dłonią w koniec drewnianego trzonka. Starał się trzymać dłuto płasko, aby nie zostawiło najmniejszego śladu na miękkim drewnie boazerii.

Przesuwał dłuto i raz za razem uderzał delikatnie, aż utworzyła się szpara, w którą mógł wsunąć głębiej ostrze i delikatnie naciskając, oderwać deskę.

Z zadowoleniem przyjrzał się jej powierzchni. Nie pozostawił żadnych zarysowań.

Pod boazerią był tynk, taki sam jak na kolumnie wychodzącej z boazerii. Ostukał go delikatnie trzonkiem, stwierdzając, że cementowa warstwa nie jest gruba, a pod nią powinny być

170

cegły. Z teczki wyjął mesel z długim trzonkiem i zaczął zeszkro-bywać cement. Oczywiście odkucie tynku byłoby prostsze i szybsze niż mozolne tarcie, ale obawiał się hałasu. Poza tym nie spieszył się. Tkwiło w nim głębokie przekonanie, że nie musi się spieszyć, gdyż we właściwym czasie otrzyma sygnał, żeby opuścić piwiarnię.

Jaki sygnał?

Odłożył na moment mesel, usiłując wyłowić z pamięci formę polecenia wskazującego, że musi przerwać pracę.

Jak zwykle przy takich refleksjach, pojawiało się uczucie niemocy. Dochodził do granicy, której nie mógł przekroczyć, a nie rozumiał, dlaczego. Jak mucha chodząca po szybie, za którą otwierała się przestrzeń.

Zaczął skrobać tynk, aż pojawiła się cegła. Pomyślał, że wykucie tam wnęki, która mogłaby pomieścić ładunek, będzie przedsięwzięciem o wiele trudniejszym.

Niepokój pojawił się nagle. Wychodził gdzieś z wnętrzości i powodował wrażenie mdłości.

Nieokreślony lęk nakazywał mu przerwać pracę. Stawał się sygnałem ostrzegawczym.

Co go wywołało?

W tym samym momencie dostrzegł, że światło latarki, przy którym pracował przez całą noc, niczego nie oświetla. W piwiarni-nej sali robiło się jasno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina piąta. Pierwsi pracownicy mieli przyjść do piwiarni nie wcześniej niż o ósmej.

Dlaczego więc pojawił się lęk? Przed czym?

Promienie wpadające przez okna z grubego szkła oświetlały sprzęty, tworząc długie cienie, i kładły się nieokreślonym reflekssem na białej ścianie, na której wisiały portrety ludzi w mundurach.

Mdłości stawały się coraz silniejsze. Poczuł, że pot spływa mu po karku.

Zawinął w grubą flanelę narzędzia i szczotką wydobytą z teczki pozmiatał pył. Potem przetarł podłogę wilgotną ściereczką, którą miał przygotowaną w metalowym pudełku.

Wyprostował się. Dopiero wtedy poczuł ból pleców. Pracował zgięty przez kilka godzin, nie czując, że pozycja jest niewygodna.

Przyjrzał się kolumnie z kilku stron, nie zauważając żadnego śladu jego nocnej działalności.

Delikatnie przyłożył deskę boazerii

171

i uderzając spodem dłoni, umieścił ją na miejscu. Ponownie wstał i sprawdził, czy nic nie zdradzało jego pracy.

Lęk ciągle tkwił w nim, powodując nieprzyjemny ścisk żołądka. Okna rozświetlał wstający jasny słoneczny poranek.

- Słońce mnie przeraża - pomyślał. - Jak wampira.

Zatrzasnął zamek teczki i ruszył do korytarzyka, z którego mógł wydostać się na podwórk.

3. Rozkaz króla Heinricha

Zawsze kiedy nocą przemierzał pustą nawę kościoła w Quedlin-burgu, ogarniało go przerażenie. Napinał mięśnie i wpatrywał się w opustoszałą apsydę, starając się myśleć o czekającej go rozmowie, a nie o cieniach poruszających się wśród kolumn. Z ogromnym wysiłkiem odpychał od siebie uczucie paniki i chęć ucieczki. Powtarzał sobie wówczas, że to próba, jakiej poddaje go król Heinrich I.

Zszedł po schodach do krypty i postawił gromnicę na podłodze przed grobem króla.

Lęk zaczynał mijać, a uczucie zimna zastępowało ciepło, pochodzące gdzieś z wnętrza jego ciała, jakby po łyku wódki.

Pochylił głowę. Popadał w stan, w którym czas i miejsce traciły swe znaczenie. Zawsze gdy analizował ten stan, dochodził do wniosku, że był to początek podróży. Jakby król Heinrich przysyłał po niego niezmierny pojazd, w którym odbywał podróż przez czas i przestrzeń. Być może widział wiele, ale gdy budził się w zimnej krypcie, pamięć tych zdarzeń ulatywała, pozostawiając tylko słowa króla.

Ocknął się, jak człowiek, którego niespodziewany hałas wyrwał na moment z nadchodzącego snu.

Czyżby rozmowa z królem była tylko rzeczywistością snu, w jaki zapadał w podziemiach starego kościoła?

Natychmiast pochylił głowę, przyznając się, że zważył na moment.

- Fałszywy prorok zdradził!

172

Usłyszał głos zbliżający się do niego, gdzieś z tyłu, jakby nieco z góry.

- Prowadzi nasz naród do zguby, gdyż przyszłość Niemiec leży na wschodzie, a nie na zachodzie. Tam są nasi bracia, a fałszywy prorok chce rozlać ich krew, zasiać nienawiść na wieki, dać powód do krwawej zemsty. Broń Niemców! Zabij fałszywego proroka!

Głos, spokojny, wyważony, zamilkł.

Himmler klęczał jeszcze długo, oczekując, że król odezwie się do niego.

Podniósł się i rozejrzył dookoła. Świeca wypaliła się, jedynie w kałuży wosku tliła się resztką knotu. Za to w otworze wejściowym widział światło wschodzącego dnia, które dostawało się do kościoła przez wielkie okna. Był październik. Dzień wstawał koło godziny szóstej.

Oznaczało to, że spędził w krypcie sześć godzin!

Owinął się peleryną i ruszył do schodów, myśląc, jak szybko znikają nocne strachy w świetle dnia. Już nie czuł lęku.

Walter Schellenberg czekał długo. Przyjechał na wezwanie, które przekazał mu adiutant Himmlera, już o godzinie siódmej rano, a wciąż trzymano go w saloniku na parterze prywatnej posiadłości reichsführera. Ostatecznie doszedł do wniosku, że szef dopiero ma przyjechać, lecz musiało zatrzymać go ważne wydarzenie.

O dziewiątej drzwi otworzyły się i stanął w nich adiutant.

- Pan reichsführer właśnie przybył i prosi pana do ogrodu.

Schellenberg dopił ostatni łyk kawy, wstał i obciągnął mundur. Przez okno widział Himmlera, który wyszedł na taras i stał tam, przypatrując się drzewom. Na widok Schellenberga nic nie powiedział, lecz ruszył w stronę szerokich schodów prowadzących do ogrodowej alejki.

W oddali widać było sylwetki esesmanów pełniących tam straż. Himmler traktował ich jak część krajobrazu i nie przejmował się, że zabierali część prywatności, po jaką przyjeżdżał do eklektycznego pałacyku na jeziorze.

- Niech pan idzie ze mną - odezwał się wreszcie. Schellenberg odnosił wrażenie, że szef był w dziwnym stanie,

na co wskazywały podpuchnięte oczy i ziemista cera. Uznał, że

173

reichsführer wrócił z narady u Hitlera, jednej z wielu, które trwały wiele godzin i kończyły nad ranem.

Obeszli gazon obsadzony egzotycznymi krzakami i skręcili w alejkę prowadzącą do jeziora. Z reguły w tym miejscu szef SS zwykł prowadzić najtajniejsze rozmowy, które musiały pozostać tylko między nim a rozmówcą. Tutaj zalesiony teren otwierał się, dając widok na wszystkie strony, i nikt nie mógłby ukryć się za drzewem, aby podsłuchiwać.

Himmler przystanął i zwrócił się w jego stronę.

- Wezwałem pana, gdyż pojawił się pewien nowy element. Schellenberg spojrział na niego zaskoczony. Musiało stać się

rzeczywiście coś bardzo niespodziewanego, skoro on nic o tym nie wiedział. Słuchał z tym większą uwagą.

- Musimy rozpocząć operację „Heinrich”...

Przerwał jakby czekając na reakcję Schellenberga, ale ten starał się nie okazać żadnych emocji, co najwyraźniej spodobało się Himmlerowi.

- ...ale chcę znać pana odpowiedzi na kilka pytań. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy operacja jest całkowicie tajna i bezpieczna.

- Tak - zdecydowanie odparł Schellenberg. - Pojawiło się pewne zagrożenie, ale zlikwidowaliśmy je.

Himmler uniósł brwi, wyrażając zaniepokojenie.

- Polski szpieg dotarł dość blisko. Udało mu się poznać niektóre szczegóły, ale nie poznał istoty przedsięwzięcia. Skompromitowaliśmy go. W sierpniu, a więc zanim na dobre rozpoczęliśmy operację „Heinrich”, polski sąd skazał go na piętnaście lat więzienia za zdradę! Krótko mówiąc, uznali, że jego doniesienia były preparowane przez nas. „Heinrich” jest bezpieczny!

- Dobrze, bardzo dobrze!

Himmler mówił, zniżając głos, jakby obawiał się podsłuchu nawet w miejscu, gdzie nie mogło go być.

- Najbliższa sposobna okazja nadarzy się w czasie zjazdu starych towarzyszy partyjnych.

- Ósmego listopada w „Bürgerbraukeller”? - Schellenberg chciał to wiedzieć z całą pewnością. W takich działaniach nie mogło być mowy o pomyłce ani nieporozumieniu.

174

- Tak! - potwierdził Himmler. - Wtedy będziemy mieli pełną jasność, czy sytuacja rozwija się zgodnie z moimi przewidywaniami.

- Rozkaz!

- Nie chcę żadnych raportów, żadnych informacji! Jakakolwiek rozmowa na ten temat może się odbyć tylko wówczas, gdy uzna pan, że kontakt ze mną jest absolutnie nieodzowny.

- Rozkaz! - powtórzył Schellenberg.

Wiedział, że Himmler czuje się zagrożony ze strony Göringa i Goebbelsa, uważnie przyglądających się jego działaniom, i jakkolwiek błąd miałby dla niego katastrofalne skutki.

- Jest jednak pewna komplikacja - mówił dalej. - Do Heydricha. ..

Schellenberg drgnął, słysząc nazwisko szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Uważał Heydricha za najbardziej przebiegłego i bezwzględного gestapowca Trzeciej Rzeszy.

- ...zgłosił się niejaki Karl Ernst Kraft. To szwajcarski astrolog. Ma trzydzieści dziewięć lat i wielkie osiągnięcia. Słyszałem już o nim, ale nie to jest teraz ważne. Przesłał list, w którym stwierdził, że ósmego listopada tego roku nastąpi zamach na Hitlera!

Himmler cały czas badawczo przyglądał się Schellenbergowi, jakby sprawdzał, jakie wrażenie zrobiła na nim ta informacja. Ten wzruszył ramionami.

- Heydrich zlekceważył list od tego Krafta, gdyż uważa, że astrologia to bzdury - uśmiechnął się Himmler. - Kraft jest Szwajcarem, więc sprawa należy do pana kompetencji, jako szefa wywiadu SS, Schellenberg.

- Tak jest!

- Chciałbym, żeby prowadził ją doktor Heinrich Fesel z Biura Badań Ideologicznych. Ten Kraft może być bardzo cennym nabytkiem.

- A nie więźniem?

Himmler wykonał nieokreślony ruch dłonią, który można było zinterpretować jako przyzwolenie na każde działanie wobec astrologa.

Szli przez chwilę w milczeniu. Schellenberg wyczuwał, że Himmler ma mu jeszcze coś do powiedzenia, i domyślał się, o co może chodzić szefowi SS, ale ten z nieznanых powodów się wahał.

175

- W tej sprawie mamy jeszcze jeden trudny moment. - Reichs-führer zdecydował się wreszcie.

- Myśli pan o swojej obecności i zagrożeniu dla pana osoby. -Schellenberg postanowił ułatwić mu zadanie.

- Tak!

- Och, to nic trudnego. Pana bezpieczeństwo w tym wypadku całkowicie zależy ode mnie. A mnie może pan zaufać, reichs-führer!

- A Anglicy?

- Pyta pan o ich nastawienie do negocjacji?

- Tak.
- Są gotowi do rozmów, i to na wysokim szczeblu.
- Dobrze, niech pan zacznie rozmowy jak najszybciej, żebyśmy na początku listopada byli gotowi zawrzeć pokojowe porozumienie.

4. Haga

Październikowy dzień był ciepły i pogodny. Major Richard Stevens dał się ponieść czarowi jesiennego dnia, gdy Haga nabierała szczególnego uroku, a kolorowe kamienice zyskiwały piękną oprawę z żółtych liści na drzewach rosnących wzdłuż kanałów. Wyszedł z biura znacznie wcześniej, niż powinien to zrobić, aby nie spóźnić się na spotkanie, więc krążył wokół hotelu „Des Indes”, gdzie umówił się z doktorem Fischerem. Nie znał jego imienia, ale w tajnych służbach było oczywiste, że ludzie tam zatrudnieni ujawniali tylko to, co niezbędne do ich identyfikacji, a i tak w większości były to informacje zafałszowane. Stevens nawet nie był pewien, czy nazwisko Fischer nie jest wymyślone. Co prawda gdy w maju 1939 roku nawiązał kontakt z imigrantem z Niemiec, mieszkającym w Paryżu od sześciu lat, natychmiast sprawdził, czy jest tym, za kogo się podaje. Wywiad brytyjski szybko ustalił, że doktor Fischer miał na imię Siegfried i był politykiem rządu weimarskiego, a z Niemiec uciekł przed prześladowaniami, jakie spotkały go po objęciu władzy przez nazistów. Nie było też większych trudności

176

ze znalezieniem jego zdjęcia i Stevens mógł stwierdzić, że doktor Fischer, który zgłosił się do niego, i mężczyzna na fotografii z 1929 roku są bardzo podobni. Dalsze badanie tożsamości nie miało już większego sensu, więc Stevens przestał na tych ustaleniach.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że ma jeszcze pół godziny. Zawsze przychodził wcześniej na spotkania, co umożliwiała mu przyjrzenie się lokalowi i wykrycie zasadzek. Tym razem nie spodziewał się żadnej, choć zdawał sobie sprawę, że w jego fachu ostrożność ma często cenę życia. Przestrzegał tej zasady tym bardziej skrupulatnie, że jego doświadczenie w wywiadowczej profesji było nikłe. Z czterdziestoczteroletniego życia połowę spędził w służbie wywiadowczej w Indiach i dopiero w 1938 roku powrócił do Londynu, gdzie w naturalny sposób zaproponowano mu służbę w Secret Intelligence Service i szybko oddelegowano do Hagi. Tu jako urzędnik paszportowy miał rekrutować agentów do pracy w Niemczech. Jednym z nich stał się Fischer.

Oparł się o metalową barierę, odgradzającą ulicę od kanału, i przez kilka minut przypatrywał się łodziom. Wiele sobie obiecywał po spotkaniu, gdyż ostatnia wiadomość, jaką Fischer przekazał przez telefon, brzmiała sensacyjnie: „Moi znajomi gotowi są do negocjacji”.

Sprawdził, która godzina, i doszedł do wniosku, że czas, aby podążył na spotkanie.

Fischer siedział już w hotelowej kawiarni i udawał, że czyta gazetę, choć nadmiernie często zerkał dookoła.

Stevens przysiadł się i bez słowa wyciągnął rękę na powitanie.

- Coś się stało, że pan tak niespodziewanie zadzwonił? - zapytał.
- Wiele się dzieje - odparł Fischer i natychmiast skoncentrował uwagę na etui z czarnej skóry, z którego wydobyl cygaro.

Ugniatał je przez chwilę w palcach, poślinił koniec i zerwał kawałek czapeczki.

- Wiele się dzieje - powtórzył.

Pochylił się w stronę Stevensa. Zaczął mówić bardzo cicho.

- Zwycięstwo w Polsce rozjuszyło Hitlera. Uważa, że nie może dać czasu Anglii i Francji na przygotowania do wojny i należy jak najszybciej uderzyć...

177

ze znalezieniem jego zdjęcia i Stevens mógł stwierdzić, że doktor Fischer, który zgłosił się do niego, i mężczyzna na fotografii z 1929 roku są bardzo podobni. Dalsze badanie tożsamości nie miało już większego sensu, więc Stevens poprzestał na tych ustaleniach.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że ma jeszcze pół godziny. Zawsze przychodził wcześniej na spotkania, co umożliwiał mu przyjrzenie się lokalowi i wykrycie zasadzek. Tym razem nie spodziewał się żadnej, choć zdawał sobie sprawę, że w jego fachu ostrożność ma często cenę życia. Przestrzegał tej zasady tym bardziej skrupulatnie, że jego doświadczenie w wywiadowczej profesji było nikłe. Z czterdziestoczteroletniego życia połowę spędził w służbie wywiadowczej w Indiach i dopiero w 1938 roku powrócił do Londynu, gdzie w naturalny sposób zaproponowano mu służbę w Secret Intelligence Service i szybko oddelegowano do Hagi. Tu jako urzędnik paszportowy miał rekrutować agentów do pracy w Niemczech. Jednym z nich stał się Fischer.

Oparł się o metalową barierę, odgradzającą ulicę od kanału, i przez kilka minut przypatrywał się łodziom. Wiele sobie obiecywał po spotkaniu, gdyż ostatnia wiadomość, jaką Fischer przekazał przez telefon, brzmiała sensacyjnie: „Moi znajomi gotowi są do negocjacji”.

Sprawdził, która godzina, i doszedł do wniosku, że czas, aby podążył na spotkanie.

Fischer siedział już w hotelowej kawiarni i udawał, że czyta gazetę, choć nadmiernie często zerkał dookoła.

Stevens przysiadł się i bez słowa wyciągnął rękę na powitanie.

- Coś się stało, że pan tak niespodziewanie zadzwonił? - zapytał.

- Wiele się dzieje - odparł Fischer i natychmiast skoncentrował uwagę na etui z czarnej skóry, z którego wydobył cygaro.

Ugniatał je przez chwilę w palcach, poślinił koniec i zerwał kawałek czapeczki.

- Wiele się dzieje - powtórzył.

Pochylił się w stronę Stevensa. Zaczął mówić bardzo cicho.

- Zwycięstwo w Polsce rozjuszyło Hitlera. Uważa, że nie może dać czasu Anglii i Francji na przygotowania do wojny i należy jak najszybciej uderzyć...

177

Przerwał. Wsunął palce do kieszonki kamizelki i wyciągnął zapalniczki. Przez chwilę podgrzewał koniec cygara, wreszcie zapalił i wypuścił kłęb dymu, który Stevens uznał za wyjątkowo śmierdzący.

- Nastrój wodza bardzo niepokoi najwyższych dowódców Wehrmachtu - podjął Fischer. - Uważają, że wyprawa na zachód zakończy się klęską. Niemcy nie są gotowe do wojny na tak dużą skalę.

Znowu przerwał, zdając się koncentrować uwagę na cygarze. Stevensa zaczął denerwować ten sposób prowadzenia rozmowy, ale wnet przyznał rację Fischerowi, kiedy kątem oka dostrzegł, że do ich stolika podchodzi kelnerka.

- Kawę z mlekiem - powiedział do niej.

- La Tache rocznik 34 - zamówił Fischer z taką łatwością, jakby prosił o herbatę.

Stevens przełknął ślinę, zastanawiając się, czy szefowie uznają rachunek. Musiał mieć głupią minę, gdyż Fischer dodał:

- Do hawany to wino nadaje się szczególnie, a więc... - podjął, widząc, że kelnerka oddaliła się na taką odległość, by nie słyszeć ich rozmowy - nadszedł czas obalenia tego pana Hitlera.

Stevens przestał żałować kwoty, którą przyjdzie mu zapłacić na zakończenie tego spotkania. Przynalął krzesło bliżej Fischera i oparł się łokciami o mały stolik. Nie chciał uronić ani jednego słowa z tego, co miał usłyszeć.

- Górdeler, Beck, Canaris -jednym tchem wymienił Fischer -gotowi są utworzyć rząd. Bez Hitlera!

- Co z nim, w takim razie?

- Zostanie aresztowany lub zabity. - Fischer wydmuchał dym z cygara. - O tym za chwilę. Teraz sprawa najważniejsza.

Przerwał, widząc, że nadchodzi maitre d'hôtel niosący butelkę wina. Stevens westchnął ponownie. Odczekał, aż Fischer skinieniem głowy potwierdzi zamówienie, przełknie łyk, uśmiechnie się, doceniając wysoką jakość wina, i zgodzi się, aby kelner napełnił jego kieliszek.

- Moi przyjaciele w Niemczech, gotowi sformować rząd, muszą mieć pewność, że Anglia nie wykorzysta zamieszania, jakie bez wątpienia nastąpi po usunięciu Hitlera.

178

- Chcą dostać gwarancje na piśmie? - zachnął się Stevens. Fischer, choć delektujący się winem i dymem, nagle zrobił

kwaśną minę. Szybko jednak przywrócił swojej twarzy pogodny wyraz.

Stevens zorientował się, że zadał niepotrzebne pytanie. Szybko zmienił temat.

- A kto gwarantuje powodzenie spisku?

- Generał Wintersheim. Gustav von Wintersheim... - przerwał na moment, jakby dając Stevensowi czas na zapamiętanie tego nazwiska - dowódca XIV korpusu. Siły wystarczającej, aby przechwycić władzę w Berlinie. A gdy tak się stanie, do rebelii przyłączą się dowódcy innych okręgów wojskowych - wyjaśnił Fischer.

Uczył to takim tonem, że Stevens nie miał wątpliwości, iż rozmowa została zakończona, a Fischer chce pozostać sam, aby spokojnie dokończyć butelkę drogiego wina.

Podniósł rękę, dając znać kelnerce, że chce zapłacić.

- Przekażę pana informacje - powiedział.

- Niech się spieszą - mruknął Fischer, myśląc o mocodawcach Stevensa w Londynie. - Oby się nie obudzili, gdy na wieży waszego parlamentu będzie powiewać nazistowska flaga - zaśmiał się, co tym razem Stevens przyjął kwaśnym uśmiechem.

Zerknął na rachunek, który w skórzanych okładkach położyła przed nim kelnerka. Odliczył pieniądze, starając się nie okazywać, jak boli go kwota, którą musi zostawić, i wstał.

- Skontaktujemy się za kilka dni - powiedział na pożegnanie i wyszedł szybko z kawiarni. Zbyt szybko, aby zauważyć kobietę siedzącą kilka stolików dalej.

Kerstin na ciemne włosy, gładko zaczesane do tyłu i spięte w mały kok, nałożyła toczek z woalką ledwo sięgającą brwi. Paliła papierosa w długiej fifice i przeglądała kolorowe pismo, zupełnie nie interesując się tym, co dzieje się dookoła. Od czasu do czasu zerknęła na okno, jakby sprawdzając, czy nadchodzi osoba, z którą się umówiła. Dłuższa obserwacja jej zachowania mogła wskazywać, że czeka na przyjaciółkę, która miała w zwyczaju poważnie spóźniać się na każde spotkanie, co ona rozumiała i cierpliwie czekała.

Gdy tylko Stevens doszedł do drzwi, kobieta niemalże niedostrzegalnie zwróciła głowę w stronę Fischera. On uśmiechnął się

179

uprzejmie i skinął głową, w czym można było doszukiwać się adoracji pięknej kobiety, i natychmiast zajął się smakowaniem wina.

Stevens stanął na ulicy, rozważając, czy wziąć taksówkę, czy wracać do biura pieszo, aby cieszyć się piękną pogodą. Ostatecznie postanowił kontynuować spacer, aby przemyśleć informacje od Fischera.

Podświadomie wyczuwał, że jest na progu ważnego wydarzenia, które może zmienić historię Europy, a on będzie jedną z głównych postaci, może nawet sprawcą wielkiej przemiany.

Niepokoił go tylko fakt, że za kilkanaście minut będzie musiał zrelacjonować rozmowę z Fischerem swojemu przełożonemu, którego wyjątkowo nie lubił.

Stanowili dwa odrębne typy psychofizyczne, które odrzucały się już w chwili poznania.

Stevens miał ledwie sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, był szczupły, choć mocno zbudowany. Nosił się zawsze elegancko, dbając, aby przedziałek biegł równo po prawej

stronie głowy, a ciemne włosy były odpowiednio namaszczone brylantyną. Dużą wagę przykładał nie tylko do fryzury, ale i odpowiedniego wyglądu wąsów, które traktował jako pamiątkę po wieloletnim pobycie w Indiach, gdzie taki krój zarostu był obowiązkowy dla oficerów jego oddziału Rajput Rifles.

Best był jego przeciwieństwem pod każdym względem. Wysoki na sto dziewięćdziesiąt centymetrów, potężnie zbudowany, pociągłej twarzy, o ciężkim spojrzeniu (co łagodził, nosząc monokl), krótko ostrzyżony, wyglądał jak trener drużyny futbolowej lub zapaśniczej, a nie funkcjonariusz tajnych służb. Miał za sobą długi staż w Secret Intelligence Service, w tym na froncie pierwszej wojny światowej, w Hadze zaś przebywał od 1919 roku, ożeniony z holenderską malarką Marią Margaretą Von Rood, dobrze widzianą na holenderskim dworze. Co gorsza dla Stevensa, miał opinię świetnego znawcy spraw niemieckich i bardzo dobre kontakty z niemieckimi opozycjonistami.

Stevens zdawał sobie sprawę, że będzie musiał poinformować Besta o rozmowie z Fischerem, i ta świadomość kładła się cieniem na wizji pięknej przyszłości, której zwieńczeniem mogło być obalenie Hitlera. Przy jego udziale! Dlatego gotów był rozmowę z Fischerem jak najdłużej trzymać w tajemnicy.

180

5. Nadzieja na pokój

Drzwi ukryte w boazerii obok kominka odsunęły się bezszelestnie.

Stewart Menzies od chwili gdy przyszedł do pracy czekał na wizytę, której wagę najlepiej podkreślał sposób, w jaki gość miał wejść do jego gabinetu.

Tajne przejście prowadzące z jego domu przy ulicy Queen Anne's Gate do biura na Broadwayu używane było tylko w szczególnych okolicznościach, gdy nikt nie powinien widzieć człowieka, z którym Menzies miał ochotę porozmawiać.

Major Stevens, gdy tylko zamknął za sobą sekretne drzwi, stanął na baczność, co dobrze świadczyło o jego wojskowych nawykach.

Menzies z ulgą odsunął na brzeg biurka stertę papierów, nie bacząc, że niszczy porządek, w jakim ułożyła je panna Pettigrew, i podniósł się z wyściełanego skórą fotela, aby przywitać gościa. On, żołnierz z krwi i kości, potrafił docenić wojskowe maniery Stevensa.

- Jak droga? - zapytał, wyciągając rękę.

Ten powoli rozluźniał mięśnie, jakby jego zwierzchnik wydał rozkaz „spocznij”. Skinął głową, co miało znaczyć, że w lotniczej podróży z Hagi nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

- Ściągnąłem pana, aby omówić sprawę bardzo ważną. - Menzies wskazał na fotel przy małym okrągłym stoliku, a sam pozostał przy biurku. Być może uważał, że będzie musiał sięgnąć po jakiś dokument, co i tak nie udało mu się, gdyż nie odnalazłby go bez pomocy panny Pettigrew.

- Zainteresował mnie pana raport. - Menzies spojrzał na biurko, najwyraźniej z zamiarem odnalezienia kartki, ale natychmiast z tego zrezygnował.

Stevens ponownie napiął mięśnie. Informację o spotkaniu z Fischerem wysłał, pomijając kapitana Besta, i mógł się spodziewać, że spotka go za to reprimenda. Menzies nie myślał jednak o naruszeniu drogi służbowej ani o rywalizacji ludzi z tajnych służb.

Podniósł się wreszcie zza biurka, obszedł je i usiadł przy stoliku obok Stevensa.

181

- Rozmawiałem z sir Arthurem Rucknerem...

Przerwał, aby sprawdzić, czy nazwisko to mówi coś Steven-sowi, ale ten uniósł brwi, dając znać, że nie wie, o kogo chodzi.

- Prywatnym sekretarzem premiera Chamberlaina - uzupełnił szybko Menzies. - Powiedział mi, w sekrecie, o nastrojach panujących w rządzie brytyjskim. Istnieje uzasadniona obawa, że państwa Europy Wschodniej uznają, iż osłabły ich możliwości obrony przed komunizmem.

To po zajęciu przez bolszewików części Polski. Dlatego nie możemy wykluczać możliwości połączenia naszych sił z nowym rządem niemieckim przeciwko komunizmowi. Potrzebujemy obalenia obecnego reżymu przez dowódców Wehrmachtu.

Stevens uśmiechnął się. Jego raport o spotkaniu z Fischerem był jak najbardziej na czasie! Przemknęło mu przez głowę, że dziwnie się składa, iż w tym samym czasie spotykają się działania niemieckiej opozycji i rządu brytyjskiego, ale szybko odpędził tę myśl. Nie on był od strategii.

- Krótko mówiąc - kontynuował Menzies - autoryzuję pana działania. Może pan posunąć się znacznie dalej.

- Co to znaczy? - Stevens wolał mieć pełną jasność, niż zgadywać słowa szefa.

- Chcę, żeby panowie podjęli rozmowy z Niemcami!

- Myśli pan o kapitanie Beście?

- Tak, uważam, że razem powinniście prowadzić te rozmowy. -Menzies uciął temat, najwidoczniej nie chcąc wyjaśniać złożonych przyczyn, które skłoniły go do włączenia Besta do akcji.

Ponownie wątpliwość przemknęła przez głowę Stevensa. Best był bardzo doświadczonym oficerem pracującym w tajnych służbach od 1919 roku. Bywał częstym gościem na dworze królowej Wilhelminy i przyjaźnił się z niemieckimi książętami Oldenburg i Mecklenberg. Znał wielu ważnych urzędników z londyńskiej centrali tajnych służb, wiele o nich wiedział, osobiście kontaktował się z agentami działającymi na terenie Niemiec. Nie należało więc ryzykować wysyłania na wrogie terytorium człowieka, który tak dużo wiedział.

Jednakże Stevens nic nie powiedział na ten temat. Ponownie uznał, że to nie jego sprawa podawać w wątpliwość decyzje szefów wywiadu.

182

Menzies też zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakim było włączenie do akcji Besta, ale układ sił w centrali tajnych służb w Londynie zmuszał go do tego. Ten oficer podlegał bezpośrednio szefowi tajnych służb admirałowi Sinclairowi, który utworzył niezależną komórkę, „Sekcję Z”, zajmującą się sprawami niemieckimi. Menzies nie mógł więc pominąć przedstawiciela tej komórki w Hadze.

- Obawiam się, że nie uda się panu ukryć przed Bestem swojego sukcesu, jakim było nawiązanie kontaktów z Fischerem. Będzie miał panu za złe, że stało się to... bez jego wiedzy - powiedział niespodziewanie Menzies.

- Sir, czy ustalono coś bliższego na temat generała Winters-heima? - Stevens zdecydował się nie podejmować drażliwego tematu Besta i przejść do spraw związanych z wykonaniem rozkazu.

- Ten, który ma prowadzić negocjacje? Niewiele wiadomo o jego powiązaniach z opozycją. - W głosie Menziesa wyczuwało się wahanie. - Co jest pewne: dowodzi XIV korpusem, walczył w Polsce. Arystokratyczne pochodzenie może skłaniać go do buntu przeciw kapralowi Hitlerowi i całej tej jego bandzie nazistowskich parwe-niuszy.

Stevens wyczuł, że rozmowa dobiega końca. Odnosił wrażenie, że Menzies stara się zdystansować od całej operacji. Rozumiał to. Jego zwierzchnik, admirał Hugh Sinclair, był nieuleczalnie chory na raka jelit i jego dni były już policzone. Powszechnie mówiło się, że Menzies zajmie miejsce szefa tajnych służb. W tej sytuacji musiał unikać ryzykownych posunięć, które bez wątpienia jego przeciwnicy wykorzystaliby, aby zablokować drogę do awansu na najwyższe stanowisko w SIS.

Wstał z fotela.

- Niech pan pamięta, że nie wolno wam wjechać na terytorium Niemiec - ostrzegł Menzies, podając mu rękę. - Wszystkie spotkania muszą odbywać się na terenie Holandii, daleko od granicy.

Stevens skłonił głowę. Ucisnął rękę Menziesa i skierował się do tajnych drzwi.

6. Towarzysz

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - Grzegorz rozgarnął liście i wstał z prowizorycznego posłania, jakie przygotowali pod rozłożystym klonem, licząc, że osłoni ich przed deszczem, gdyby zaczęło padać. Na szczęście noc była sucha, choć nad ranem nadeszła fala przejmującego zimna.

Stanął i zaczął otrząpywać się z resztek zeschniętych liści, które przywarły do ubrania i włosów. Michał odgonił żuczka, który wędrował mu po ramieniu w stronę twarzy, i usiadł, rozglądając się dookoła.

- W lesie, tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Przez cały dzień szli w kierunku wschodnim, uznając, że będzie to najbezpieczniejsza trasa ucieczki, ale określenie miejsca, w którym się znaleźli, nie było możliwe, gdyż nie wiedzieli, gdzie ich więzienna karetka została zniszczona. Pokazanie się w jakiejś wsi też uznali za zbyt ryzykowne, choć wydawało im się mało prawdopodobne, aby w wojennym zamieszaniu policja poszukiwała dwóch zbiegów. Woleli jednak nie ryzykować i jak najbardziej oddalić się od miejsca, w którym odzyskali wolność. W nocy ukradli ubrania suszące się w ogrodzie przydrożnej chaty, gdyż w walizkach wziętych z karetki znaleźli tylko trochę jedzenia, dokumenty i osobiste rzeczy strażnika i kierowcy. Szare więzienne kurtki i szerokie spodnie zakopali, ale wciąż mieli na nogach trepy bez sznurowadeł. Mogły ich zdradzić, ale lepiej było iść w nich niż boso. Ludzie napotykanii po drodze mówili, że Niemcy oblegają Warszawę. Musieli więc porzucić pierwotny plan powrotu do stolicy i zdecydowali się szukać jakiegoś oddziału wojska, do którego mogliby się przyłączyć.

Kilka razy podwieziono ich furką kilka kilometrów, raz zabrali się na jakiejś ciężarówce wiozącej drewniane paki do Lublina.

- Czuję dym, znaczy jakaś wieś musi być w pobliżu. - Grzegorz rozglądał się, ale byli zbyt głęboko w lesie, by przez drzewa cokolwiek dostrzec. - Co robimy?

Michał przesunął się w stronę plamy tworzonej przez słoneczne promienie wpadające między konarami. Wrześniowe słońce miało jeszcze wystarczająco dużo siły, aby odczuł miłe ciepło. Grzegorz usiadł obok niego.

184

- Ty, za co cię wsadzili? - zapytał nagle. Michał wzruszył ramionami. Nie odpowiadał.

- Polityczny jesteś? - Grzegorz postanowił wreszcie dowiedzieć się, kim jest jego towarzysz.

- Jak powiem ci, że wsadzili mnie za niewinność, to uwierzysz?

Nie miał ochoty wtajemniczać Grzegorza w swoje zakłócone losy, gdyż uznał, że i tak tego nie zrozumie.

- A ciebie? - zapytał, aby zmienić kierunek rozmowy.

- Nie chcesz gadać, to nie - Grzegorz wzruszył ramionami. - Ja niczego nie muszę ukrywać. Złodziej jestem.

- Jak kradłeś? W tramwaju, kieszonkowiec? Napadałeś z nożem?

- Co ty! - Grzegorz przesunął dłonią po krótkich włosach. - Kasy obrabiałem. Jakbyś był z Warszawy, to byś o „Malinie” słyszał. Słyszałeś?

Michał pokręcił głową.

- Znaczą, że nie jesteś ze stolicy. - Grzegorz spojrzał na niego z wyższością.

- Dlaczego „Malina”?

- Jak coś robiłem, to malina.

Milczał przez chwilę, jakby czekając, że Michał wyjaśni mu coś ze swojego życiorysu, ale nie chciał nalegać.

- Nie chcesz o sobie mówić, to ja rozumiem. Przepraszam, pytać nie będę - powiedział to z elegancją warszawskiego kasiarza.

- Ile ci dali? - zapytał Michał.

- Osiem, a tobie?
- Piętnaście...
- O, cie... To ty musisz być niezłe ziółko. Sto czterdzieści osiem?
- Co to?
- Paragraf kodeksowy, zabójstwo, ale skoro nie wiesz, to znaczy, że nie za pozbawienie życia cię posadzili.

Grzegorz, choć obiecał, że nie będzie się dowiadywał o przeszłość Michała, najwyraźniej nie miał zamiaru z tego zrezygnować.

- Słuchaj, powiem ci tak. - Michał postanowił wreszcie rozproszyc wątpliwości, uznając, że lepiej to wpłynie na ich stosunki. -

185

Jestem oficerem, a moja służba była bardzo niebezpieczna. Można było dostać się do więzienia albo na szubienicę ot tak, za nic. I tak się stało. Lepiej, żebyś więcej nie wiedział.

- A to czemu?
- Bo nie zdradzisz, gdy nas Niemcy złapią.
- Ja nigdy nie zdradziłem kolegi. - Grzegorz spojrział na niego z wyrzutem. - Wiesz, ja mam swój honor. Tak jak wy oficerowie. Ale dobrze, pytać już nie będę. Co teraz?
- Pójdziemy do wsi, może dadzą coś do zjedzenia.
- Dadzą? Widziałeś chłopca, który cokolwiek dał?
- No, odpracujemy.
- To już lepiej.
- Zaczekamy do zmroku, a potem pójdziemy poszukać we wsi czegoś do jedzenia.

Michał rozłożył się na ściółce. Grzegorz usiadł obok i oparł się o pień wielkiej sosny. Gdzieś z daleka dobiegł ich warkot. Głośniejszy i bardziej natarcywy niż odgłos ciężarówek. Przyspieszyli kroku, zmiierzając w tamtą stronę. Po kilku minutach dotarli do miejsca, gdzie drzewa rzedyły, a łąka pod lasem opadała łagodnie do piaszczystej drogi, wijącej się szerokimi zakolami od wsi, która przycupnęła pod lasem z drugiej strony. Daleko za wsią unosił się tuman pyłu, jakiego nie mogły wzbić ciężarowe samochody.

- Czołgi! - krzyknął Michał.

Przywarli do ściółki pod wielkimi sosnami na skraju lasu, bacznie obserwując drogę. Obłok pyłu, ciągnący się za pojazdami, których jeszcze nie widzieli, przemieszczał się szybko w ich stronę.

- Nasze? - Grzegorz uniosł wysoko głowę, ale pilnując, żeby nie wystawać ponad krzaki.
- Mogą być niemieckie... - Michał nie dokończył zdania, gdy zobaczyli pięć niewielkich pojazdów, które przejechały szybko przez wieś i zatrzymały się na skraju, tuż przy ostatniej chacie.
- Małe jakieś - mruknął Grzegorz. - Chyba nasze.
- Polskie. - Michał podniósł się.
- Skąd wiesz?
- Widzę oznaczenia na pancierzach.

186

- Wiesz, jak się u nas na wsi mówiło, gdy widzieliśmy, jak oddział jechał na ćwiczenia?
- No...
- Wojsko jedzie, o drogę będą pytać - zachichotał Grzegorz. Jeden z czołgistów poszedł do chałupy, najwidoczniej aby rozpytać o sytuację w tym rejonie. Inni usiedli na pancierzach, zmęczeni długotrwałą jazdą w ciasnym wnętrzu niewielkich czołgów.

Michał patrzył na nich wciąż z ukrycia, rozważając, czy podejść. Obawiał się, że mogą ich wziąć za szpiegów i rozstrzelać, ale chęć rozmowy z żołnierzami okazała się silniejsza i ruszył przed siebie, nie oglądając się na Grzegorza.

Czołgiści dostrzegli ich z daleka, jak schodzili łąką, ale nie zwrócili większej uwagi.

- Panowie! - krzyknął Michał, gdy byli już wystarczająco blisko - my chcielibyśmy do naszego wojska. Dokąd mamy iść?

- Najlepiej do diabła! - odrzyknął kościsty sierżant, który popijał coś z manierki.

- Bez żartów, my naprawdę do wojska. Chcemy się bić! - Grzegorz wysforował się do przodu.

- Słuchajcie, chłopcy - sierżant zsunął się z pancerza. - Tam są Niemcy - wskazał za plecy, a potem odwrócił się w drugą stronę -a tam Sowieni. Drogę do Włodawy znacie? Przez las, na skrót?

Michał pokręcił głową.

- My nie stąd.

Sierżant machnął ręką i wrócił do poprzedniego miejsca na pancerzu, spoglądając w stronę wsi, gdzie z chałup zaczęły wyglądać dzieciaki zwabione widokiem pojazdów pancernych. Stawały się coraz śmielsze i najodważniejsze dobiegły do krzywych parkanów, skąd zerkały ciekawe samochodów, jakich nigdy nie widziały.

Po kilku minutach na drodze pojawił się czołgista, który wyszedł z chałupy, niosąc wiadro w jednej ręce i kilka metalowych kubków w drugiej. Doszedł do czołgu i rozdał kubki kolegom, a potem zaczął rozlewać mleko.

Michał odsunął się do rowu i usiadł przy płocie, opierając się plecami o sztachety.

Sierżant wciąż wpatrywał się w mapę, najwidoczniej nie mogąc znaleźć najlepszej trasy.

187

- Wiesz, jak się u nas na wsi mówiło, gdy widzieliśmy, jak oddział jechał na ćwiczenia?

- No...

- Wojsko jedzie, o drogę będą pytać - zachichotał Grzegorz. Jeden z czołgistów poszedł do chałupy, najwidoczniej aby roz-

pytać o sytuację w tym rejonie. Inni usiedli na pancerzach, zmęczeni długotrwałą jazdą w ciasnym wnętrzu niewielkich czołgów.

Michał patrzył na nich wciąż z ukrycia, rozważając, czy podejść. Obawiał się, że mogą ich wziąć za szpiegów i rozstrzelać, ale chęć rozmowy z żołnierzami okazała się silniejsza i ruszył przed siebie, nie oglądając się na Grzegorza.

Czołgiści dostrzegli ich z daleka, jak schodzili łąką, ale nie zwrócili większej uwagi.

- Panowie! - krzyknął Michał, gdy byli już wystarczająco blisko - my chcielibyśmy do naszego wojska. Dokąd mamy iść?

- Najlepiej do diabła! - odrzyknął kościsty sierżant, który popijał coś z manierki.

- Bez żartów, my naprawdę do wojska. Chcemy się bić! - Grzegorz wysforował się do przodu.

- Słuchajcie, chłopcy - sierżant zsunął się z pancerza. - Tam są Niemcy - wskazał za plecy, a potem odwrócił się w drugą stronę -a tam Sowieni. Drogę do Włodawy znacie? Przez las, na skrót?

Michał pokręcił głową.

- My nie stąd.

Sierżant machnął ręką i wrócił do poprzedniego miejsca na pancerzu, spoglądając w stronę wsi, gdzie z chałup zaczęły wyglądać dzieciaki zwabione widokiem pojazdów pancernych. Stawały się coraz śmielsze i najodważniejsze dobiegły do krzywych parkanów, skąd zerkały ciekawe samochodów, jakich nigdy nie widziały.

Po kilku minutach na drodze pojawił się czołgista, który wyszedł z chałupy, niosąc wiadro w jednej ręce i kilka metalowych kubków w drugiej. Doszedł do czołgu i rozdał kubki kolegom, a potem zaczął rozlewać mleko.

Michał odsunął się do rowu i usiadł przy płocie, opierając się plecami o sztachety.

Sierżant wciąż wpatrywał się w mapę, najwidoczniej nie mogąc znaleźć najlepszej trasy.

187

- Panie sierżancie, z wieczornego udoju - żołnierz podał mu kubek mleka. Ten wziął, nie podnosząc głowy.

- Paliwa tyle, co w bakach - powiedział wreszcie, jakby oceniając sytuację. - Starczy na jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

Podniósł głowę.

- O benzynę pytałeś?

Żołnierz, który przyszedł z mlekiem, wzruszył ramionami, co miało znaczyć, że nie ma o czym gadać.

- Mówią, że do Włodawy trzeba skręcić w pierwszą przesiekę po prawej. Potem to już tylko na wschód. Na folwarku we Włodawie mogą być samochody, to i benzynę będą mieli.

- Do wozów!

Sierżant dopił mleko i postawił kubek na kamieniu.

Czołgiści wsuwali się do wnętrza tankietek, które wnet okryły się niebieskawym dymem z rur wydechowych. Ryk silników wypełnił ciszę i pięć tankietek jedna za drugą ruszyły w stronę lasu.

Grzegorz zsunął się po trawie i sięgnął do wiadra.

- Zostawili trochę - odwrócił się do Michała. Przelał szybko mleko do kubków i podał Michałowi.

Michał wypił je szybko, od poprzedniego rana nie mieli nic w ustach.

Dym z czołgowych silników i drogowy pył osiadały, gdy z chałup zaczęli wyglądać ludzie.

Chłopi, ośmieleni, zainteresowani już tylko ich obecnością, stanęli przy płotach, między sztachetami, zza których wyglądały dzieciaki. Grzegorz podniósł się.

- Ej! - krzyknął do chłopca stojącego najbliżej. - Można by się w stodole przespać?

Chłop pokręcił przecząco głową, ale się nie odezwał.

- Ogień zaproszycie, albo i co - odpowiedziała za niego kobieta w grubej wzorzystej chuście.

- Zapalek nie mamy, papierosów nie palimy, proszę szanownej pani! - odkrzyknął Grzegorz.

- A w podzięcie w gospodarstwie możemy coś naprawić. Zegar, na ten przykład.

- Czyś ty zwariował, myślisz, że oni zegary mają? - mruknął Michał. Nie uśmiechała mu się kolejna noc w stercie liści w lesie.

- Ano jest taki. Nie chodzi. - Kobieta wyszła zza opłotków. - U sołtysa. W podzięcie to u niego w stodole możecie się przechować.

188

- A widzisz, inteligenciku - Grzegorz uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym zobaczyć, jak zegar naprawiasz - odparł Michał. Najwyraźniej zadrasnął dumę Grzegorza, gdyż ten stanął na

szeroko rozstawionych nogach, jakby się do bójki szykował.

- No dobrze, dobrze, żartowałem - Michał nie był pewien, czy to żarty, czy rzeczywiście obraził Grzegorza.

- To ty, chmyzie, naprawdę nie wiesz, co znaczy kasiarz warszawski - mówił ten z wyrzutem, wyraźnie zły, co miało znaczyć, że zrobiło mu się przykro, iż towarzysz nie docenił jego

zdolności. - Myślisz, że ja tylko rakiem pracowałem? Mylisz się, przyjacielu. Bo co niektóre kasy mechanizmy zegarowe mają. Nastawiasz, że się otworzą o dziewiątej rano, i co?

Otwierają się o drugiej w nocy, jak pan Grzegorz rączkę do tego przyłożył. Idziemy!

- Kaznodzieja z ciebie jeszcze lepszy - powiedział ugodowo Michał, co sprawiło wyraźną przyjemność Grzegorzowi.

Spali mocnym snem, jaki daje zmęczenie długą wędrówką i poczucie sytości. Sołtys zadowolony, że udało się uruchomić stary zegar, dał im pół bochenka wypieczonego chleba i kilka jajek, które wypili na surowo. O świcie obudziło ich walenie w deski stodoły.

- Uciekajcie, ruskie nadjeżdżają - krzyczał ktoś na dole, uderzając w ścianę.

Michał zerwał się z siana, którym wymościł legowisko na górze stodółki, i przywarł do szpary między deskami. Z daleka dochodził warkot, jaki słyszeli poprzedniego dnia. Z tego samego kierunku, w którym odjechały polskie tankietki, nadciągał duży oddział pancerny. Grzegorz narzucił kurtkę.

- Daleko są! - Michał dostrzegł czołgi wyłaniające się zza zakrętu. - Do lasu! Między chałupami zdążymy.

- A czego mamy uciekać? - Grzegorz zatrzymał się na pierwszym szczeblu drabiny. - Nic nie zrobiliśmy!

- Jesteśmy tu obcy, więc nas wezmą! Schodź!

Zsunął się po szczeblach tuż za Grzegorzem. Za stodółką była niewielka skarpa, za którą zaczynało się pole ciągnące się do rzeki. Jeżeli zdążyliby dobiec do uskoku, to ukryłyby ich przed wzrokiem

189

nadjeżdżających żołnierzy. Dobiegliby do rzeki i tam mogliby się schronić pod urwistym brzegiem.

- Do rzeki! - krzyknął do Grzegorza, który wysforował się kilka kroków do przodu i najwyraźniej miał inny pomysł, gdyż kierował się w stronę drogi. Zatrzymał się niezdecydowany.

- Skaczemy ze skarpy! - Michał wskazywał kierunek. Ruszyli razem w tamtą stronę, słysząc już czołgi, które wjeżdżały do wsi.

Przebiegli kilkadziesiąt metrów, jakie dzieliły ich od skarpy, i stoczyli się po żółtym piasku, uderzając boleśnie o korzenie sosen rosnących na górze.

Przed nimi otwierało się szeroko pole, na którym nic nie dawało im osłony.

- Wystrzelają nas jak zające! - sapnął Grzegorz.

- Biegnij, nie kracz!

Nogi grzęzły im w świeżo zaoranych brzdach, spowalniając bieg. Gdzieś z tyłu rozległy się strzały.

Grzegorz potknął się o skibę ziemi i upadł. Michał schwycił go za rękę i pociągnął. Usłyszał okrzyk bólu. Zatrzymał się i odwrócił.

Grzegorz wciąż leżał na ziemi.

- Skrećieś nogę? - Michał pochylił się nad nim.

- Nie - jęknął Grzegorz - trafili...

Na skarpie, od której odbiegli o dwieście metrów, widać było sylwetki żołnierzy. Przykładali karabiny do ramion, strzelali do nich.

- Uciekaj! - krzyknął Grzegorz, starając się wstać, ale ból paraliżował mu ruchy. - Bo cię ubiją!

Pociski rozsypywały grudki ziemi dookoła. Zrozumiał, że nie mają szans na ucieczkę.

- Biegnij! - krzyczał Grzegorz. - Ty możesz!

Michał wyprostował się i unióśł ręce do góry. Wysoko, aby żołnierze widzieli. Zauważyli to i przerwali strzelaninę. Kilku ostrożnie zeszło ze skarpy, czepiając się korzeni, i zbliżali się do nich.

Michał wciąż stał z podniesionymi rękami.

Na czele grupy żołnierzy szedł wysoki mężczyzna, bez karabinu, tylko z pistoletem w dłoni.

Prawdopodobnie oficer, ale Michałowi trudno było to ocenić, gdyż nie widział naramienników.

190

Podszedł blisko i stanął w rozkroku, gdy inni zatrzymali się kilka metrów dalej z uniesionymi karabinami.

- Czego uciekali? - mówił dobrze po polsku, choć z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Przestraszyliśmy się - Michał starał się uśmiechnąć. - Kolega jest ranny.

- Skąd wy?
- Z Warszawy, uciekamy przed Niemcami. Nie jesteśmy żołnierzami.
Oficer pochylił się nad Grzegorzem i przez chwilę przypatrywał się ranie w nodze.

- Dokumenty...
- Nie mamy, straciliśmy w czasie bombardowania.
- Weźcie ich. - Oficer odwrócił się do żołnierzy. - We wsi pogadamy.

Ze skarpy schodzili dwaj żołnierze i cywil. Michał przyglądał mu się przez chwilę. Miał na sobie marynarkę z czerwoną opaską na ramieniu, przewiazaną skórzanym pasem, przy którym wisiała kabura. Czyżby go znał? Bez wątpienia sylwetka tego człowieka wydawała mu się znajoma, choć trudno było dostrzec twarz, gdyż ocieniało ją szerokie rondo kapelusza, najwyraźniej niepasującego do reszty stroju.

- Towarzyszu komisarzu - zwrócił się do oficera - złapaliśmy trzech czołgistów. Mówią, że gdzieś w lesie zamaskowali tankietki, bo im się benzyna skończyła.
- Dobrze, idę. - Oficer zrobił kilka kroków, ale odwrócił się z zaciekawiony, dlaczego cywil za nim nie podąża. Ten stanął przed Michałem i podniósł rondo kapelusza.
- Dzień dobry - powiedział nadzwyczaj uprzejmie. - Znowu się widzimy...
- Co jest? - oficer wrócił do nich.
- Ja ich znam, towarzyszu komisarzu - cywil mówił z wyraźną satysfakcją.
- Jak, znacie?
- Wieziono nas w tej samej karetkę więziennej. Ten - wskazał na Grzegorza, wciąż leżącego na ziemi - to złodziej. Powiedział, że mam komunistyczną mordę. A ten to ciekawy, specjalnie go ewakuowali z warszawskiego więzienia. Jakiś waśniak.

191

- Złodziej, mówisz. - Oficer stanął nad Grzegorzem.
- Tak jest, złodziej.
- To po co go nosić?

Wydobył z kabury rewolwer i strzelił kilka razy, celując w głowę Grzegorza.

- Nie! - Michał chciał rzucić się, aby przeszkodzić w egzekucji, ale potężne uderzenie kolbą w klatkę piersiową zabrało mu oddech i zważyło na ziemię.
- Nie bij tak mocno, bo zabijesz - skarcił go oficer. - Zabrać go do wsi i pilnować. Gdzie ci czołgiści?
- Pod chałupą stoją - wyjaśnił cywil.
- To oni strzelali do nas i samochód Wowki zapalili?
- Tak jest, chyba oni.
- To na co czekacie, rozstrzelać!

Cywil stanął na baczność i pobiegł w stronę zabudowań. Michał szedł ciężko. Przenikliwy ból, jaki czuł przy oddychaniu, wskazywał, że może mieć złamane żebra.

7. Ostatnia próba

Doktor Plótner źle się czuł w garniturze w paski i koszuli ze zmiętym kołnierzykiem, pod którym nierówno zawiązał krawat. Od czasu, gdy zdecydował się wstąpić do SS, zawsze chodził w mundurze, który wspaniale wpływał na jego psychikę. Czarne sukno złało się z jego ciałem, stając się drugą skórą. Czuł się silniejszy, sprawniejszy, przystojniejszy, choć w tym mężczyźnie nie było niczego, co mogłoby pociągać kobiety. Był kawalerem, chociaż zwykł twierdzić, że stało się tak dlatego, iż poświęcił się nazizmowi.

Dochodziła północ, gdy dojechali do centrum Monachium.

- Jest! - kierowca, też po cywilnemu, obrócił się w jego stronę. - Idzie po drugiej stronie ulicy.

Plótner założył okulary, które nosił niechętnie, gdyż uważał, że nie pasują do munduru. Na ciemnej monachijskiej ulicy w żółtawym świetle latarni widział jedynie nieostry obraz konturów, więc aby rozpoznać Johanna, musiał spojrzeć na niego przez okulary.

192

Zobaczył go. Szedł powoli, trzymając pod pachą teczkę.

- Niedobrze - mruknął Plótner.

Nie podobało mu się zachowanie jego „pacjenta”. Długo pracował nad wykształceniem w nim normalnego zachowania poza środowiskiem obozowym. Zdawał sobie sprawę, że Johann przebywając w zamknięciu przez trzy lata, stracił swobodę bycia. Stał się strachliwy, dostrzegał na każdym kroku śmiertelne zagrożenie, cofał się lękliwie przed ludźmi w mundurach, zwłaszcza esesmanami, których kojarzył natychmiast z obozową strażą. Plótnerowi wydawało się, że zdołał usunąć tę niepewność z psychiki Johanna, a nagle stwierdzał, że powróciła.

- Niedobrze - powtórzył.

W samochodzie poza nim był tylko kierowca, osiłek z SS, niewiele rozumiejący ze słów, jakie słyszał od doktora, ale Plótner nie zwracał na to uwagi.

- Obawiam się, że zespół ucieczki może uruchomić się zbyt wcześnie - mówił Plótner.

Pochylił się i niemalże oparł nos o szybę, aby lepiej widzieć Johanna. Popęłnił błąd, gdyż ten, gdy znalazł się w odległości kilkunastu kroków od samochodu, zobaczył go. Plótner natychmiast odsunął się od szyby i zsunął kapelusz, tak że rondo zakryło mu oczy, ale uczynił to o ułamek sekundy za późno.

Johann przystanął. Przycisnął mocniej teczkę do boku. Widok doktora przeraził go i nakazał raptownie poszukiwać wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł. Jego mózg bezradnie usiłował przeanalizować nieznane okoliczności, ale trafiał na blokadę, która uniemożliwiała podjęcie decyzji. Stał wśród ludzi mijających go na ulicy. Na szczęście pora była późna, a przechodniów niewiele i nikt nie zwracał uwagi na jego dziwne zachowanie.

Plótner, już daleko od okna, stawał się coraz bardziej nerwowy.

- Cholera, zaraz zacznie uciekać! Spojrzał na kierowcę.

- Bądź gotów!

Kątem oka zobaczył, jak esesman wyjął z kieszeni kurtki krótką drewnianą pałkę.

- Nie bij za mocno! - ostrzegł i nagle zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógł powiedzieć psu, żeby nie gryzł za mocno.

193

Bał się, że fiasko operacji przekreśli nadzieje na awans, a tak bardzo liczył, że sam reichsführer promuje go na obersturmbann-führera, pomijając jeden stopień.

Johann odwrócił się gwałtownie i śmiesznym kaczkowatym chodem zaczął się oddalać.

Plótner nie miał wątpliwości. Stało się to, czego się obawiał: uruchomił się odruch ucieczki.

Kierowca też to dostrzegł.

- On ucieka, panie doktorze! Działać?

Trzymał w dłoni pałkę. Drugą rękę położył na klamce drzwi, gotów wyskoczyć, czekał na rozkaz.

Plótner jeszcze przez sekundę zwlekał, licząc, że Johann zreflektuje się i zaprzestanie ucieczki. Tymczasem to, co widział, wskazywało jednoznacznie, że pacjent miał ochotę uciec jak najszybciej i jak najdalej. Gdyby, zupełnie nieświadomie, zaczął realizować plan, który otrzymał nazwę „Graniczne przejście”, spowodowałoby to ogromne zamieszanie. Byłoby jak wybuch bomby zegarowej, eksplodującej o kilka godzin za wcześnie.

- Bierz go! - syknął. Esesman otworzył drzwi.

- Nie bij za mocno!

Esesman zrobił kilka kroków w stronę Johanna, potrącając po drodze kobietę, która upadła na chodnik. Nie zwrócił na to uwagi, sadząc długimi susami w stronę uciekiniera, który wciąż

tym samym śmiesznym chodem usiłował się oddalić. Wyglądał jak człowiek, który ma spętane nogi.

Kobieta niezdarnie zbierała się z chodnika, zbyt przestraszona, aby wydać jakikolwiek głos. Jakiś mężczyzna zatrzymał się przy niej i pomagał wstać.

Jeszcze trzy kroki i esesman zrównał się z Johannem. Chwycił go za ramię. Ten skulił się, osłaniając rękami głowę.

Esesman wypuścił pałkę, która zawisała na sznurku przywiązanym do przegubu dłoni, i schwycił Johanna za kark zmuszając go, aby się pochylił. Lewą ręką zadał dwa szybkie ciosy w splot słoneczny, które sprawiły, że „pacjent” ukląkł na chodniku, usiłując złapać powietrze.

- To złodziej! - esesman krzyknął w stronę ludzi, którzy zebrali się przy kobiecie i w milczeniu przyglądali scenie. - Rozejdźcie się!

194

Zwrot, jakiego zwykle używali policjanci, zadziałał i przechodnie zaczęli powoli, oglądając się przez ramię, oddalać się od miejsca szamotaniny.

Esesman podniósł Johanna, chwytając go pod pachami, i bez większego trudu powłókł do samochodu, aż wcisnął do wnętrza przez drzwi, które otworzył Plótner, na tylne siedzenie.

- Dwa krótkie sierpowe. Niczego nie uszkodziłem - wyjaśnił esesman, oczekując pochwały jakby za dostarczenie paczki z kruchymi przedmiotami.

Usiadł na swoim miejscu kierowcy.

- Co, panie doktorze? Dokąd?

- Do obozu.

- Zostanie ukarany? - Esesman był w doskonałym humorze po sprawnej akcji i gotów był zgłosić swoją kandydaturę na kata, który miał ukarać uciekiniera.

- Tak, zostanie ukarany... - powiedział cicho Plótner, obmacując żebra nieprzytomnego Johanna, aby sprawdzić, czy potężne ciosy esesmana nie naruszyły kości. - Jedź! Szybko!

Wiedział, że ma niewiele czasu. Wszystko musiało być gotowe w ciągu dziesięciu dni. Nie orientował się oczywiście, jak bardzo była zaawansowana praca, którą Johann wykonywał w piwiarni, ale uznał, że musi zadbać, aby znowu nie wystąpiło zakłócenie, które mogło narazić całe potężne przedsięwzięcie na największe niebezpieczeństwo.

Plótner początkowo zakładał, że „w prototypie mogą wystąpić niespodziewane zakłócenia”, i zadbał o przygotowanie dublera, na wypadek, gdyby główny wykonawca zwariował lub przydarzyłoby mu się coś, co nakazywałoby wycofanie go z akcji. Niestety, jakiś tępy oprawca przedawkował dublerowi tortury i zmarł biedak, zanim wypuszczono go na ulicę. Teraz nie było odwrotu. Zadanie mógł wykonać tylko Johann. Tymczasem on zaczynał się psuć.

- Tak, musi zostać ukarany - powtórzył Plótner, widząc, że zbliżają się do Dachau. Był przekonany, że tylko w ten sposób zablokuje przedwczesne uruchomienie popędu ucieczki. Zastanawiał się, co należy zaaplikować Johannowi, aby nie pozostawić śladów.

195

8. Agent „V-807”

Droga zakręcała szerokim łukiem w prawo i wspinała się stromo do góry.

Walter Schellenberg siedzący za kierownicą sportowego hor-cha 855 nacisnął gaz. Uwielbiał ten samochód, dwuosobowy kabriolet, o pięknej opływowej sylwetce, który kupił kilka miesięcy wcześniej, wyłącznie po to, aby odbywać dalekie wycieczki z Berlina. Pełną radość prowadzenia szybkiego auta odnajdywał dopiero poza Monachium, gdy zjeżdżał z autostrady i zaczynał krążyć po krętych alpejskich drogach.

Z tego powodu w czwartkowy październikowy poranek zdecydował się wyjechać ze stolicy, wyznaczając agentowi „V-807” spotkanie w niewielkim zajeździe pod Bad Reichenhall. Oczywiście mógł tam dotrzeć samochodem służbowym, ale przecież nie o to chodziło. Pomruk ośmiocylindrowego silnika pod długą maską tworzył ekscytujący dźwięk, dla którego wyłączył radio.

Na wzniesieniu droga rozwidlała się. Schellenberg nie zmniejszając szybkości, skręcił w prawo, wjeżdżając na węższą, lecz bardziej malowniczą szosę. Rozpościerał się z niej piękny widok na góry porośnięte lasem, który przybrał już niezwykle kolory jesieni. Z prawej strony dostrzegał zabudowania hotelu „Zum Hirschen”, z charakterystycznym bawarskim dwuspadowym dachem, z kamieniami na wierzchu i drewnianymi balkonami.

Na parkingu stało tylko parę samochodów, co wskazywałoby, że w samym zajeździe gości jest niewielu.

Szerokie opony jego auta strzeliły drobnymi kamykami, jakimi wysypano parking - wjechał tam zbyt szybko.

Ustawił horcha przed rzędem niskich świerków i wysiadając, dostrzegł „V-807”, czyli baronową Kerstin von Netz. Siedziała na tarasie, pijąc koktajl z wysokiego kieliszka.

Dostrzegła go od razu i pomachała.

Zdjął pilotkę i szalik, które wrzucił na tylne siedzenie. Włożył marynarkę w sportową kratę, z paskiem z tyłu, i ruszył w stronę zajazdu.

196

Kelnerowi, który wyszedł mu naprzeciw, wskazał stolik Kerstin i zamówił lemoniadę z dzikimi wiśniami, co miało być firmowym napojem zajazdu „Zum Hirschen”.

- Nie sądziłem, że przyjedzie pani przede mną. - Pochylił się i ucałował jej dłoń. Chciał stworzyć wrażenie, że spotyka się para kochanków, a nie szpiegów.

Usiadł na krześle obok tak, aby móc obserwować pustą o tej porze salę kawiarni.

- Przyjechałam wczoraj i wynajęłam pokój - powiedziała głosem, w którym zawarta była propozycja. - Chcę pozostać tutaj do poniedziałku. Ale co robić w takiej małej miejscinie...

Uśmiechnęła się, wydmuchując dym.

Jej strój, obcisły kostium w najlepszym gatunku bardziej pasował do kobiety szukającej przygody niż eleganckiej damy. Zbyt krótka i opięta spódnica ujawniała zarys jej ud, które wydały się tym bardziej pociągające, że założyła nogę na nogę.

- Jakie wiadomości? - Udał, że nie zrozumiał, o co chodzi w informacji o wynajętym pokoju.

- „Anglik” spotkał się po raz drugi z „V-479” - oznajmiła, przybierając minę kobiety niezadowolonej ze zmiany tematu, choć dającej znać, że gotowa jest przyjąć przeprosiny. Nie lubił tych głupich gier. Nie po to przyjechał, żeby iść do łóżka z tą dziwką. Informacja, jaką przekazała, oznaczała, że wysłannik angielskich tajnych służb spotkał się w Hadze z człowiekiem Schellenberga, aby ustalić szczegóły spotkania z przedstawicielami antyhitlerowskiej opozycji.

- Jak „Doktor”?

- Bez zarzutu.

- To znaczy: gra z nami uczciwie?

- Tak, jestem przekonana.

Schellenberg nie wierzył Fischerowi, któremu nadał pseudonim „Doktor”, obawiając się, że mógł zostać podstawiony przez Brytyjczyków. Takie zagranie było czymś oczywistym w tajnym świecie wywiadu i kontrwywiadu, dlatego postanowił go sprawdzać, zlecając to Kerstin, którą wysłał do Holandii, aby miała oko na Fischera.

Ciekawe, czy poszła z nim do łóżka - pomyślał.

197

Kelnerowi, który wyszedł mu naprzeciw, wskazał stolik Kerstin i zamówił lemoniadę z dzikimi wiśniami, co miało być firmowym napojem zajazdu „Zum Hirschen”.

- Nie sądziłem, że przyjedzie pani przede mną. - Pochylił się i ucałował jej dłoń. Chciał stworzyć wrażenie, że spotyka się para kochanków, a nie szpiegów.

Usiadł na krześle obok tak, aby móc obserwować pustą o tej porze salę kawiarni.

- Przyjechałam wczoraj i wynajęłam pokój - powiedziała głosem, w którym zawarta była propozycja. - Chcę pozostać tutaj do poniedziałku. Ale co robić w takiej małej mieścinie... Uśmiechnęła się, wydmuchując dym.

Jej strój, obcisły kostium w najlepszym gatunku bardziej pasował do kobiety szukającej przygody niż eleganckiej damy. Zbyt krótka i opięta spódnica ujawniała zarys jej ud, które wydały się tym bardziej pociągające, że założyła nogę na nogę.

- Jakie wiadomości? - Udał, że nie rozumiał, o co chodzi w informacji o wynajętym pokoju.

- „Anglik” spotkał się po raz drugi z „V-479” - oznajmiła, przybierając minę kobiety niezadowolonej ze zmiany tematu, choć dającej znać, że gotowa jest przyjąć przeprosiny. Nie lubił tych głupich gier. Nie po to przyjechał, żeby iść do łóżka z tą dziwką. Informacja, jaką przekazała, oznaczała, że wysłannik angielskich tajnych służb spotkał się w Hadze z człowiekiem Schellenberga, aby ustalić szczegóły spotkania z przedstawicielami antyhitlerowskiej opozycji.

- Jak „Doktor”?

- Bez zarzutu.

- To znaczy: gra z nami uczciwie?

- Tak, jestem przekonana.

Schellenberg nie wierzył Fischerowi, któremu nadał pseudonim „Doktor”, obawiając się, że mógł zostać podstawiony przez Brytyjczyków. Takie zagranie było czymś oczywistym w tajnym świecie wywiadu i kontrwywiadu, dlatego postanowił go sprawdzać, zlecając to Kerstin, którą wysłał do Holandii, aby miała oko na Fischera.

Ciekawe, czy poszła z nim do łóżka - pomyślał.

197

- Stevens był w Anglii - ciągnęła. - Krótco, dwa dni. Pojechał po pierwszym spotkaniu z „Doktorem”.

- A jednak. - Schellenberg uśmiechnął się do swoich myśli. Skąd mogła wiedzieć o wyjeździe Stevensa, jak nie od „Doktora”.

- W rokowaniach będzie występował razem z Bestem. To wszystko - dodała.

- Z kapitanem Payne'em Bestem? - Schellenberg spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak - kiwnęła głową.

- Wysyłają tak wysokiego urzędnika? Ponownie potwierdziła skinieniem głowy.

- Muszę zapytać o źródło pani wiedzy.

- Jest zbyt gadatliwy w łóżku - Kerstin uśmiechnęła się.

- W pani łóżku?

- A czy ja pana pytam, z kim pan zdradza żonę? - Przysunęła się. Czuł zapach jej perfum. Zmysłowe - pomyślał.

Poczuł, że położyła dłoń na jego kolanie i powoli przesuwiała ją do góry.

- Tak myślałam. Jest pan bardzo silny - zniżyła głos. - Czy pan też pozostanie tu do jutra? Była pewna, że bez względu na plany, jakie miał, odpowie, że tak właśnie zamierza zrobić.

- Czy miała pani wydatki? - zapytał Schellenberg, sięgając po portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nieduże, ale mam dodatkową wiadomość wiele wartą...

- Ile?

- Dziesięć tysięcy.

- Fiuu! - gwizdnął cicho - Nie stać mnie. Trzy?

- Zgoda - szybko przyjęła proponowaną cenę i ponownie przysunęła się do Schellenberga.

- Angolicy chętnie widzieliby wysłanników Himmlera... Schellenberg słuchał w milczeniu.

- Uważają, że po usunięciu Hitlera w Niemczech wystąpi chaos, co może wykorzystać Stalin. Tego obawiają się również rządy państw Europy Wschodniej, głównie Rumunia, Bułgaria i Węgry. Należy ich uspokoić, prezentując perspektywę prze-

198

jęcia władzy przez silnego człowieka, a za takiego uważany jest Himmler.

- Z jakich kręgów pochodzi ta opinia?

- Od ludzi z otoczenia Menziesia, a jak pan wie, on jest bardzo związany z Halifaxem.

Uważa się, że bez ministra spraw zagranicznych jego umysł niewiele jest wart.

Scheffenberg pokiwał głową, starając się ukryć wrażenie, jakie zrobiła na nim ta wiadomość.

Rząd angielski akceptował, a nawet oczekiwał, że Himmler, jako silny człowiek, przejmie władzę! A to oznaczało, że Scheffenberg, nie mówiąc nic Himmlerowi, powinien włączyć się do prowadzenia tajnych negocjacji z angielskimi wysłannikami. W ten sposób mógł przypisać sobie, że to on przekonał Anglików do zaakceptowania kandydatury Himmlera na urząd głowy państwa! A potem już tylko zbierać zaszczyty, które spłyną, gdyby tak się stało! Wspaniale!

Wyjął banknoty, szybko przeliczył i położył przed nią na stoliku. Uśmiechnęła się zadowolona, widząc, że jest tam więcej niż trzy tysiące marek. Zsunęła szybko pieniądze do torebki.

- Co dalej z „Doktorem”? - zapytała.

- Wykonał swoje zadanie, ale niech pani sprawdzi, czy jeździł do Szwajcarii i czy miał kontakty z jakimś Karlem Ernstem Kraftem. To szwajcarski astrolog. Kraft - powtórzył nazwisko, aby lepiej je zapamiętała. - To ważne. Zegnam panią...

Począł, aż poda mu dłoń. Złożył pocałunek i odwrócił się szybko.

Gdy stanął przy barze, czekając na kelnerkę, aby uregulować rachunek, spojrzał na Kerstin.

Ona również odwróciła się w jego stronę i zrobiła minę, z której miał wyczytać „ach, jak żałuję”.

Uklonił się ponownie i wyszedł z restauracji.

Wsiadł do swojego pięknego auta, dostrzegając, że Kerstin przygląda mu się z tarasu, a nawet, jakby zawiedziona, macha na pożegnanie.

Znał ją od kilkunastu miesięcy. Nigdy nie zadawał się z takimi kobietami, choć pociągała go. Odnosił wrażenie, że pójście z nią do łóżka miałyby posmak nocy spędzonej obok śpiącego niedźwiedzia. Dopóki spał, był niegroźny, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się przebudzi.

199

Przekręcił kluczyk. Pomruk ośmiocylindrowego silnika, który żwawo zareagował na dodanie gazu, przywrócił mu dobry humor i kazał zapomnieć o rozterce wywołanej odrzuceniem propozycji pozostania w hotelu „Zum Kirschen” z piękną kobietą. Wyjechał z parkingu, kierując się w stronę Bad Reichenhall. O godzinie osiemnastej miał tam umówione spotkanie z Valerianem Kacar-skim, uroczym Szwajcarem pełnym elegancji i humoru. Był on dyrektorem małego Bayerische Hypothek Banku w Zurychu, który pod jego rządami osiągnął niebywały sukces. Niewiele osób wiedziało, że niespodziewana zmiana, jaka zaszła w bankrutującym banku w 1935 roku, była zasługą SS, które przejęło firmę i w pierwszym geście przelało tam dwieście milionów dolarów. Bank stał się jednym z wielu narzędzi finansowych Heinricha Himmlera, nadzwyczaj pomocnym w prowadzeniu jego polityki i pomnażaniu osobistego majątku, którym zreżymnie zarządzał Kacar-ski.

Schellenberg nie spodziewał się, aby ten posłuszny i zdyscyplinowany urzędnik bankowy nie zechciał przyjąć polecenia, jakie miał dla niego, a którego wykonanie było proste, zważając, że od początku ochronę banku stanowili Szwajcarzy o mocnych, nazistowskich przekonaniach. Szefem ochrony Bayerische Hypothek Banku był pewien esesman z załogi w Dachau, którego posłano do Zurychu, gdy okazało się, że Johann będzie doskonałym

wykonawcą planu „Heinrich”. Dlatego Schellenberg miał przekazać instrukcje, jak postępować z Johannem, gdyby, ominąwszy kontrole graniczne, zdołał dotrzeć do Berna i zgłosić się do banku, aby odebrać dużą kwotę pieniędzy zdeponowaną na koncie, do którego hasło brzmiało „Talos”.

9. Ostatni cios

Wolfram Sievers przysunął się do okna i przez chwilę obserwował esesmanów, którzy ustawili się tuż przy drzwiach bloku „E”. Oświetleni chybottliwym światłem lamp wiszących na obozowym płocie wyglądali jak zjawy z innego świata. Krople deszczu lśniły na ich czapkach i ramionach płaszczy.

- To są najwierniejsi synowie SS - mruknął Sievers.

200

- Słucham... - Ernst Baumiller, dowódca zmiany, podniósł głowę znad papierów, które wypełniał przy służbowym biurku.

- Niech pan kończy tę robotę i zrobi zbiórkę.

- Tak jest!

Baumiller odłożył pióro, schwycił czapkę z wieszaka i wybiegł z baraku. Sievers zobaczył go po chwili, jak stanął przed drzwiami, krzycząc coś. Esesmani pospiesznie zgasili papierosy i ustawili się w szeregu, oczekując na Sieversa.

Deszcz nasilał się, więc Sievers narzucił pelerynę i podniósł kaptur. Był zadowolony, że może w ten sposób ukryć twarz.

- Żołnierze! - zaczął krótkie przemówienie. - Za waszą wierną służbę Fuhrerowi zostaliście awansowani o stopień wyżej. Wyjedźcie do tajnego ośrodka szkoleniowego SS w Alpach, gdzie przygotujecie się do nowych zadań. Wyjazd nastąpi bezzwłocznie! Sieg Heil!

Podniósł rękę w hitlerowskim salucie.

- Sieg Heil! - krzyknęli.

- Spocznij! - wydał rozkaz Baumiller. - Nie rozchodzić się. Autobus podjedzie zaraz.

Podszedł do Sieversa.

- Czy mogę zwrócić się z pytaniem?

- Słucham. - Sievers spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- To sprawa osobista.

- Mówcie.

- Moja żona właśnie rodzi. Ponieważ skończyłem służbę, miałem jechać do szpitala. Proszę o zwolnienie z obowiązku wyjazdu do jutra rana.

- Gratuluję! Mam nadzieję, że będziecie mieli syna - Sievers podał mu rękę - ale z wyjazdu nie mogę was zwolnić. Służba.

Odwrócił się szybko i poszedł do baraku, widząc, jak wartownicy otwierają bramę przed autobusem, który wjechał na plac przed blokiem „E”. Nie chciał dłużej rozmawiać z esesmanem. Pomyślał, że los czasami płata fatalne figle.

Drzwi autobusu zatrzasnęły się, gdy tylko esesmani zajęli miejsca na płóciennych fotelach. Sievers odszedł od okna. Autobus minął bramę. Sievers podniósł słuchawkę. Nie czekał na połączenie, co wskazywało, że człowiek, do którego dzwonił, był gotów odebrać od niego sygnał.

201

- Wyjechali - powiedział i odłożył słuchawkę.

Po godzinie autobus dojechał do Ammersee na południowy zachód od Monachium. Widok jeziora podziałał uspokajająco na esesmanów, wciąż zaskoczonych niespodziewanym rozkazem wyjazdu i brakiem jakichkolwiek informacji, dokąd i po co jadą. Zdarzyło się to po raz pierwszy w ich służbie. Uznali, że ów tajny ośrodek znajduje się gdzieś w pobliżu jeziora, będą więc mieć spokojny wypoczynek w czasie wolnym od zajęć. Nikt z nich nie potrafił jednak określić, do czego będą przygotowywani. Byli zgodni, że w nagrodę za wierną służbę i

ze względu na ich doświadczenie w pracy obozowej zostaną oddelegowani do Polski, do powstających tam obozów koncentracyjnych. Uznali wreszcie, że w czasie szkolenia dowiedzą się o specyfice nowych rozwiązań, jakie musiały być zastosowane w wojennym czasie. Powszechne podniecenie nie udzieliło się tylko ich dowódcy, który siedział ponury z tyłu autobusu, rozważając, jak najszybciej dotrzeć do telefonu i zadzwonić do szpitala. Wreszcie wstał z miejsca i podszedł do kierowcy.

- Mógłbyś zatrzymać się w jakimś miasteczku? Tamten pokręcił głową.
- Mam rozkaz nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem. Nawet drzwi nie mogę wam otworzyć. - Kierowca wzruszył ramionami. - Poza tym wjeżdżamy w las.
- Człowieku, moja żona już chyba urodziła, a ja nie wiem -chłopak czy dziewczyna. Co ci szkodzi stanąć na minutę?
- Rozkaz - burknął kierowca, przerywając dalszą dyskusję.
Baumiller, wściekły, uderzył pięścią w metalową barierę oddzielającą fotel kierowcy od drzwi i wrócił na miejsce z tyłu. Nie dotarł tam, gdy autobus zaczął gwałtownie hamować.
- Co jest? - odwrócił się do kierowcy.
- Cholera, roboty! - krzyknął tamten, skręcając gwałtownie w bok, aby uniknąć zderzenia z barierą, która niespodziewanie wyłoniła się zza zakrętu. - Mogli postawić znak wcześniej! Autobus zatrzymał się i kierowca otworzył drzwi. Wyskoczył na jezdnię i pobiegnął gdzieś na pobocze. Dowódca podniósł się z fotela.
Stali na wąskiej leśnej drodze. Możliwość jazdy na wprost blokowały beczki, które niby podtrzymywały barierę, ale w istocie stanowiły zaporę nie do pokonania. O zawróceniu nie było mowy,

202

- Wyjechali - powiedział i odłożył słuchawkę.
Po godzinie autobus dojechał do Ammersee na południowy zachód od Monachium. Widok jeziora podziałał uspokajająco na esesmanów, wciąż zaskoczonych niespodziewanym rozkazem wyjazdu i brakiem jakichkolwiek informacji, dokąd i po co jadą. Zdarzyło się to po raz pierwszy w ich służbie. Uznali, że ów tajny ośrodek znajduje się gdzieś w pobliżu jeziora, będą więc mieć spokojny wypoczynek w czasie wolnym od zajęć. Nikt z nich nie potrafił jednak określić, do czego będą przygotowywani. Byli zgodni, że w nagrodę za wierną służbę i ze względu na ich doświadczenie w pracy obozowej zostaną oddelegowani do Polski, do powstających tam obozów koncentracyjnych. Uznali wreszcie, że w czasie szkolenia dowiedzą się o specyfice nowych rozwiązań, jakie musiały być zastosowane w wojennym czasie. Powszechne podniecenie nie udzieliło się tylko ich dowódcy, który siedział ponury z tyłu autobusu, rozważając, jak najszybciej dotrzeć do telefonu i zadzwonić do szpitala. Wreszcie wstał z miejsca i podszedł do kierowcy.
- Mógłbyś zatrzymać się w jakimś miasteczku? Tamten pokręcił głową.
- Mam rozkaz nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem. Nawet drzwi nie mogę wam otworzyć. - Kierowca wzruszył ramionami. - Poza tym wjeżdżamy w las.
- Człowieku, moja żona już chyba urodziła, a ja nie wiem -chłopak czy dziewczyna. Co ci szkodzi stanąć na minutę?
- Rozkaz - burknął kierowca, przerywając dalszą dyskusję.
Baumiller, wściekły, uderzył pięścią w metalową barierę oddzielającą fotel kierowcy od drzwi i wrócił na miejsce z tyłu. Nie dotarł tam, gdy autobus zaczął gwałtownie hamować.
- Co jest? - odwrócił się do kierowcy.
- Cholera, roboty! - krzyknął tamten, skręcając gwałtownie w bok, aby uniknąć zderzenia z barierą, która niespodziewanie wyłoniła się zza zakrętu. - Mogli postawić znak wcześniej! Autobus zatrzymał się i kierowca otworzył drzwi. Wyskoczył na jezdnię i pobiegnął gdzieś na pobocze. Dowódca podniósł się z fotela.

Stali na wąskiej leśnej drodze. Możliwość jazdy na wprost blokowały beczki, które niby podtrzymywały barierę, ale w istocie stanowiły zaporę nie do pokonania. O zawróceniu nie było mowy,

202

gdyż z jednej strony piętrzyło się spore wzniesienie, z drugiej zaś teren obniżał się gwałtownie.

I wtedy Baumiller zrozumiał. Rzucił się do opuszczonego miejsca kierowcy.

- Wszyscy na podłogę! - krzyknął, ale żaden z esesmanów, rozglądających się ciekawie dookoła, nie miał zamiaru zrywać się z fotela.

W tym samym momencie na wzgórzu z prawej strony błysnął reflektor, którego światło przejechało po drodze i zatrzymało się na samochodzie. Smugowe pociski wystrzeliwane przez dwa karabiny maszynowe przecięły blachę autobusu.

Dopiero wtedy esesmani, wykonując rozkaz dowódcy, rzucili się na podłogę. Ci, którzy zdążyli to zrobić, uniknęli kul. Czterej inni już przy drzwiach padli skoszeni długą serią.

Strzelanina trwała dobre trzy minuty, aż zapadła cisza. Jęki w autobusie wskazywały, że z szesnastu ludzi, którzy tam byli, kilku żyło, choć żadnemu nie udało się ująć przed kulami.

Baumiller, który wcisnął się pod kierownicę, ostrożnie uniósł głowę. Dwa pociski przeszły jego lewe ramię, ale rany nie wydawały się groźne. Ostrożnie namacał klamkę. Ustąpiła pod naciskiem dłoni i drzwi uchyliły się. I wtedy usłyszał brzęk tłuczonego szkła, jakie jeszcze pozostało w dwóch oknach, i do wnętrza wpadły granaty trzonkowe. Toczyły się przez kilka sekund po podłodze, aż ich eksplozje jedna po drugiej rozdarły dach autobusu.

W tym samym momencie Baumiller otworzył drzwi i wyrzucony siłą podmuchu upadł na jezdnię, boleśnie kalecząc się w kolano. Uniósł się i kuśtykając, zaczął uciekać w stronę zbocza.

Esesman, który wrzucał granaty do autobusu, podniósł się z rowu, gdzie leżał ukryty przed wybuchami. Żar płonącej benzyny rozlewającej się pod samochodem stawał się coraz większy, więc pobiegł w prawo, aby znaleźć się jak najdalej od płomieni. I wtedy w ich świetle zauważył utykającego żołnierza.

Pomyślał, że to któryś z ostrzeliwujących autobus stara się tak jak on odejść jak najdalej od ognia. Nie sądził bowiem, że w autobusie ktoś przeżył grad kul z dwóch karabinów maszynowych i wybuchy granatów. Nagle zwrócił uwagę, że lewa ręka mężczyzny na drodze zwisa bezwładnie, a zraniona noga uniemożliwia bieg.

203

- Hej! — krzyknął.

Tamten słysząc okrzyk, zaczął podskakiwać jeszcze bardziej, co było wyrazem chęci przyspieszenia kalekiego biegu. W pewnym momencie znalazł się w snopie światła reflektora i wtedy można było zaobserwować z całą wyrazistością, że nie miał białej opaski na lewym ramieniu, w jakie wyposażono wszystkich atakujących.

Esesman zdjął z ramienia karabin. Celował spokojnie, nie było żadnej wątpliwości, że z odległości niespełna stu metrów uciekający mężczyzna nie ma żadnych szans. Nacisnął spust i natychmiast opuścił lufę, aby zaobserwować efekt strzału. Mężczyzna na drodze pochylił się, zrobił kilka kroków i padł na bruk.

Podszedł do niego i sam nie wiedział, dlaczego pochylił się nad leżącym. Zapewne wydało mu się, że tamten usiłuje mu coś przekazać.

- Słuchaj, dziecko, mam dziecko - wykrztusił leżący. Esesman wyprostował się. Przeładował karabin, przyłożył do ramienia i strzelił, celując w skroń.

Pocisk zamienił głowę leżącego w bezkształtną masę.

Esesman odwrócił się, słysząc kroki za plecami. Nadchodził inny żołnierz.

- Patrz, tyleśmy wystrzelali, a on przeżył i jeszcze usiłował uciekać, sukinsyn...

Wolfram Sievers, słysząc dzwonek telefonu, podniósł słuchawkę.

- Sievers przy telefonie.
- Sęp doleciał - usłyszał.
- Zidentyfikowano wszystkich?
- Właśnie to robimy

Odłożył słuchawkę. Powoli sięgnął po czapkę i włożył ją. Szesnastu esesmanów, którzy w ciągu dwóch lat pełnili straż w bloku „E”, zostało zlikwidowanych. Dobrzy, posłuszni żołnierze musieli zginąć, aby tajemnica Johanna nie wyszła poza obozowe druty. Nie wiedział, kto podjął taką decyzję, ale podejrzewał, że rozkaz wybicia szesnastu esesmanów musiał być zatwierdzony, o ile nie wydany, przez samego Himmlera. Bez wątplenia miało to związek ze zdradą, jakiej jeden z nich dopuścił się rok temu.

204

Johann skręcił z ulicy do bramy, gdzie jak się spodziewał, spotka dozorcę dużej czynszowej kamienicy przy Heideman Strasse w północnej części Monachium. Giinther Mersenacher stał w granatowym fartuchu i spłukiwał wodą z gumowego węża końskie odchody, jakie pozostały po przejeździe wozu.

- To już z pracy, panie Eller? - podniósł rękę do daszka. Sąsiedzi w tej kamienicy tak go nazywali: Eller.

A może nazywał się tak naprawdę?

Zawsze wracał do pokoju na ostatnim piętrze o godzinie szóstej rano. Nawet gdy nie szedł do „Bürgerbraukeller”, wałęsał się całą noc po mieście albo siedział w kinie, pamiętając, żeby chodzić do różnych kin w różnych dzielnicach, na szczęście w Monachium było ich dużo.

Tym, którzy pytali, co robi, mówił, że pracuje na nocną zmianę w fabryce „Willego Schellinga”. Była to dość znana fabryczka wytwarzająca luksusowe meble gabinetowe, więc odpowiedź nikogo nie dziwiła, tym bardziej że natychmiast mógł podać wiele szczegółów technicznych, aby uprawdopodobnić wyjaśnienia, dlaczego wraca nad ranem.

- Tak, panie Mersenacher - odpowiedział tym swoim bezbarwnym głosem, którego ton łatwo było poczytać za wynik zmęczenia.

Wszedł po szerokich drewnianych schodach na trzecie piętro i wsunął klucz do drzwi mieszkania. Wynajmował je u spokojnej robotniczej rodziny, która przyjęła go życzliwie i nie interesowała się zbytnio jego życiem.

Z ich pokoju dochodziła muzyka z radia, więc nie słyszeli, jak otwierał drzwi. Ucieszyło go to, gdyż nie lubił przypadkowych spotkań i pytań, które przy tej okazji padały.

Wszedł szybko do pokoju. Pośrodku pod lampą z materiałowym abażurem stał okrągły stół z sześcioma krzesłami, pod ścianą z wzorzystym kilimem ustawiono tapczan, z którego nigdy nie korzystał. W jego nogach stała niewielka toaletka z półkami za szybą. Na drugiej ścianie była duża szafa na ubrania i bieliznę. Nie trzymał tu żadnych naczyń, gdyż mógł korzystać z kuchni i tam podgrzewał posiłki, które przynosił do swojego pokoju i jadł przy okrągłym stole.

Słońce świeciło już jasno, więc zaciągnął zasłony, zdjął płaszcz i odsunął krzesło od stołu.

Miało wysokie oparcie i miękką poduszkę obszytą rubinowym rypsem.

205

Usiadł ciężko, jak człowiek zmęczony długim marszem. Schylił się i rozsznurował buty, które zsuwał szybko i ustawił równo jeden obok drugiego przy krześle. Odchylił się mocno, aż poczuł szczeble oparcia i zamarł. Siedział tak w bezruchu, zdając się rozważać przebieg minionych godzin.

Praca w „Bürgerbraukeller” dobiegała końca. Nad ranem wykuł wnękę wystarczająco dużą, aby zmieścić tam ładunek, który ukrywał w skrytce w toalecie. W jej postumencie znalazł wystarczająco dużo miejsca, aby złożyć tam laski dynamitu i mechanizm zegarowy. Musiał się bowiem liczyć, że podczas jego nieobecności gospodyni będzie przeszukiwać pokój. Nie

wyglądała na wścibską, ale nie mógł tego wykluczyć. Na pewno nie przyszłoby jej do głowy podważać przegrodę ze sklejki. Skrytka wydawała się wystarczającym zabezpieczeniem nawet przed pobieżnym przeszukaniem przez policję.

Podniósł się ociężale z krzesła i podszedł do toaletki, aby sprawdzić, czy nikt nie otwierał drzwiczek. Przyklęknął na jedno kolano, otworzył drzwiczki i delikatnie przesunął palcami po krawędzi przegrody. Wyczuł proszek, który tam wsypywał, aby zamaskować szparę. Wtedy usłyszał delikatne tykanie. Dwa budziki, stanowiące serce wymyślonego przez niego mechanizmu zegarowego, chodziły bardzo głośno! Oczywiście nie były podłączone do ładunku wybuchowego, ale sprawdzając ich działanie, nakręcił je dobrze. Nigdy wcześniej nie pomyślał, że tykają tak głośno. To oznaczało, że po umieszczeniu we wnęce w kolumnie ich odgłos, tłumiony jedynie przez deskę boazerii, będzie jeszcze dobrze słyszalny.

Fala strachu wywołała uczucie mdłości.

Uzmysłowił sobie, że w jego planie jest słaby punkt. We wnęce kolumny w piwiarni miał umieścić ładunek uruchamiany zapalnikiem zegarowym, którego sercem były dwa budziki. Długo je wybierał. Wchodził do różnych sklepów zegarmistrzowskich, rozmawiał ze sprzedawcami, aż zdecydował się na zegarki firmy Junghans, które rekomendowano jako solidne i dokładne. Nie zauważył, że są głośne, a to mogło go zdradzić.

Pomyślał od razu, że da się rozwiązać ten problem, wykładając wnękę w kolumnie matą korkową. Dochodziła godzina ósma, więc było za wcześnie, aby iść do sklepu i kupić korkową matę.

206

Uspokojony usiadł na krześle. Oparł ręce na kolanach i pochylił się. Wiedział, że ma co najmniej dwie godziny, aby odpocząć i o właściwej porze, nie budząc podejrzeń, wyjść po zakupy.

Zapadał w rodzaj letargu, nie przyszło mu do głowy, że może położyć się na tapczanie, odprężyć i zasnąć.

10. Zamach

Heinrich Himmler przechadzał się po pokoju obok głównej sali w piwiarni „Bürgerbraukeller”, oddanego najwyższym urzędnikom na czas oczekiwania na przybycie Adolfa Hitlera. Po przyjeździe do Monachium Fihrer postanowił odwiedzić w szpitalu Unity Mitford brytyjską arystokratkę, gorącą zwolenniczkę nazizmu, która na wieść o wybuchu wojny między Niemcami a jej ojczyznę usiłowała popełnić samobójstwo. Należało się więc spodziewać, że może spóźnić się na wiec, którego początek wyznaczono na godzinę dwudziestą.

Rudolf Hess, siedzący przy stole obok, nanosił jakieś poprawki w przemówieniu, które miał wygłosić zamiast Hitlera.

Himmler spoglądał na niego spod okularów. Niepokoiła go cała sytuacja: możliwość spóźnienia Hitlera i zastępstwo przy wygłaszaniu przemówienia. Powody zmian pozostawały dla niego nieznane, ale uznał, że powinien przyjąć całą sytuację jako naturalną, aby nie wzbudzać podejrzeń nadmiernie gorliwym dopytywaniem się o szczegóły.

Ciężkie dębowe drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich Johann Rattenhuber, dowódca Reichssicherheitsdienst, oddziału chroniącego Adolfa Hitlera. Niski, krępy, o krótkiej szyi wyglądał jak buldog. Tym bardziej że na jego twarzy nikt jeszcze nie widział uśmiechu.

Rozejrzał się po sali i dostrzegając Himmlera, podszedł szybko. Władza Rattenhubera nie obejmowała piwiarni, gdyż nad bezpieczeństwem zebranych miały czuwać służby partyjne, więc jego obecność była zaskoczeniem dla ludzi oczekujących przyjazdu Hitlera.

- Panie reichsfuhrer - podniósł rękę w hitlerowskim salucie - czy mogę zameldować?
- Tak. - Himmler spojrział na niego zaskoczony. - Coś się dzieje?
- Szesnastu esesmanów zginęło na drodze w pobliżu Utting, to nad Ammersee.

Mówił głośno, więc uwaga zebranych skoncentrowała się na nim.

- Jak to się stało?
- Autobus, którym jechali, został zaatakowany z broni maszynowej i granatów. Nikt nie przeżył. Podejrzewamy, że jest to akcja dywersyjnej grupy komunistycznej. Esesmani służyli w Dachau, gdzie izolujemy komunistów.
- Przyjadę tam, jak tylko będzie to możliwe - odpowiedział Himmler.
- Pozwoli pan, reichsfuhrer, druga wiadomość...
- Niech pan mówi.
- Z powodu mgły samolot Fihrera nie wystartuje z monachijskiego lotniska. Fuhrer musi jechać pociągiem.
- Słusznie - przytaknął Himmler i zamierzał się odwrócić, ale Rattenhuber zatrzymał go.
- Kolej informuje, że odjazd z dworca nastąpi o dwudziestej pierwszej trzydzieści jeden. Himmler wzruszył ramionami.
- Powiedźcie im, że nastąpi wtedy, gdy Fuhrer uzna, że powinien odjechać.
- Otóż... - Rattenhuber wydawał się zakłopotany - ze względów bezpieczeństwa pociąg Fihrera musi zastosować się do rozkładu jazdy.

Himmler spojrział na zegarek. Dochodziła dwudziesta, a Hitlera jeszcze nie było. Aby pociąg mógł punktualnie odjechać, Fuhrer powinien opuścić „Burgerbraukeller” tuż po godzinie dwudziestej pierwszej. A nie można było wykluczyć, że gdy dowie się o komplikacjach, będzie chciał wyjść jeszcze wcześniej. Następnego dnia musiał być w Berlinie ze względu na początek wielkiej operacji, jaką zaplanował na dziewiątego listopada: uderzenia na Belgię i Francję.

- To wszystko?
- Tak jest!

Himmler odprawił gestem Rattenhubera.

Sytuacja się skomplikowała. Jego plan zawalił się nagle z powodu mgły.

Uderzył dłonią w stół, aż paru towarzyszy partyjnych zerknęło na niego ze zdziwieniem.

- Panowie - w drzwiach stanął adiutant Hitlera - Fihrer przybył!

Wszyscy podnieśli się z miejsc i potulnie, jak szkolna wycieczka, zaczęli wychodzić z poczekalni.

Himmler przytrzymał za rękaw swojego adiutanta, który czekał na niego przy drzwiach.

- Brandt, Fihrer wyjdzie stąd przed dwudziestą pierwszą. Pojadę z nim na dworzec.

Brandt patrzył zaskoczony, nie rozumiejąc, dlaczego Himmler informuje go o tym zamiarze, skoro taki właśnie był plan.

- Miałem jechać na miejsce, w którym zaatakowano esesmanów. To niemożliwe. Muszę wracać do Berlina.

Wiedział, że przez najbliższych kilka godzin nie może ani na krok odejść od Hitlera.

- Atak na esesmanów ma być utrzymany w tajemnicy! - dodał Himmler.

Wiedział, że jego plan rozsypuje się. A wszystko tak dobrze się zapowiadało. Komunistyczna komórka atakuje i zabija esesmanów z Dachau, mszcząc się za swoich towarzyszy, i w tym samym czasie inny komunista dokonuje zamachu na Fuhrera. A on, Himmler, miałby w rękę wszystkie atuty, aby wyprowadzić na ulice swoją czarną siłę pod pretekstem ochrony porządku publicznego. Niemcy, wstrząśnięci wydarzeniami listopadowego dnia, zaakceptowałyby to!

- Tak jest! - przytaknął Brandt.

Hitler, gdy stanął w drzwiach piwiarni, tworzył wrażenie roztargnionego. Stojąc na niewielkiej mównicy pod girlandami uplecionymi ze świerkowych gałązek, przemawiał głosem bezbarwnym i pozbawionym emocji, jaką zawsze prezentował w czasie podobnych imprez. Himmler, patrząc na niego, zastanawiał się, czy to wizyta w szpitalu tak go rozkojarzyła. Szeptano o jego skrywanej miłości do Unity Mitford, ale nawet tajne służby SS nie zebrały na to żadnych dowodów.

209

m

Prawdopodobnie jego myśli zaprzętały plany wielkiej wojny, która miała zacząć się lada dzień. Rozochocony zwycięstwem w Polsce postanowił jak najszybciej uderzyć na Zachód, jakby nie rozumiejąc, że Anglia i Francja, wsparte przez Belgię i Holandię, to nie słaba Polska, lecz mocarstwa gotowe wystawić wojska liczniejsze niż Wehrmacht, lepiej uzbrojone, przygotowane do długiej wojny. Francja miała ogromne zaplecze w postaci afrykańskich kolonii. Wielką Brytanię chronił kanał La Manche, którego pokonanie przez niemieckie czołgi było niemożliwe. Jedynie lotnictwo mogło uderzyć na brytyjskie miasta, ale Luftwaffe nie miało ciężkich bombowców, co Himmler dobrze wiedział z raportów określających stan przygotowania do wojny.

Hitler tego nie chciał uwzględnić. On nie był strategiem zdolnym uwzględnić najbardziej złożone okoliczności wielkiej polityki. On tylko potrafił wykorzystać szansę, jaką dały Niemcom zachodnie mocarstwa drżące przed niebezpieczeństwem radzieckiej inwazji, aż nadto realnym wobec szybkiej rozbudowy agresywnych rodzajów broni w Armii Czerwonej. Ale dobra passa Hitlera już się skończyła, gdyż nie potrafił rozegrać politycznie wojny z Polską. W istocie był tylko małym szantażystą i dlatego zamiast dogadać się z Anglią i Francją przed uderzeniem na Polskę, postanowił je zaszantażować możliwością ugody ze Stalinem. I brnął w tym błędzie, przygotowując się do wojny z Zachodem.

Odsunął mankiet i zerknął na zegarek. Minęła dwudziesta pierwsza i w tym samym momencie Hitler na mównicy wzniósł okrzyk kończący jego występ.

- SiegHeil!

Wszyscy poderwali się z miejsc, krzycząc „Sieg Heil” i wiwatując na cześć Fuhrera.

On, unosząc prawą dłoń, przeszedł szybko przez szpaler, jaki widzowie utworzyli między stołami, i dotarł do drzwi. Tam obrócił się, pozdrawiając zebranych, i wyszedł.

Himmler, starając się zachować spokój i udając, że spieszy się za Hitlerem, przemknął szybko do drzwi wejściowych. Nawet nie próbował wsiąść do mercedesa Fuhrera i odnalazł wzrokiem Brandta, stojącego przy jego samochodzie.

210

Prawdopodobnie jego myśli zaprzętały plany wielkiej wojny, która miała zacząć się lada dzień. Rozochocony zwycięstwem w Polsce postanowił jak najszybciej uderzyć na Zachód, jakby nie rozumiejąc, że Anglia i Francja, wsparte przez Belgię i Holandię, to nie słaba Polska, lecz mocarstwa gotowe wystawić wojska liczniejsze niż Wehrmacht, lepiej uzbrojone, przygotowane do długiej wojny. Francja miała ogromne zaplecze w postaci afrykańskich kolonii. Wielką Brytanię chronił kanał La Manche, którego pokonanie przez niemieckie czołgi było niemożliwe. Jedynie lotnictwo mogło uderzyć na brytyjskie miasta, ale Luftwaffe nie miało ciężkich bombowców, co Himmler dobrze wiedział z raportów określających stan przygotowania do wojny.

Hitler tego nie chciał uwzględnić. On nie był strategiem zdolnym uwzględnić najbardziej złożone okoliczności wielkiej polityki. On tylko potrafił wykorzystać szansę, jaką dały Niemcom zachodnie mocarstwa drżące przed niebezpieczeństwem radzieckiej inwazji, aż nadto realnym wobec szybkiej rozbudowy agresywnych rodzajów broni w Armii Czerwonej. Ale dobra passa Hitlera już się skończyła, gdyż nie potrafił rozegrać politycznie wojny z Polską. W istocie był tylko małym szantażystą i dlatego zamiast dogadać się z Anglią i

Francją przed uderzeniem na Polskę, postanowił je zaszantażować możliwością ugody ze Stalinem. I brnął w tym błędzie, przygotowując się do wojny z Zachodem.

Odsunął mankiet i zerknął na zegarek. Minęła dwudziesta pierwsza i w tym samym momencie Hitler na mównicy wznosił okrzyk kończący jego występ.

- SiegHeil!

Wszyscy poderwali się z miejsc, krzyżąc „Sieg Heil” i wiwatując na cześć Fihrera.

On, unosząc prawą dłoń, przeszedł szybko przez szpaler, jaki widzowie utworzyli między stołami, i dotarł do drzwi. Tam obrócił się, pozdrawiając zebranych, i wyszedł.

Himmler, starając się zachować spokój i udając, że spieszy się za Hitlerem, przemknął szybko do drzwi wejściowych. Nawet nie próbował wsiąść do mercedesa Fihrera i odnalazł wzrokiem Brandta, stojącego przy jego samochodzie.

210

- Na dworzec, szybko - rzucił kierowcy i rozparł się wygodnie na tylnej kanapie.

Patrzył przez okno na tłum, jaki zebrał się na ulicy, gdy nagle dojrzał twarz, której widok zelektryzował go. Odwrócił się gwałtownie, aby sprawdzić, czy rzeczywiście widział

Johanna, ale jechali za szybko, aby mógł odszukać go w ciżbie. Czyżby plan to przewidywał?

Po kwadransie byli już na bocznicę monachijskiego dworca, gdzie czekał pociąg Hitlera.

Johann przypatrywał się kolumnie samochodów mknących ulicą. Nie był pewien, czy wśród nich jest samochód Hitlera, gdyż przyszedł za późno, aby dojrzeć, czy Fuhrer wychodził z piwiarni. Skoro jednak wielu innych dostojników odjeżdżało, to prawdopodobnie również Fuhrer.

Nie wiedział, dlaczego zaczął rozważać, czy Hitler już wyjechał. Jego umysł nie potrafił połączyć dwóch faktów: bomby, którą zainstalował w kolumnie, i odjazdu dostojników.

Myślał tylko o tym, czy wybuch nastąpi o czasie, na jaki nastawił dwa zegary. Był z nich taki dumny. Każdy potrafiłby podłączyć dwa kabelki do zegara, aby w momencie alarmu

obracające się pokrętko z tyłu werku docisnęło motylkiem drugi kabel, zwierając obwód i inicjując wybuch. Któż jednak potrafiłby wymyślić i skonstruować mechanizm oparty na

pracy dwóch budzików, tak żeby spowodowały wybuch po trzech dniach! Ale czy rzeczywiście to on wymyślił ten mechanizm? A może ktoś mu to podsunął? Nie mógł sobie przypomnieć rysowania szczegółów konstrukcyjnych ani prób nowatorskiego mechanizmu.

Pozbył się tego zmartwienia równie szybko, jak nadeszło. Całą uwagę skoncentrował na obserwowaniu okien piwiarni. Interesowało go tylko jedno: czy wybuch nastąpi?

W oknach pojawiła się niezwykła poświata, która w ułamku sekundy wyrwała się na ulicę, ujawniając wielki blask. Jakby nagle wzeszło słońce i niespodziewanie zaczął się dzień.

Stał daleko, ale tąpnięcie i tuż potem fala gorącego powietrzaomalże nie zwały go z nóg. Słyszał brzęk szkła i nagle, na kilka sekund, zapadła cisza.

Blask znikł, a cała ulica pogrążyła się w mroku, tym większym, że zgasło wiele lamp i wystaw, w których podmuch i odłamki

211

miotane z piwiarni wielką siłą wybiły szyby i stłukły oświetlające je żarówki.

Nie słyszał jęków ani krzyków. Stał oniemiały i szczęśliwy. Uśmiechał się po raz pierwszy od wielu miesięcy, gdyż dokonał czegoś wielkiego. Nie mógł uświadomić sobie, cóż to było takiego.

- Odsuń się chłopie! Odsuń się! - Policjant biegnący w stronę piwiarni, gdzie w oknach widać było długie języki płomieni, odepchnął go pod ścianę. Na ulicy znowu zrobiło się widno, ale uświadomił sobie, że to pożar wzniesiony wybuchem na chwilę rozjaśnił ciemności.

Gdzieś z daleka dobiegł go dzwonek policyjnego samochodu i niespodziewanie ogarnął go lęk.

Rozejrzał się. Daleko, u wylotu ulicy, stał czarny samochód. Widział, że mężczyźni tam siedzący palą papierosy. Lęk narastał. Wydawało mu się, że z czarnego samochodu wysiadł człowiek w długim skórzanym płaszczu i powoli idzie w jego stronę.

Johann wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyczuł twardy kartonik.

Natychmiast się uspokoił. To była widokówka przedstawiająca wnętrze piwiarni. Na niej krzyżykiem zaznaczył filar, w którym umieścił bombę.

Ruszył powoli na drugą stronę ulicy. Zauważył, że mężczyzna w długim płaszczu zatrzymał się i chyba się uśmiechnął, jakby aprobując jego zachowanie. Johann uchylił kapelusza, niby kłaniając się znajomemu, i skierował się na sąsiednią ulicę, gdzie miał wsiąść do autobusu i pojechać na dworzec.

Osobisty pociąg Hitlera „Amerika” przyjechał na berliński dworzec Anhalter tuż po północy. Himmler szybko dotarł do samochodu, czekającego przy bocznicy. Pośpiech, z jakim działał, był całkowicie usprawiedliwiony. Wieść o zamachu i śmierci sześciu starych towarzyszy wstrząsnęła Führerem, choć z drugiej strony zdawał się doszukiwać w tym zarządzenia opatrności i dobrego znaku na najbliższą przyszłość, która przecież miała zadecydować o biegu historii.

Himmler w ciemnym wnętrzu mercedesa dostrzegł Schellenberga. Usiadł obok niego i zakreślił szybę oddzielającą miejsca pasażerskie od kierowcy.

212

- Tego nikt nie mógł przewidzieć - powiedział Schellenberg, jakby się usprawiedliwiając.

- Wiem - przytaknął Himmler. - Sytuacja stała się groźna. Bardzo groźna! - Był wyraźnie podekscytowany. Czyżby się bał? - Musimy jak najszybciej zatrzeć wszystkie ślady. Niech mi pan powie...

Położył dłoń na ręce Schellenberga. Ten wyczuł, jak palce Himmlera kurczowo się zaciskają. Najwidoczniej bał się tego, co mogło się stać, gdyby Gestapo odkryło najmniejszy ślad wskazujący, że to Himmler stał za zamachem. A takich śladów było wiele.

- Niech mi pan powie... - powtórzył po chwili - w jaki sposób ten Eller... Taki pseudonim mu nadaliście?...

Schellenberg potwierdził skinieniem głowy.

- ...zostanie przez nas przejęty, no... schwytyany? Będzie przecież na wolności. Może zrozumieć, że dopuścił się czynu kryminalnego, i zaszyje się w mysiej norze, tak że nie zdołamy go wytropić?

- Doktor Plótner zapewnia mnie, że po akcji uruchomi się u niego „zdefiniowany mechanizm”, jak to nazwał. - Schellenberg sprytnie zrzucił odpowiedzialność za tę część przedsięwzięcia na psychiatrę.

- Co to jest?

- Spytałem go - Schellenberg ponownie podkreślił, że nie ma nic wspólnego z tą częścią akcji. - Twierdzi, że wystąpi rodzaj popędu ucieczki, znanego u schizofreników, acz kontrolowanego. Dodał też, że wmontowanie tego popędu do umysłu zdrowego człowieka jest nie lada osiągnięciem...

- A ja tego się obawiam! - przerwał mu Himmler. - Bo jak zapanować nad człowiekiem rzucającym się do panicznej ucieczki?

- Eller ma uciekać w określonym kierunku. Do przejścia granicznego ze Szwajcarią, a tam zostanie aresztowany.

Himmler był wyraźnie zdziwiony.

- Chce pan, abym powiadomił straż graniczną, że mają łąpać człowieka, o którym oficjalnie nic nie wiemy?!

- Nie, Eller będzie zachowywać się tak dziwnie, że w sposób naturalny zwróci na siebie uwagę straży.

- I co dalej?

- Ma przy sobie widokówkę ze zdjęciem piwiarni.

213

- Sprytne, ale naiwne. - Himmler wciąż nie wydawał się przekonany. - Zamachowiec, który podłożył bombę, ucieka z widokówką miejsca zbrodni? Naiwne!

- Nikt nie będzie się nad tym zastanawiał.

- No dobrze. - Himmlera to nie uspokoiło. - A jeżeli nie zbliży się do posterunku

granicznego, lecz umknie przez zieloną granicę?

Patrzył na Schellenberga, czując, że przyparł go do muru, choć ten wciąż odpychał od siebie odpowiedzialność za tę część planu.

- Miałem takie same wątpliwości, reichsfuhrer - spokojnie odpowiedział Schellenberg. - Zapewniono mnie, że wówczas skieruje się do Berna, gdzie pójdzie do Bayerische Hypothek Banku, aby podjąć pieniądze z konta, jakie dla niego otworzyliśmy na hasło „Talos”. Zostanie wówczas... wyprowadzony bocznym wejściem. Sprawdzone ten mechanizm. Działał.

Himmler skinął głową. Daleki był od wyrażenia aprobaty, gdyż cały plan wydawał mu się bardzo ryzykowny.

- Schellenberg, niech pan teraz jedzie do siebie do domu i weźmie jakiś proszek nasenny.

Zadzwoń do pana za godzinę...

- Miiller?

Schellenberg pytał o szefa Gestapo, Heinricha Miillera, bacznie obserwującego jego działania. Tego człowieka obawiał się sam Himmler, chociaż Miiller formalnie jemu podlegał. Gdyby znalazł dowody, kto chciał usunąć Fuhrera, nie wahałby się ani minuty, lecz wszedł do samochodu i pojechał do Kancelarii Rzeszy, aby przedstawić je Hitlerowi.

- Tak, być może podsłuchuje pana telefon - wyjaśnił Himmler. - Ale to dobrze. To będzie najlepsze alibi.

- W jakim celu pan do mnie zadzwoni?

- Podsunąłem Hitlerowi, że zamach jest dziełem wywiadu brytyjskiego.

- Mamy trupa, mamy mordercę - uśmiechnął się Schellenberg.

- Będzie pan musiał dostarczyć tego mordercę.

- Porwać? Himmler skinął głową.

- Nie możemy wypuścić tego Stevensa i Besta. Za dużo wiedzą. Ufam, że łatwo wyłumaczy się pan, iż podszywał się pod opozycjonistów, aby poznać to środowisko. Muszą zniknąć!

214

- Będę bardzo zaskoczony rozkazem aresztowania ich.

- Potrzebny będzie jakiś spektakularny gest. Przychodzi panu coś na myśl?

Schellenberg zastanawiał się przez chwilę.

- Daliśmy Anglikom radiostację, aby łatwiej mogli porozumiewać się z nami. Teraz, na zakończenie negocjacji, wyślemy im jakiś obraźliwy tekst.

Himmler zastukał sygnetem w szybę, dając kierowcy znać, że ma się zatrzymać.

- Niech pan weźmie taksówkę - powiedział do wysiadającego Schellenberga. - Jeszcze jedno, jak brzmi nazwisko tego zamachowca?

- Johann Georg Elser.

Schellenberg zamknął drzwi samochodu, odczekał jeszcze chwilę, aż Himmler odjedzie na wystarczającą odległość, żeby mieć pewność, że nie zmieni zdania, i ruszył do domu. Ledwo dotarł do mieszkania, rzucił płaszcz na krzesło, podszedł do barku i nalał sobie kieliszek koniaku. Musiał przemyśleć całą sytuację, rozumiejąc, jak stała się niebezpieczna dla niego. Zwłaszcza dla niego, gdyż był zagrożony z dwóch stron: od Miillera i od Himmlera. Którego miał się bać bardziej?

Różne myśli nadchodziły, ale jedna, choć z pozoru szaleńcza, wydała mu się najlepsza.

Powinien zagrozić Himmlerowi! A mógł to zrobić tylko w jeden sposób. Postanowił wykorzystać „Łasicę”. Kiedyś, nie tak dawno, dowiedział się od Naujocksa, że agent jest we

Francji. Kazał podtrzymywać kontakt, choć jeszcze wtedy nie wiedział, jak szybko może się przydać.

Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Dostrzegł duże plamy potu pod pachami.

- Cholera, zaczynam się bać - mruknął, stając przed lustrem. Tak, bał się tego, co mogło nastąpić. Im więcej o tym myślał,

tym bardziej był przekonany, że Himmler nie zawaha się przed likwidacją wszystkich świadków. Może z wyjątkiem Elsera, który niczego nie pamiętał. Ale on, Schellenberg, był świadkiem koronnym.

Poszedł do łazienki, aby wziąć prysznic. Himmler powinien zadzwonić niebawem.

215

11. Szwajcarska granica

Było późno w nocy, gdy Johann wysiadł z autobusu na Grenz-bachstrasse w Konstancji.

Postanowił, że przez granicę ze Szwajcarią przejdzie pieszo i dopiero później wsiądzie do jakiegoś autobusu do Berna lub Zurychu.

Postawił kołnierz od marynarki. Było zimno, a znad Jeziora Bodeńskiego wiał nieprzyjemny wiatr. Zastanowił się na moment, dlaczego nie miał płaszcza, skoro pamiętał, że w

Monachium, wsiadając na dworcu do autobusu, zaczepił kieszenią o klamkę. Co zrobił z płaszczem? Musiał zostawić go na fotelu. Zerwał się z ławki, ale autobus był już tak daleko, że od razu zrezygnował z pościgu i ponownie usiadł. Rozejrzał się.

Dookoła było pusto. Najwidoczniej w nocy przejście graniczne jest zamknięte. Pomyślał, że wojna też przyczyniła się do zmniejszenia ruchu granicznego.

Ciekawe, o której otworzą - pomyślał.

Wsunął dłonie do kieszeni marynarki, postanawiając, że zaczeka na ławce, aż otworzą przejście, które widział w odległości dwustu metrów.

Wartownik, który przechadzał się tam i z powrotem, wyraźnie znudzony zatrzymał się i zaczął mu się przyglądać. Najwyraźniej nie miał nic lepszego do roboty. A może dojrzał coś niezwyklego w jego zachowaniu?

Przecież siedzę sobie tylko i nic złego nie robię - pomyślał Johann.

Podniósł gazetę leżącą obok i położył na kolanach, aby je zabezpieczyć przed zimnem.

Schellenberg sięgnął po słuchawkę telefonu. Milczał przez chwilę, gdyż uznał, że tak właśnie powinien zachowywać się człowiek wyrwany z głębokiego snu. Chrząknął.

- Co pan powiedział? - usłyszał.

- Jeszcze nic. Z kim rozmawiam?

- Tu reichsfuhrer SS Heinrich Himmler. Czy to pan, wreszcie? Schellenberg milczał trochę, zanim odpowiedział „tak”.

- A więc niech pan słucha uważnie - mówił Himmler. - Czy wie pan, co się stało?

216

- Jeszcze nie. O niczym nie wiem.

- Dzisiaj wieczorem, tuż po przemówieniu Hitlera, w monachijskiej piwiarni dokonano zamachu. Wybuchła bomba, ale na szczęście Fiihrer opuścił piwiarnię na kilka minut przed wybuchem. Kilku starych towarzyszy zginęło, a szkody są duże. Nie ma wątpliwości, że wywiad brytyjski maczał w tym palce - te słowa wypowiedział szczególnie dobitnie. - Fiihrer i ja znajdowaliśmy się w pociągu do Berlina, gdy doszła nas wiadomość o zamachu. Fiihrer powiedział, a jest to rozkaz, że ma pan aresztować jutro agentów brytyjskich i przywieźć ich do Niemiec. Może to oznaczać, że zostanie pogwałcona granica holenderska. Fiihrer jednak uważa, że nie ma to znaczenia. Oddział SS, który wyznaczono do pana ochrony, a nawiasem mówiąc, wcale pan na to nie zasłużył, postępując arbitralnie i samowolnie...

Schellenberg uśmiechnął się. Himmler rzeczywiście uwierzył, że telefon jest na podsłuchu, i tworzył znakomite alibi dla siebie.

- ..ma panu pomóc w wykonaniu zadania. Czy pan to wszystko zrozumiał?
Schellenberg zastanowił się przez sekundę. Uznał, że powinien zaprotestować, co byłoby dość naturalne.

- Tak, reichsfuhrerze, ale...

- Żadnego „ale”! To jest rozkaz Fuhrera i ma pan go wykonać! Rozumie pan?!

- Tak jest!

Powoli odłożył słuchawkę na widełki.

Ktokolwiek by podsłuchiwał tę rozmowę, musiałby dojść do przekonania, że wiadomość o wybuchu w piwiarni zaskoczyła go równie jak rozkaz uprowadzenia Brytyjczyków. Było oczywiste, że skoro od kilkunastu dni prowadził tajną grę, to jej nagłe przerwanie przyjmował z niechęcią.

Sięgnął ponownie do telefonu i wykręcił numer Naujocksa.

- Schellenberg mówi. Przygotuj oddział osłonowy. Jutro musimy porwać Brytyjczyków w Venlo!

Tak, brytyjscy wysłannicy powinni zniknąć jak najszybciej, gdyż wiedzieli, że w negocjacjach mówiło się o Himmlerze jako nowym Fihrerze. Czy nie należałoby ich zabić? To gwarantowało całkowite zachowanie tajemnicy. Szybko odrzucił tę myśl. Nie

217

- Jeszcze nie. O niczym nie wiem.

- Dzisiaj wieczorem, tuż po przemówieniu Hitlera, w monachijskiej piwiarni dokonano zamachu. Wybuchła bomba, ale na szczęście Fuhrer opuścił piwiarnię na kilka minut przed wybuchem. Kilku starych towarzyszy zginęło, a szkody są duże. Nie ma wątpliwości, że wywiad brytyjski maczał w tym palce - te słowa wypowiedział szczególnie dobitnie. - Fihrer i ja znajdowaliśmy się w pociągu do Berlina, gdy doszła nas wiadomość o zamachu. Fuhrer powiedział, a jest to rozkaz, że ma pan aresztować jutro agentów brytyjskich i przywieźć ich do Niemiec. Może to oznaczać, że zostanie pogwałcona granica holenderska. Fuhrer jednak uważa, że nie ma to znaczenia. Oddział SS, który wyznaczono do pana ochrony, a nawiasem mówiąc, wcale pan na to nie zasłużył, postępując arbitralnie i samowolnie...

Schellenberg uśmiechnął się. Himmler rzeczywiście uwierzył, że telefon jest na podsłuchu, i tworzył znakomite alibi dla siebie.

- ..ma panu pomóc w wykonaniu zadania. Czy pan to wszystko zrozumiał?

Schellenberg zastanowił się przez sekundę. Uznał, że powinien zaprotestować, co byłoby dość naturalne.

- Tak, reichsfuhrerze, ale...

- Żadnego „ale”! To jest rozkaz Fuhrera i ma pan go wykonać! Rozumie pan?!

- Tak jest!

Powoli odłożył słuchawkę na widełki.

Ktokolwiek by podsłuchiwał tę rozmowę, musiałby dojść do przekonania, że wiadomość o wybuchu w piwiarni zaskoczyła go równie jak rozkaz uprowadzenia Brytyjczyków. Było oczywiste, że skoro od kilkunastu dni prowadził tajną grę, to jej nagłe przerwanie przyjmował z niechęcią.

Sięgnął ponownie do telefonu i wykręcił numer Naujocksa.

- Schellenberg mówi. Przygotuj oddział osłonowy. Jutro musimy porwać Brytyjczyków w Venlo!

Tak, brytyjscy wysłannicy powinni zniknąć jak najszybciej, gdyż wiedzieli, że w negocjacjach mówiło się o Himmlerze jako nowym Fihrerze. Czy nie należałoby ich zabić? To gwarantowało całkowite zachowanie tajemnicy. Szybko odrzucił tę myśl. Nie

217

mógł bowiem wykluczyć, że potrzeba wznowienia rokowań powróci, a po śmieci wysłanników Brytyjczycy nie byliby do tego skorzy. Best i Stevens cali i zdrowi powinni doczekać końca wojny.

Przykrył się kołdrą, postanawiając przespać się trochę, zanim wsiądzie do samochodu i wyruszy w podróż do holenderskiego miasta Venlo, gdzie tego dnia miał spotkać się z brytyjskimi wysłannikami.

Świt był chłodny i pochmurny. Siedzący nieruchomo na ławce Johann poczuł, że zdrewniały mu ręce i nogi. Podniósł się i zaczął podskakiwać, uznając, że będzie to najlepszy sposób na przywrócenie krążenia i rozgrzanie się.

Dostrzegł, jak z pawilonu przy szlabanie wyszło dwóch wartowników i przyglądało mu się z zaciekawieniem. Przestraszony ich widokiem przestał się rozgrzewać i ruszył w stronę przejścia granicznego. Strażnicy wciąż tam stali i przyglądali mu się. Cóż takiego mogło ściągnąć ich uwagę? Nie pojmował przyczyn zainteresowania jego osobą.

A jeżeli zostali powiadomieni, że dokonałem zamachu, i mają mnie aresztować? - pomyślał przestraszony.

Zatrzymał się. Rozejrzał się szybko, zastanawiając się, czy nie wrócić na ławkę, ale natychmiast uznał, że była już za daleko, a nagły odwrót mógłby jeszcze bardziej zaciekawić strażników. Rozmawiali między sobą najwyraźniej na jego temat.

- Spokojnie - powiedział do siebie na głos. - Podejdę i zapytam, o której będzie otwarte przejście graniczne, gdyż spieszę do chorej matki.

Taki plan uspokoił go i szedł już dalej rytmicznie i równo.

- A jeżeli zapytają, gdzie ona mieszka?

Zaczął gwałtownie przypominać sobie nazwy szwajcarskich miast, ale poza Bernem, Bazyleą i Zurychem nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Powiem, że w Bazylei - uznał wreszcie.

Zbliżył się do strażnika. Cała odwaga, jaka prowadziła go do przejścia, nagle przysła.

- Słucham pana. - Jeden z wartowników podszedł bliżej.

218

Johann rozejrzał się gwałtownie, jakby szukał ratunku.

- O co chodzi? - zapytał drugi wartownik.

- Nic, nic... - Johann odwrócił się gotów odejść stąd jak najszybciej.

- Stój! - Usłyszał okrzyk i tuż potem szcęk karabinowego zamka.

Będą do mnie strzelać! - ta myśl sparaliżowała go. Stał, jakby miał nogi wrośnięte w asfalt.

Poczuł, że żołnierz położył mu rękę na ramieniu.

- Dokąd pan idzie?

- Ja... nie idę... - nie mógł wyjąkać ani słowa. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

- Dokumenty? - warknął żołnierz.

- Ja... chyba... nie mam. - Johann odwrócił się. I od razu pomyślał, że nie mógłby przejść przez granicę, gdyby nie miał paszportu. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie, gdzie mógł go schować. A czy w ogóle miał paszport?

- Jak się pan nazywa?

- Johann... - zawahał się, starając się przypomnieć sobie nazwisko - Johann Georg Elser - powiedział wreszcie.

Wsunął rękę do górnej kieszeni marynarki i namacał twardy kartonik. Wydobył go i podał wartownikowi, tak jak podaje się dowód tożsamości.

Ten spojrział zdumiony.

- To widokówka, nie paszport - stwierdził.

Już miał zamiar oddać ją Johannowi, gdy nagle tknęła go jakaś myśl. Ponownie przyjrzał się widokówce.

- To „Bürgerbraukeller” - powiedział do drugiego żołnierza. - Tam w nocy wybuchła bomba. Jest wielu zabitych.
- A to co? - Na jednym z filarów widać było krzyżyk.
- Po co ten krzyżyk? - Patrzył podejrzliwie na Johanna.
- Ja... nie postawiłem... - wyjąkał Johann.
- Jesteś aresztowany! Nie stawiaj oporu!

219

12. Venlo

Schellenberg nerwowo ugniatał papierosa w palcach.

- Ognia?

Kurt Bradbacher siedzący po drugiej stronie stolika na tarasie kawiarni „Bachus” w holenderskim mieście Venlo pochylił się usłużnie. Był w SS od początku istnienia tej organizacji i jeżeli komukolwiek można było wierzyć, to właśnie jemu. Masywny chłop z kwadratową szczęką i szerokimi barami był kiedyś zapaśnikiem, a liczne blizny na twarzy wskazywały, że uczestniczył w wielu pi-wiarnianych bójkach.

Schellenberg pokręcił głową. Nie chciał palić. Po prostu odczuwał potrzebę zajęcia się czymś. Rozważał, w jak licznej obstawie przyjadą Stevens i Best. Spotkał się z nimi po raz pierwszy trzydziestego października w Amsterdamie. Oczywiście nie znali jego prawdziwego nazwiska, choć zapewne nie byli tak naiwni, żeby uwierzyć, iż nazywa się Schammel, jak się przedstawiał. Zawsze ochraniał ich jeden agent holenderskiego wywiadu, szczupły wysoki brunet. Być może inni pozostawali w ukryciu. Wyglądało na to, że brytyjscy agenci szybko nabrali zaufania, czego najlepszym dowodem był fakt, że zgodzili się przyjechać do Venlo, miejscowości na granicy z Niemcami. Schellenberg nie mógł marzyć o lepszym miejscu do wykonania zadania, które zlecił mu Himmler.

Odłożył papierosa na blat stolika i sięgnął po zapalniczkę. Z tego miejsca widział dobrze graniczny szlaban i trzy zielone mercedesy stojące przed niemieckim budynkiem celnym. Aż dziwne, że nie zwróciły uwagi Holendrów - pomyślał, obserwując holenderskiego żołnierza, który chodził wzdłuż szlabanu. - A cóż może go obchodzić, co się dzieje po niemieckiej stronie.

Kelnerka postawiła na stoliku wermut, a Schellenberg sięgnął po portfel.

- Od razu zapłacę - powiedział do niej. Jego towarzysz uśmiechnął się.
- Niemiecka solidność - skomentował Kurt, gdy tylko kelnerka oddaliła się.

Schellenberg podniósł szklankę. Był zadowolony, że mógł siedzieć na tarasie, z którego rozciągał się doskonały widok i na

220

przejście graniczne, i w głąb ulicy, w stronę, z której mieli nadjechać Anglicy.

- Oni?

Schellenberg dostrzegł jadący dość szybko szary samochód.

- Nie. - Kurt podniósł się z krzeselka, które pod nim wyglądało szczególnie filigranowo. Schellenberg spojrział na niemieckie samochody, obawiając się, że ich załogi mogły uznać omyłkowo, tak jak on, że nadjeżdżają Anglicy, i ruszyć do ataku, ale panował tam spokój. Zerknął na zegarek. Minęła trzecia, więc do wyznaczonego spotkania było jeszcze niespełna dwadzieścia minut.

- Jeszcze kawę - krzyknął do kelnerki.

Ledwo zdołała postawić przed nim filiżankę, gdy Kurt ponownie podniósł się z krzesła.

- Oto i oni - mruknął, biorąc z oparcia płaszcz.

Daleko na ulicy pojawił się ciemnoniebieski buick, jadący z dużą prędkością.

Schellenberg, już stojąc, pociągnął łyk kawy i narzucił szary prochowiec.

Ruch na tarasie był sygnałem dla esesmanów. Trzy mercedesy ruszyły spod budynku celnego z piskiem opon i rykiem silników. Jechały wprost na szlaban przegradzający drogę, wprawiając w osłupienie holenderskich żołnierzy pełniących tam straż. Żaden nawet nie zdjął karabinu z ramienia.

Któryś z esesmanów wychylił się z okna i wypuścił w powietrze serię z pistoletu maszynowego. Głuchy odgłos wystrzałów odbijający się od ścian budynków podziałał na Holendrów piorunująco. Zamiast zająć miejsca do obrony zaczęli uciekać, gdy pierwszy mercedes staranował szlaban.

Anglicy nie mogli widzieć, co dzieje się na granicy za ich plecami, gdyż właśnie skręcili z ulicy na parking przy kawiarni. Best siedzący za kierownicą buicka, widząc Schellenberga, uniósł rękę w geście pozdrowienia, gdy dobiegły go odgłosy wystrzałów i narastający warkot silników trzech mercedesów, które zbliżały się do nich z ogromną szybkością.

Drzwi z drugiej strony buicka otworzyły się i zanim samochód stanął, wyskoczył mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu,

221

z rewolwerem w dłoni. Schellenberg poznał, że jest to holenderski agent, ochraniający Anglików. Był sam. Przyklęknął za błotnikiem i starannie wymierzył w pierwszy nadjeżdżający niemiecki samochód. Kula z jego pistoletu trafiła w szybę, ale nie wyrządziła nikomu szkody. Mercedes zatrzymał się i wyskoczył z niego oficer, który nie kryjąc się, zaczął strzelać do Holendra. Czwarty strzał był celny, agent wypuścił pistolet i zwałił się na bruk.

Esesmani otoczyli buicka i wyciągnęli z niego Anglików, którzy bez oporu dali się zagnać do ich samochodu.

- Czego pan tu stoi! - krzyknął do Schellenberga oficer, który podbiegł do ciężko rannego Holendra. - Bóg jeden wie, jak to się stało, żeśmy pana nie trafili.

Schellenberg dopiero wtedy uświadomił sobie, że przecież nie ma na sobie munduru, a w tej sytuacji nawet znający go esesmani mogą omyłkowo wziąć go za wroga. Przekonał się o tym, gdy zrobił kilka kroków i znalazł się za rogiem, gdzieomalże zderzył się z wielkim esesmanem, który złapał go wpół i podsunął pistolet pod nos.

- Nie wygłupiaj się! - krzyknął Schellenberg. - Zabierz ten pistolet!

Kurt, który widząc tę scenę, rzucił się w ich kierunku, dopadł esesmana, gdy ten ponownie podniósł pistolet, i podbił mu rękę ułamek sekundy wcześniej, zanim nacisnął spust.

- Wsiadaj! - popchnął Schellenberga w stronę mercedesa. Kilkanaście sekund później wszystkie samochody jadąc do tyłu, wróciły za niemiecką granicę.

13. Krótka wolność Johanna

Czarny mercedes, za którym podążały dwa inne samochody, podjechał do szerokich marmurowych schodów prowadzących do wejścia budynku Gestapo w Monachium.

Najwidoczniej musiał przyjechać ktoś ważny, gdyż wartownicy włożyli galowe mundury i widząc zbliżające się samochody, unieśli karabiny w salucie. Zza drzwi wybiegł oficer, który najwyraźniej tkwił tam od dłuższego czasu, wyczekując przyjazdu gości, i stanął przy krawężniku. Gdy

222

tylko mercedes się zatrzymał, oficer przesunął się kilka kroków, aby sięgnąć ręką do klamki tylnych drzwi, otworzył je i prężąc się, podniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.

Heinrich Himmler nie był zadowolony ze sposobu, w jaki go przyjmowano.

- Mówiłem, żeby nie robili tego całego cyrku - mruknął przez ramię do podążającego za nim Schellenberga. Nie powtórzył jednak słów nagany szefowi monachijskiej placówki Gestapo, wysokiemu i tęgiemu obersturmbannführerowi Haukemu, który stał przy schodach z uśmiechem na twarzy, najwyraźniej oczekując uznania za tak regulaminowe powitanie przełożonego.

Himmler podał mu rękę i nie zatrzymując się, wbiegł na schody, jakby obawiając się, że ktoś z przechodniów zwróci uwagę na jego przyjazd. Było to zupełnie nieuzasadnione, gdyż ulica została zamknięta, a przechodniów i samochody kierowano na pobliskie skrzyżowanie. Szef Gestapo uznał bowiem, że zamach na Hitlera przed kilkoma dniami stanowił wystarczający powód jego zmartwień, wołał więc zapobiec jakimkolwiek zagrożeniu dla Himm-lera, stojącego na trzecim miejscu w partyjnej i rządowej hierarchii, tuż za Göringiem i Rudolfem Hessem.

W holu, gdzie nad wejściem wisiał wielki orzeł ze swastyką w szponach, stała grupa oficerów, zebranych, jak się wydawało, wyłącznie po to, aby godnie powitać reichsführera, co już przebrało miarę jego cierpliwości.

- Prosiłem, aby mój przyjazd odbył się bez tych niepotrzebnych ceremonii - zwrócił się do obersturmbannführera. - To robocza wizyta!

Oficerowie, którzy ledwo zdołali unieść ręce, witając Himm-lera, widząc, że ich obecność jest niewskazana, zaczęli wycofywać się, ale jeden z nich pozostał, wciąż z ręką wyciągniętą do góry.

- To doktor Plótner - cicho powiedział Schellenberg i zorientowawszy się, że Himmler nie przypomina sobie tego oficera, dodał: - On prowadził eksperyment.

- A, doktor Plótner. - Himmler podszedł do niego. - Gratuluję panu.

- Dziękuję, reichsführer. - Plótner opuścił rękę. - Czy wolno mi zamienić słowo'

223

Rozejrzał się, jakby dając znać, że chciałby pozostać sam na sam z Himmlerem. Ten wziął go pod rękę i ruszył powoli długim korytarzem, gdy inni, widząc poufale gest, odsunęli się na odległość, z jakiej nie mogli słyszeć rozmowy.

- Reichsführer - Plótner zaczął nieśmiało, jakby prośba, którą zamierzał przedstawić, była dla niego wyjątkowo niezręczna. -Chcę się wstawić za Johannem...

Himmler spojrzał na niego zaskoczony.

- Wiem, że nie powinienem - dodał szybko Plótner, dostrzegając naganę w oczach Himmlera.

- Wiem, że powinien zapaść wyrok śmierci, ale proszę uwzględnić, że to pierwszy, tak udany eksperyment.

- A już myślałem, że pan powie, iż Johann nie jest winny -Himmler zachichotał.

- No, nie. - Plótner coraz bardziej tracił pewność siebie. - Ja tylko na gruncie naukowym.

Zlikwidowanie Johanna sprawi, że będziemy musieli rozpocząć prace naukowe od początku. Stracimy bezcenny materiał...

- Dobrze. - Himmler zdawał się rozumieć powody, które każą lekarzowi wstawiać się za obiektem badań. - A nie czuje się pan jak ojciec kalekiego dziecka?

Plótner nie odpowiadał przez chwilę, jakby rozważając pytanie reichsführera.

- Tak - przyznał wreszcie. - Eksperyment działa w obydwu kierunkach. Bez tego, bez poświęcenia z mojej strony i nawiązania z obiektem szczególnej więzi emocjonalnej, nie udałby się.

Himmler poklepał go po ramieniu, dając wyraz uznania dla otwartości naukowca, i przyspieszył kroku. W tym samym momencie inni dołączyli do niego, aby poprowadzić reichsführera do właściwego miejsca.

Hauke otworzył drzwi do niewielkiego przedpokoju, na którego końcu widać było drugie drzwi obite skórą, tłumiącą odgłosy, jakie mogły dochodzić spoza nich. Tam pośrodku dużego pokoju o białych ścianach, ciemnej dębowej podłodze i jednym oknie z grubymi

kratami, którego szyby były zamalowane na biało, siedział Johann. Wciąż miał na sobie szary garnitur, który założył, wychodząc z domu, aby sprawdzić, czy podłożona przez niego bomba zadziałała.

224

Na twarzy i rękach widać było kilka zadrapań, które powstały prawdopodobnie podczas aresztowania i transportu z Konstancji, ale bez wątplenia nie bito go ani nie torturowano, czego pilnował osobiście doktor Plótnner.

- To ten drań - powiedział Hauke, stając za plecami Johanna. Johann siedział ze spuszczoną głową, jakby przywykł do takich odwiedzin, które zdawały się w ogóle go nie interesować.

- Przesłuchiowano go? - Himmler odwrócił się do Haukego.

- Tak jest. Spokojny, może nawet apatyczny. Skory do współdziałania. Chętnie i dużo odpowiada na każde pytanie. - Hauke skinął na esesmana, który podał mu teczkę z dokumentami. Przekazał ją natychmiast Himmlerowi.

- To są jego zeznania - wyjaśnił. - Utrzymuje, że działał sam. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów, że ktoś mu pomagał.

- Skąd miał materiały wybuchowe?

- Zeznał, że ukradł dynamit z kamieniołomów, gdzie poprzednio pracował.

- Zapalnik?

- Detonatory też ukradł, a zapalnik zegarowy skonstruował sam. Pokazał, jak to zrobił. Użył dwóch budzików, aby spowodować wybuch po trzech dniach od ich nastawienia. Sprytna konstrukcja.

Himmler zerknął na Haukego znad okularów, wyraźnie wyrażając dezaprobatę wobec słów gestapowca. Nie pozwolił jednak się wytłumaczyć. Oddał teczkę z dokumentami i stanął przed Johannem, który również wtedy nie podniósł głowy.

- Utrzymujesz, że nie byłeś w zмовie z angielskimi szpiegami? Johann skinął głową, ale wciąż nie patrzył na Himmlera. Ten

złapał go za włosy i zmusił do podniesienia głowy.

- Śmiesz tak kłamać?!

Z rozmachem uderzył go w twarz. Cios, zadany otwartą dłonią, był tak silny, że Johann upadł na podłogę, a mając ręce skute na plecach, niezdolnie usiłował wstać. Ledwo przyklęknął na jedno kolano, Himmler kopnął go z rozmachem i stanął nad nim na szeroko rozstawionych nogach.

- Ty świński pomocie! - Himmler wydawał się tracić panowanie nad sobą. - Chciałeś zabić Fiihrera! Chciałeś zabić mnie! I tak łżesz?!

225

Znowu kopnął go w bok. Johann jęknął głucho i skulił się, aby uchronić brzuch przed kolejnymi kopniakami.

- Przeżyliśmy tylko dlatego, że opatrność nad nami czuwała, ale sześciu dobrych ludzi zginęło. Wielu jest rannych. Kto namówił cię do tej zbrodni?!

Znowu kopnął go z rozmachem od tyłu w nerki, co wywołało jęk bólu.

- Ty bezczelny łajdaku!

Johann skulił się, oczekując następnego ciosu, ale Himmler tylko wyjął chusteczkę z kieszeni i starannie wytarł dłoń, którą uderzył Johanna, jakby brzydząc się dotyku jego ciała. Któryś z esesmanów podszedł do więźnia i posadził go na stołku.

Schellenberg patrzył na tę scenę zaskoczony. Nigdy nie widział Himmlera tak rozsierzonego i nie przypuszczał, że reichsfiihrer może posunąć się do osobistego katowania więźnia.

- On nie działał sam - Himmler zwrócił się do Haukego. - Z przesłuchania dwóch angielskich agentów, których uprowadziliśmy z Holandii, wynika, że to brytyjskie tajne służby zorganizowały zamach.

Hauke wydawał się nieco zaskoczony. Wielogodzinne przesłuchania Johanna w najmniejszym stopniu nie potwierdzały takich podejrzeń. Osobiście przesłuchiwał więźnia i był przekonany, że nie ma powodu stosowania tortur, skoro Johann chętnie i wyczerpująco odpowiadał o przygotowaniach i przebiegu zamachu. A wielokrotnie pytał go o kontakty z angielskimi tajnymi służbami i nie miał wątpliwości, że gdyby coś takiego miało miejsce, Johann nie kryłby tego. Nie mógł jednak zaprotestować, skoro jego najwyższy przełożony twierdził, że było inaczej.

- Podejmiemy śledztwo w tym kierunku - powiedział szybko.

- Nie - Himmler wciąż przecierał dłoń, aż zorientował się, że ta czynność ściąga uwagę obecnych, i schował chusteczkę do kieszeni.

- On - wskazał na Johanna - ma być przewieziony do Dachau. Tam, gdy będzie bezpieczny, podejmiemy śledztwo. Nie będziemy się spieszyć, gdyż sprawa wydaje się szczególnie skomplikowana, a ze względu na zagrożenie życia Fuhrera również szczególnie ważna.

226

Znowu kopnął go w bok. Johann jęknął głucho i skulił się, aby uchronić brzuch przed kolejnymi kopniakami.

- Przeżyliśmy tylko dlatego, że opatrność nad nami czuwała, ale sześciu dobrych ludzi zginęło. Wielu jest rannych. Kto namówił cię do tej zbrodni?!

Znowu kopnął go z rozmachem od tyłu w nerki, co wywołało jęk bólu.

- Ty bezczelny łajdaku!

Johann skulił się, oczekując następnego ciosu, ale Himmler tylko wyjął chusteczkę z kieszeni i starannie wytarł dłoń, którą uderzył Johanna, jakby brzydząc się dotyku jego ciała. Któryś z esesmanów podszedł do więźnia i posadził go na stołku.

Schellenberg patrzył na tę scenę zaskoczony. Nigdy nie widział Himmlera tak rozsierzonego i nie przypuszczał, że reichsfuhrer może posunąć się do osobistego katowania więźnia.

- On nie działał sam - Himmler zwrócił się do Haukego. -Z przesłuchania dwóch angielskich agentów, których uprowadziliśmy z Holandii, wynika, że to brytyjskie tajne służby zorganizowały zamach.

Hauke wydawał się nieco zaskoczony. Wielogodzinne przesłuchania Johanna w najmniejszym stopniu nie potwierdzały takich podejrzeń. Osobiście przesłuchiwał więźnia i był przekonany, że nie ma powodu stosowania tortur, skoro Johann chętnie i wyczerpująco odpowiadał o przygotowaniach i przebiegu zamachu. A wielokrotnie pytał go o kontakty z angielskimi tajnymi służbami i nie miał wątpliwości, że gdyby coś takiego miało miejsce, Johann nie kryłby tego. Nie mógł jednak zaprotestować, skoro jego najwyższy przełożony twierdził, że było inaczej.

- Podejmiemy śledztwo w tym kierunku - powiedział szybko.

- Nie - Himmler wciąż przecierał dłoń, aż zorientował się, że ta czynność ściąga uwagę obecnych, i schował chusteczkę do kieszeni.

- On - wskazał na Johanna - ma być przewieziony do Dachau. Tam, gdy będzie bezpieczny, podejmiemy śledztwo. Nie będziemy się spieszyć, gdyż sprawa wydaje się szczególnie skomplikowana, a ze względu na zagrożenie życia Fuhrera również szczególnie ważna.

226

Hauke wydawał się gotowy do wyjaśnienia, że w jego placówce Gestapo nic nie może zagrozić bezpieczeństwu zamachowca, ale nie śmiał zaprzeczyć słowom Himmlera.

- Przygotujemy transport, zachowując szczególne środki ostrożności - zameldował.

Himmler odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju. Dopiero na korytarzu zatrzymał się i jakby zawstydzony swoim zachowaniem, powiedział do Schellenberga tak głośno, żeby wszyscy wokół to słyszeli:

- Straciłem panowanie na widok mordercy, który czyhał na życie Fuhrera i moje.

- To całkowicie zrozumiałe, reichsfiihrer - pospieszył z pocieszeniem Hauke, choć nie do niego była skierowana ta uwaga.
 - Chcę, żeby Johann miał dobre warunki w obozie - dodał Himmler, gdy wsiedli do samochodu.
 - A co z procesem? - Schellenberg wydawał się zaskoczony decyzją reichsfiihrera.
 - Nie będzie procesu.
 - Fiihrer nie zgodzi się na to.
 - Fiihrer będzie wiedział, że Johann zmarł na atak serca.
 - Czy nie byłoby bezpieczniej dla nas, gdyby rzeczywiście zmarł?
- Himmler skrzywił się, jakby pytanie dotknęło jakiejś nieprzyjemnej sprawy.
- Schellenberg, pan już wykonał swoje zadanie - powiedział oschle.
 - Tak jest.
 - I niech pan więcej się tym nie interesuje. Sprawa Johanna została zamknięta raz na zawsze. Odwrócił się do okna, wydając się tracić zainteresowanie rozmówcą, który nie odważył się już odezwać.

Jechali przez kilkanaście minut, nie odzywając się. Schellenberg, któremu jeszcze niedawno wydawało się, że zagrożenie dla niego minęło, nagle zrozumiał, że Himmler nie porzucił myśli pozbycia się go, choć zapewne potrzebował trochę czasu, aby przygotować odpowiedni bieg wydarzeń. Wypadek na berlińskiej ulicy? Gwałtowna choroba, będąca wynikiem zatrucia? Nie.

227

Spojrzał spod oka na Himmlera, który wciąż odwrócony wyglądał przez okno.

To na niego za proste - pomyślał. - Zapewne wynajdzie mi jakieś niebezpieczne zadanie, w którym polegnę, a on będzie przemawiał na moim pogrzebie.

Znowu ogarnął go strach. Taki sam, jaki czuł w listopadową noc, gdy Himmler poinformował go, że zamach się nie udał.

Nagły pomysł, jak się zabezpieczyć, sprawił, że się uśmiechnął.

1. Sojusznicy

Pociąg zwalniał. Uderzenia kół o rozjazdy kilka razy mocno zakołysały wagonem, aż wreszcie stanęli.

Michał podniósł głowę. Leżał na najwyższej pryczy, a właściwie drewnianej półce, obok sześciu innych jeńców, których tam wepchnięto, i przysunął się do wąskiego okna. Przez kolczaste druty przymocowane na zewnątrz prostokątnego otworu dostrzegł, że zjechali na bocznice, za którą ciągnęły się pola.

- Widzisz coś? - Jeniec leżący na boku chuchał w dłoń. Metalowy piecyk pośrodku wagonu wygasł wiele godzin temu, a deski nie dawały żadnej ochrony przed siarczystym mrozem.

- Pole, tylko pole - odpowiedział Michał. - Może jeść dadzą, albo opał, zanim zamarzniemy.

- To Sowietów, bracie, nie znasz - krzyknął ktoś. Poprzedniego dnia każdy z jeńców dostał dwie pajdy czarnego

chleba i dwa śledzie zawinięte w gazetę. Nie wiedzieli, na jak długo ma im to wystarczyć, i co rozsądniejsi dzielili porcje, inni zjedli natychmiast. Nikt nie przewidział, że nie dostaną wody. Ci, którzy po-łakomili się na śledzie, zeszkrobywali lód, jaki osadził się na framudze okiennego otworu, i solidarnie dzielili się kawałeczkami, które kładli na języku, aby złagodzić nieznośne pragnienie.

Dobiegł ich łoskot odsuwanych drzwi w pobliskich wagonach i głosy konwojentów wyczytujących nazwiska.

- O co chodzi? - Dwaj inni jeńcy podnieśli się z pryczy. - Wyciągają ludzi z wagonów pośrodku pola?

231

- Jesteśmy przy jakiejś stacji. - Michał przesunął się na bok, ale w dalszym ciągu niczego nie mógł zobaczyć.

Usłyszeli, jak spada hak, i po chwili drzwi odjechały na bok, wpuszczając do wnętrza falę mroźnego powietrza.

- Sosnowicz! - krzyknął żołnierz, który wspiał się po stopniach. Dwaj stojący na ziemi podnieśli karabiny z długimi bagnetami, gotowi ugodzić każdego z więźniów, który chciałby wyskoczyć.

- Sosnowicz! - powtórzył żołnierz. - Wysiadać!

Michał zeskoczył z pryczy. Ukrywanie się nie miało żadnego sensu, mogło tylko rozeźlić strażników, którzy gotowi byli zakato-wać go kolbami. Dlaczego wywoływali właśnie jego? Enkawudzista w długim płaszczu pchnął go mocno, zmuszając do szybszego zejścia ze stopni, i od razu zasunął drzwi.

Przy innych wagonach stało kilkunastu jeńców, równie niepewnych swojego losu, jak Michał. Oficer idący wzdłuż wagonów podniósł rękę, dając znać maszyniście, że może odjechać.

Grdy tylko wagony odłoniły niewielki budynek dworcowy, strażnicy kazali im stanąć dwójkami i przejść przez tory.

Na niewielkim pokrytym zamarzniętymi kałużami placu przed dworcem stały trzy ciężarówki bez plandek, co oznaczało, że dalsza podróż będzie szczególnie uciążliwa. Michał wsunął dłoń w rękawy, patrząc z zazdrością na jeńców ubranych w długie płaszcze. On, w krótkiej kurtce, nie miał co marzyć o odpowiedniej ochronie przed mrozem.

- Pierwsza czwórka, siadać na podłodze! Ze skrzyżowanymi nogami - rozkazał oficer.

Jeńcy, którzy weszli na skrzynie ciężarówek, usiedli jak im kazano, nie rozumiejąc jeszcze, jaki sens ma taki rozkaz.

- Druga czwórka, siadać na ich kolanach! - padła nowa komenda.

W tym momencie zrozumieli. W ten sposób blokowali się nawzajem. Nikt, komu przyszłoby do głowy wyskoczyć z jadącego samochodu, nie zdołałby szybko wstać, a każde przygotowanie do ucieczki wymagało współdziałania dwóch osób, co nie uszłoby uwagi strażników, którzy weszli do skrzyń, gdy tylko wszyscy więźniowie usiedli w sposób nakazany przez oficera. A ten wsiadł do kabiny pierwszej ciężarówki i dał znać, że mogą ruszać.

232

Droga biegła szerokim zakolem i po kilkunastu minutach dostrzegli pociąg, który, ze względu na stan torowiska, jechał dość wolno. Sądząc po promieniach porannego słońca, pociąg kierował się na wschód, gdy oni na najbliższym skrzyżowaniu skręcili na południe, a po kilku kilometrach na zachód.

Jechali przez cały dzień, nie zatrzymując się ani na moment. Strażnicy siusiali, stając przy kłapie skrzyni ładunkowej, ale więźniom na to nie pozwalali.

- Łać pod siebie! - radzili. - Srać też tak możecie, bo mróz, to nie będzie śmierdziało.

Skrzyżowanie nóg stawało się torturą, ale szybko nauczyli się radzić sobie z bólem, gdy siedzący na nich kolega unosił się lekko, dając wytchnienie obolałym stawom. Starali się być jak najbliżej jeden drugiego, co pozwalało lepiej zachować ciepło. Ale już w trzeciej godzinie podróży zapadli w odrętwienie, jakie przynosi mróz. Strażnicy z dobroci serca radzili im, żeby nie zasypiali, gdyż na mrozie oznaczało to śmierć.

Był już zmierzch, gdy dostrzegli odległe światła. Dawały nadzieję, że podróż dobiega końca, i choć nikt nie spodziewał się, że enkawudziści dadzą im coś ciepłego do zjedzenia, to możliwość, że rozprostują nogi albo położą się gdzieś w pomieszczeniu osłoniętym od wiatru, dała im nowe siły.

Pierwsza ciężarówka skręciła w drewnianą bramę prowadzącą na niewielkie podwórze. Dwie pozostałe zatrzymały się obok i wartownicy zeskoczyli na ziemię. Z drzwi prowadzących do niskiego parterowego budynku wyszedł oficer z raportówką w ręce. Na jego widok z szoferki wysiadł dowódca konwoju, mocno już pijany, i starając się zachować równy krok, podszedł, aby złożyć meldunek.

Michał rozejrzał się. Pod lampą wiszącą na długim kablu dostrzegł przełamaną tablicę.

Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał ją oderwać, ale udało mu się odłamać tylko połowę, gdyż druga była dobrze przytwierdzona gwoździami do ściany z desek.

„Szkoła Gminna...” - odczytał litery przebijające się przez cienką pokrywę lodu i śniegu.

I wtedy dostrzegł oficera niemieckiego, który stanął w otwartych drzwiach i obserwował, co się dzieje na podwórku. Był w mundurze SS, jak się wydawało Michałowi, z naszywką SD na rękawie.

233

- Z samochodów! - krzyknął dowódca konwoju. - Ustawić się w szeregu!

Podnosili się z trudem. Nogi odmawiały im posłuszeństwa, a naciągnięte ścięgna i stawy sprawiły, że każdy krok wywoływał dotkliwy ból. Szron, jaki osiadł na rzęsach i dawno nieogolonych zarostach, nadał im wszystkim taki sam wygląd ludzi cieni.

Ustawiali się niezbornie, zadowoleni, że katusza podróży dobiegła końca, choć nie wiedzieli, co ich jeszcze czeka.

Któryś z konwojentów policzył szybko więźniów i zameldował oficerowi, a ten, najwidoczniej nie mając ochoty dłużej przebywać na mrozie, machnął ręką, nakazując odprowadzić jeńców do dużej izby przygotowanej na nocleg.

Widząc, że idą, powłócząc nogami, oficer podszedł do Niemca. Przez chwilę rozmawiali, aż Rosjanin odwrócił się i krzyknął w stronę grupy.

- Sosnowicz!

Michał zatrzymał się i spojrzał zaskoczony na oficera.

- To ty? Sosnowicz? - oficer zwrócił się w jego stronę. -Ja.
- Podejdz tutaj!

Jednocześnie skinął na jednego z wartowników.

- Dajcie mu jeść i zamknijcie w ciepłej izbie - nakazał.

Pomieszczenie, do którego wprowadził go konwojent, pozbawione okien, było prawdopodobnie szkolnym magazynem, w którym trzymano pomoce naukowe. Na półkach leżały jeszcze polskie książki.

Michał wskazał na podłogę, jakby pytając czy może usiąść. Konwojent skinął głową. Po kilku minutach przyszedł drugi i przyniósł metalową emaliowaną miskę z barszczem i ziemniakami. Postawił ją na podłodze i po chwili obydwaj wyszli, zamykając drzwi na klucz i podpierając je stołkiem lub krzesłem. Zapadła ciemność. Jedynie pod drzwiami przedostawało się trochę światła z korytarza.

Po omacku odszukał miskę i jak pies zaczął chleptać ciepły barszcz. Palcami wydobywał tłuczone ziemniaki i wpychał je do ust. Były twarde, źle ugotowane, ale dawały to wspaniałe uczucie sycenia głodu.

234

Ciepło szybko przenikało głęboko, przynosząc uczucie rozleniwienia. Nie wiedział, kiedy zasnął.

Obudził go hałas na korytarzu. Podniósł głowę i przesunął ręką po obolałym karku. Było bardzo twardo, ale nie chciał się podnieść, licząc, że może jeszcze nadejdzie sen pozwalający zapomnieć o tym, gdzie jest i co go czeka.

Światło wpadające przez szparę pod drzwiami zmieniło barwę. To już nie świeciła lampa. Był dzień.

Dlaczego oddzielono go od reszty więźniów? Po co ich tutaj przywieziono? Nie umiał sobie odpowiedzieć na te pytania.

Zazgrzytał zamek. Konwojent otworzył drzwi i podniósł rękę, w której trzymał kubek. Był w nim jakiś brunatny płyn o smaku przypominającym kawę, ale nie miało to żadnego znaczenia. Michał zadowolony pił drobnymi łykami, aby nie poparzyć ust. Zobaczył, jak z tyłu, za Rosjaninem, stanął niemiecki oficer. Ten sam, którego widział poprzedniego wieczoru. Czekał spokojnie, aż Michał wypije kawę i odda kubek.

- Michael Sosnowitz? - zapytał. Michał skinął głową.

Niemiec dał znać, żeby wyszedł z komórki i zbliżył się do okna. W tym czasie wyciągnął z kieszeni zdjęcie. Przez chwilę porównywał je z twarzą Michała, a gdy doszedł do wniosku, że wszystko się zgadza, mruknął tylko:

- Zmienił się pan...

- Jak pan trafi do rosyjskiej niewoli, to nie będzie się pan dziwił - odpowiedział Michał, patrząc mu beczelnie prosto w oczy.

Niemiec uśmiechnął się.

- Jest pan już w niewoli niemieckiej. Zawdzięcza pan nam życie.

- Na długo?

- Panie majorze, Rosjanie wiedzą, że walczył pan z nimi w 1920 roku. Nie pożyczby pan u nich długo.

- Tak, Niemcy są bardziej wielkoduszni. We wrześniu z wami nie walczyłem.

Oficer ponownie się uśmiechnął.

- Chce pan wrócić?

Michał nie odpowiedział. Właściwie było mu już wszystko jedno, kto go więzi i dokąd wywozi. Esesman wydawał się uprzejmy

235

i wręcz dobroduszny, co zastanawiało Michała. U funkcjonariuszy tej służby nie były to cechy często spotykane. Najwidoczniej otrzymał polecenie, że ma traktować go łagodnie.

- Jaki jest dzisiaj dzień?

- Pyta pan o datę? Dwunasty stycznia 1940 roku. Wyciągnął paczkę papierosów i skierował w stronę Michała.

Bez wątpienia ten gest był demonstracją wobec Rosjan. Dostrzegł to enkawudzista, który niosąc jakiś dokument pod pachą, szybko znalazł się przy Niemcu i wyciągnął papierosa z jego paczki.

- Proszę pokwitować odbiór jeńca - powiedział, wkładając papierosa do ust. Esesman spojrział na niego z wyraźną niechęcią i wyższością. Szybko podpisał dokument i lekko popchnął Michała w stronę samochodu, który wjechał na podwórze. Okna były zasłonięte czarnymi firankami.

Wydawało się, że Walter Schellenberg czekał na Michała. So-snowicza dowieziono do dużego miasta i wydawało mu się, że to Lublin, ale nie był tego pewien, gdyż nigdy nie odwiedził tego miasta. Samochód wjechał na zamknięte podwórze eleganckiego hotelu i tam wprowadzono go do wnętrza kuchennymi schodami.

Schellenberg wstał z kanapy pod oknem.

Przyglądał się przez chwilę wynędzialemu człowiekowi, którego esesman wprowadził do niewielkiego przedpokoju.

- Nie mogę wyjawić mojego nazwiska, co pan, kolega ze służby, powinien zrozumieć. - Podeszedł bliżej, nie zważając na wrogi grymas, jaki pojawił się na twarzy Michała, gdy powiedział „kolega ze służby”. - Widzę, że jest pan w strasznym stanie, dlatego nie chcę teraz rozmawiać. Byłoby to wręcz bezcelowe.

Spojrział na esesmana stojącego dwa kroki za Michałem.

- Pójdzie pan teraz do pokoju, który zajęliśmy dla pana. Niestety w oknie są kraty, gdyż jeszcze nie jest pan wolny. Proszę się odświeżyć. Za godzinę... - przyjrzał się uważnie Michałowi. - Czy to wystarczy na doprowadzenie się do ładu?

Michał skinął głową, wciąż zaszokowany szybkością zmian następujących w jego życiu.

Dwadzieścia cztery godziny temu leżał na podłodze w ciemnej komórce i chleptał barszcz z miski, a teraz stał w przedsiönku eleganckiego apartamentu przed pachnącym

236

oficerem, który proponował mu, żeby się odświeżyć. Cała ta sytuacja zaczynała go wciągać, jak poszukiwacza skarbów, który stawał przed ścianą i gotów był zrobić wszystko, aby się dowiedzieć, co jest dalej.

- Więc za godzinę zapraszam pana na kolację. Tutejsza restauracja jest wyśmienita.

Michał odwrócił się, zmiierzając do wyjścia. Nie miał pojęcia, kim jest elegancki oficer i dlaczego wyciągnięto go z rąk Rosjan. Podejrzewał, że Niemcy będą chcieli zaproponować mu współpracę, choć nie wydawało mu się to prawdopodobne. Jaką mógł mieć dla nich wartość? Polacy osądzili go. Zbyt wielu uważało go za zdrajcę, aby mógł ponownie pojawić się w tym środowisku. Miał jednak naturę hazardzisty i nic tak bardzo nie męczyło go jak układna bezczynność. Gdy wieziono go do obozu jenieckiego, nie obawiał się głodu, razów od wartowników, lecz bezczynnych dni. Dlatego już od momentu schwytania, gdy zorientował się, że Rosjanie nie rozstrzelają go, lecz odeślą do obozu, aby tam przesłuchiwać, zastanawiał się nad sposobem ucieczki. Nawet jeżeli okazałoby się, że obóz leży w tajdze na Syberii.

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił do Schellenberga.

- Odnoszę wrażenie, że choć ja pana nie znam, to pan zna mnie dobrze. Mylę się?

- Nie.

- To jak mnie pan znalazł?

- O, to żadna tajemnica. - Schellenberg wzruszył ramionami. - W Warszawie przejęliśmy akta wywiadu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Tak, urzędaszy bardziej dbały o swoje walizki niż życie innych ludzi i nie chcieli tracić czasu na zniszczenie dokumentów.
- Zgadza się. Odnotowano pana wyrok i informację, że został pan ewakuowany na wschód. Założyłem, że dostał się pan do rosyjskiej niewoli, i zwróciłem się do naszych rosyjskich przyjaciół o wydanie pana.
- Łatwo poszło?
- Mieli jakieś plany związane z panem, ale dali się przekonać. Michał pokiwał głową i wyszedł na korytarz pilnowany bacznie przez esesmana, chociaż nie miałby sił, aby podjąć próbę ucieczki.

237

oficerem, który proponował mu, żeby się odświeżyć. Cała ta sytuacja zaczynała go wciągać, jak poszukiwacza skarbów, który stawał przed ścianą i gotów był zrobić wszystko, aby się dowiedzieć, co jest dalej.

- Więc za godzinę zapraszam pana na kolację. Tutejsza restauracja jest wyśmienita. Michał odwrócił się, zmiierzając do wyjścia. Nie miał pojęcia, kim jest elegancki oficer i dlaczego wyciągnięto go z rąk Rosjan. Podejrzał, że Niemcy będą chcieli zaproponować mu współpracę, choć nie wydawało mu się to prawdopodobne. Jaką mógł mieć dla nich wartość? Polacy osądzili go. Zbyt wielu uważało go za zdrajcę, aby mógł ponownie pojawić się w tym środowisku. Miał jednak naturę hazardzisty i nie tak bardzo nie męczyło go jak układna bezczynność. Gdy wieziono go do obozu jenieckiego, nie obawiał się głodu, razów od wartowników, lecz bezczynnych dni. Dlatego już od momentu schwytania, gdy zorientował się, że Rosjanie nie rozstrzelają go, lecz odeślą do obozu, aby tam przesłuchiwać, zastanawiał się nad sposobem ucieczki. Nawet jeżeli okazałoby się, że obóz leży w tajdze na Syberii.

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił do Schellenberga.

- Odnoszę wrażenie, że choć ja pana nie znam, to pan zna mnie dobrze. Mylę się?
- Nie.
- To jak mnie pan znalazł?
- O, to żadna tajemnica. - Schellenberg wzruszył ramionami. - W Warszawie przejęliśmy akta wywiadu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych.
- Tak, urzędaszy bardziej dbały o swoje walizki niż życie innych ludzi i nie chcieli tracić czasu na zniszczenie dokumentów.
- Zgadza się. Odnotowano pana wyrok i informację, że został pan ewakuowany na wschód. Założyłem, że dostał się pan do rosyjskiej niewoli, i zwróciłem się do naszych rosyjskich przyjaciół o wydanie pana.
- Łatwo poszło?
- Mieli jakieś plany związane z panem, ale dali się przekonać. Michał pokiwał głową i wyszedł na korytarz pilnowany bacznie przez esesmana, chociaż nie miałby sił, aby podjąć próbę ucieczki.

237

Kolację podano do niewielkiego pokoju o oknach zasłoniętych grubymi kotarami.

Usiadł przy okrągłym stole naprzeciw Schellenberga, który odczekał, aż kelner poda im aperitif.

- Zdrowie - podniósł kieliszek campari.
 - Proszę mi wybaczyć, że nie będę pił. - Michał odsunął swój kieliszek. - Jestem wycieńczony i nawet niewielka ilość trunku za-bełta moje myśli, a przecież nie o to panu chodzi.
 - Istotnie, ale proszę nie mówić, że z tego samego powodu nie będzie pan jadł...
- Skinął na kelnera, który rozłożył karty i podał im.
- To polska kuchnia, co więc pan proponuje?

- Na przystawkę tatar, to surowe mięso wołowe, następnie kołduny i na drugie danie kotlet schabowy - odpowiedział Michał, nie patrząc w kartę.

Schellenberg spojrzawszy pytająco na kelnera. Ten przytaknął, że wszystkie potrawy są w kuchni, i zniknął za drzwiami.

- To ja przesądziłem o pana losie - niespodziewanie powiedział Schellenberg.

- Jest pan Bogiem, który strącił mnie z piedestału próżności na dno upodlenia.

- Ładne, ale jestem tylko szefem kontrwywiadu. A zaatakowałem, gdyż dotarł pan niebezpiecznie blisko najtajniejszego projektu.

- Trzeba było mnie zabić... Schellenberg pokręcił głową.

- Rozważałem to, ale uznałem, że przekazał pan wiadomości do centrali i pana śmierć stanowiłaby potwierdzenie ich prawdziwości. Musiałem pana skompromitować.

- Udało się to panu, ale nie mam urazy.

- No właśnie. Jesteśmy jak bokserzy, którzy po zakończonej walce podają sobie ręce. Pan przegrał.

- A ile rund ma ta walka?

Schellenberg spojrzawszy na otwierające się drzwi. Najwyraźniej nie chciał prowadzić rozmowy w obecności kelnera. Odczekał, aż ten postawi przed nimi talerz z tatar, i zainteresowany patrzył na to, co robi Michał mieszający składniki położone obok mięsa.

238

Tylko dzięki temu, że w czasie drogi do Lublina eskortujący go esesman dał mu kawał kiełbasy, zachował umiar i nie rzucił się na surowe mięso.

- Nieważne - Schellenberg odpowiedział na pytanie o liczbę rund. - Zaczynamy nowy mecz. Tym razem w jednej drużynie.

- Pan kpi. - Michał nie przestawał mieszać tatar. - Nie zgodzę się na współpracę z wami i nigdy nie będę w pana drużynie! Nigdy!

Schellenberg podniósł do ust niewielką porcję tatar, którego spróbował z wyraźną rezerwą, ale uznał, że jest to bardzo dobra potrawa.

Michał odłożył sztucce.

- Pan o tym wie. Wie pan, że takich ludzi jak ja nie można złamać ani zastraszyć. Najwyżej oszukać. Zastanawia mnie, co ma pan mi do zaproponowania?

- Powiedzmy pewne zadośćuczynienie za krzywdy, jakie spotkały pana z naszej strony.

- To ciekawe...

Michał zastanawiał się gorączkowo, jaką taktykę przyjąć w rozmowie z tym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę, że nie może ufać żadnemu jego słowu, ale przyjęcie jakiegokolwiek metody postępowania było niemożliwe, gdyż nie miał pojęcia, do czego zmierza esesman. Uznał, że najlepiej będzie, jeżeli zgodzi się na jego propozycje, aby zyskać czas na rozważenie sytuacji.

Sięgnął znowu po sztucce, uznając, że odmowa zjedzenia pożywnej kolacji byłaby z jego strony nierozsądna. Bez względu na to, co go czekało, musiał nabrać sił. Jadł szybko.

- Otrzyma pan dokumenty, oryginalne dokumenty na nazwisko, które pan sobie wybierze, i zostanie pan przerzucony do Anglii...

- Nie! - Michał przerwał mu.

Wszelkie próby zyskania na czasie przysły, gdy nagle zorientował się, że esesman chce go zwerbować i wykorzystać jako niemieckiego szpiega. Ten uniósł dłoń, jakby w geście nakazującym wysłuchanie go do końca.

- Nie mam zamiaru proponować panu współpracy, ani tym bardziej zmuszać pana, aby został naszym agentem. Niech więc pan słuca w spokoju, zanim podejmie decyzję.

239

Michał wpatrywał się w niego, starając się przewidzieć słowa, które padną, ale nie miał pojęcia, o co może chodzić Schellenbergowi.

- Zostanie pan przerzucony do Anglii - podjął Schellenberg -z jednym zadaniem: nie dać się zabić i dotrwać do końca wojny. Nie żądam chyba za dużo?

Michał uśmiechnął się i nie odpowiedział.

- To pierwsza prośba. Druga jest równie prosta. I uczciwa -dodał szybko. - W odpowiednim momencie zgłosi się do pana kobieta, piękna Chinka, pani Kou.

Schellenberg znowu podniósł dłoń, jakby przewidując, że Michał może zacząć protestować.

- Poda hasło, jakie sobie ustalimy...

- Wciąż chce mnie pan przekonać, że pana chęć zadośćuczynienia nie ma nic wspólnego ze szpiegowską robotą?

- ...następnie przekaże panu nazwę banku w Londynie, kluczyki i numer skrytki. -

Schellenberg nie zwracał uwagi na protesty Michała. - Znajdzie pan w niej dokumenty.

Proszę, aby dostarczył je pan do redakcji „Timesa”. Pani Kou, której może pan zaufać, pomoże panu.

- Na razie słyszę o przysłudze, jaką mam oddać panu, a gdzie to zadośćuczynienie?

- Za dokumenty, które dostarczy pan do „Timesa”, może pan zażądać kilku milionów funtów. Zapewniam, że redakcja bogatego dziennika zapłaci. Tylko, muszę pana ostrzec, może to być niebezpieczna misja.

- Dlaczego powiedział pan, że ta pani Kou przekaże mi kluczyki? Na razie słyszę o jednej skrytce.

- W drugiej skrytce będą dokumenty potwierdzające pana niewinność. Sam pan będzie wiedział, co z nimi zrobić, choć na pana miejscu zastanowiłbym się, czy nie ukryć ich głęboko i reszty życia nie spędzić w jakimś pięknym kraju.

- Wobec tego, jeszcze jedno pytanie: dlaczego wybrał pan mnie? Tę misję może wykonać każda inna osoba.

- Nie. Pan jest najlepszym kandydatem, ale powodów tej opinii nie mogę teraz ujawnić. Gdy dokumenty ze skrytki numer jeden zostaną opublikowane, zrozumie pan to.

240

Michał zdjął serwetkę z kolan i wstał, co wywołało zdziwienie na twarzy Schellenberga.

- Pan odrzuca tę propozycję?

- Odrzucam.

- To dla pana oznacza śmierć.

- Wiem.

- Proszę mi to wytłumaczyć. - Schellenberg też wstał i patrzył Michałowi prosto w oczy. - Nie potrafię zrozumieć pana decyzji!

- Nie mam zamiaru współdziałać z nazistami, a podejmując się misji, którą pan dla mnie wyznaczył, tak będzie. Przez samo odebranie od was fałszywych dokumentów i zgodę na przerzucenie do Anglii staję się zdrajcą!

- Nie każdy, kto wchodzi do kościoła, staje się księdzem.

- Ale każdy jest wierzący. Niech pan wezwie straż! Schellenberg podszedł do drzwi i otworzył je. W tej samej chwili

na progu stanął esesman, który na korytarzu czekał na sygnał. Michał ruszył w stronę wyjścia.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Schellenberg. - Czy zastanowił się pan, że dałem panu szansę oczyszczenia się z zarzutu zdrady?!

- Nie dbam o to!

- Wobec tego zniszczę dokumenty, które mógłby pan wykorzystać do odzyskania dobrego imienia...

Michał skinął głową, jakby wyrażając zgodę na najgorszy los, jaki miał go spotkać.

Esesman wziął go za ramię i popchnął w stronę drzwi.

Schellenberg wrócił do stolika i odsunął talerz. Plan, który wydawał mu się znakomity, nagle zawalił się, gdyż nie uwzględnił, że Polak może być tak dumny i odrzucić propozycję

powrotu do normalnego życia. Zaczął analizować, gdzie popełnił błąd, ale nie znajdował żadnego słowa, które mogłoby kazać Michałowi zachować się w taki sposób. Kelner wsunął głowę przez drzwi, sprawdzając, czy może wejść. Schellenberg wskazał na pusty kieliszek, gestem nakazując, aby napełnił go wódką.

241

2. Spotkanie w Londynie

- King's Cross Station! - Na okrzyk konduktora informujący, że autobus zatrzyma się za chwilę przy londyńskim dworcu, Urszula zwinęła gazetę i wsunęła ją do torebki.

Autobus skręcał i powoli podjeżdżał do przystanku przed wejściem do dworca.

Podniosła się z twardego fotelika i stanęła za mężczyzną w kapeluszu, podobnie jak i ona oczekującym, aż staruszka zejdzie po stromych schodach prowadzących z platformy piętrowego autobusu.

Kobieta najwidoczniej miała chorą nogę, gdyż zatrzymywała się na każdym stopniu, narażając się na niezyczliwe spojrzenie konduktora, który jakby chciał powiedzieć, że nie musiała wspinać się na piętro autobusu. Urszula rozumiała ją. Zapewne ta kobieta chciała przyjrzeć się zniszczeniom, jakich w czasie ostatniego nalotu dokonały niemieckie bombowce. Od końca sierpnia 1940 roku uderzały na dzielnice mieszkaniowe Londynu. Nawet gmach parlamentu i Westminster Abbey znalazły się w niebezpieczeństwie. Ostatnia noc była spokojna, a mimo to w całym śródmieściu unosił się stęchły zapach spalenizny, jaki pozostawiły płonące szmaty i drewniane konstrukcje angielskich domów przepojone wilgocią niedogranych mieszkań.

Staruszka znowu zeszła o stopień. Urszula spojrzała na przystanek, z którego odjeżdżał autobus, do jakiego zamierzała się przesiąść. Nie zmartwiło jej to. Na King's Cross mogła zejść do stacji metra, aby dojechać do Buckingham Place w centrum Londynu, do hotelu „Rubens”, gdzie założył swoją siedzibę polski rząd oraz wywiad, mający biura na piątym piętrze. Mówiło się, że była to decyzja szefa wywiadu pułkownika Stanisława Gano, który chciał być jak najdalej od rządowych piętrowych obleganych przez oficerów spragnionych awansu i średniej rangi polityków.

Jesienna mgła, która rozciągała się nad miastem, a której Londyn zawdzięczał spokój tej nocy, gdyż z jej powodu niemieckie samoloty nie wystartowały, podnosiła się, a dzień zapowiadał się ciepły i przyjemny.

Staruszka była już prawie na dole schodów. Wtedy właśnie Urszula dostrzegła żołnierza z workiem przerzuconym przez ramię.

242

2. Spotkanie w Londynie

- King's Cross Station! - Na okrzyk konduktora informujący, że autobus zatrzyma się za chwilę przy londyńskim dworcu, Urszula zwinęła gazetę i wsunęła ją do torebki.

Autobus skręcał i powoli podjeżdżał do przystanku przed wejściem do dworca.

Podniosła się z twardego fotelika i stanęła za mężczyzną w kapeluszu, podobnie jak i ona oczekującym, aż staruszka zejdzie po stromych schodach prowadzących z platformy piętrowego autobusu.

Kobieta najwidoczniej miała chorą nogę, gdyż zatrzymywała się na każdym stopniu, narażając się na niezyczliwe spojrzenie konduktora, który jakby chciał powiedzieć, że nie musiała wspinać się na piętro autobusu. Urszula rozumiała ją. Zapewne ta kobieta chciała przyjrzeć się zniszczeniom, jakich w czasie ostatniego nalotu dokonały niemieckie bombowce. Od końca sierpnia 1940 roku uderzały na dzielnice mieszkaniowe Londynu.

Nawet gmach parlamentu i Westminster Abbey znalazły się w niebezpieczeństwie. Ostatnia noc była spokojna, a mimo to w całym śródmieściu unosił się stęchły zapach spalenizny, jaki

pozostawiły płonące szmaty i drewniane konstrukcje angielskich domów przepojone wilgocią niedogranych mieszkań.

Staruszka znowu zesła o stopień. Urszula spojrzała na przystanek, z którego odjeżdżał autobus, do jakiego zamierzała się przesiąść. Nie zmartwiło jej to. Na King's Cross mogła zejść do stacji metra, aby dojechać do Buckingham Place w centrum Londynu, do hotelu „Rubens”, gdzie założył swoją siedzibę polski rząd oraz wywiad, mający biura na piątym piętrze. Mówiło się, że była to decyzja szefa wywiadu pułkownika Stanisława Gano, który chciał być jak najdalej od rządowych pięter obleganych przez oficerów spragnionych awansu i średniej rangi polityków.

Jesienna mgła, która rozciągała się nad miastem, a której Londyn zawdzięczał spokój tej nocy, gdyż z jej powodu niemieckie samoloty nie wystartowały, podnosiła się, a dzień zapowiadał się ciepły i przyjemny.

Staruszka była już prawie na dole schodów. Wtedy właśnie Urszula dostrzegła żołnierza z workiem przerzuconym przez ramię.

242

Widziała go z góry. Daszek czapki zasłaniał twarz, ale sylwetka wydała jej się znajoma.

Stał przy krawężniku na Euston Road, jakby wypatrywał taksówki lub autobusu.

Michał? - Urszula cofnęła się do okna, aby lepiej widzieć mężczyznę, który tak ją zainteresował. Usłyszała dzwonek oznajmiający, że autobus za chwilę ruszy. Nie zważała na to. Przywarła do okna, wpatrując się w mężczyznę, którego twarzy wciąż nie mogła dostrzec. Odsunęła górną szybę.

- Michał! - krzyknęła. - Michał!

Nie wiedziała, czy usłyszał jej głos, ale odwrócił głowę w stronę autobusu. Widziała jego twarz przez chwilę, ale nie była w stanie określić, czy to on. Sylwetka, szczupła i wysoka, choć nieco bardziej zgarbiona od tej, którą zapamiętała, oraz rysy twarzy, choć bardziej wyostrome, były podobne. Nie przysięgłaby jednak, że to Michał.

Autobus, torując sobie drogę wśród taksówek skręcających do dworca, odjechał od krawężnika i włączył się do ruchu. Mężczyzna zostawał z tyłu, a Urszula z każdą sekundą nabierała pewności, że to Michał Sosnowitz, choć wydawał się bardzo zmieniony.

Zbiegła na dół i nie zważając na protesty konduktora, wyskoczyła na jezdnię. Usłyszała pisk hamującego samochodu, ale nie zwracała na to uwagi. Odwróciła się w stronę Michała i nagle poczuła, że ktoś złapał ją za rękę.

- Spokojnie. - Policjant trzymał ją mocno.

- Niech pan mnie puści, do cholery! - Usiłowała się wyrwać, ale policjant nic sobie z tego nie robił.

- Spokojnie - powtórzył i ujął ją pod ramię - bo będę musiał ukarać panią za zakłócanie porządku.

Widziała, jak Michał wskakuje do przejeżdżającego autobusu i po chwili znika w jego wnętrzu.

- Nie wybaczę panu tego! - Odwróciła się do policjanta. - Wie pan, kto to był?

Policjant uśmiechnął się. Wyjął z górnej kieszeni munduru bloczek mandatów.

- Obawiam się, że nie wiem. Wiem natomiast, że zapłaci pani mandat w wysokości pięciu funtów.

243

- Cholerni Angole - powiedziała Urszula po polsku.

- A to, co innego. - Policjant schował notes do kieszeni.

- O co chodzi? - Urszula patrzyła na niego zaskoczona.

- Moja matka była Polką. Mówię po polsku. - Rzeczywiście mówił płynnie, choć z wyraźnym angielskim akcentem. - Do widzenia pani, a co do „Angoli”, to zgadzam się z panią.

Zasalutował i odszedł.

Nie zwracała już na niego uwagi, gorączkowo zastanawiając się, czy biec za autobusem, którym odjechał Michał, ale szybko odrzuciła tę myśl. Autobus był już za daleko, aby mogła dogonić go pieszo.

Wybiegła na jezdnię i zaczęła dawać gorączkowe znaki nadjeżdżającym samochodom. Żaden się nie zatrzymał, a natarczywe dźwięki klaksonów zmusiły ją do cofnięcia się na chodnik.

Nie spostrzegła nawet, jak obok niej znalazł się policjant, ten sam, który podzielał jej niechęć wobec „Angoli”. Podniósł rękę i zatrzymał nadjeżdżający samochód.

- Proszę pomóc tej pani. To sprawa służbowa. I niech pan przyśle rachunek za benzynę na posterunek, na mój numer służbowy 1755.

Kierowca patrzył niechętnie na Urszulę, ale w obecności policjanta nie śmiał protestować.

- Niech pani wsiada - mruknął.

- Nie tacy „cholerni” - powiedział policjant, zamykając za nią drzwi.

Uśmiechnęła się do niego przez szybę. Szansa dogonienia Michała wydawała jej się bardzo realna.

- Proszę pana, niech pan skreśli w tę ulicę. - Nie знаła jej nazwy. - Tam skreślił autobus, który muszę dogonić.

Kierowca skinął głową.

- Kochaś? - uśmiechnął się szyderczo.

Że też musiałam trafić na takiego bęcwała - pomyślała Urszula.

- Nie, szpieg! Jak ucieknie, to Zjednoczone Królestwo ucierpi! Kierowca spojrzał na nią zaskoczony.

- Zagroza królowi, więc nie gadaj, tylko dodaj gazu!

- Tak, proszę pani - odparł potulnie kierowca, do którego dotarła skala zagrożenia dla Zjednoczonego Królestwa.

244

Przysunęła się do szyby, gdyż wydawało jej się, że w ten sposób lepiej dostrzeże autobus Michała. Przejechali kilkaset metrów i skreśli w szeroką Eversholt Street.

Trzy autobusy jechały w stronę, w którą mógł odjechać Michał. Kierowca zwolnił, zdezorientowany.

- Który z nich? - zapytał.

- Niech pan się zatrzyma na przystanku. - Sięgnęła po klamkę drzwi i ledwo samochód stanął, rzuciła szybkie „dziękuję” i wysiadła.

Zrozumiała już, że straciła zbyt dużo czasu, aby odnaleźć Michała. Jedyne, co mogła zrobić, to zorientować się, jakie autobusy jeżdżą tą ulicą. Nie bardzo wiedziała, jak taka wiedza pomoże w dalszych poszukiwaniach, ale był to jedyny ślad.

Wsunęła do torebki notes, w którym zanotowała numery dwóch linii autobusowych, i spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że jej spóźnienie do pracy wzrosło do godziny. Na jej szczęście autobus Michała jechał w stronę Buckingham Place, gdzie stał majestatyczny hotel „Rubens”. Przeszła kilkadziesiąt metrów i dojrzała wielki dom z czerwonej cegły, z oknami obramowanymi piaskowcem. Na dole zaklejone były paskami papieru i do połowy wysokości obłożone workami z piaskiem.

Żołnierz przy wejściu, w płaskim brytyjskim hełmie, choć z wyraźnie widocznym białym orzełkiem, zasalutował, poznając ją z daleka.

Przeszła przez wielki hol wyłożony błyszczącym marmurem, gdzie kręcił się tłum wojskowych i cywilów. Pokazała przepustkę wartownikowi i wsiadła do windy z kryształowymi lustrami, która właśnie zjechała na parter.

Pułkownik Kodar podniósł głowę, słysząc otwierające się drzwi do jego gabinetu.

- Bałem się, że coś złego cię spotkało - powiedział, widząc Urszulę. - To twoje pierwsze spóźnienie.

Usiadła na krześle przy jego biurku.

- Widziałam Michała Sosnowitza - oznajmiła zrezygnowana. Kodar powoli wstał z krzesła.
- Jesteś pewna? - zapytał, najwyraźniej nie wierząc w jej rewelację.

245

Przysunęła się do szyby, gdyż wydawało jej się, że w ten sposób lepiej dostrzeże autobus Michała. Przejechali kilkaset metrów i skręcili w szeroką Eversholt Street.

Trzy autobusy jechały w stronę, w którą mógł odjechać Michał. Kierowca zwolnił, zdezorientowany.

- Który z nich? - zapytał.
- Niech pan się zatrzyma na przystanku. - Sięgnęła po klamkę drzwi i ledwo samochód stanął, rzuciła szybkie „dziękuję” i wysiadła.

Zrozumiała już, że straciła zbyt dużo czasu, aby odnaleźć Michała. Jedyne, co mogła zrobić, to zorientować się, jakie autobusy jeżdżą tą ulicą. Nie bardzo wiedziała, jak taka wiedza pomoże w dalszych poszukiwaniach, ale był to jedyny ślad.

Wsunęła do torebki notes, w którym zanotowała numery dwóch linii autobusowych, i spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że jej spóźnienie do pracy wzrosło do godziny. Na jej szczęście autobus Michała jechał w stronę Buckingham Place, gdzie stał majestatyczny hotel „Rubens”. Przeszła kilkadziesiąt metrów i dojrzała wielki dom z czerwonej cegły, z oknami obramowanymi piaskowcem. Na dole zaklejone były paskami papieru i do połowy wysokości obłożone workami z piaskiem.

Żołnierz przy wejściu, w płaskim brytyjskim hełmie, choć z wyraźnie widocznym białym orzełkiem, zaszalutował, poznając ją z daleka.

Przeszła przez wielki hol wyłożony błyszczącym marmurem, gdzie kręcił się tłum wojskowych i cywilów. Pokazała przepustkę wartownikowi i wsiadła do windy z kryształowymi lustrami, która właśnie zjechała na parter.

Pułkownik Kodar podniósł głowę, słysząc otwierające się drzwi do jego gabinetu.

- Bałem się, że coś złego cię spotkało - powiedział, widząc Urszulę. - To twoje pierwsze spóźnienie.

Usiadła na krześle przy jego biurku.

- Widziałam Michała Sosnowitza - oznajmiła zrezygnowana. Kodar powoli wstał z krzesła.
- Jesteś pewna? - zapytał, najwyraźniej nie wierząc w jej rewelację.

245

Skinęła głową.

- Stał na przystanku przy King's Cross. Nie zdążyłam go dogonić. Wskoczył do autobusu. Był w mundurze.

- Jakim?
- No, piechoty...
- Dobrze, że nie kawalerii - mruknął Kodar i po chwili dodał: - To absolutnie niemożliwe!
- Skąd wiesz?
- Michał Sosnowitz został ewakuowany z więzienia w Warszawie. Udało mu się wydostać z karetki po ataku niemieckich samolotów. Trafił w ręce Sowietów...
- Skąd to wiesz? - przerwała mu Urszula.
- Widziano go w więzieniu na Łubiance. Miał być wywieziony do obozu jenieckiego.

Stamtąd się nie wychodzi.

- Pół godziny temu widziałam go w odległości niespełna kilometra stąd! Jestem tego tak pewna, jak tego, że ty tu jesteś!

Kodar przyglądał jej się chwilę w milczeniu. Podeszedł blisko i parząc jej prosto w oczy, rzekł:

- Powinienem cię wycofać ze służby. Tak jak kiedyś...
- A to czemu?!

Nie była zdziwiona, lecz zaczepna, gotowa do kłótni.

- Zakochana kobieta traci zdrową ocenę sytuacji. A w naszym fachu może to oznaczać nie tylko śmierć, ale i zgubę dla innych, którzy tobie zaufali.

Powiedział to z takim spokojem i siłą, że Urszula nie odezwała się. Usiadła na krześle i pochyliła głowę.

- Jeżeli rzeczywiście był to on - Kodar mówił tym samym tonem - to tym gorzej dla niego. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że Sowietci go wypuścili. A powód może być jeden: zwerbowali go.

- Chcesz powiedzieć, że podsunęli nam... - Ponownie podniosła głos, jakby sygnalizując, że gotowa jest bronić Michała.

- Powiedziałem tylko, że to prawdopodobne.

- Bez względu na to, co o nim sądzisz, powinniśmy go odnaleźć!

- Jak? Wiemy tylko, że miał na sobie mundur żołnierza wojsk lądowych. Pamiętasz chociaż, w jakim stopniu?

246

Pokręciła głową.

- Nie sądzę również, aby pozostał przy swoim nazwisku. Kodar wrócił za biurko, jakby dając znać, że wszystko to, o czym rozmawiali do tego momentu, było prywatną wymianą zdań.

- Nie myśl, że zlekceważę informację od ciebie. Będę go szukał - wypowiedział te słowa tak, że nie miała wątpliwości: nie należy powracać do tematu Michała. - A teraz do pracy.

Sięgnął po dokumenty leżące na biurku.

- We Francji działa organizacja wywiadowcza „Interallie”. Dowodzi ją niejaki „Armand”, Polak. Na początku, jeszcze w 1940 roku, skontaktował się z naszą placówką w Marsylii. Teraz przejęli go Anglicy. Nie podoba mi się to. Chcę mieć wszystkie informacje na jego temat.

Urszula wstała z krzesła i podeszła do drzwi. Jej pokój znajdował się w dalszej części niskiego korytarza.

- Dzisiaj! - dodał Kodar, zanim zamknęła drzwi.

Myśl o odnalezieniu Michała nie dawała jej spokoju przez resztę dnia. Poszukiwała możliwości odzyskania go, ale żadna nie wydawała jej się realna. Kodar miał rację. Michał zapewne nie wrócił do swojego nazwiska. Nie zwróciła uwagi na jego stopień, choć odnosiła wrażenie, że był w mundurze oficerskim. Tylko wrażenie. Jak odszukać oficera o nieznanym nazwisku wśród tysięcy w polskim wojsku?

Szybko odszukała raport z Marsylii o osiągnięciach siatki „Armanda”. Poszła do archiwum, gdzie przejrzała wszystkie raporty o działalności tej siatki, informacje z MI-6 o planowanym spotkaniu z przywódcą „Interallie”.

Widziała Michała przed dworcem King's Cross. Mógł tam być przypadkiem, przechodząc z innej ulicy, mógł przyjechać metrem i wysiąść na tamtejszej stacji. Ale mógł też przyjechać do Londynu pociągiem.

Jakby bezwiednie sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Proszę mnie połączyć z informacją na dworcu King's Cross - powiedziała po chwili, słysząc głos operatora.

Pan z informacji o miłym głosie, w którym czuło się chęć udzielenia pomocy, zgłosił się po kilkunastu sekundach.

- Niech mi pan powie, z jakiego kierunku przyjeżdżają pociągi na King's Cross.

247

- Północno-wschodnia Brytania. Edynburg, Newcastle... - wyliczał miasta tonem, w którym nie było cienia znudzenia.

Widziała Michała tuż przed dziewiątą. Mogło to oznaczać, że wysiadł z pociągu, który przyjechał o ósmej czterdzieści pięć.

- A skąd przyjechały pociągi między ósmą trzydzieści a ósmą pięćdziesiąt?
Przez chwilę słychać było szelest kartek. Informator przeglądał tabele, aż wreszcie odezwał się:

- Z Cambridge, Yorku, Durham, Newcastle, Edynburga -wszystkie w czasie, o który pani pyta.

- Dziękuję, jest pan bardzo miły.

To był ślad, którym mogła podążać. Uznała, że Michał jako oficer został oddelegowany w jakiś sprawach do Londynu.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do mapy Wielkiej Brytanii wiszącej na ścianie.

W pobliżu Cambridge jest duże lotnisko, ale nie przeoczyłabym, gdyby miał na sobie mundur lotnika. To odpada. - Jechała palcem po mapie wyszukując miejscowości, z których przyjechały pociągi. Dotychczas nie interesowała się, gdzie stacjonują polskie jednostki. Słyszała o Szkocji, a więc zgadzałoby się, że mógł stamtąd przyjechać do Londynu.

Wystarczyło teraz rozesłać do wszystkich tamtejszych oddziałów pytanie, kogo oddelegowali do Londynu osiemnastego września 1941 roku. Nawet jeżeli okazałoby się, że stu oficerów przyjechało tego dnia w służbowych delegacjach, to sprawdzenie ich zajęłoby najwyżej kilka dni.

Ta myśl ucieszyła ją. Zabrała papiery z biurka, włożyła do teczki i dokładnie zawiązała tasiemki. Wiedziała, że Kodar przywiązuje szczególną wagę do zachowania idealnego porządku w dokumentach, i bez wątpienia miał rację. Zgubienie jednej kartki mogło oznaczać, że w ręce wroga dostanie się ważna informacja.

Przeszła szybko długim korytarzem i zapukała do drzwi Kodara. Uchyliła je. Przy biurku siedział jakiś oficer, a Kodar nie podnosząc głowy, dał jej znać ręką, że jest zajęty. Cofnęła się i oparła plecami o ścianę. Zdecydowana była stać tak, aż doczeka się spotkania z szefem, któremu chciała przekazać swoje odkrycia.

Nowa myśl przyszła niespodziewanie. Podejrzanie zmroziło ją. Pamiętała z poprzedniej rozmowy, że Kodar bardzo sceptycz-

248

nie przyjmował możliwości odnalezienia Michała. Nie ucieszył się, słysząc, że widziała go, a więc, że przeżył i jest gdzieś w pobliżu. Mówił co prawda o poszukiwaniach, ale nie wyczuła w jego słowach ciepła ani entuzjazmu, jakich można się było spodziewać na wieść o odnalezieniu zagubionego towarzysza broni. Czyżby nie lubił Michała? A może jest o niego zazdrosny?

Wróciły obrazy sprzed lat, gdy spotkała się z Kodarem we Wrocławiu, aby przekazać materiały od Michała. Ostrzegał ją przed nim! Słyszała, że Michał został skazany za zdradę. Była przekonana, wierzyła z całych sił, że był niewinny, a Kodar nie zrobił niczego, aby go obronić! Czyżby to on przyczynił się do wydania wyroku skazującego? Był bezpośrednim przełożonym Michała, a więc musiał znać oskarżenia i podstawy, na jakich je oparto. Czyżby to on dostarczył dowody?

Drzwi do gabinetu Kodara otworzyły się i wyszedł stamtąd angielski oficer, który na widok Urszuli uśmiechnął się. Chciał coś powiedzieć, ale ona nie była w nastroju do flirtowania.

Minęła go

I szybko weszła do gabinetu.

- Przyniosłam papiery „Armanda”. - Położyła teczkę na stole. Zauważyła, że Kodar uśmiechnął się, widząc uporządkowane papiery.

- Coś jeszcze? - Spojrzał na nią jakby zachęcając do wyjawienia myśli. Zawahała się na moment. Wyczuł to. Wstał zza biurka.

- Urszula, czy ty coś przede mną ukrywasz?

Mówił to w sposób, w jaki ojciec zwraca się do córki, która nie jest pewna, czy powinna wyjawić, że po raz pierwszy w życiu się zakochała. Czuła jednak fałsz w jego głosie.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się, starając się, żeby wypadło to najbardziej naturalnie. Chyba uwierzył.

- Raporty z Marsylii są w archiwum w Szkocji - powiedziała nagle, aby zmienić temat rozmowy.
- Sikorski chce odznaczyć tego „Armanda”. I to Virtuti Militari!
- Ryzykowne, jeżeli okaże się, że ten „Armand” ma coś na sumieniu, o czym nie wiemy.
- Tak, chcę mieć wszystkie dokumenty z nim związane. I to szybko!
- Zabieram się do pracy - oznajmiła bezbarwnie, co mógł złożyć na karb jej niechęci do pracy biurowej.

249

Wyszła z pokoju zadowolona, że nie wyjawiała Kodarowi swoich rozterek. Miała już chyba plan działania. Zejdzie do sztabu i poprosi o wykaz wszystkich polskich jednostek stacjonujących w Szkocji. Lubią tam ją, więc jakiś oficer zbierze wszystkie dane, licząc, że umówi się z nim na kolację. Potem zacznie dzwonić do tych jednostek, pytając, kogo oddelegowali do Londynu osiemnastego września. Kodar jednak bardzo szybko ustali, że dzwoniła do wielu jednostek. Jak to wytłumaczy? Nie znajdowała żadnego dobrego wyjaśnienia, w które by uwierzył. Jeżeli będzie to robić z mieszkania, również łatwo to odkryje, sprawdzając jej rachunki telefoniczne. Nie posądzała go o to, że posunie się tak daleko, ale kierowana niejasnym przeczuciem postanowiła być ostrożna. Uznała, że wracając do domu i przesiadając się na King's Cross, tam, z budki telefonicznej, zacznie obdzwaniać jednostki w Szkocji i na północy Anglii. Aż nadejdzie dzień, w którym na tym dworcu wsiądzie do pociągu, aby spotkać Michała.

3. Schellenberg kontratakuję

Walter Schellenberg wstał z fotela w tylnej części kadłuba czte-rosilnikowego condora, przystosowanego do roli samolotu kurierskiego reichsführera SS. Nieprzyjemne wibracje i huk silników stały się dokuczliwe już w kilkadziesiąt minut po starcie z warszawskiego lotniska, a przed nimi było jeszcze wiele godzin lotu. Rozprostował ramiona i chwytając się oparcia foteli, niepewnym krokiem ruszył w stronę kabiny pilota, skąd mógł lepiej oglądać ziemię. Lecieli do Żytomierza na Ukrainie, dokąd wzywał go szef Heinrich Himmler.

- Aż wierzyć się nie chce, że nasze wojska zaszyły tak daleko - pilot Rudi Boetz zdjął słuchawki i przekrzykując huk silników i szum powietrza opływającego kabinę, zwrócił się w stronę wchodzącego Schellenberga.

Lecieli na wysokości dwóch, czasem trzech tysięcy metrów, z jakiej mogli dobrze widzieć ślady wojny.

- Przelatujemy dwieście osiemdziesiąt kilometrów w ciągu godziny, a oni posuwali się dwadzieścia-trzydzieści kilometrów na

250

dobę! - Boetz mówił o niemieckich wojskach. - Dopiero gdy się patrzy z tej wysokości, można zrozumieć, czego dokonali nasi żołnierze.

Ukraińska przestrzeń wydawała się niepojęta. Pola ciągnęły się po horyzont zaznaczony wypiętrzonymi chmurami, a ich niezwykły spokój nagle przechodził w straszny krajobraz wojny, która przetoczyła się przez tę ziemię i wciąż była dobrze widoczna. Nad rzekami widać było wioski, a właściwie ślady po nich, zaznaczone sterczącymi kominami, jedyną pozostałością chałup, i resztkami spalonych belek. Wielkie pasma pól pozostawały nagie, wypalone pożarem, który strawił zboże podpalane przez chłopów wypędzanych z domów przez oddziały NKWD. Można też było dostrzec miejsca bitew, gdzie pojawiały się cienkie

linie tranzei, okrągłe plamy piachu wyrzuconego wybuchami bomb i pocisków oraz spalone wraki czołgów i samochodów.

- Wszystkich powinni tu przywozić samolotami - mówił Boetz - a zwłaszcza tych, którzy wątpią w nasze zwycięstwo.

- Tak - mruknął Schellenberg, nie bacząc, że pilot nie mógł go słyszeć, i przysunął się bliżej okna. Nie miał zamiaru kontynuować rozmowy na temat niemieckich perspektyw. Dla niego wojna była przegrana. Stało się to w momencie, gdy w grudniu 1941 roku Wehrmacht został zatrzymany pod Moskwą i odrzucony o sto kilometrów na zachód. Rosjanie pokazali swoją siłę. Bici i gnani przez setki kilometrów potrafili zorganizować obronę i zadać potężne uderzenie. Pierwszy rok wojny z Rosją zakończył się dla Niemiec zdobyciem pustki. W sierpniu 1942 roku, gdy patrzył na tę ziemię z samolotu, najważniejsze ośrodki przemysłowe Moskwa, Leningrad i Stalingrad, wciąż się broniły. W Kijowie, Mińsku, Witebsku, Charkowie i dziesiątkach innych miast zdobyto opuszczone mury fabryk, z których maszyny wywieziono daleko na wschód. Rosjanie zachowali swoje gigantyczne złoża surowców, a dzięki sojuszowi ze Stanami Zjednoczonymi uzyskali dostęp do zachodniej technologii. Odzyskiwali siły, co pokazali na wiosnę tego roku, podejmując ofensywę na Charków. Była przedwczesna, źle przygotowana i dowodzona i zakończyła się ich niepowodzeniem. Stracili milion żołnierzy i tysiące czołgów. Cóż z tego? Już uzupełnili straty.

- Kiedy będziemy w Winnicy? - zwrócił się do Boetza.

251

- Za godzinę.

Skinął głową i wrócił do kabiny pasażerskiej. Usiadł na fotelu, którego metalowa rama wbijała mu się pod łopatkami, i odchylił głowę.

Ta podróż działała na niego przygnębiająco. Nigdy tak bardzo nie uzmysławiał sobie ogromu państwa, które Hitler chciał podbić w ciągu kilkunastu tygodni. I nigdy tak bardzo nie był przekonany o klęsce. Wszystkie rozmowy, jakie toczył z Himmlerem, były tylko spekulacjami. Rozgrywką, w której obydwaj starali się ustalić wynik, uzupełniając niewiadome podstawionymi wielkościami, jakie wydawały im się właściwe. Zawsze pozostawała myśl, że otrzymują błędny rezultat. Schellenberg zaczynał rozumieć, że źródło sukcesów leżało w naturze działań, które Wehrmachtowi nakazał Hitler. On był w istocie rzezimieszkiem, napadającym niespodziewanie, mordującym swoje ofiary, zanim ich otoczenie zorganizowało się do obrony. Wygrałby tę wojnę, gdyby kolejny niespodziewany atak, jaki podjął na Związek Radziecki, zakończył się po paru miesiącach. Tak się nie stało. Niemcy zostały zmuszone do prowadzenia wojny na wyczerpanie. I to na dwóch frontach. A tej wygrać nie mogły.

- Niech pan zapnie pasy! - Drugi pilot pojawił się w drzwiach kabiny. - Schodzimy do lądowania.

Kwatera Himmlera mieściła się w budynku byłej szkoły oficerskiej w Żytomierzu, odległym o pięćdziesiąt kilometrów od Winnicy, gdzie w drewnianych chatkach w środku lasu założył swoją kwaterę Adolf Hitler. Wydawało się, że reichsführer poddał się całkowicie wpływowi Fiihrera i przy każdej okazji manifestował ślepe przywiązanie i gotowość wykonania każdego rozkazu. Schellenberg obserwował tę przemianę ze zdziwieniem, aż dostrzegł, że jest to tylko zasłona dymna, za którą Himmler przygotowywał się do ataku. Taki sygnał otrzymał osiemnastego stycznia 1940 roku, gdy ze Sztokholmu agent V-758 nadesłał informację, że Carl Górdeler, doradca finansowy i broker Himmlera, obracający jego akcjami Boscha, spotkał się z doktorem Waltherem Jacobsenem, utrzymującym kontakty z wywiadem alianckim. Mogło to oznaczać, że przez niego Himmler stara się dogadać z Anglikami.

Jeszcze dziwniejsze

252

dla Schellenberga były kontakty Carla Langbehna, prawnego doradcy Himmlera, z opozycją antynazistowską.

A on, który tak wiele wiedział o kontaktach z Anglikami, pozostawał poza kręgiem ludzi zaufanych. Najwyraźniej Himmler znalazł innych pomocników na swojej drodze do stanowiska szefa państwa, które zamierzał objąć po usunięciu Hitlera. Schellenberg postanowił nie czekać ani dnia dłużej, lecz pod byle pretekstem udać się do Żytomierza i przeprowadzić otwartą rozmowę z reichsführerem. Oczywiście rozważał, czy nie lepiej dla niego byłoby pozostać w cieniu, nie przypominać Himmlerowi, jaką rolę odegrał w przygotowaniu zamachu z listopada 1939 roku. Jednakże nie leżało to w jego naturze. Nie mógł pozwolić, aby inni zepchnęli go do kąta. Oczywiście, gdyby plan, z jakim wsiadł do samolotu lecącego do Żytomierza, nie udał się, wówczas jego los byłby przesądzony nieodwołalnie.

Po wylądowaniu przez cały dzień daremnie czekał na możliwość rozmowy z reichsführerem, gdyż ten, zajęty pracą, nie mógł znaleźć wolnej chwili dla przybysza z Berlina. Dopiero wieczorem, jak zwykle przyjazny dla swoich gości, zaprosił go na kolację. Przy stole siedziało kilkanaście osób, bo Himmlerowi zależało, aby utrzymywać w swojej kwaterze niemalże rodzinną atmosferę, i z tego też względu często zapraszał swoich współpracowników do prywatnego apartamentu, wymagając, aby przychodzili w cywilnych ubraniach. W licznym towarzystwie, jakie tego wieczoru zebrało się przy stole, Schellenberg nie mógł powiedzieć tego, na czym mu zależało, a jedynie przekazał najświeższe wiadomości i plotki z Berlina.

Następnego ranka przyszedł do biura Himmlera. W milczeniu położył na biurku teczkę zawierającą najświeższe raporty wywiadowcze i cofnął się o krok, czekając, aż jego szef oderwie się od papierów, które przeglądał z właściwą sobie pedanterią.

- Jest pan dziś dziwnie poważny. Czy źle pan się czuje? - Himmler odłożył dokumenty i podniósł głowę. Patrzył badawczo zza okrągłych okularów.

- Przeciwnie, reichsführerze - Schellenberg zaprzeczył z taką stanowczością, że z pewnością rozwiął wszelkie wątpliwości co do jego nastroju. - Dzisiejszy masaż doktora Kerstena pomógł mi

253

znakomicie. - Mówił o osobistym masażysty Himmlera, który posiadał szczególną umiejętność łagodzenia stresów, usuwania bólu głowy i przywracania pacjentom dobrego samopoczucia, co zyskało mu wielkie poważanie.

- Wiem dobrze, że bardzo jest pan zajęty - ciągnął - ale najważniejsza część mojego raportu nie znajduje się w teczkach, gdyż ta jest prawie pusta, lecz w mojej głowie. Nie zacznę jednak, dopóki nie upewnię się, że dysponuje pan czasem, aby wysłuchał mnie w spokoju.

- Czy to coś nieprzyjemnego? Coś osobistego? - Himmler zaniepokoił się, podejrzewając, że Schellenberg przywozi z Berlina wieści o intrygach skierowanych przeciwko niemu.

- Nic podobnego, reichsführerze! Chciałbym przedstawić panu sprawę, która wymagać będzie podjęcia ważnej i trudnej decyzji.

W tym momencie rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł standartenführer SS Rudolf Brandt, osobisty sekretarz, więc Schellenberg zamilkł szybko.

- Zechce pan zjeść obiad ze mną i moimi adiutantami? - Himmler przerzucił dokumenty, które dostarczył sekretarz, uznał, że będzie musiał im poświęcić więcej czasu, i odsunął je na bok. Od dnia, w którym urządził swoją kwaterę w Żytomierzu, bez wytchnienia pracował nad planami eksterminacji ludności żydowskiej, choć obiecał sobie, że nigdy nie będzie obserwować egzekucji. Stało się tak podczas wizytacji jednego z miejsc masakry, gdy nie mogąc znieść widoku rozstrzeliwanych kobiet, zasłabł i musiał wesprzeć się na ramieniu stojącego najbliżej oficera.

- Po obiedzie proszę zgłosić się do mnie, o czwartej. Odłożę wyjazd do Winnicy.

Oficjalny ton, jaki Himmler przybrał w tej rozmowie, kazał Schellenbergowi podejrzewać, że reichsführer podjął już decyzję o usunięciu go jako niewygodnego świadka. Przez moment pomyślał, że mogło tak się stać już w lipcu 1940 roku podczas jego misji do Madrytu, dokąd wyruszył z nakazem porwania księcia Edwarda, zwolennika nazizmu, którego Hitler zamierzał osadzić na tronie po zdobyciu Wielkiej Brytanii. Misja zakończyła się fiaskiem, gdyż Schellenberg zaniemógł w wyniku ostrego zatrucia. Uważał, że to Brytyjcy agenci znaleźli sposób na pozbycie się go z Madrytu,

254
ale w chwili gdy stał przed Himmlerem, patrzącym na niego niechętnie, wręcz wrogo, pomyślał, że truciznę mógł wsypać mu do szklanki któryś z jego pomocników na rozkaz reichsführera. Szybko odgonił tę myśl, nie chcąc poddawać się nastrojowi niechęci czy strachu. Tym bardziej jego przylot do Żytomierza stawał się przełomowym wydarzeniem w jego życiu.

Punktualnie o czwartej zastukał do drzwi gabinetu Himmlera. Na jego widok reichsführer wstał zza biurka, co było zachowaniem dość niezwykłym wobec podwładnych, wskazał zapraszającym gestem na fotel pod oknem, sam usiadł na drugim.

- Proszę, niech pan zaczyna. - Był w dobrym nastroju, w jaki wprowadził go lekki i smaczny obiad, ale wyraźnie zaciekawiała go sprawa, którą już rano zapowiedział szef wywiadu.
- Wiadomość jest poważna - zaczął Schellenberg. - Ci durnie z Gestapo wypuścili polskiego szpiega, który znał niektóre sprawy związane z operacją „Heinrich”.
Przerwał, widząc, jak Himmler zmienia się na twarzy. Wydawało się, że w jego oczach pojawił się strach.

- Prowokacja Bormanna czy Góringa? A może to sprawa Rib-bentropa?

Himmler pytał o swych największych rywali w nazistowskich władzach.

- Nie sądzę. Udało mi się ustalić, że Polak dotarł do Londynu. Himmler patrzył na niego zza okularów, przymrużając oczy. Po chwili oparł się wygodnie, a w kącikach ust pojawił się uśmiezek.

- Ktoś mu pomógł? Pan, Schellenberg?

Schellenberg zorientował się, że Himmler przejrzał jego grę. Nie zmartwiło go to. Uznał, że podejrzenia reichsführera, które łąda moment miały przerodzić się w pewność, ułatwią mu działanie.

- Ja podjąłem starania o namierzenie go - odparł wymijająco, co można było uznać za całkowicie naturalne ominięcie odpowiedzi na pytanie uwłaczające jego honorowi. - Znalazłem go. Służy w polskim wojsku.

- No, dalej...

- Nie sądzę, żeby usiłował komukolwiek przekazać informacje o operacji „Heinrich”.

- Jest pan bardzo pewny swego - zauważył Himmler.

255

- Tak, proszę bowiem pamiętać, że skompromitowaliśmy go i doprowadziliśmy do skazania przez polski sąd. Teraz nikt mu nie uwierzy. Nawet nie sądzę, aby w Anglii występował pod swoim nazwiskiem.

- Chyba że ten Polak wkrótce znajdzie jakieś dowody. Prawda? A może już je ma?

Schellenberg zawahał się. Przygotowując się do rozmowy z Himmlerem, nie spodziewał się, że ten tak szybko przejdzie do ataku. Czy powinien, w sposób bardzo zawołowany, przyznać, że to on wysłał Sosnowicza i zdeponował w londyńskim banku materiały kompromitujące Himmlera? Szybko odrzucił tę myśl, uznając, że stałby się szantażystą i stracił wszelkie szansę na odzyskanie zaufania reichsführera.

- Nie sądzę - odpowiedział spokojnie - choć musimy przyjąć, że wciąż stanowi dla nas zagrożenie.

Tak, nie musiał się przyznawać. Himmler już wiedział, że Schellenberg, którego zamierzał usunąć, trzyma go w rękę. Paradoksalnie ta świadomość wyzwoliła w nim uczucia, które można było nazwać przyjaznymi.

Znalazł potwierdzenie, że Schellenberg to człowiek o cechach, których szukał u swoich najbliższych współpracowników. A nie musiał się go obawiać, gdyż był mu potrzebny.

Oczywiście do czasu, ale wówczas wszystko zależeć będzie od tego, który pierwszy wyciągnie pistolet z kabury.

- Liczę, że unieszkodliwi go pan ponownie, aby nie zagroził ani mnie, ani panu.

Ostatnie słowa Himmler wypowiedział z naciskiem, mrużąc powieki w charakterystyczny sposób, który jego najbliżsi współpracownicy znali jako wyraz determinacji.

- Czy to wszystko, co miał mi pan do przekazania? - Himmler nagle zmienił nastrój.

- Nie.

Schellenberg też odprężał się. Świadomość, że przebrnął przez najtrudniejszą sprawę, z jaką przyjechał do Żytomierza, przywracała mu spokój.

- Kiedyś, gdy aplikowałem w sądzie w Diisseldorfie, mój pryn-cypał, wyjaśniając jakąś prawną wątpliwość, pouczył mnie, że

256

zawsze należy mieć w zanadrzu alternatywne rozwiązanie. Czy mogę panu zadać pytanie? -

Schellenberg zakończył anegdotę. -W której szufladzie swojego biurka trzyma pan alternatywne rozwiązanie zakończenia tej wojny?

Wiedział, o co pyta. Przecież w listopadzie 1939 roku Himmler gotów był do takiego działania i nie należało sądzić, że do sierpnia 1942 roku, gdy sytuacja skomplikowała się o wiele bardziej, zmienił zdanie. Zapadła długa cisza. Himmler patrzył na niego zaskoczony. Nagle wybuchnął:

- Czy pan zwariował, Schellenberg?! Niepowodzenie pod Moskwą już dawno zostało zapomniane. Za kilka miesięcy zmusimy Stalina do kapitulacji. Rzesza uzyska nieprawdopodobne możliwości rozwoju! Wszyscy Niemcy, niepomni strat na froncie, wielbią Fuhrera, gdyż zwozi im bogactwa z całej Europy. A pan mówi o „alternatywnym zakończeniu wojny”?

- Chciałbym zwrócić panu uwagę, że nawet wielki Bismarck, u szczytu potęgi, zawsze miał alternatywne rozwiązanie. Takie rozwiązanie jest możliwe, dopóki zachowuje się swobodę działania. Tak, dzisiaj Niemcy znajdują się u szczytu potęgi. Dzisiaj możemy się targować, a nasza siła czyni z nas wartościowych partnerów dla naszych wrogów.

- Jak rozumiem, pan chciałby prowadzić negocjacje z Zachodem?

W tonie, jakim Himmler wypowiedział te słowa, nie było drwiny.

- Reichsfuhrerze, armia podejmie rewoltę w przypadku poważniejszej klęski, a ta nadejdzie lada miesiąc.

- Defetyzm?

- Nie, wnioski z raportów wywiadowczych. Spod Moskwy zostaliśmy odrzuceni, pod Leningradem stoimy, pod Stalingradem też. Przemysł rosyjski ewakuowany za Ural pracuje pełną parą, a Anglicy i Amerykanie zwiększają dostawy technologii, której Rosjanie nie mieli.

- Ale idziemy na południe, w stronę złóż roponośnych.

- Nawet jeżeli je zdobędziemy, to nie będziemy mogli ich wykorzystać bez opanowania Stalingradu.

Himmler wstał i podszedł do okna. Schellenberg przyglądał mu się bez słowa, zastanawiając się, co tak ciekawego reichsfiihrer

257

obserwuje przez okno wychodzące na wielki dziedziniec szkoły oficerskiej, w której urządził swoją kwaterę.

- Jestem nadzwyczaj zadowolony z wyczerpującej wymiany poglądów z panem - powiedział wreszcie Himmler. - Pańskie plany mają moje całkowite poparcie, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Jeżeli popełni pan błąd w... - zawahał się, starając się znaleźć jak najlepsze słowo - ...pracach przygotowawczych, odżegnam się od pana natychmiast!

- Jak rozumiem, przystępujemy do operacji „Heinrich II”. -Schellenberg wstał z fotela. Już dawno nie czuł się tak lekko. Był szczęśliwy. Nie dość, że udało mu się odsunąć niebezpieczeństwo, jakim była niechęć reichsführera, to odzyskał jego poparcie. Postanowił zrobić kolejny krok, który umocniłby jego pozycję.

- Proponuję, aby do nawiązania negocjacji wykorzystać nie tylko Górdelera, ale również Langhausena - powiedział.

To był dobry strzał. Wymienił nazwiska dwóch tajnych współpracowników Himmlera, których reichsführer wykorzystywał do nawiązania kontaktów z aliantami. Było to trzymane w takiej tajemnicy, że Himmler nie przyjmował nawet możliwości, iż ktokolwiek mógłby się o tym dowiedzieć.

Reichsführer odwrócił się powoli. Przez moment na jego twarzy widać było zdumienie, które szybko zamaskował uśmiechem.

- Dobry pomysł - oświadczył krótko, jakby dając znać, że nie zamierza kontynuować tej rozmowy. Zaczynał się obawiać, że Schellenberg zyska nad nim przewagę, a musiał mieć czas, aby przemyśleć nową sytuację.

Rozmowa z Schellenbergiem potwierdziła jego przypuszczenie, że frontowi dowódcy Wehrmachtu skłonni są przeciwstawić się Führerowi. Oni wiedzieli najlepiej, jak bardzo wojsko nie jest przygotowane do wojny, w jakiej znalazły się Niemcy. Zmagania na wschodzie z wrogiem, którego siły wydawały się niewyczerpane, i z drugim wrogiem na zachodzie, który był poza zasięgiem niemieckich wojsk, musiały prowadzić do klęski. Cała sytuacja przypominała moment, w którym nadmuchiwany balon mógł już tylko pęknąć albo trzeba było zacząć wypuszczać powietrze.

258

4. Baza w Szkocji

Lot starym bombowcem Whitley przypominał jazdę bryczką pozbawioną resorów po wyboistej drodze. Dwunastoma skoczkami, którzy siedzieli na wąskich ławeczkach pod ścianami kadłuba, trzęsło niemiłosiernie, a w dodatku huk silników zdawał się rozsadzać bębunki. Wszyscy, nieco bladzi ze strachu, wpatrywali się w otwór w podłodze, przysłonięty klapą, która co chwila unosiła się na kilka centymetrów, wpuszczając do wnętrza strumień zimnego powietrza. Michał, oparłszy głowę w korkowym hełmie o wręgę, przypatrywał im się. Szkolił ich od dwóch miesięcy, starając się najlepiej przygotować do misji, jaką mieli przed sobą, ale wiedział, że w całym procesie treningu nic nie robi tak dużego wrażenia, jak pierwszy skok ze spadochronem. Pamiętał dobrze, jak sam po raz pierwszy usiadł na krawędzi otworu, w którym pod stopami widział odległe pola. Strach tak bardzo sparaliżował mu mięśnie, że instruktor musiał nieźle walnąć go w ramię, żeby oderwał palce od krawędzi i wysunął się na zewnątrz. Od tego momentu skoki spadochronowe stały się najwspanialszym przeżyciem, za którym tęsknił jak nałogowy palacz za papierosem.

Pomarańczowa lampka, która zapaliła się przy drzwiach kabiny pilotów, oznaczała, że mają przygotować się do skoku.

Wstali z ławek jakby z ociąganiem, poprawiając oporządzenie. Rozumiał to. W ten sposób maskowali strach i drżenie rąk. Jeden po drugim zapinali karabińczyki nylonowych linek biegnących od spadochronów na cienkim drucie przeciągniętym przez całą długość kadłuba. Od razu, gdy przybył do Anglii w czerwcu 1940 roku w tłumie polskich żołnierzy uchodzących z Cherbourga, skierowano go do służby w Zarządzie Operacji Specjalnych. Stało się tak dlatego, że dowódca jego oddziału we Francji często wykorzystywał go do przesłuchiwania niemieckich jeńców i szybko zorientował się, że Michał nie tylko mówi płynnie w tym języku, ale również doskonale zna Berlin i kilka innych miast. Podzielił się swoją wiedzą z przełożonymi, a ci uznali, że taki człowiek może przydać się w jednostce przygotowującej się do prowadzenia sabotażu i dywersji w okupowanych państwach. Brytyjscy oficerowie, którzy przesłuchiwali go

259

4. Baza w Szkocji

Lot starym bombowcem Whitley przypominał jazdę bryczką pozbawioną resorów po wyboistej drodze. Dwunastoma skoczkami, którzy siedzieli na wąskich ławeczkach pod ścianami kadłuba, trzęsło niemiłosiernie, a w dodatku huk silników zdawał się rozsadzać bębrenki. Wszyscy, nieco bladzi ze strachu, wpatrywali się w otwór w podłodze, przysłonięty klapą, która co chwila unosiła się na kilka centymetrów, wpuszczając do wnętrza strumień zimnego powietrza. Michał, oparłszy głowę w korkowym hełmie o wręgę, przypatrywał im się. Szkolił ich od dwóch miesięcy, starając się najlepiej przygotować do misji, jaką mieli przed sobą, ale wiedział, że w całym procesie treningu nic nie robi tak dużego wrażenia, jak pierwszy skok ze spadochronem. Pamiętał dobrze, jak sam po raz pierwszy usiadł na krawędzi otworu, w którym pod stopami widział odległe pola. Strach tak bardzo sparaliżował mu mięśnie, że instruktor musiał nieźle walnąć go w ramię, żeby oderwał palce od krawędzi i wysunął się na zewnątrz. Od tego momentu skoki spadochronowe stały się najwspanialszym przeżyciem, za którym tęsknił jak nałogowy palacz za papierosem.

Pomarańczowa lampka, która zapaliła się przy drzwiach kabiny pilotów, oznaczała, że mają przygotować się do skoku.

Wstali z ławek jakby z ociąganiem, poprawiając oporządzenie. Rozumiał to. W ten sposób maskowali strach i drżenie rąk. Jeden po drugim zapinali karabinczyki nylonowych linek biegnących od spadochronów na cienkim drucie przeciągniętym przez całą długość kadłuba. Od razu, gdy przybył do Anglii w czerwcu 1940 roku w tłumie polskich żołnierzy uchodzących z Cherbourga, skierowano go do służby w Zarządzie Operacji Specjalnych. Stało się tak dlatego, że dowódca jego oddziału we Francji często wykorzystywał go do przesłuchiwania niemieckich jeńców i szybko zorientował się, że Michał nie tylko mówi płynnie w tym języku, ale również doskonale zna Berlin i kilka innych miast. Podzielił się swoją wiedzą z przełożonymi, a ci uznali, że taki człowiek może przydać się w jednostce przygotowującej się do prowadzenia sabotażu i dywersji w okupowanych państwach. Brytyjscy oficerowie, którzy przesłuchiwali go

259

w tajnym ośrodku St Albany, szybko pozbyli się jakichkolwiek podejrzeń. Jan Babinicz pochodził z Poznania, co potwierdzała jego znakomita znajomość miasta i ludzi, studiował w Niemczech, gdzie znalazł pracę w firmie spedycyjnej. W 1938 roku uciekł przed na-zistami do Francji i tam, gdy rząd polski, który ukonstytuował się w Paryżu, przystąpił do odtwarzania sił zbrojnych, zgłosił się do polskiego wojska. W pierwszej dywizji grenadierów generała Ducha walczył dzielnie i z jej żołnierzami został ewakuowany do Anglii.

Już po trzech miesiącach szkolenia został zrzucony ze spadochronem do okupowanej Francji w celu nawiązania kontaktu z Joanną, dowodzącą jedną z grup tworzącego się ruchu oporu. Powrócił do Anglii w sierpniu 1941 roku na pokładzie rybackiego kutra i natychmiast odesłano go do Szkocji, do nowej stacji szkolenia polskich komandosów, nazwanych cichociemnymi.

Podniósł klapę w podłodze kadłuba, co fatalnie podziało na trzech skoczków, stojących najbliżej otworu. Pierwszy niepewnie usiadł na brzegu i nie czekając na sygnał, wysunął się tak szybko, że Michał aż krzyknął zaskoczony. Na szczęście nie były to już czasy, gdy skoczek musiał sam otworzyć spadochron, lecz ciągnąca się za nim linka odpięła klamry plecaka. Odetchnął głęboko, widząc, jak po kilkunastu sekundach rozwija się pilot wyciągający wielką białą czaszę.

- Czekać na sygnał do skoku! - krzyknął do pozostałych, ale wątpliwe, aby w hałasie panującym w kadłubie ktokolwiek zdołał zrozumieć jego słowa.

Jeden po drugim wysuwali się przez wąski otwór, a on z ulgą kwitował pojawienie się czasz rozwijających się spadochronów. Otwór był za mały, aby się przezeń precyzyjnie skierować ze spadochronem zapasowym, więc nie było szansy ratunku, gdyby główny zawiódł.

Odwrócił się w stronę kabiny pilotów, z której wyrzwał nawigator, sprawdzając, czy wszyscy skoczkowie są już poza samolotem. Michał uniósł rękę i po chwili zanurkował w wąski otwór. Nie podpiął linki, aby mieć większą frajdę ze skoku.

Leciał jak ptak, długo nie otwierając spadochronu, aż zbliżył się niebezpiecznie do skoczków, którzy z otwartymi czaszami opadali znacznie wolniej, i szarpnął za uchwyt wyciągający linkę

260

trzymającą w zamknięciu czaszę. Szarpnięcie upręży potwierdziło, że spadochron rozwinął się.

Październikowy dzień był bezwietrzny i słoneczny. Szkołkie pola i widoczne w oddali wrzosowiska, jakby pomalowane niezwykłymi kolorami, nadawały ćwiczeniom niezwykły urok.

Podkurczył nogi, amortyzując uderzenie o ziemię, i stanął natychmiast, nie tracąc równowagi. Brak wiatru sprawił, że wielka czasza opadła łagodnie i ułożyła się na trawie, gdzie inni skoczkowie ścigali uprząż i zwijali spadochrony.

- Wszyscy? - krzyknął w ich stronę.

Wyładowali na wielkiej łące, gdzie nie było zagrożeń utrudniających życie lądującym spadochroniarzom, a więc lasu, ostrych załamów skalnych, jezior. Uznał, że skoro wszyscy tak świetnie sobie dali radę, następny trening przeprowadzą w trudniejszym terenie, a w dodatku postanowił połączyć go z przejściem kilkunastu kilometrów przez góry i odnalezieniem wybranego obiektu.

Na drodze biegnącej wzdłuż niewielkiego wzniesienia pojawiły się dwie ciężarówki Bedford pozostawiające za sobą długi obłok pyłu.

- Do pierwszej ciężarówki wrzucać spadochrony, do drugiej wsiadać! - Michał ciasno zwinął swój spadochron i podszedł na pobocze drogi, którą najeżdżały samochody.

Odczekał, aż wszyscy żołnierze wsiedli, i sam wspiął się do skrzyni. Nigdy nie siadał w sfoferce, gdyż uważał, że jego podwładni przyjęliby to jako wywyższanie się.

- Jak wrażenia z nowym sprzętem? - zwrócił się do porucznika Andrzeja Czernego. Poznali się przed dwoma miesiącami, gdy Czerny przyjechał do Audley End. Okazało się, że ich przeżycia były bardzo podobne, choć Michał nigdy się do tego nie przyznał. Andrzej Czerny, porucznik lotnictwa, został schwytany przez Rosjan, gdy przedzierał się do Rumunii.

Odwieziony do obozu w Sta-robielsku zdołał zbiec w marcu 1940 roku. Dotarł do Paryża, gdzie podjął służbę w wywiadzie, i stamtąd został ewakuowany do Anglii. Więcej już nie

mówił o swoich zadaniach, co obydwaj dobrze rozumieli. Nie mówił też, do czego przygotowywał się w Audley End.

- Nigdy nie skakałem z bombowca, ale jeżeli oni mają tylko taki sprzęt, to tej wojny nie wygrają. Przecież ten grat lata wolniej od naszego „Łosia”!

261

- Ciesz się, że przydzielili nam whitleye z otworami w podłodze. Wiesz, jak mnie uczyli skakać?

Andrzej patrzył na niego zaskoczony.

- Nie mów, że mogło być gorzej!

- W ogonie whitleya demontowano wieżyczki i tam trzeba było stanąć tyłem do otworu.

Instruktor łapał za rączkę spadochronu, wyciągał ją, czasza wypadła z zasobnika, dostawała strumień powietrza, wypełniała się i wyciągała z samolotu. Wylatywałeś jak z procy! To były przeżycia!

Droga do ich siedziby zajęła niewiele ponad pół godziny. Stare domostwo arystokratycznej rodziny, zajęte w 1940 roku przez wojsko brytyjskie, zostało oddane na potrzeby szkoleń polskich cichociemnych i w niewielkim stopniu zmienione, aby sprostać wymaganiom tajnego ośrodka.

Minęli wielką kutą bramę, przy której dwaj wartownicy machali rękami, żeby się nie zatrzymywali, skoro z daleka dostrzegli znajome twarze, i podjechali wprost przed wejście do głównego budynku, piętrowego wiktoriańskiego pałacu. I wtedy Michał zauważył osobowy samochód, który wjechał przed nimi, okrążył klomb i zatrzymał się nieco z boku, przy garażach, w których kiedyś były stajnie.

- O rany, chyba znowu inspekcja. I wygląda na to, że niespodziewana - westchnął któryś z żołnierzy.

- Skąd wiesz? - Michał zwrócił głowę w jego stronę.

- Mają londyńskie numery. Chciało im się przyjeżdżać na takie zadupie?

Nie lubili gości ze stolicy, którzy na szczęście w Audley End zjawiali się rzadko.

Przyjeżdżali, żeby pokręcić się po salach, wypić dużo szkockiej whisky, obejrzeć okolicę, obiecać nowe wyposażenie, poklepać po plecach i wracać do żmudnej służby w stolicy. A oni musieli prężyć się na apelach, czyścić buty na glanc i oliwić broń jeszcze dokładniej, niż robili to zazwyczaj, bo pułkownik Hartman, komandos z krwi i kości, stawał się bardzo urzędowy i czepiał się każdego szczegółu, czego nigdy nie robił. Zapewne wiedział, że niekompetentni przybysze znają tylko regulaminy, więc dawał im dowód, że wszystko jest w najlepszym porządku, bo zgodne z regulaminem.

262

- Nie, no takie wizytacje to mogą być - zaśmiał się Czerny. - Biegnę się zameldować. Na pewno będzie potrzebowała przewodnika.

Spuścił nogi ze skrzyni i zeskoczył, zanim samochód się zatrzymał.

Michał odwrócił głowę zainteresowany reakcją przyjaciela.

Z samochodu wysiadła szczupła młoda kobieta w mundurze. Poznał ją! Pochylił gwałtownie głowę, udając, że zawiązuje sznurowadło. Nie miał wątpliwości. To była Urszula! Nie wątpił, że to przypadek przywiódł ją do odległej szkockiej miejscowości, i zastanawiał się gorączkowo, jak się przed nią ukryć. Pochylony, przez szpary w obudowie skrzyni ciężarówki zobaczył, jak z drzwi wybiega pułkownik Hartman, salutuje i szarmancko całuje w dłoń Urszulę, gdy Czerny stanął obok, czekając na okazję, aby się przedstawić.

- A pan porucznik to wraca na lotnisko? - usłyszał głos ostatniego z żołnierzy, który zeskoczył ze skrzyni i patrzył na niego zdziwiony.

- Jeśli przeżyłeś skok, to nie znaczy, że możesz przeżyć zadawanie głupich pytań - burknął Michał.

Widział, jak Urszula i pułkownik odwrócili się i szli powoli w stronę drzwi do pałacyku, pozostawiając z tyłu rozczarowanego Czernego.

Ciekawe, o czym rozmawiają? - pomyślał Michał. Rozpiął smok, żeby zyskać jeszcze na czasie, i widząc, że są już wystarczająco daleko, zeskoczył ze skrzyni. W tym momencie Urszula i pułkownik zatrzymali się. Hartman podniósł głowę i zaczął się rozglądać. Widząc żołnierza w ćwiczebnym korkowym hełmie, wezwał go gestem. Michał przerzucił worek przez plecy i ruszył do swojej kwatery, gdy usłyszał głos Hartmana.

- Poruczniku Babinicz!

Nie mógł już dłużej udawać, że go tutaj nie ma. Zatrzymał się. Wciąż myślał gorączkowo, jak zachować się wobec Urszuli.

- Niech pan tutaj podejdzie - krzyknął pułkownik.

Ruszył ku nim, starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Urszula patrzyła na niego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, choć w jej oczach dostrzegła błyski radości.

263

- Przedstawiam pani, porucznik Jan Babinicz, instruktor. Odwrócił się do Michała.

- Pani Urszula Mościcka z Drugiego Oddziału z Londynu. Ma do pana jakieś pytania w związku z pana misją we Francji. Proszę do mnie.

Michał uśmiechnął się.

- Miło mi panią poznać - powiedział, pochylając głowę. Droga do gabinetu Hartmana w końcu skrzydła na pierwszym

piętrze była niemiłosiernie długa, ale Michał był z tego zadowolony. Starał się zachowywać tak, jakby rzeczywiście widział Urszulę po raz pierwszy. Zauważył, że ona kilkakrotnie rzucała badawcze spojrzenie, jakby sprawdzając, czy mężczyzna, który obok niej idzie, rzeczywiście jest tym, którego poszukiwała.

- Zostawiam państwa samych. - Hartman otworzył drzwi do swojego gabinetu. - Czy pani zostanie na noc? Pytam, żeby przygotować kwatere.

- Nie, dziękuję. Muszę jeszcze dzisiaj być w Edynburgu. Hartman pokręcił głową, jakby wyrażając żal z takiej decyzji,

i zamknął drzwi za sobą. Milczeli przez chwilę.

- Przeżyłeś... - odezwała się wreszcie Urszula.

- Trudno było - mruknął Michał. - Udało się. Jak mnie znalazłaś?

- Zobaczyłam cię w Londynie przy King's Cross. Przypadek. Potem szukałam, szukałam i... znalazłam. Choć długo to trwało, bo musiałam sprawdzić wszystkie nasze jednostki. Ale jak dotarłam do nazwiska Babinicz, to od razu wiedziałam, że to ty. Jak Kmicic...

- Nie ma o czym mówić. Oficjalnie jestem zdrajcą i skazańcem.

- Nigdy w to nie wierzyłam!

- To dobrze, bo ja nigdy nie zdradziłem.

Podeszła do niego. Widziała innego człowieka niż ten, którego spotkała w Niemczech.

Przejścia minionych lat pozostawiły na nim głębokie ślady. Rysy twarzy ściągnęły się, a oczy utraciły dawny blask i zadziorność. Bruzdy na czole i wokół ust dodały mu lat, ale wciąż kochała go. Może bardziej teraz. Nie mogła się powstrzymać przed dotknięciem jego twarzy.

Przytrzymał jej dłoń i pocałował.

264

- Dziękuję - powiedział cicho. - Jesteś jedyną osobą, która mi wierzy, choć nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się oczyścić.

- Czy wiesz, jaka jest najlepsza rada dla tych, którzy spadli z konia? - zapytała z uśmiechem, wywołując uśmiech i na jego twarzy. - Wsadzić obolałego jeźdźcę jak najszybciej w siodło.

- Pod warunkiem że nie skręcił sobie karku. A ja nie wiem, czy tak się nie stało.

- To spróbuj się podnieść, a nie chować gdzieś za górami! Usiłował zaprotestować, ale nie dopuściła go do słowa.

- Wiem, gdzie byłeś i co robiłeś, przejrzałam twoje akta...
 - Nie są kompletne.
 - Nie przerywaj! Nie przyjechałam tu po to, aby ronić łzy z tobą nad smutnym losem. Patrzył na nią zaskoczony, nie spodziewając się, że ta piękna dziewczyna może wydobyć z siebie tyle pasji. Usiadł potulnie przy stoliku przeznaczonym do sztabowych narad pułkownika Hartmana.
 - Dobrze - pochwaliła go Urszula. - Odnoszę wrażenie, że wreszcie zmądrzałeś.
 - To zasługa czystego szkockiego powietrza.
 - Oraz braku koni, hazardu, alkoholu i kobiet - dokończyła Urszula.
 - No, tak - przytaknął skwapliwie. - Tego tu nie ma, chociaż...
 - To twoje sprawy, nie chcę słyszeć o jakiś dziwkach! Spojrzał na nią zaskoczony, słysząc w jej głosie ton zazdrości.
 - Przepraszam, ja chciałem tylko powiedzieć, że ostatnio jeździłem na koniu.
- Roześmieli się oboje. Nagle Urszula spoważniała.
- Do rzeczy, panie poruczniku!
- Znowu stała się rzeczową, spokojnie kalkulującą funkcjonariuszką wywiadu.
- Znasz kapitana Dunderdale'a?
 - Z wywiadu?
 - Tak.
 - Przesłuchiwał mnie w St Albany. Typowy Anglik, wyjątkowo namolny facet, ale chyba dobry oficer.

265

- Nie taki dobry, skoro nie wykrył, że Babinicz to Sosnowicz.
 - Nie mógł tego wykryć.
 - Skąd ta pewność?
 - Nie mogę ci teraz powiedzieć.
 - Słuchaj, Michał... - podeszła blisko. - Albo zaufasz mi, tak jak ja zaufałam tobie, albo wszystko traci sens.
 - Lepsi fachowcy niż on nad tym pracowali - powiedział niechętnie.
 - Niemcy? Skinął głową.
 - Poszedłeś na współpracę z nimi?
- Dostrzegwał w jej twarzy zaskoczenie, a nawet strach. Wyglądała tak, jakby cała pewność, z jaką przyjechała do Audley End, wyparowała w ułamku sekundy. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo zaufała człowiekowi, który w rzeczywistości jest zdrajcą.
- Zdradziłeś?
 - Nie! Nie jestem zdrajcą!
 - To dlaczego Niemcy przygotowali ci papiery?
 - Posłuchaj... - patrzył jej w oczy i pomyślał, że są to oczy dobrego człowieka, o czułym sercu. Wielkie, ciemne i łagodne. Jak ona mogła się znaleźć w wywiadzie?
 - Posłuchaj - powtórzył. - Uciekłem z karetki więziennej, którą wieziono nas gdzieś na wschód. Było to chyba szesnastego albo siedemnastego września. Chciałem dotrzeć do jakiegoś polskiego oddziału, żeby walczyć. Nie udało się. Złapali mnie Rosjanie. Komunista, który wiedział, kim jestem, wydał mnie ich bezpiece. Wieźli mnie do obozu, zapewne, żeby spokojnie ode mnie wszystko wyciągnąć, gdy niespodziewanie zgłosili się po mnie Niemcy.
 - Jak cię odszukali?
 - Zapytałem o to. Podobno przejęli archiwa wywiadu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, których te urzędowe bubki nie zniszczyły, bo tak się spieszyły do Rumunii. Aleja w to nie wierzę.
 - To jak to się stało?

- Kiedyś doktor Schöffler ostrzegał mnie o zdrajcy. Pseudonim „Łasica”. Co już wiadomo na jego temat?

Zastanowiła się przez chwilę i pokręciła przecząco głową.

266

- Nie słyszałam. Myślisz, że to „Łasica” poinformowała Niemców, co się z tobą działo?

- Tak myślę.

- Po co byłeś im potrzebny?

- Oficer, którego nazwiska nie znam, chciał, abym wyjechał do Anglii i zamelinował się, aż zgłosi się do mnie piękna Chinka pani Kou i przekaże numer skrytki, w której zdeponowano jakieś dokumenty.

- Zgodziłeś się?

- Nie! To znaczy, najpierw się nie zgodziłem.

- To jakim cudem tu jesteś?

- Ten oficer był sprytny. Powiedział: dostaniesz klucz do drugiej skrytki, w której są dowody, że jesteś niewinny.

- Uwierzyłeś?

- Tak. Nie chcę umrzeć jako zdrajca.

- Podejmując się niemieckiego zadania, stałeś się nim.

Michał wstał i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Było to zachowanie charakterystyczne dla ludzi czynu, którzy nie potrafią zbyt długo siedzieć w jednym miejscu.

Uwaga Urszuli dotknęła jego najczarniejszych obaw. Potwierdzała je.

- Posłuchaj! Do momentu rozmowy z tym oficerem byłem niewinny - odezwał się wreszcie. - Ale tylko ja o tym wiedziałem. Dla wszystkich byłem hochsztaplerem i zdrajcą ojczyzny, skazanym na wieloletnie więzienie. Chwyciłem się szansy oczyszczenia jak tonący kawałek deski. Nie mam innej możliwości odnalezienia honoru.

- Ja cię rozumiem, ale nikt nie wybaczy ci, że przyjąłeś zadanie od nieprzyjaciela. Co więcej, dostałeś od niego fałszywe papiery. Muszą wiedzieć o tobie wszystko, skoro w wielkiej Anglii odnajdzie cię ta pani Kou. Nie myślałeś o tym?

Nie odpowiedział. Wrócił do stołu i usiadł ciężko, zakrywając twarz dłońmi.

- Nie przyjechałam tu, aby czynić ci wyrzuty, choć przyznaję, że twój ostatni wyskok pokrzyżował moje plany.

Mówiła jak nauczycielka karcąca krnąbrnego ucznia. Wstała i teraz ona zaczęła przemierzać pokój, jakby w krążeniu dookoła stołu znajdowała metodę na uporządkowanie myśli.

267

- W jaki sposób ten twój niemiecki oficer zamierzał cię odnaleźć w Anglii, aby przekazać klucz do bankowej skrytki? - spytała w końcu.

- Nie mam pojęcia - Michał wciąż zakrywał twarz dłońmi.

- Musisz mieć przy sobie zdrajcę. Jakaś kobieta?

Znowu wydawało mu się, że dostrzega w jej pytaniu coś więcej niż tylko zawodowe zainteresowanie oficera prowadzącego śledztwo.

- Jestem tu sam, jak kołek w płocie - powiedział to tak smutno i szczerze, że uśmiechnęła się.

- A dlaczego Niemcy wybrali akurat ciebie?

- Prawdopodobnie ze względu na sprawę „Heinrich”.

- To akurat brzmi przekonująco. Ale zostawmy ten trop, choć nie chciałabym, żebyś o tym zapomniał. Musimy wyjaśnić, kto cię obserwuje czy pilnuje. I jakie dokumenty są w banku. Usiadła naprzeciw niego.

- Dostaliśmy wiadomość wielkiej wagi: z polecenia Himmlera lub za jego wiedzą podejmowane są operacje finansowe na wielką skalę.

- Co to znaczy?

- Prawdopodobnie przez szwedzką firmę Bofors niemieckie pieniądze trafiają na amerykański rynek finansowy. To może być tylko jedna z wielu dróg.
- Jaki to ma związek z Himmlerem?
- Sprawą zajmuje się Kurt Schröder...
- A, wpływowy i hojny członek „Koła Przyjaciół Reichs-führera SS”.
- Znasz go?
- Czy ja go znam - zaśmiał się Michał. - Zawsze, gdy się upił, a robił to często, obejmował mnie za ramię i krzyczał, że jestem jego najlepszym przyjacielem!
- Zaraz do tego dojdziemy. - Urszula jakby niespodziewanie odzyskała energię, którą utraciła, słysząc o powiązaniach Michała z niemieckimi tajnymi służbami. - Schröder Finance House z siedzibą w Londynie i w Nowym Jorku pilotuje niektóre transakcje.
- I chcesz, abym ja się do tego włączył?

- Tak. Co wiesz o Schröderze?

268

- Wszystko.
- To już rozumiesz, dlaczego jesteś nam potrzebny. Po prostu, jesteś jedynym człowiekiem, który może dotrzeć do tego zakłętego kręgu.
- Jestem spalony, i to po obydwu stronach. Dla Polaków jestem zdrajcą, dla Niemców - polskim szpiegiem.
- Co do Polaków - zgoda. Ale Niemcy nie wiedzą, że ich sąd skazał cię za szpiegostwo. Wyrok w ogóle nie został opublikowany.
- To już lepiej.
- Dziesiątego sierpnia Schröder ma przyjechać do Strasburga. Sądzę, że będzie tam wielu innych największych niemieckich przemysłowców.
- Jak rozumiem, ja też.
- Tak. Dlatego cię wybrałam. Za tydzień zostaniesz zrzucony ze spadochronem w tamtym rejonie. Tylko ty możesz się tam swobodnie poruszać i dowiedzieć czegokolwiek o celu wizyty Schródera. To ważne.
- Co w tym takiego ważnego, że sprawą zajmuje się nasz wywiad?
- Uważamy, że hitlerowcy upłynniają zagrabione wartości: dzieła sztuki ukradzione w Polsce, biżuterię zrabowaną w obozach koncentracyjnych i tak dalej. Tylko w ten sposób możemy dowiedzieć się, dokąd przerzucają te bogactwa, aby po wojnie je odzyskać.
- Rozumiem, że pomysł wysłania mnie wyszedł od ciebie, ale kto go autoryzował?
- Pułkownik Kodar.
- Skąd on tutaj?
- W 1941 roku Niemcy namierzili organizację „Olimp”, którą kierował we Wrocławiu. Niewielu się uratowało. On i dwóch innych zdołało przedostać się do Anglii. Szef wywiadu ceni jego doświadczenie.
- Michał nie odzywał się. Wyraz jego twarzy musiał mówić wszystko, gdyż Urszula podeszła bliżej i przyglądała mu się w milczeniu.
- Nie lubisz go...
- On mnie nie lubi. Uważa, że zdradziłem. Gdy dowie się, że tu jestem, wsadzi mnie do więzienia.

269

- Zna tylko nazwisko Babnicz i nie łączy go z tobą. Zaakceptował twoją kandydaturę ze względu na znajomość języka niemieckiego, przeszkolenie spadochronowe i wyniki poprzedniej misji we Francji.
- Drzwi do gabinetu uchyliły się i stanął w nich Hartman.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale rozmawiają już państwo blisko godzinę.
- Skończyliśmy. - Urszula wstała zza stołu.
- To zapraszam panią na obiad. Urszula spojrzała zakłopotana na Michała.
- Proszę się nie przejmować. Pan pułkownik wie, że ja nie jadam obiadów.

5. Lot do Strasburga

Pilot pochylał samolot na skrzydło, aby lepiej widzieć ziemię. Niewielki lysander, pomalowany w maskujące łaty, krążył nad wielką łąką okoloną lasami, a pilot wyglądał na obydwie strony, wypatrując ognisk ułożonych w kształcie litery „V”, co miało wyznaczać im miejsce do lądowania.

- Cholera, chyba nie zrezygnowali z przyjęcia nas - Michał usłyszał w słuchawkach jego głos.

Lot nie był niebezpieczny. Alianckie samoloty nie atakowały Strasburga, uważanego za francuskie miasto, więc myśliwce nie pilnowały tego obszaru. Jednakże pozostawanie zbyt długo w powietrzu, co bez wątplenia zostało zauważone przez załogi stacji radiolokacyjnych, rodziło niebezpieczeństwo, że Niemcy wyślą patrole, które przechwycą samolot, gdy tylko dotknie kołami ziemi.

- Jest! - Michał dostrzegł w oddali jaśniejący ogień. - Na czwartej.

Pilot spojrzał w tamtą stronę.

- To dobre pięć kilometrów stąd. Albo pomyliliśmy drogę, albo oni się przenieśli.

Zwiększył obroty silnika i poderwał samolot, gdyż z mapy wynikało, że w pobliżu biegnie linia wysokiego napięcia, a szybując tak nisko, mogli zawadzić o jej przewody.

270

Odległe ogniki zbliżały się szybko i wnet dostrzegli błyskającą latarkę.

- Nadają „M”. Zgadza się - Michał odczytał sygnały alfabetu Morse'a.

Pilot przesunął włącznik świateł i mignął nimi kilka razy, dając znać, że zidentyfikował lądowisko.

Zamknął gaz i prowadząc samolot pewnie, przeleciał tuż nad wierzchołkami drzew, włączył reflektory, aby widzieć ziemię, i wylądował na samym początku łąki, na której naftowe lampy, ustawione po obydwu stronach prowizorycznego lądowiska, wyznaczały miejsce.

Michał otworzył owiewkę kabiny, widząc, że z daleka biegną partyzanci.

- Od razu startuję - krzyknął pilot. - Za długo byliśmy w powietrzu nad tym terenem. Niech pan się pospieszy!

Michał wydobył z kabiny kilka pojemników, w których było jego wyposażenie, a także materiały dla oddziału partyzanckiego. Zrzucił je na ziemię w chwili, gdy podbiegło kilku partyzantów. Podali pilotowi jakiś pakunek i machnęli na znak, że może startować.

Podniósł rękę w geście pożegnania.

- Powodzenia, panie poruczniku!

Ryk silnika pracującego na najwyższych obrotach zagłuszył jego głos i samolot, kołysząc się na nierównościach lądowiska, pomknął w stronę lasu. Wnet wzbił się w powietrze i zniknął w ciemnościach.

- Jestem Paul. - Wysoki mężczyzna ubrany w krótką skórzaną kurtkę podszedł do Michała, wyciągając rękę na powitanie. - Hasło „Gołąb”.
- „Warszawa” - odpowiedział Michał, ściskając dłoń dowódcy oddziału partyzanckiego.
- Musimy się spieszyć - stwierdził Paul. - Przejeżdżał patrol i nie mogliśmy rozpaścić ognisk, dopóki nie odjechali wystarczająco daleko.
- Przypadek?

- Chyba tak. Nie wyglądali, jakby czegoś szukali, ale mogą wrócić, jeśli usłyszeli samolot. Na szczęście lysandery są ciche.

Michał przerzucił worek przez ramię.

- Tę noc spędzisz z nami w lesie - mówił Paul. - Jutro zawieziemy cię do Strasburga. Wąska ścieżka wśród drzew prowadziła do szerszej leśnej drogi, gdzie stało kilka wozów zaprzężonych w konie. Paul wrzucił pojemnik Michała do skrzyni dwukołowego wózka, a sam usiadł na miejscu woźnicy, wskazując ławeczkę obok siebie.
- Co to jest „Hotel de la Maison Rouge”? - zapytał Michał, gdy ruszyli.
- Hotel w centrum Strasburga na placu Kleber. - Spojrzał na Michała. - Bardzo elegancki. Nie sądzę, żeby wpuścili cię w tym stroju.
- A skąd ta nazwa?
- Prawdopodobnie od koloru. Zbudowany jest z czerwonej cegły. Ale nie przejmuj się - dodał po chwili - mamy tam swojego człowieka. Przeszmugluje cię.
- Dziękuję, będę potrzebował eleganckiego garnituru albo smokinga.
- Załatwimy! - Paul wydawał się nieco zdziwiony. - A umiesz, bracie, zachować się na salonach?
- Tak się zdarzyło.
- No to po wojnie mnie nauczysz.

Gdzieś w krzakach błysnęło światło, co Paul przyjął z wyraźnym zadowoleniem.

- Nasze straże - wyjaśnił. - Odkąd alianci są w Normandii, Niemcy nasilili patrolowanie terenu, musimy się pilnować. A może o co innego im chodzi...
- Zwalniali, dojeżdżając do niewielkiego obozowiska w środku lasu, gdzie rozstawiono kilkanaście namiotów, jak poznał Michał, z zapasów British Army. Kręcili się przy nich brodaci maquis, uzbrojeni głównie w steny, choć kilku miało zdobyczne niemieckie schmeissery.

- Jutro przeszmugujemy cię do miasta - powiedział Paul, podnosząc połę namiotu. - Teraz nie spodziewam się specjalnych sensacji, ale gdyby pojawili się bosze, to trzymaj się mnie. Mój namiot jest obok. Czegoś ci potrzeba?
- Michał rozejrzał się po wnętrzu oświetlonym naftową latarnią. Namiot był nieduży, ale czysto wysprzątany i robił dobre wrażenie.

Na podłodze leżał siennik wypchany słomą, czysty koc wojskowy służył do ochrony przed zimnem, obok stało składane wojskowe krzesiło, na którym ustawiono kubek i emaliowaną miskę z niezbędnikiem.

- Wyciągnij nogi. Śniadanie o świcie, a potem jedziemy do Strasburga.
- Warkot ciężarówki obudził go, zanim wzeszło słońce. Zerknął na zegarek, który powiesił na oparciu krzesła. Dochodziła trzecia i las budził się do życia. Podniósł się ociężale z siennika, czując trudy podróży w ciasnej kabinie lysandera, gdzie niewiele miejsca pozostało po zapakowaniu zaopatrzenia dla partyzantów.
- Odplątał sznurki przytrzymujące poły namiotu i wyrzwał na zewnątrz. Pośrodku obozowiska stał samochód z szyldem miejscowej pralni, którego tylne drzwi były otwarte, a dwaj maquis układali duże toboły z bielizną.
- Tam będzie twoje miejsce. Podjedziesz do miasta pod workami. Nie powinno być kontroli, bo ten samochód każdego dnia o czwartej rano wjeżdża do hotelu.
- Michał usiadł na brzegu skrzyni ładunkowej, wyciągając rękę po kubek z kawą i pajdę chleba posmarowaną jakąś żółtą mazią, które podawał mu Paul.
- Na wszelki wypadek broń trzymaj w pogotowiu.
 - To jednak jest zagrożenie...

Żółta maź na chlebie była smaczniejsza, niż na to wyglądała. Pociągnął duży łyk kwaśnej niesłodzonej kawy.

- Od dwóch dni SS obstawia hotel. Nie wiemy dlaczego, ale zapewne ty wiesz, skoro tam się wybierasz.

Michał skinął głową, ale nie zamierzał wyjaśniać, co się miało stać w „Hotel de la Maison Rouge”.

- Przyzwyczajeni są do widoku furgonetki z pralni. Nie sprawdzają jej. Najwyżej któryś wsadzi łeb i puszcza dalej.

Michał oddał kubek i zaczął przymierzać się do swojej nowej kryjówki.

- W pralni przejmie cię nasz człowiek. Ma na imię Gerard. Wysoki, metr osiemdziesiąt wzrostu, blondyn, trochę zezuje na prawe oko. Możesz mu zaufać. On nas poinformuje, jak będziesz się stamtąd wycofywać. Powodzenia.

273

Michał, który leżał już w wąskim loszku, jaki utworzyły worki z bielizną, wyciągnął rękę na pożegnanie. Któryś z partyzantów narzucił na niego worki, zostawiając niewielką szparę, przez którą mógł oddychać, zatrzasnął drzwi i samochód po chwili ruszył.

Przez kilkanaście minut trzęśli się na wybojach, co było najbardziej widomym znakiem, że jadą przez las, aż wreszcie gwałtowne wstrząsy ustały, a szum opon na kostce wskazywał, że znaleźli się na drodze prowadzącej do miasta.

Jechali wystarczająco długo, żeby Michał zaczął odczuwać brak powietrza. Bał się powiększyć szparę, żeby nie naruszyć konstrukcji kryjących go worków, co i tak nie byłoby łatwe, gdyż ich ciężar wymagał pomocy z zewnątrz. Ponadto zamknięte drzwi furgonetki utrudniały dostęp powietrza.

Pot ciężkimi kroplami spływał mu po twarzy i karku i wsiąkał w koszulę. Czuł, jak cała wilgotnieje, i był zadowolony, że jadą tak wcześniej rano. Podróż w południe, gdy sierpniowe słońce świeciło szczególnie mocno, byłaby koszmarem.

Samochód zatrzymał się. Koniec podróży czy kontrola? Słyszał, jak ktoś otwiera drzwi. Przez szparę, którą napływało powietrze, wpadło jasne światło słoneczne.

- Jesteśmy na miejscu - usłyszał francuskie słowa. - Żyjesz, Polaku?

Ktoś odrzucił worki i fala świeżego powietrza napłynęła z takim impetem, że pociemniało mu w oczach. Silne ręce złapały go za ramiona i wywlokły na zewnątrz.

- Zemdlałeś - usłyszał głos, gdy świadomość zaczęła ponownie napływać.

Otworzył oczy i wspierając się na rękach, usiłował wstać, ale ponownie zakreśliło mu się w głowie.

- Jestem Gerard.

Wysoki chłopak, lekko zezujący na prawe oko, pochylał się nad nim.

- Wiem, opisali mi ciebie. - Wyciągnął do niego rękę.

- Bierz swoje rzeczy i chodź za mną. Nie możemy tu być dłużej. Niemcy zwariowali.

Przetrząsają każdy kąt.

Popchnął go w stronę blaszanych drzwi zamykających wejście do magazynu bielizny.

274

Potem długo szli starymi krętymi schodami i wąskimi korytarzykami, aż znaleźli się na poddaszu, w pokoju o pochyłym stropie.

- Tutaj będziesz bezpieczny - powiedział Gerard.

Michał rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu z małym oknem, umieszczonym wysoko pod sufitem. Było tam tylko żelazne łóżko, niewielka biała szafka i umywalka w rogu.

- Pilnują piwnic i parteru, a my jesteśmy na strychu w jednym z pokoi dla służby. Tutaj nie przychodzą. Rozgość się.

Michał rzucił swój worek na łóżko i usiadł na rogu. Wciąż nie mógł dojść do siebie po dusznej podróży.

- Potrzebujesz czegoś? - Gerard podeszedł do drzwi, zamierzając wyjść.

- Tak, czy możesz dostarczyć mi garnitur albo smoking, ze wszystkimi dodatkami?

- Zrobi się, przecież pracuję w pralni. Wypożyczymy jakiś ładny dla ciebie.

- Gorzej będzie z butami, bo tych nie oddają do pralni - zauważył Michał.
- Ale wystawiają do czyszczenia przed pokojami. Jaki masz numer?
- Czterdzieści cztery.
- Załatwione. Jeszcze coś?
- Tak, zegarek. Złoty, dobrej firmy. Po zegarkach poznaje się ludzi.
- Cholera, z tym będzie najgorzej. W tym hotelu nie było kradzieży od trzydziestu pięciu lat!

Daj pomyśleć, to coś załatwię.

Skinął głową i zamknął starannie drzwi za sobą.

Michał rzucił się na łóżko, oddychając głęboko, jak człowiek, który z dusznego wnętrza znalazł się na otwartej przestrzeni, chociaż był to mały pokój na poddaszu.

Lakierki były trochę za duże, co Michał przyjął z ulgą, obawiał się, że będzie musiał cierpieć, gdyby się okazało, że Gerard wypożyczył za małe buty. Za to dwurzędowy smoking leżał jak ulany.

Zapiął guzik i stanął przed wąskim długim lustrem, jakie Gerard wniósł do jego pokoju.

Widział przed sobą dawnego Michała,

275

choć smutne oczy, blizna na czole i bruzdy na twarzy mówiły, jak wiele stało się od czasu, gdy brylował w berlińskich salonach. Odczuł zrazu przyjemność, jaką daje dobry gatunek koszuli idealnie wyprasowanej, gładkość znakomitego materiału, z jakiego uszyto smoking, ale było to tylko wspomnienie aksamitnego życia. Kiedy je prowadził, nie przyjmował do wiadomości, że nagle, z dnia na dzień, może spaść z tak wysoka, tak boleśnie.

- Dobrze wyglądasz - powiedział Gerard, który stał przed nim z lustrem. - Do smokinga trzeba się urodzić.

Odstawił lustro pod ścianę i z kieszeni marynarki wyjął zegarek zawinięty w chusteczkę.

Michał patrzył zaskoczony, widząc jak Gerard odwija chusteczkę i podaje mu patka na złotej bransoletce.

- Skąd?

- Pożyczyłem od jubilera. Poważnie - dodał szybko, aby Michał nie podejrzewał, że ukradł.

Usiadł na łóżku, gdzie wcześniej położył plan hotelu.

- Tymi schodami zejdziesz na drugie piętro. Tam wyjdiesz na główny korytarz. - Pokazywał palcem miejsca, o których mówił. - To jedyne ryzyko. Nikt nie powinien cię zobaczyć, jak wychodzisz z drzwi dla służby.

Wyjął z kieszeni klucz z dużą mosiężną gałką.

- To klucz do twojego pokoju. Musisz go oddać do rana. Jutro dam ci inny.

Zwinął plan i wstał.

- Do mnie możesz zadzwonić pod wewnętrzny osiemnaście. To do pralni. Powodzenia, Michael.

6. Spotkanie iv „Hotel de la Maison Rouge”

Szerokie schody wyłożone grubym dywanem w kolorze bordo prowadziły do holu błyszczącego mosiądzem i kryształowymi żyrandolami, w których światło załamywało się, tworząc jaskrawe refleksy. Tak bardzo odwykł od widoku eleganckich wnętrz, że musiał pilnować się, aby nie rozglądać się zbyt często. Po czasie spędzonym w celach, bydłącym wagonie, w jakim Rosjanie więzli

276

go do obozu, a nawet w koszarach w Audley End, zapomniał, że świat może tak błyszczeć luksusem, przepojonym zapachem najdroższych perfum, brzmiącym delikatną muzyką, jaką grał kwartet siedzący na niewielkim balkoniku nad holem.

Na dole kłębił się tłumek mężczyzn w smokingach, wśród których było kilka kobiet.

Stanowczo za mało, jak na normalne przyjęcie w ekskluzywnym hotelu. Bez wątplenia było to spotkanie jakiegoś związku przemysłowców.

Zatrzymał się na schodach, szukając znanych twarzy. Po chwili przy kontuarze recepcji położonej z boku holu dostrzegł Wilhelma Keplera. Odbierał klucze, gdy boj hotelowy wkładał jego walizki z krokodylej skóry na wózek z wysokimi mosiężnymi poręczami. Michał spotkał się z nim kilkakrotnie na posiedzeniach „Koła Przyjaciół Reichsführera SS”, którego Kepler był założycielem. Nie lubili się, co zapewne wynikało z postury Keplera, niskiego i tęgiego mężczyzny o łysej głowie. Trudno, aby człowiek tak bardzo pozbawiony urody lubił przystojnego, wyższego o głowę, ściągającego uwagę kobiet Michała. Po chwili zaczął odnajdywać inne znajome twarze. Jowialny Bingen z zarządu firmy Siemens, milczący, chudy jak szczapa von Holt z Deutsche Banku, zażarty zwolennik nazizmu Butefisch z IG Farben. Spotykał ich często na rautach wydawanych w środowisku berlińskich bankierów i przemysłowców. Wciąż jednak nie mógł dostrzec Schródera, którego znał najlepiej i który mógł przydać się szczególnie.

- Czy mnie wzrok myli?!

W tym samym momencie usłyszał okrzyk za swoimi plecami, a potem nastąpiło uderzenie w plecy tak silne, że musiał złapać się za poręcz, aby nie spaść ze schodów.

- Michael Sosnowitz! - dudnił głos. - Gdzieś ty, chłopie, był? Odwrócił się, choć już wcześniej rozpoznał głos. Kurt von Schröder!

- Kurt! - Rozłożył ramiona z nieklamana radością. - Tośmy się nie widzieli od lat!

Ich rozmowa była tak głośna, że wiele głów zwróciło się w ich stronę, co jeszcze bardziej ucieszyło Michała. Jego widok w objęciach Schródera stanowił najlepszą przepustkę do tego świata.

277

- Gdzieś zniknął na tak długo? - Schröder klepał go po plecach szczerze ucieszony spotkaniem z dawno niewidzianym przyjacielem.

- Jak wybuchła wojna, wyjechałem do Polski, żeby uchronić kilka pięknych koni. Potem Rosja, gdzie wybierałem konie dla kawaleryjskiej dywizji SS...

- Fegeleina?

- Tak.

- A nie mówił mi nic o tobie.

- I nie dziwię się. Wolał uchodzić za znawcę koni i udawać, że to on znalazł najpiękniejsze okazy. Ja też się do niego nie przyznaję, po tym co widziałem w Rosji.

Tłumek na dole zafalował i podążył do wielkiej Sali Kryształowej, gdzie zapewne miało się odbyć przyjęcie powitalne.

- Idziesz? - Schröder wskazał ręką na dół.

- Na tę imprezę nie mam zaproszenia. Poza tym umówiłem się - Michał wskazał na kobietę w wydekoltowanej sukni. Ona, jakby ściągnięta jego wzrokiem, spojrzała w ich stronę i uśmiechnęła się.

- No, dobrze - mruknął Schröder. - Mógłbym ja cię zaprosić, ale SS pilnuje tak starannie, że byłyby kłopoty. Dobrze więc, że jesteś zajęty. Spotkajmy się później w moim apartamencie...

- Z radością!

- Dwieście dwadzieścia trzy. Powiedzmy o jedenastej.

- Mieszkam na tym samym piętrze, w dwieście trzynastym.

- Do zobaczenia więc.

Schröder skinął dłonią na pożegnanie i zaczął schodzić szybko, obawiając się, że spóźni się na otwarcie zjazdu przemysłowców.

Michał podszedł do kobiety, która dała mu tak znakomite alibi. Widział, jak Schröder, zajęty rozmową, zerka na niego zza szklanych drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, jedno słowo, pozwoli pani? - Kobieta patrzyła na niego rozbawiona, uważając, że to spotkanie może przerodzić się w interesujący flirt. - Żałuję, że już jestem innym człowiekiem.

Pocałował ją w dłoń. Schröder odwrócił się i poszedł w głąb sali. Już ich nie widział. Kobieta patrzyła zaskoczona, jak Michał skłonił się i odszedł w stronę windy.

278

Pokój, do którego klucz dał mu Gerard, był eleganckim apartamentem, umeblowanym w dobrym francuskim stylu. Zjrzał do sypialni, sprawdził łazienkę i wrócił do niewielkiego, ale gustownego saloniku.

Zegar na kominku wskazywał godzinę dwudziestą, więc do spotkania ze Schröderem pozostały trzy godziny. W głębi na empirowej szafce stało kilka butelek. Wziął koniak i nalał dużą porcję do pękatego kieliszka. Schröder powinien wyczuć od niego alkohol. Takim go znał. Podsunął fotel do drzwi, uchylił je lekko, żeby słyszeć, co dzieje się na korytarzu, i rozsiadł się wygodnie. Postanowił wyjść z pokoju w tym samym momencie, w którym Schröder będzie wracał do swojego apartamentu, co powinno wzmocnić jego zaufanie co do statusu Michała. Obawiał się tylko, że gruby dywan wyściełający korytarz może stłumić kroki.

Tuż przed jedenastą usłyszał podniesione głosy na korytarzu. Narzucił szybko marynarkę i wyszedł z pokoju.

- Michael - Schröder podniósł rękę. - A gdzie twoja piękna towarzyszka?

- Jak powiem, że z mężem, to mi uwierzysz?

- Tobie tak! - Schröder zaśmiał się głośno. - Nie uwierzyłbym, gdybyś powiedział, że to twoja żona. Chodź!

Pożegnał się z mężczyzną, z którym szedł, i otworzył drzwi do swojego apartamentu.

Umeblowany był podobnie jak apartament Michała, ale znacznie większy. Przez otwarte drzwi do jednego z pokoi Michał dostrzegł wielki eliptyczny stół pod kryształowym żyrandolem.

- Siadaj i opowiadaj o swoich dziejach! - Schröder rozwiązał muszkę, zrzucił marynarkę i podszedł do barku. - Co pijesz?

- Stale to samo: wódkę. Najchętniej polską.

- Obawiam się, że takiej tu nie ma, ale coś znajdę. Przyglądał się przez chwilę butelkom, wreszcie wybrał jakąś.

- Fińska, dobra - ocenił i nalał do szklanki. Usiadł obok Michała.

- Posłuchaj, dobrze, że cię spotkałem, gdyż mam pewną sprawę do ciebie - podniósł szklankę i wychylił spory łyk. - Wreszcie można się napić, a nie chleptać kwaśny szampan. Czy wiesz, że podobno francuscy wieśniacy sikają do butelek najlepszych win?

279

Michał zaśmiał się, uważając, że to żart.

- Prawdę mówię! To zachwieje rynkiem. Pomyśl, kto kupi za kilka tysięcy marek butelkę Chateau Malescot Saint Exupery rocznik 1927, jeżeli po otwarciu korek będzie zalatywał moczem francuskiego chłopa! Dranie!

Znowu wypił duży haust wódki. Przysunął się bliżej Michała.

- Posłuchaj, pomyślałem o tym, jak cię zobaczyłem na schodach. Jesteś człowiekiem interesu, którego nikt nie wiąże z polityką. Nie obserwują cię tajne służby, a więc jesteś neutralny. Zrobisz coś dla mnie?

- Jeśli potrafię... - Teraz Michał sięgnął po szklankę. Nie chciał stwarzać wrażenia, że pije mniej od Schrodera, co mogłoby wydać się podejrzanym.

- Potrafisz. Chciałbym, żebyś dokonał kilku transakcji finansowych w Hamburgu, w moim imieniu.

- Dlaczego nie zrobisz tego sam?

- Jutro w tym pokoju zapadną decyzje w sprawie eksportu kapitałów. ..
- Wywozu pieniędzy za granicę? Przecież to zabronione - przerwał mu Michał.
- Było zabronione, ale Himmler doprowadził do uchylenia zakazu. Jemu zależy na transferze ogromnych sum. Ogromnych! I tak będzie!

Schröder wstał i chwiejnym krokiem podszedł do barku. Nalał kolejną szklanę wódki.

Spojrzał pytająco na Michała, który szybko wypił i podsunął mu swoją szklanę.

- Od dzisiaj jest to największa tajemnica Niemiec. Wrócił na kanapę i usiadł bliżej Michała, aby mówić ciszej.

- Wojna jest przegrana. Amerykanie i Anglicy są w Normandii, Rosjanie stanęli na Wiśle. I jedni, i drudzy ruszą lada miesiąc i zgniotą to, co pozostało po wielkiej Rzeszy. I zabiorą się do wymierzania sprawiedliwości. A ja nie chcę stracić wszystkiego, co zarobiłem przez ostatnie trzydzieści lat.

- A kto miałby ci to zabrać?

- Himmler! Chce, żebym moje aktywa wysłał z Niemiec. I mogę ich nie odzyskać po wojnie. Rozumiesz?

Jego mowa stawała się coraz bardziej bełkotliwa. Michał też zaczynał odczuwać nadmiar wypitej wódki. Mógł tylko sobie powie-

280

zieć, że nie uwzględnił, iż jego głowa, pozbawiona treningu, nie była już tak odporna na alkohol jak kiedyś. Zapamiętał tylko, jak Schröder mówił:

- Chcę, żebyś za mnie dokonał kilku operacji finansowych. Nikt cię nie będzie podejrzewał ani łączył twojego nazwiska z moim. Nic chcę za darmo. Dam ci dziesięć procent... To cholernie dużo. Załatwione?

Wyciągnął rękę, aby przypieczętować ugodę.

Michał obudził się na szerokim łóżku w swoim apartamencie. Musiał najwidoczniej zważyć się z nóg, gdyż nie zdjął nawet butów.

Podniósł się ociężale, czując, jak bardzo zeszywniał mu kark. Dochodziła ósma, więc uznał, że ma jeszcze czas, aby wejść pod prysznic, gdy usłyszał, jak przekręca się klucz w zamku, i do pokoju wślizgnął się Gerard. Gwizdnął cicho na widok Michała.

- No, to wczoraj było niezłe - zanucił jakby śpiewał piosenkę.

- Gorzej bywało - mruknął Michał. - Tyle, że dawno. Mam się wynosić?

- Dobrze by było, żebyś przeniósł się do mojej kanciapy. Ale weź prysznic, bo inaczej zemrzesz po drodze.

- Żebyś wiedział, ale przedtem potrzebuję wiertarkę ręczną...

- Da się zrobić - Gerard odpowiedział ze zwykłym sobie optymizmem.

- Nie przerywaj, bo muszę ci powiedzieć wszystko, zanim alkohol, który mam w organizmie, zabije mnie. Dalej, dwa mikrofony, odpowiednio długi kabel, wzmacniacz i słuchawki.

- Człowieku, czyja prowadzę rozgłośnię radiową? Jestem pracownikiem pralni.

Michał zdjął koszulę.

- I jeszcze jedno. Muszę te mikrofony umieścić w salonie i jadalni apartamentu dwieście dwadzieścia trzy.

- O Boże, jeszcze powiesz, że chcesz zająć pobliski pokój. Michał rzucił koszulę na fotel i zabrał się do ściągania spodni.

- Dobrze, już dobrze, zaraz się tym zajmę. Paulowi już przekazałem wszystko.

Michał zatrzymał się.

281

- Co „wszystko”?

- To, o co prosiłeś mnie w nocy, gdy zadzwoniłeś pod umówiony numer.

Nie mógł sobie przypomnieć, że w nocy dzwonił do Gerarda. Brak pijackiego treningu miał katastrofalne skutki.

- Przypomnij...

- Kazałeś mi pilnie przekazać wiadomość, że dzisiaj w naszym hotelu odbędzie się spotkanie największych niemieckich przemysłowców i bankierów z przedstawicielem Himmlera.

Zrobiłem to.

- No i dobrze. Czekasz na oklaski?

Zdjął podkoszulek i pomaszerował do łazienki, żałując, że wkrótce będzie musiał opuścić elegancki apartament, który przypominał mu o stylu życia, jakie niegdyś prowadził.

7. Nalot

Daleki pomruk można było uznać za odgłos przejazdu kolumny ciężarówek.

- Zakaz eksportu kapitału został definitywnie zniesiony... -Obergruppenfuhrer Scheid podniósł widelec, na którym trzymał nabity kawałek befsztyka, aby podkreślić wymowę informacji, którą miał zamiar przekazać grupie niemieckich przemysłowców siedzących wokół wielkiego ciężkiego stołu, ale odległy pomruk ściągnął jego uwagę. Dobrze znał ten głos, tak jak wszyscy Niemcy, choć wydawało mu się niemożliwe, żeby usłyszał go w Strasburgu.

- .. jest to oczywista konsekwencja... - znowu przerwał. Tym razem nie miał wątpliwości. Nadlatywały samoloty. Wielkie cztero-silnikowe bombowce.

Podniósł się z krzesła i podszedł do wysokiego gotyckiego okna wychodzącego na północną stronę „Hotel de la Maison Rouge”. Na placu Kleber, jasno oświetlonym latarniami, zbierał się tłum, bardziej zaniepokojony niż zaniepokojony odległym szumem. Dopiero pierwszy dźwięk syreny, ogłaszającej alarm przeciwlotniczy, nigdy w czasie tej wojny niesłyszany w Strasburgu, rozproszył ludzi.

282

Scheid odwrócił się gwałtownie, równie zaskoczony, co przestraszony przenikliwym głosem syreny, do której przyłączały się inne. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i stanął w nich esesman, który szybko omiótł wzrokiem salę, najwidoczniej poszukując Scheida, a gdy go odnalazł, podszedł szybko, aby powiedzieć, że wobec niebezpieczeństwa zaatakowania miasta przez wrogie samoloty wszyscy muszą zejść do schronu.

- Po co mieliby atakować Strasburg? - Scheid wciąż nie rozumiał tego, co działo się wokół niego, gotów uznać alarm za zwykłą pomyłkę. Widząc jednak, że nikt nie podziela jego niewiary w możliwość nalotu, odłożył widelec, który wciąż trzymał w dłoni, na brzeg stołu i szybkim krokiem ruszył do wyjścia, przy którym stał esesman.

Był to już najwyższy czas, gdyż odległy szum silników samolotowych przeszedł w głęboki dudniący głos, zbliżający się coraz szybciej. Na niego nałożyły się odległe strzały dział przeciwlotniczych, ale rzadkie i chaotyczne, co wskazywało, że miasto nie było przygotowane do obrony.

- Przerwywamy spotkanie - oznajmij pospiesznie Scheid. - Proszę do schronu przeciwlotniczego. Po zakończonym nalocie spotykamy się w apartamencie pana von Schródera.

Jeden po drugim zbiegali schodami do prowizorycznego schronu, jaki urządzono w piwnicach hotelu, co miało tę dobrą stronę, że dostęp do trzymany tam win był znacznie ułatwiony.

- Dziwny ten nalot. - Schröder z kieliszkiem bordo w dłoni przysiadł na wąskiej ławce obok Scheida. Nie omieszkał kilkakrotnie sprawdzić bukiet wina, aby się przekonać, że nie ma w nim moczu.

- Może być pomyłka. To się często zdarza, zwłaszcza Amerykanom. - Scheid wydawał się całkowicie spokojny. - Po prostu pomylili miasta.

- Oby nie pomylili hoteli - mruknął Schröder.

Głuchy łoskot eksplodujących w pobliżu bomb odbił się od kamiennego stropu. Ściany zdawały się drżeć od fal wybuchów.

- Bombardują stare miasto. Blisko - powiedział któryś z przemysłowców.

Potem zapadło milczenie. Wsłuchiwali się w odgłosy dobiegające z zewnątrz, starając się ustalić, jak daleko od nich eksplodują

283

bomby. Świadomość, że stają się coraz rzadsze i oddalają się, podziałała kojąco na wszystkich. Wielu z nich poznało grozę alianckich nalotów na Hamburg, Kolonię i Schweinfurt. Ten był zdecydowanie krótszy i lżejszy, jakby lotnicy zorientowali się, że atakują nie ten obiekt, który powinni.

- Alarm odwołany! - w drzwiach schronu stanął ktoś z recepcji, najwyraźniej ucieszony, że bomby spadły dość daleko.

- Idziemy do apartamentu doktora Schrodera - oznajmił Scheid.

- Dwieście dwadzieścia trzy - przypomniał Schröder. - Kieliszki możecie tu zostawić!

- Czy chcieliby panowie się odświeżyć? - Scheid zerknął na zegarek i uznał, że mają jeszcze trochę czasu.

Kilkanaście głosów zaprzeczyło energicznie. Najwyraźniej chcieli jak najszybciej zakończyć to zebranie i wyjechać z miasta, bojąc się, że amerykańscy lotnicy znowu mogą się pomylić. Michał próbował wyprostować nogi, ale nie udało mu się to w wąskim schowku zastawionym wiadrami i szczotkami. Co najgorsze, musiał uważać, żeby nieopatrzny ruchem nie wywołać hałasu, który zaalarmowałby esesmanów często przemierzających korytarz przed apartamentem Schrodera.

Przez dwie godziny w słuchawkach panowała cisza, więc zastanawiał się, czy przemysłowcy nie zmienili planów i nie zrezygnowali z zebrania przy stole Schrodera. Potem nastąpił nalot, na szczęście niecelny i krótki, a po kilku minutach od jego zakończenia usłyszał, jak otwierają się drzwi, tupot kilkunastu osób, szuranie krzesel. Mikrofony zainstalował nisko w drzwiach, tuż przy zawiasach, więc wykrycie ich, choć możliwe przy pobieżnym nawet przeszukiwaniu pokoju, wydawało się mało prawdopodobne w wyniku przypadku, choć i tak się z tym liczył. Na szczęście dla niego, esesmani nie poszukiwali ukrytych mikrofonów, pewni, że nic takiego im nie grozi.

- Czekam na jasną odpowiedź - usłyszał w słuchawkach głos jednego z przemysłowców. - Jaki cel ma ta operacja?

- Musimy sobie powiedzieć otwarcie - to był głos prowadzącego zebranie Scheida - wojna została przegrana. I stało się to w momencie, gdy wojska zachodnich aliantów wylądowały na brzegach

284

Francji. Rzesza jest atakowana z trzech stron: od zachodu, południa i wschodu. A jak dzisiaj mogliśmy sobie przypomnieć, także z czwartej strony, z powietrza. Nie oznacza to jednak, że Rzesza ma zginąć. Musimy przygotować ją do przetrwania.

- Czy to znaczy, że Rzesza zostanie odtworzona na innym niż Niemcy terenie? - zapytał ktoś.

- Tak, taki cel ma wielka operacja naszego rządu. Rozdam panom listę amerykańskich przedsiębiorstw takich jak Hamburg--America Linę czy Chemical Foundation Incorporation. Powinniście nawiązać kontakt z tymi firmami, indywidualnie, nie zwracając na siebie uwagi, w celu otrzymania od nich pomocy przy maskowaniu aktywów swoich przedsiębiorstw, które przekażecie za granicę.

Z rozmów, które słyszał, wyraźnie wyłaniał się obraz wielkiej operacji finansowej.

Największe niemieckie banki i przedsiębiorstwa przemysłowe miały przetrząść do Ameryki Północnej i Południowej swoje aktywa i maskować je tam, aby wykorzystać je po wojnie do odtworzenia Rzeszy.

- Rezerwy finansowe, które będziecie tworzyć w obcych krajach, w odpowiednim czasie zostaną oddane do dyspozycji partii, aby po klęsce można było odtworzyć silne niemieckie imperium - usłyszał czyjś głos.

Dla Michała najważniejsze było to, że zebranie prowadził esesman Scheid. To wskazywało jednoznacznie, że na czele tego imperium miał ochotę stanąć Heinrich Himmler.

Gerard otworzył tylne drzwi do recepcji i dał znać stojącemu tam kierownikowi, że przychodzi, aby zgłosić problem: odłamek uszkodził przewody zasilające urządzenia w pralni. Ten, zajęty rozmową z esesmanem, nie zwrócił na niego uwagi.

- Tylko klucze od niezajętych pokoi na drugim piętrze? - zapytał esesmana.

- Najpierw tak.

Kierownik podszedł do dużej tablicy i zaczął wybierać klucze.

Gerard wycofał się z recepcji w tym samym momencie, gdy esesman wezwał gestem trzech stojących dalej żołnierzy, aby przekazać im klucze. Kątem oka zauważył, jak otwierają się drzwi do windy. Ruszył w tamtą stronę, starając się nie zwrócić na siebie uwagi esesmana, który rozglądał się po holu.

285

- Jedź na drugie piętro, jak możesz najszybciej - syknął do windziarza, który patrzył na niego zaskoczony. - Zamykaj, do cholery, te drzwi.

Windziarz posłusznie nacisnął dźwignię. Drzwi zasunęły się bezszelestnie w momencie, w którym esesmani odwrócili się, najwyraźniej z zamiarem dojechania na wyznaczone piętro. Uprzedził ich o sekundy.

- Jak wysadysz mnie na drugim, to jedź na trzecie i postój tam przez minutę - powiedział do windziarza, który patrzył na niego, wciąż nie rozumiejąc, o co chodzi, ale posłusznie wykonał polecenie.

Gerard rozejrzał się po korytarzu. Było pusto. Esesmani najwyraźniej czekali na windę, gdyż nie chciało im się wchodzić po schodach na drugie piętro.

Kilkoma susami dopadł do drzwi schowka. Uchylił je, ponownie rzucając baczne spojrzenia.

- Wychodź stąd - krzyknął. - Natychmiast!

Michał wyrwał kabel, który poprowadził przez dziurę w cokole tuż nad podłogą, i wyłączył wzmacniacz.

Wyszedł ze schowka i podążając za Gerardem, pomknął w stronę służbowej windy, której drzwi były zablokowane za pomocą kija od szczotki. Wpadli do wnętrza, gdy na schodach słychać było kroki podkutych butów esesmanów.

- Usłyszałem, że mają sprawdzać wszystkie niezajęte pokoje na tym piętrze. Pomyślałem, że nie ominą schowka. - Gerard był zdyszany i podniecony jak człowiek, który minął śmiertelne niebezpieczeństwo o włos.

- W porządku. - Michał poklepał go po ramieniu. - Jeżeli przeżyję tę wojnę, to wystąpię do polskiego rządu o medal dla ciebie.

- Dziękuję, przyjacielu - Gerard uśmiechnął się szeroko. - Nie mam żadnego polskiego odznaczenia!

- A w ogóle masz jakieś?

- Nie, ale chciałbym, żeby pierwsze było polskie!

- A to dlaczego?

- Wiesz, ile pięknych Polek mógłbym na to uwieść?

Winda zatrzymała się. Wyszli ostrożnie na korytarz, nad którym w wielkiej wyrwie w dachu widać było nocne niebo.

286

- To po nalocie. Odłamek przebił się przez dach. Pan Eugene Haller, zastępca dyrektora, został ranny. Myślisz, że to po twojej wiadomości o spotkaniu?

- Tak sędzę, tylko fatalnie celowali.

- Dzięki Bogu - Gerard przeżegnał się.
- Mogą powtórzyć nalot jutro. Trzymaj się daleko stąd.

8. Wspólnicy

Walter Schellenberg poczuł się znacznie lepiej, gdy podległy mu Urząd VI Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przeniósł się do nowej siedziby przy Berkerstrasse 2 w południowo-zachodnim Berlinie. Modernistyczny trzypiętrowy dom należący kiedyś do organizacji żydowskiej, ciągnący się wzdłuż narożnika dwóch ulic, był wygodny i reprezentacyjny. Okna jego gabinetu na pierwszym piętrze wychodziły na spokojną ulicę obsadzoną wysokimi lipami, a ten widok pozwalał mu na skupienie i spokojne rozważanie spraw, które komplikowały się coraz bardziej, im koniec wojny wydawał się bliższy.

Schellenberg zaczynał bać się, gdyż wiele zdarzeń wskazywało, że jego główny wróg, szef Gestapo Heinrich Müller zebrał dowody jego udziału w lipcowym zamachu na Hitlera, a może nawet w innych działaniach przeciwko Fuhrerowi, w jakie Schellenberg zaangażował się już w lutym 1944 roku. To on brał udział w opracowaniu szczegółów planu „Porwanie” przewidującego, że grupa esesmanów obezwładni Hitlera i przemyci go do Hiszpanii. W pobliżu Walencji miał czekać specjalny oddział komandosów, który dostarczyłby Fuhrera do Stanów Zjednoczonych. Plan rozwijał się bez przeszkód, dopóki nie zawiodło madryckie ogniwo. Współpracownik niemieckiego attache policyjnego w ambasadzie niemieckiej Letellier wykradł z sejfu notatki dotyczące tej operacji i sprzedał Brytyjczykom. Schellenberg uznał, że należy natychmiast porzucić plan. Nie wycofał się jednak z działań, które miały odsunąć Hitlera od władzy. Znał dobrze antyhitlerowskie poglądy Clausa von Stauffenberga i wiedział, że to za wstawiennictwem Himmlera

287

jednoręki pułkownik został szefem sztabu Armii Rezerwowej, co dawało mu dostęp do narad z udziałem Fuhrera i możliwość przeprowadzenia zamachu. Potem, już w lipcu 1944 roku, Schellenberg nadzorował przerzut brytyjskich zapalników chemicznych, które David McEwan, oficer Secret Intelligence Service, przekazał jednemu ze spiskowców. Te posunięcia Schellenberga uszły uwadze Gestapo, ale drobiazgi zdekonspirował go. W pamiętną noc po zamachu dwudziestego lipca zadzwonił do niego jeden ze spiskowców z ich kwatery głównej na Bendlerstrasse, aby poinformować o sytuacji. Rozmowa została podsłuchana przez Gestapo. Znalezienie innych dowodów powiązań Schellenberga ze spiskowcami było już kwestią czasu.

Przesunął stertę dokumentów, które jak zwykle przeglądał po przyjściu do pracy, i sięgnął po raporty zamknięte w teczce z napisem „najważniejsze”. Ich lekturę zostawiał zawsze na koniec, gdyż wiedział, że zawierają informacje szczególnie istotne. Co prawda po zlikwidowaniu Abwehry można było zaobserwować wyraźny spadek aktywności niemieckiego wywiadu, ale Schellenberg uważał to za przejściowe zamieszanie.

- Pani von Netz na drugiej linii, czy przyjmie pan połączenie? - zameldowała sekretarka. Zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie to nazwisko, ale nic mu nie mówiło.

- Jak ona się nazywa?

- Kerstin von Netz.

- Ach, tak, połącz. - Dopiero imię przywołało wspomnienie pięknej brunetki, której nie widział od kilku lat.

- Pan brigadefuhrer Schellenberg? - usłyszał jej głos.

- Tak.

- Czy przyjmie pan starą przyjaciółkę, niewidzianą od pięciu lat?

- Nie sądzę, aby upływ czasu miał jakikolwiek wpływ na naszą znajomość. Kiedy może pani przyjść do mojego gabinetu?

Starał się zachować oficjalny ton, zdając sobie sprawę, że ta rozmowa może być podsłuchiwana przez Gestapo.

- Czy nie możemy znaleźć bardziej nieformalnego miejsca?
- Dobrze, tu na rogu Hohenzollerndamm jest urocza włoska kawiarnia. Będę tam o dwunastej.
288

- Dziękuję, panie brigadeführer.

- Gdybym się spóźniał, to proszę powiedzieć kelnerowi, że jest pani umówiona ze mną. Już widział, jak gestapowcy wskakują do samochodu i pędzą do kawiarni „Michaelo”, aby założyć fartuchy kelnerów i zamontować mikrofony pod stolikiem. Uśmiechnął się z przekąsem. Nic z tego. Dawno już wybrał tę kawiarnię na bezpieczne spotkania. Mikrofony oczywiście były zamontowane pod każdym stolikiem, ale po to, aby nagrania służyły jego służbom. Nie musiał też obawiać się, że któryś z gestapowców usiadzie z gazetą przy stoliku obok, gdyż z połamanymi rękami wyleciałby na śmietnik, a Hans z twarzą z bliznami po brzytwie tłumaczyłby się, że nie wiedział, iż wyrzuca gestapowca, a nie jakiegoś złodzieja, który chciał okraść klientów.

Starł dłonią pył z biurka. Każdego dnia sprzątaczkę czyściły je do połysku, a po kilku godzinach na blacie zbierał się szary pył. To popiół z płonących domów, który wciskał się w każdy zakamarek niszczonego miasta.

Czemuż to piękna Kerstin przypomniała sobie nagle o nim? Być może poszukiwała jego protekcji, może zaplatała się w jakąś niebezpieczną sprawę wywiadowczą, ale to nie było do niej podobne. Musiała działać na czyjeś polecenie. Czyje? Może szefa Gestapo.

Tuż przed dwunastą sięgnął po czapkę. Przekazał sekretarce, dokąd wychodzi i kiedy wróci, i wyszedł z gmachu Urzędu VI. Zauważył, jak mężczyzna stojący po drugiej stronie ulicy zwinął gazetę, wsunął ją do kieszeni i ruszył równym z nim krokiem. To był jeden z agentów jego ochrony.

Kerstin siedziała w głębi niewielkiej sali, daleko od okna, przy stoliku na niewielkim podwyższeniu, które oddzielało go od innych.

Jak zwykle wyglądała olśniewająco, jakby lata, które minęły od czasu gdy widział ją w alpejskiej miejscowości, dodały jej urody. Pomyślał, że powinien sprawdzić, tak dla własnej ciekawości, w dziale personalnym, ile ma lat, ale szybko odrzucił tę myśl.

- Czy nie obawia się pan podsłuchu? - zapytała, gdy tylko usiadł naprzeciw niej. Pokręcił głową.

- Tutaj możemy rozmawiać całkowicie swobodnie.

- Nie sądziłam, że są jeszcze takie miejsca w Niemczech.

289

- Są, te, którymi zajmują się tajne służby. Skinał na kelnera, aby podał mu kawę.

- Czemu to przypomniała sobie pani o mnie?

- Och, po śmierci mojego biednego męża zamieszkałam w Szwajcarii i rzadko przyjeżdżam do Niemiec. Pan rozumie, wojna.

- Cóż więc stało się takiego w Szwajcarii?

- Panie Schellenberg, czy mogę mówić Walterze?

- Ależ oczywiście.

- Walterze... - przerwała, widząc, że podchodzi kelner z kawą, i po chwili podjęła. -

Przekazano mi, abym ostrzegła cię o grożącym niebezpieczeństwie.

- Przywykłem do tego.

- Wiem, jak ceni cię Heinrich Himmler, ale nie lekceważ tego ostrzeżenia. Los Langbehna może być przestroga.

Była zbyt dobrze zorientowana w powikłanych sprawach SS, aby nie zaczął podejrzewać, że ktoś kazał jej powołać się na przypadek Carla Langbehna, aby go przestraszyć. Kto to mógł być? Czy to prowokacja Miillera?

Carl Langbehn, prawnik, reprezentował Himmlera w tajnych negocjacjach pokojowych w Szwajcarii, a więc Kerstin mogła spotkać go tam, czy nawet zostać włączona do tych działań.

Gestapo odszyfrowało jedną z depeesz, jaką nadał stamtąd, i aresztowało go. Himmler nie tylko nie kiwnął palcem, aby ratować swojego emisariusza, ale z jego rozkazu poddano go strasznym torturom. Chodziło nie o to, aby wydobyć prawdę o tajnych negocjacjach, lecz aby uniemożliwić mu składanie zeznań.

- Droga Kerstin, czy możesz mówić otwarcie?

- Nie do końca, ale mogę przekazać ci, że Miiller zamierza cię aresztować. I to szybko.

Wzruszył ramionami, starając się zachować obojętny wyraz twarzy, choć słowa Kerstin uderzyły go. Po lipcowym zamachu na Hitlera Gestapo rozpoczęło bezwzględna rozprawę z opozycją, w której było wielu tajnych współpracowników Himmlera. Oni walczyli o stworzenie nowych Niemiec, godząc się z tym, że miejsce Hitlera zajmie Himmler, którego przyjmowali za polityka bardziej pragmatycznego, zdolnego podpisać pokój z Zachodem i uchronić Niemcy przed bolszewicką nawałą, jaka zbliżała się ze wschodu.

290

Ci ludzie, jak Langbehn, Popitz, Luther, Górdeler i wielu innych, którzy liczyli na ochronę ze strony reichsführera SS, znaleźli się w więzieniu, a wyrok śmierci dla nich był przesądzony. Schellenberg musiał mieć minę, którą Kerstin oceniła jako wyraz niewiary w jej słowa, gdyż przysunęła się jak mogła najbliżej. Jej usta niemalże dotykały jego policzka.

- Nie wierzysz mi? Schellenberg nie zareagował.

- Pamiętasz astrologa, który przewidział, że w listopadzie 1939 roku nastąpi zamach na Hitlera?

Zmarszczył brwi. Przypomniała mu wydarzenie, które bardzo zaniepokoiło Himmlera, gdy dowiedział się, że szwajcarski astrolog robi wszystko, aby ostrzec Hitlera przed niebezpieczeństwem.

- Karl Ernst Kraft. Szwajcarski astrolog. Trzydzieści dziewięć lat i wielkie osiągnięcia.

- Ach, tak! - Kerstin wydawała się zaskoczona jego pamięcią. - A wiesz, co się z nim stało?

- Nie interesowałem się.

- Bo Himmler ukrył to przed tobą. Pan Kraft przeniósł się do Niemiec i został aresztowany w 1941 roku. Nie wiem, czy żyje, ale bardzo w to wątpię. A jeżeli żyje, to już niedługo.

Schellenberg patrzył na nią bez słowa, starając się dociec, czyje zlecenie wykonywała, ostrzegając go. A może, zdając sobie sprawę, że Trzecia Rzesza rozsypie się za parę miesięcy, starała się znaleźć nowe miejsce i uznała, że Schellenberg pozostanie na szczytach władzy. Przecież tak bardzo lubiła ten świat. Doszła do wniosku, że warto zadbać o jego względy, a może nawet wdzięczność.

Kerstin przesunęła wizytówkę w jego stronę.

- Drogi Walterze, mam piękne mieszkanie w Bazylei. Gdybyś był w Szwajcarii, odwiedź mnie.

Wstała i skinęła dłonią na pożegnanie.

- Możesz zostać, jak długo będziesz chciał - dodała z uśmiechem, który obiecywał wiele namiętnych nocy.

Podniósł się.

- Dziękuję, będę pamiętał.

Odprowadził Kerstin do samochodu i szybko wrócił do kawiarni.

291

- Przekaż wiadomość pani Kou - powiedział cicho do kelnera, który stanął obok. Ten skinął głową.

Wrócił do gabinetu spacerem, starając się nie wykazywać pośpiechu. Nie mógł zdradzić, że spotkanie we włoskiej kawiarni pozostawiło jakiegokolwiek wrażenie. Poza tym potrzebował trochę czasu, aby wszystko przemyśleć.

Sięgnął po słuchawkę telefonu łączącego go bezpośrednio z Himmlerem. Nie podniósł jej. Uznał, że spotkanie z Kerstin mogło być prowokacją nastawioną na skłonienie go do działania. Gestapo rozstawiło swoje czujki i śledzi jego ruchy.

Oparł się wygodnie na fotelu. Przypomniawszy sobie rozmowę ze snajperem, szkolącym młodych strzelców.

- W przyrodzie tylko ruch jest zauważalny. Nikt cię nie dostrzeże, jak w maskującym kombinezonie będziesz leżał spokojnie, a spróbuj wstać i już jesteś widoczny dla wroga. Dlatego na stanowisko strzeleckie masz dotrzeć tak, jakbyś wciąż leżał bez ruchu.

I demonstrował, jak nadzwyczaj wolno posuwa się do przodu. Jego ruch był tak spokojny, że uważny obserwator mógł uznać, że to faluje trawa poruszana wiatrem.

Schellenberg postanowił, że zadzwoni do Himmlera wieczorem, aby nie łączono tej rozmowy z południowym spotkaniem z Kerstin. Musiał przekazać reichsfuhrerowi, że wypuścił dzina z butelki i tylko on może go zatrzymać. Skoro Himmler tak bał się ujawnienia kontaktów z aliantami, że likwidował swoich wysłanników, to jak bardzo musi obawiać się ujawnienia operacji „Heinrich”!

A swoją drogą postanowił odwiedzić Kerstin, gdy tylko będzie w Szwajcarii.

9. Raport Wadingtona

Deszcz rozmazywał się długimi strugami na oknie, na którym umieszczono szyld pubu „Engineers Arms” przy Great Portland Street. Michał odsunął koniec żółtej firanki, aby lepiej widzieć ulicę błyszczącą od wody. Urszula spóźniła się.

292

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzynasta, więc do odjazdu pociągu pozostało mu jeszcze ponad półtorej godziny. Nie martwiło go to, gdyż stacja metra, którym dojeżdżało się do stacji King's Cross, była kilka minut spaceru od pubu. Mógł jeszcze spokojnie czekać.

Gdy tylko lysander, który zabrał go z polany pod Strasburgiem, wylądował na lotnisku Northolt, czekał już tam samochód z dwoma agentami. Nie odzywali się przez całą drogę do Baker Street w centrum Londynu, gdzie mieściła się kwatera główna Zarządu Operacji Specjalnych. Nie dali mu odpocząć, każąc spisać zapamiętaną rozmowę niemieckich przemysłowców, a następnie przesłuchiwali przez całą noc. Angielscy oficerowie byli uprzejmi, ale z dystansem, i bardzo dociekliwi. Rozumiał to. Chodziło o to, aby jak najszybciej zebrać jak najwięcej szczegółów, z których każdy mógł mieć wielkie znaczenie, w zestawieniu z innymi, nieznanymi przesłuchiwanemu. Niedogodność rozmowy polegała na tym, że Michał nie mógł przyznać się do znajomości ze Schröderem, kluczowej dla jego sukcesu w podsłuchaniu narady przemysłowców w hotelu. Zręcznie ominął wyjaśnienie, skąd się dowiedział, w której sali miała odbywać się narada, i przypisał to współdziałaniu z Gerardem, zdając sobie sprawę, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Nie to było ważne. Ujawnił wielką operację, która mogła mieć niezwykle konsekwencje dla powojennego świata.

- Przyjmuję, że pana sprawozdanie wiernie oddaje przebieg rozmów - powiedział major Dunderdale, przerzucając kartki - choć nie jest to stenogram. Czy nie padały tam słowa, których nie pamiętał pan podczas pisania raportu? A może jakieś pana wrażenie, którego nie zawarł pan tutaj?

- Tak - Michał skinął głową - odniosłem wrażenie, że uczestnicy tej narady nie wymieniali z nazwiska jej organizatora, ale chodziło o Himmlera. On jest osobiście zainteresowany tranzytem kapitałów.

- Chce pan powiedzieć, że zamierza stanąć na czele Czwartej Rzeszy, jaka ma powstać po wojnie, a co jeden z przemysłowców nazwał... - Dunderdale zerknął do kartki - „...„nowym imperium”?

- Takie wrażenie odniosłem.
- Czyli nie biorą pod uwagę odpowiedzialności Himmlera za zbrodnie wojenne?

293

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzynasta, więc do odjazdu pociągu pozostało mu jeszcze ponad półtorej godziny. Nie martwiło go to, gdyż stacja metra, którym dojeżdżało się do stacji King's Cross, była kilka minut spaceru od pubu. Mógł jeszcze spokojnie czekać.

Gdy tylko lysander, który zabrał go z polany pod Strasburgiem, wylądował na lotnisku Northolt, czekał już tam samochód z dwoma agentami. Nie odzywali się przez całą drogę do Baker Street w centrum Londynu, gdzie mieściła się kwatera główna Zarządu Operacji Specjalnych. Nie dali mu odpocząć, każąc spisać zapamiętaną rozmowę niemieckich przemysłowców, a następnie przesłuchiwali przez całą noc. Angielscy oficerowie byli uprzejmi, ale z dystansem, i bardzo dociekliwi. Rozumiał to. Chodziło o to, aby jak najszybciej zebrać jak najwięcej szczegółów, z których każdy mógł mieć wielkie znaczenie, w zestawieniu z innymi, nieznanymi przesłuchiwanemu. Niedogodność rozmowy polegała na tym, że Michał nie mógł przyznać się do znajomości ze Schröderem, kluczowej dla jego sukcesu w podsłuchaniu narady przemysłowców w hotelu. Zręcznie ominął wyjaśnienie, skąd się dowiedział, w której sali miała odbywać się narada, i przypisał to współdziałaniu z Gerardem, zdając sobie sprawę, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Nie to było ważne. Ujawnił wielką operację, która mogła mieć niezwykle konsekwencje dla powojennego świata.

- Przyjmuję, że pana sprawozdanie wiernie oddaje przebieg rozmów - powiedział major Dunderdale, przerzucając kartki - choć nie jest to stenogram. Czy nie padały tam słowa, których nie pamiętał pan podczas pisania raportu? A może jakieś pana wrażenie, którego nie zawarł pan tutaj?

- Tak - Michał skinął głową - odniosłem wrażenie, że uczestnicy tej narady nie wymieniali z nazwiska jej organizatora, ale chodziło o Himmlera. On jest osobiście zainteresowany tranzytem kapitałów.

- Chce pan powiedzieć, że zamierza stanąć na czele Czwartej Rzeszy, jaka ma powstać po wojnie, a co jeden z przemysłowców nazwał... - Dunderdale zerknął do kartki - ..., „nowym imperium”?

- Takie wrażenie odniosłem.

- Czyli nie biorą pod uwagę odpowiedzialności Himmlera za zbrodnie wojenne?

293

- Najwidoczniej.

Dunderdale spojrzał na trzech oficerów siedzących za stołem obok niego, ale żaden nie miał już pytań.

- To dziękujemy panu. - Wstał i wyciągnął rękę do Michała. - Dokonał pan wielkiego odkrycia.

Michał z ulgą podniósł się z twardego krzesła.

- Teraz niech pan wypocznie w hotelu „White House”, który zarezerwowaliśmy, i jutro wraca do jednostki. Nie muszę mówić, że pana misja, jak i przesłuchanie ma charakter ściśle tajny.

- Jestem zobowiązany do przedstawienia jej wyników polskim władzom.

- Utrzymujemy ścisły kontakt z pułkownikiem Gano, który otrzyma pana raport i stenogram tego przesłuchania. Do zobaczenia.

Anglik zamknął teczkę i przez moment Michał dostrzegł na okładce „Mr. Wadington. Raport”. Czyżby nadali mu taki pseudonim?

Nie rozważał tego dłużej. Odwrócił się zadowolony, że po długim locie ze Strasburga i męczącym przesłuchaniu może pojechać do hotelu i wejść pod prysznic.

„White House”, ku zadowoleniu Michała, okazał się eleganckim hotelem, gdzie duży wyłożony marmurami hol robił jak najlepsze wrażenie. Recepcjonistka nie była zdziwiona

brakiem bagaży, co wskazywało najwidoczniej, że do tego hotelu wywiad brytyjski często kierował agentów wracających z zagranicznych misji.

Odebrał klucz i skierował się do budki telefonicznej, stojącej naprzeciw recepcji. W ostatniej chwili skręcił do niewielkiego kontuaru, na którym leżały wyłożone gazety. Wziął jedną z nich i zatrzymał się, udając, że czyta. Rozejrzał się szybko po sali. Mężczyzna siedzący na pluszowym fotelu obok schodów bez wątplenia był ochroniarzem mającym oko na wszystko, co się tutaj działo, i wszystkich wchodzących. Portier przy drzwiach też sprawiał wrażenie, że obserwuje otoczenie. Michał mógł więc przyjąć, że nie tylko telefony w pokojach są na podsłuchu, ale również w budce i na kontuarze recepcjonistki. Złożył gazetę i skierował się do windy, której drzwi dostrzegł w korytarzyku obok recepcji. Postanowił, że odpocznie kilka godzin, a następnie zadzwoni do Urszuli z budki telefonicznej na rogu ulicy.

294

Znowu odchylił firankę. Zobaczył Urszulę, jak przebiega przez jezdnię osłoniętą wielkim parasolem. Po chwili stanęła w drzwiach pubu, strzepując z peleryny krople wody. Dostrzegła Michała, ale nie podeszła do niego, lecz skierowała się do baru. Udawała, że go nie widzi. Stała przy barze przez kilka minut, czekając cierpliwie, aż barman przestanie nalewać piwo i zwróci na nią uwagę. Sama w żaden sposób nie starała się przyspieszyć jego leniwych czynności. Michał zauważył, że Urszula od czasu do czasu zerka przez ramię w stronę drzwi, i zrozumiał, że długie oczekiwanie przy barze potrzebne jej było do sprawdzenia, czy ktoś śledzący ją nie wszedł za nią. Wzięła wreszcie jakiś napój i skierowała się w głąb zadymionej sali, gdzie był wolny stolik. Usiadła plecami do ściany, tak aby widzieć wejście i okna pubu. Michał podszedł do niej.

- Mogę? - wskazał na stół obok. Zachowywał się jak przypadkowy gość piwiarni, który poszukiwał wolnego miejsca, a widząc atrakcyjną dziewczynę, przysiadł się do niej.

Skinęła głową.

- Odnosiłam wrażenie, że jestem śledzona. Po raz pierwszy w Anglii.

- Co to było?

- Zauważyłam samochód po drugiej stronie Buckingham Place, gdy wyszłam z hotelu „Rubens”. Potem dostrzegłam go niedaleko stąd. To nie był przypadek.

- Ktoś wiedział, że idziesz na spotkanie ze mną? Pokręciła głową.

- Jak rozmowa?

Pytała o przesłuchanie Michała w Zarządzie Operacji Specjalnych.

- Gorsze przeżyłem. Powiedzieli, że dostarczą kopię raportu do naszego wywiadu.

Wzrok Urszuli powędrował w stronę drzwi. Siedział do nich tyłem i nie chciał się odwracać, gdyż zdradziłby, że interesuje się wchodzącymi.

- Coś się stało?

- Człowiek w szarym trenczu. Wydaje mi się, że siedział w samochodzie. - Urszula wydawała się zaniepokojona.

295

- Dlaczego mieliby cię śledzić? Czy ktoś wiedział, że spotykasz się ze mną?

- Nie - powiedziała pewnie.

- Może to ludzie Dunderdale'a. Pilnują mnie, dopóki nie wyjadę do Szkocji.

Uśmiechnęła się, aby stworzyć wrażenie, że rozmawiają o jakichś błahostkach.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za godzinę mam pociąg.

- Proszę cię o jedno, poinformuj mnie, gdy zgłosi się do ciebie ta pani Kou.

- Chcesz mnie bronić.

- Nie, sam się obronisz. Chcę ci pomóc odzyskać dobre imię.

- Dziękuję...

Nie wiedział, co może jeszcze powiedzieć. Że zakochał się? Nie przesłoby mu to przez usta.

Zakłopotany spojrzął na zegarek. Chyba zrozumiała jego nastrój.

- Jaka szkoda, że jesteśmy obserwowani - powiedziała niespodziewanie. - Idź już, bo się spóźnisz na pociąg.

- Przyjeżdż - wstał od stolika i poszedł prosto do drzwi. Starał się dostrzec, czy mężczyzna, o którym mówiła Urszula, wciąż siedzi przy barze. Nie zauważył go. Najwidoczniej wyszedł wcześniej. Na ulicy też nie stał żaden samochód. Deszcz wciąż padał, więc postawił kołnierz kurtki i przyspieszył kroku.

Droga do dworca King's Cross nie zajęła mu dużo czasu. Kupił bilet i rozejrzał się po wielkiej hali kasowej, zastanawiając się, czy ma iść na herbatę do dworcowej kawiarni, czy może kupić popołudniową gazetę i usiąść na peronowej ławce, aby poczekać, aż podstawią pociąg. I wtedy zobaczył Chinkę. Początkowo nie zwrócił na nią uwagi, gdyż wielu Chińczyków, zwłaszcza najbogatszych, uciekając przez wojskami japońskimi, przyjechało do Anglii. Ona była jednak inna, więc szybko wrócił do niej wzrokiem. Nie miała w sobie nic z uchodźcy szukającego na obczyźnie schronienia przed wojenną zawieruchą. Jej rysy były delikatne, podkreślone starannym makijażem, fryzura, nadzwyczaj kunsztownie upięta pod niewielkim czarnym kapelusikiem, podkreślała szlachetność urody. Była

296

dość wysoka i nadzwyczaj zgrabna, co kazało raczej doszukiwać się w niej pochodzenia malajskiego niż chińskiego.

Szybko zniknęła w tłumie podróżnych spieszących na perony.

Kupił w kiosku gazetę i usiadł na ławce, aby dowiedzieć się, co interesuje londyńczyków.

Ponownie ją dostrzegł. Szła w jego stronę i po chwili stanęła przed nim.

- Mogę tu usiąść? - zapytała, wskazując na miejsce obok niego.

- Ależ oczywiście. - Odsunął się trochę, jakby robiąc jej więcej miejsca, choć ten ruch zupełnie nie miał sensu.

- Jestem pani Kou - powiedziała, siadając.

Nie pytała o nic, a więc musiała rozpoznać go i mieć całkowitą pewność, że zwraca się do właściwego człowieka.

W jaki sposób? Nie wyróżniał się zbytnio wśród tłumu podróżnych, z których wielu, tak jak on, było w mundurach.

- Powiem szybko - mówiła płynnie po angielsku, bez cienia obcego akcentu, co wskazywało, że urodziła się w tym kraju. - Pójdzie pan do Barclays Banku. Niedaleko stąd, na Great Portland Street. Skrytka numer osiemnaście na hasło „Talos”. To jest klucz.

Uniosła na chwilę dłoń, którą oparła na ławce, ukazując płaski kluczyk.

- W niej znajdzie pan dokumenty, które dostarczy pan do redakcji „Timesa”, do Johna Westa. Czeka na pana. Otrzyma pan czek na milion funtów, gdy tylko zweryfikują autentyczność dokumentów.

Mówiła szybko, nie dopuszczając Michała do głosu. I tak był zbyt zaskoczony, aby pozbierać myśli.

- Będzie tam kluczyk i numer drugiej skrytki w innym banku. Tam znajdzie pan swoje dokumenty. One nas nie interesują.

Szybko wstała, nie dając mu dojść do głosu, i zniknęła w tłumie równie szybko, jak się pojawiła.

Zbliżała się godzina odjazdu jego pociągu, ale był zbyt podniecony, aby o tym myśleć.

Rozkaz wyjazdu, jaki otrzymał w Zarządzie Operacji Specjalnych, przewidywał, że powinien zgłosić się w macierzystej jednostce dopiero następnego dnia. Miał więc czas, aby pójść do banku, dostać się do skrytki i dojechać do redakcji „Timesa”.

297

Wstał i spojrzął na budkę telefoniczną. Czy nie powinien zadzwonić do Urszuli? Szybko odgonił tę myśl, uznając, że nie wolno mu jej narażać. Pamiętał, co powiedział niemiecki oficer w Lublinie: „To może być niebezpieczne”. Ponadto całą sprawę otaczało zbyt wiele niewiadomych. Rozmowę w Lublinie prowadził na początku 1940 roku, a więc cztery lata temu, a sprawdziła się, co do joty. Jakże Niemiec mógł już wtedy przewidzieć, że pani Kou odnajdzie go w Londynie? Kim była? W jaki sposób rozpoznała go? Co za dokumenty zawierała skrytka na hasło „Talos”? Co oznaczało? Zgarnął kluczyk z ławki i wsunął do kieszeni munduru. Nie był w stanie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, ale natura hazardzisty kazała mu podjąć grę, niebezpieczną, ale pasjonującą. I ogromnie ważną, gdyż dającą szansę, że oczyści swoje dobre imię.

Spojrzał na wielki dworcowy zegar. Minęła druga. Miał jeszcze dużo czasu. Postanowił, że na Great Portland Street pójdzie piechotą.

Wąskie kamienne schody prowadziły do długiego korytarzyka za kratą, przy której stał strażnik. Na widok urzędnika, który szedł przed Michałem, otworzył dwa zamki i przepuścił ich. Po jednej stronie korytarza całą ścianę zajmowały niewielkie metalowe drzwiczki z numerami. Urzędnik odszukał numer osiemnaście i wsunął klucz do jednego z dwóch otworów, zachęcając Michała, aby włożył swój klucz do drugiego. Drzwi ustąpiły z lekkim szcękaniem i urzędnik wysunął z wnętrza długą metalową kasetkę.

- Tam proszę - wskazał na kilkoro wejść zasłoniętych kotarami. W niewielkim pomieszczeniu jasno oświetlonym lampą na suficie był tylko stolik z telefonem i krzesło.

- Zostawiam pana. - Urzędnik stał w wejściu. - Proszę podnieść słuchawkę, gdy pan skończy. Zaciągnął kotarę i odszedł szybko.

Michał położył kasetkę na stoliku. Przesunął palcem dźwignię blokującą pokrywę. Wewnątrz był plik kartek zwiniętych w rulon i zawiązanych tasiemką z lakową pieczęcią. Odłożył je na bok, widząc kopertę. Rozerwał ją szybko. Z wnętrza wypadł płaski kluczyk i niewielki kartonik, na którym ktoś napisał piórem „Lloyds Great Portland hasło Robinson”. Schował je starannie do kieszeni

298

i zapiął guzik, jakby bojąc się, że przedmioty te mogą się wysunąć, choć było to zupełnie niemożliwe. Rulon schował do żołnierskiego worka i zamknął kasetkę.

- Już chciałbym wyjść - powiedział do słuchawki i odsunął kotarę. Urzędnik, który czekał, rozmawiając ze strażnikiem, ruszył w jego stronę. Odebrał kasetkę i wsunął ją na miejsce do skrytki numer osiemnaście. Przekreślił dwa kluczyki i jeden zwrócił Michałowi. Szybko wyprowadził go do sali na górze.

- Gdzie jest oddział banku Lloyds na Great Portland? - zapytał Michał.

- Prawie naprzeciwko. - Urzędnik wyciągnął z kieszonki kamizelki staromodny zegarek na łańcuszku. - Niech pan się spieszy, bo niedługo zamykają.

- Cholera! - Michał odwrócił się szybko, nie widząc, że urzędnik ukłonił się grzecznie. Podbiegł do drzwi i wypadł na ulicę. Po drugiej stronie strażnik włożył wielką korbę do otworu w murze, zamierzając opuścić kratę zamykającą wejście.

Michał przebiegł przez ulicę, myśląc tylko, czy drzwi do banku będą otwarte. Nie zważając na strażnika, który wyprostował się najwyraźniej po to, aby poinformować go, że bank zakończył już urzędowanie, nacisnął klamkę. Ustąpiły i wpadł do środka.

- Już zamknięte. - Kobieta siedząca w kasie podniosła się. - Prosimy jutro od dziesiątej.

- Proszę pani, to sprawa życia i śmierci - powiedział do niej głosem tak dramatycznym, że spojrzała na niego zainteresowana.

- Muszę odebrać zawartość skrytki w waszym banku - pochylił się nad kontuarem i dodał: - W przeciwnym wypadku ktoś zginie. Niech mi pani uwierzy. Proszę panią...

- Dobrze, pomogę panu, ale nie wiem, czy krata do depozytów nie została już zablokowana. Nie ma żadnej możliwości otwarcia jej przed dziesiątą. To mechanizm zegarowy.

Wstała zza kontuaru i wskazała na drzwi w końcu sali.

- Chodźmy, może się uda. Czasami zegar blokujący spóźnia się.

- Nic z tego. - W drzwiach stanął strażnik, wciąż trzymając korbę, której zamierzał użyć do opuszczenia kraty. - Wczoraj wyregulowano zegar - dodał. - A teraz spieszy się i zablokował kratę o trzy minuty za wcześniej.

299

Wskazywał na czerwoną lampkę na panelu nad jego stanowiskiem przy drzwiach wejściowych, co miało znaczyć, że jej zapalenie informuje o zamknięciu wejścia do bankowych podziemi.

- No widzi pan. - Kobieta rozłożyła ręce. - Nie mam możliwości pomóc panu. Niech pan przyjdzie jutro. Tak mi przykro.

Wyszedł z banku prowadzony spojrzeniem strażnika i stanął na ulicy, zastanawiając się, co ma robić. Był już tak blisko dokumentów, które mogły potwierdzić jego niewinność. Już widział, jak następnego dnia zadzwoni do Urszuli, aby zakomunikować jej tę wiadomość i poprosić o przyjęcie przez pułkownika Gano, szefa wywiadu. Stałby przed nim i powiedział: „Nazywam się Michał Sosnowicz, skazany na piętnaście lat więzienia na podstawie intrygi uknutej przez niemiecką Służbę Bezpieczeństwa. Oto dowody”. A one były tak blisko, że miał ochotę nie ruszyć się z tego miejsca do rana.

- Przepraszam! Przepraszam! - Chłopak biegnący ulicą spieszył się do autobusu, który podjeżdżał do przystanku, i pędził co sił w nogach. Michał odsunął się o krok z jego drogi i w momencie, gdy chłopak zrównał się z nim, poczuł uderzenie w głowę. Nie na tyle silne, aby powalić go na ziemię, ale oszałamiające. Spojrzał na chłopaka, jakby zdziwiony, przez sekundę myśląc, że ten, rozpędzony, wpadł na niego, gdyż nie przewidział, że Michał odsunie się i zrobi mu drogę. W tym samym momencie ktoś pchnął go z tyłu, wprost na nadjeżdżającą furgonetkę. Zaczęła hamować gwałtownie. Michał odwrócił się gotów do obrony, choć wciąż jeszcze zaszokowany niespodziewaną sytuacją, gdy poczuł silne uderzenie w głowę, po którym zapadł w ciemność.

Ocknął się na wilgotnej betonowej podłodze. Na głowie miał kaptur, nie mógł więc zorientować się, gdzie się znajduje. Zapach ryb i odgłosy mew dolatujących z oddali zdawały się wskazywać, że przywieziono go do przystani lub portu.

Ręce ściągnięto mu grubym sznurem, który boleśnie wpił się w nadgarstki. Usiłował przewrócić się na bok.

- Ocknął się - usłyszał jakiś głos.

Bez wątplenia w jego otoczeniu byli dwaj mężczyźni. Drugi nie odpowiedział. Słyszał tylko jego kroki po posadzce. Po chwili poczuł, że wbito mu igłę w ramię, i znów stracił przytomność.

300

10. Sanatorium ludzi zdrowych

Heinrich Himmler podniósł się z fotela na tarasie podberlińskiego sanatorium Hohenlychen. Przyjeżdżał tu coraz częściej, aby znaleźć spokój i czas na refleksję. W końcu 1944 roku było oczywiste, że Trzecia Rzesza nie przetrwa uderzenia wojsk alianckich, gdy te rozpoczną marsz na Berlin. Rosjanie co prawda stanęli nad Wisłą, ale podciągali odwody, odbudowywali siły, gotowi lada miesiąc podjąć ofensywę, która mogła doprowadzić ich do Odry. Wojska anglo-amerykańskie po porażce pod Arnhem spowolniły swój marsz, tym bardziej że zaczynało im brakować zaopatrzenia. Dopiero dwudziestego ósmego listopada, po zdobyciu portu w Antwerpii, udostępnił go transportowcom, które każdego dnia dostarczały im niezbędny sprzęt, amunicję i posiłki. Hitler jeszcze wierzył w wielką ofensywę w Ardenach, którą zaplanował na początek grudnia, ale ona nie mogła zmienić losów tej wojny.

Podszedł do niskiej kamiennej bariery opasującej taras. Park mieniący się smutnymi kolorami jesieni wyglądał wspaniale w promieniach zachodzącego słońca, podświetlających żółte liście.

- Panie reichsfuhrer - w drzwiach prowadzących do salonu stanął jego adiutant Rudolf Brandt. - Ważna wiadomość z Londynu.

Himmler odwrócił się gwałtownie. Czekał na tę wiadomość bardzo niecierpliwie.

- Mów!

- „Łasica” melduje, że ma wszystkie dokumenty. Pyta, czy je zniszczyć, czy przekazać najbezpieczniejszą drogą. To wymagałoby wysłania okrętu podwodnego.

- Chcę je mieć - odpowiedział Himmler. W jego głosie można było wyczuć wyraźną ulgę. Fakt, że dokumenty operacji „Heinrich” wymknęły mu się z rąk, niepokoił go od dawna. Schellenberg obiecywał, że je zdobędzie, aż powiadomił go, że zdeponował papiery jako gwarancję swojego bezpieczeństwa.

Brandt odwrócił się.

- Wezwij Schellenberga - zatrzymał go Himmler. - Niech przyjedzie tu jak najszybciej.

301

|

Odczekał, aż adiutant zniknie za drzwiami, i klasnął w dłonie z radości. Właściwie powinien pozbyć się tego przebiegłego lisa. Dużo o nim wiedział. Za dużo.

- Brigadefuhrer Schellenberg już jedzie. Powinien być tutaj za pół godziny.

Himmler klasnął w dłonie, co zaskoczyło Brandta. Dawno nie widział szefa w tak dobrym humorze, więc wrócił szybko do salonu, zgadując, że Himmler chętnie wypije kieliszek szampana. Bez wątpienia był w nastroju zachęcającym do uczczenia sukcesu, o jakim meldowała „Łasica”, a którego Brandt nie mógł ocenić, gdyż nie wiedział, o co chodzi.

Otworzył butelkę i włożył do pojemnika z lodem. Postawił obok wysoki kieliszek i odwrócił się, żeby wynieść to wszystko na taras, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Schellenberg.

Widząc Brandta, zatrzymał się speszony.

- Przepraszam, reichsfuhrer wzywa mnie pilnie - powiedział, co zabrzmiało jak tłumaczenie się ze zbyt gwałtownego wejścia do salonu szefa.

Brandt wskazał na taras. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dostawić drugiego kieliszka na tacy, ale doszedł do wniosku, że nie warto.

- A, to pan, drogi przyjacielu - Himmler uśmiechnął się radośnie na widok Schellenberga. - Czekam na pana niecierpliwie, aby podzielić się świetną wiadomością.

Schellenberg zatrzymał się i patrzył zaskoczony tak ciepłym przyjęciem.

- Dżin wrócił do butelki - oznajmił Himmler. Podszedł i patrzył Schellenbergowi prosto w oczy.

- Niebezpieczeństwo, że najtajniejsze papiery trafią w niepowołane ręce, już zostało zażegnane.

Wskazał Brandtowi stolik, na którym miał postawić butelkę szampana.

- Dziękuję i proszę podać drugi kieliszek dla brigadefuhrera. Schellenberg starał się nie okazywać wrażeń, jakie zrobiły na

nim słowa Himmlera. Myślał gorączkowo, co spotka go za chwilę, ale nie umiał tego przewidzieć.

302

- Zwątpił pan we mnie. - Himmler nalał szampana do kieliszków i podał Schellenbergowi. - Przyznaję, że był czas, w którym uważałem pana za zagrożenie. Ale minął!

Podniósł kieliszek w toaście i wypił nieco.

- Nigdy zaś, drogi Schellenberg, nie rozważałem zamachu na pana.

Wydawało się, że mówi to całkowicie szczerze.

- Jest mi pan potrzebny - dodał.

Schellenberg podniósł wzrok i spojrzał Himmlerowi prosto w oczy. Jego bezbarwne, blisko osadzone źrenice przywodziły na myśl kobrę wpatrującą się w zdobycz, ułamki sekund przed atakiem. Jednakże nie obawiał się tego. Tym razem wierzył reichsführerowi. Skoro udało mu się przechwycić dokumenty zdeponowane w Londynie, to chęć współpracy mogła wynikać tylko z głębokiego przekonania, że Schellenberg przyda się do realizacji jakiegoś planu. Himmler odszedł kilka kroków i usiadł na wiklinowym foteliku, jednocześnie wskazując zapraszającym gestem na drugi.

- Potrzebuję pana kontaktów i znajomości w Szwecji i w Szwajcarii. Proponuję więc, abyśmy sobie zaufali.

- Dziękuję, reichsführer - Schellenberg po raz pierwszy od przybycia zdecydował się odezwać.

- Za pół roku Trzecia Rzesza legnie w gruzach - mówił dalej Himmler. - Hitler popełni samobójstwo lub będzie więźniem aliantów. I dałby Bóg, żeby byli to zachodni alianci. Oni też go powieszą, ale zrobią to w bardziej cywilizowany sposób.

- Nie liczy pan chyba, że z nami postąpią inaczej. - Schellenberg odzyskiwał siły.

- Po pierwsze należy zapobiec hańbiącej śmierci Fuhrera, gdyż byłby to koniec wielkiej idei nazizmu - Himmler mówił spokojnie, z całkowitym przekonaniem o słuszności swoich słów. - Musi więc popełnić samobójstwo lub zginąć tak, że będzie to wyglądać na samobójstwo.

- Nie sądzę, żeby się na to zdecydował.

- W jego otoczeniu mamy wielu wiernych ludzi. Na przykład Rattenhuber, Stumpfegger, nawet kamerdyner Hitlera, Linge -wymieniał tych, którzy mogli pomóc w zadaniu śmierci.

303

- A co z nami?

- Po drugie, my staniemy na czele Czwartej Rzeszy! Himmler podniósł się z fotelika.

Wyglądał groteskowo na jego

tle, stojąc na sanatoryjnym tarasie, gdzie wokoło czuć było swąd spalinowy unoszący się nad bombardowanym i płonącym co noc Berlinem.

- Alianci to zaakceptują, a pan ich do tego przekona. Schellenberg też wstał.

- Dziękuję za zaufanie, reichsführer - powiedział poważnie. Czuł się jak w 1939 roku, gdy Himmler, decydując się zabić Hitlera, wyznaczył mu główną rolę w rokowaniach z aliantami, w których miał doprowadzić do zawarcia pokoju. - Obawiam się, że nie mam argumentów...

- Ależ! - przerwał mu Himmler. - Ma pan! Niech pan pomyśli, że w naszych rękach jest sześć milionów Żydów. W obozach, na terenach okupowanych i tak dalej. Na samych Węgrzech mamy sześćset tysięcy tych cennych zakładników. Alianci będą chcieli ich ratować i chętnie podejmą negocjacje.

- Rozumiem. - Schellenberg nie był przekonany, jednakże w propozycji Himmlera widział swoją przyszłość. - Zdam panu sprawozdanie za kilkanaście dni.

Himmler skinął głową. Rozmowa wydawała się skończona. Schellenberg podniósł rękę i odwrócił się. Był już przy drzwiach tarasu, gdy usłyszał głos Himmlera.

- A pana alternatywne rozwiązanie? Niech mi pan nie mówi, że przyszedł pan do mnie, nie mając takiego. - Himmler wydawał się rozbawiony.

- Tak jest! Mam. - Schellenberg odwrócił się powoli. Sięgnął do kieszeni i wyjął fotografię, z którą podszedł do

Himmlera. Ten patrzył zdumiony na mężczyznę w policyjnym mundurze.

- To żart, Schellenberg? - Zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić. - Fotomontaż?

- Nie. - Schellenberg odpowiedział stanowczo. - Sierżant Heinrich Hitzinger. Żołnierz oddziału nazwanego specjalną kompanią pancerną. Ostatnio tworzymy takie w miejsce dywizji pancernych, które mieliśmy na początku wojny...

304

Himmler wciąż zdumiony przyglądał się fotografii.

- Dwa dni temu został skazany na śmierć przez sąd ludowy za defetyzm...

Schellenberg podszedł do niego.

- Kazałem wstrzymać wykonanie wyroku. Hitzinger przebywa w tej chwili w więzieniu.

- Dobrze pan zrobił. Co pan proponuje?

- Wyrok został ogłoszony i wszyscy uważają, że Hitzinger zginął rozstrzelany. Nie wyprowadzajmy z błędu rodziny.

- Chce pan, żeby modlili się za kupkę popiołu, którą otrzymają w urnie jako prochy swojego bliskiego.

Schellenberg skinął głową.

- Sądzę, że powinien go obejrzeć doktor Plótner. Ostatnio powiedział mi, że poczynił tak duże postępy, iż każdego może zamienić w Talosa.

Himmler zmarszczył brwi.

- Nie widzę związku...

- Talos, gigant wykuty z brązu przez Hefajstosa, aby strzegł Europy uprowadzonej przez Zeusa. Standartenfuhrer Sievers twierdzi, że Talos kierowany był przeszczepionym mózgiem ludzkim.

Himmler uśmiechnął się i machnął lekceważąco ręką na dźwięk nazwiska Sieversa. Jednakże porównanie do Talosa najwyraźniej spodobało mu się.

- Talos, strażnik Europy, to dobre, Schellenberg. Niech pan odda tego Hitzingera w ręce Plótnera.

- Coś mam przekazać?

- Nie - Himmler podał Schellenbergowi fotografię. - Gdy go zobaczy, wówczas wszystkiego się domyśli. To inteligentny człowiek.

Schellenberg starannie schował fotografię przedstawiającą sobowtóra Heinricha Himmlera.

Gdy tylko wyszedł, Himmler zawołał Brandta.

- Jakie wiadomości z Londynu?

- Oczekują na przybycie okrętu podwodnego.

- A mamy jeszcze jakieś? Czy już wszystkie leżą na dnie Atlantyku?

- Wyślemy niewielki okręt używany do przerzucania szpiegów. Dzisiaj wieczorem wyjdzie z Kilonii.

305

Himmler skinął głową i ponownie usiadł na wiklinowym foteliku.

Rozmowa z Schellenbergiem nastroiła go optymistycznie. Coraz bardziej był przekonany, że alianci zechcą z nim negocjować warunki zawarcia pokoju. Muszą zdawać sobie sprawę, że tylko on gwarantuje utrzymanie porządku w Niemczech i oddanie pod ich dowództwo licznych jeszcze dywizji Waffen-SS, aby zatrzymać bolszewików. Poza tym sześć milionów zakładników. Roosevelt i Churchill nie mogą nie wziąć tego pod uwagę, gdyż historia by im tego nie wybaczyła. Uśmiechnął się na tę myśl.

Poza wszystkim istniał plan alternatywny: „Talos”.

11. „Łasica”

Dwóch lub trzech mężczyzn chwyciło go za ramiona i nogi. Worek, który założyli mu na głowę, uniemożliwiał jakąkolwiek obserwację. Na szczęście materiał był dość luźno tkany i nie utrudniał oddychania.

Nieśli go w dół po schodach. Skrzypiały. Drewniane. Czuł powiew ostrego morskiego powietrza. Szybko zmęczyli się i oddychali ciężko. Nie byli silni. Uścisk ich dłoni rozluźniał

się. Wreszcie rzucili go, a właściwie upuścili. Uderzenie o drewnianą podłogę nie było silne, ale bardzo nieprzyjemne.

Ktoś złapał go za kołnierz i ciągnął przez kilka metrów po gładko wyszlifowanych deskach. To musi być pokład - pomyślał Michał. Czuł ostry zapach ryb. Najwidoczniej przeniesiono go na kuter zacumowany gdzieś w porcie.

Przesunął językiem po spieczonych wargach. Tak bardzo chciało mu się pić.

Nie miał pojęcia, gdzie jest. Nie mógł też uzmysłwić sobie, jak długo spał po narkotyku, jaki mu wstrzyknięto.

Słyszał rozmowy prowadzone półgłosem. Dlaczego obawiali się mówić głośno?

Podkurczył nogi i obrócił na bok. Ramieniem wyczuwał, że tuż za nim jest ściana jakiejś nadbudówki, i postanowił się o nią oprzeć.

306

Ręce miał związane na plecach, co bardzo utrudniało ruch. Przesunął się o pół metra i oparł mocniej o chropowatą ścianę.

Usłyszał za plecami kroki. Ktoś zbiegał. Po chwili rozległ się charakterystyczny odgłos uruchamianego silnika wysokoprężnego. Drzenie pokładu i lekkie bujanie uzmysłowiło mu, że odbijają od nabrzeża.

Dookoła panowała cisza. Co wskazywało, że port, z którego wypływali, był niewielki. Chyba była późna noc. Nie umiał sobie inaczej wytłumaczyć otaczającej go ciszy.

- To musi być noc - pomyślał, gdyż nagle uświadomił sobie, że nie słyszy ptaków.

Owiewało go zimne morskie powietrze zmieszane z kroplami wody, rozbijającej się o kadłub. Płynęli wolno, o czym świadczył miarowy, niewysilony warkot silnika. A może starali się zachowywać jak najciszej, dlatego nie zwiększali prędkości.

Dziób niewielkiego kutra uniósł się i po chwili zjechał w dół fali. Nieomylny znak, że wyszli poza główki, opuszczając spokojne wody niewielkiego portu rybackiego. Spod pokładu zaczął dobiegać wyraźny warkot, który powodował nieprzyjemne drzenie. Zwiększali prędkość.

Kark mu zeszywniał, a nie mógł zaprzeczyć się, gdyż buty ślizgały mu się po pokładzie zalewanym wodą. Udało mu się jedynie podciągnąć ręce. Poczuł, że pętla ściskająca nadgarstki lekko rozluźniła się, pozwalając krwi lepiej krążyć. Poruszył zdrętwiałymi palcami. Zapewne konopny sznur, którym spętano mu dłonie, nasiąkł wodą i trochę się rozciągnął.

Pomyślał, że spróbuje oswobodzić dłonie. A wówczas mógłby skoczyć do wody. Z miejsca, w którym leżał, było jakieś półtora metra, może dwa metry do burty. Nawet by nie zauważyli, w które miejsce wpadł.

Szybko porzucił tę myśl. Płynęli już kilka minut, a więc od brzegu musiało ich dzielić co najmniej kilkaset metrów. Skok do zimnej wody i próba przepłynięcia takiego dystansu musiałyby zakończyć się utonięciem lub śmiercią z zimna. Tym bardziej że leżał odrętwiały i jego mięśnie nie zniosłyby większego wysiłku.

307

Usiłował przewrócić się na bok, ale poczuł, jak ktoś przyciska go butem do pokładu. Cały czas go pilnowano, a więc nie miał co rozważać szans na przeżycie w zimnej wodzie.

Gdzieś z daleka dobiegł odgłos, jak krzyk mewy.

- Mewa w nocy? - pomyślał.

Usłyszał tupot na pokładzie. Ktoś podbiegł do dziobu.

Mewa znowu krzyknęła. Długo, przeciągle. Słyszał już ten odgłos. Gdzie go słyszał?

Nagle przypomniał sobie, jak ewakuowano ich spod Cherbour-ga na pokładzie starego parowca. Płynął wolno i drżał cały, jakby zardzewiałe blachy jego kadłuba miały za chwilę odpaść od wręg, pograżając wiekowy wehikuł w morskich odmętach. Może dlatego wszyscy żołnierze stali na pokładzie ciasno jeden obok drugiego i patrzyli na zmianę na niebo i coraz

lepiej widoczny brzeg Anglii. Bali się, że lada moment zobaczą straszne samoloty o złamanych skrzydłach. Stary karabin maszynowy Lewisa na dziobie mógł z równym powodzeniem służyć do strącenia niemieckiego samolotu, co do walki z pancernikiem. I wtedy usłyszeli krzyk mewy. Jeszcze daleko. Potem drugi, trzeci. Na pokładzie wybuchła wrzawa. Od wybrzeża płynęły trzy ścigacze artyleryjskie, których buczki wyły, aby dodać im otuchy. I zbliżyły się. Równo jak na paradzie, jeden obok drugiego, wypychając białą pianę za rufami.

Znowu ten sam krzyk mewy. Ostrzegawczy. Bliższy.

Nie mógł się mylić. Nadchodziły ścigacze. Wydawało mu się, że słyszy ryk ich silników.

Gdzieś z drugiej strony zabrzmiały głucho wybuchy.

Jego kuter rozbrzmiał głosami. Najwidoczniej załoga wpadła w panikę.

- Wyrzuć go! - usłyszał obok siebie.

Boże, czy to możliwe, że zna ten głos?! Musiał go gdzieś słyszeć, ale nie potrafił sobie uzmysłwić, gdzie.

Ktoś schwycił go za nogi i zaczął obwiązywać je łańcuchem.

- Zostaw, nie ma czasu. Za burtę go! Nie przeżyje! Znał ten głos! Nie miał wątpliwości.

Silne ręce złapały go za kostki i wlokły po chybliwym pokładzie. Szarpnął się, ale był zbyt osłabiony, aby stawić skuteczny opór. Poczł metalowy pręt, który wpił mu się pod kolanami.

308

Uniesiono jego tułów i poczuł, że spada. Nabral powietrza. Tak dużo, ile zdołał wciągnąć za jednym haustem. Zimna, strasznie zimna woda zamknęła się nad nim. Opadał przez chwilę.

Tonie się w wyniku paniki i zachłyśnięcia - uczył skoczków. -Nabierzcie powietrza, a wasze płuca, jak koło ratunkowe, wypchną was na powierzchnię.

Namokła materia worka oblepiła twarz. Zaczynał się wynurzać. Nie wiedział, jak głęboko zanurzył się, ale zdawał sobie sprawę, że odniósł już pierwszy sukces, nie poddając się panice.

Czy jest już na powierzchni? Mokry worek zasłaniający szyję i twarz uniemożliwiał orientację.

Podkulił nogi i odchylił głowę, aby w ten sposób sprawdzić, czy wypłynął. Gdyby był na powierzchni, mógłby się położyć na wodzie.

Głos okrętowego buczka stał się wyraźny i bliski. Wciągnął ustami powietrze. Krople z worka wpadły mu do ust, ale po chwili poczuł, jak płuca wypełniają się tlenem. Był na powierzchni.

Poruszył dłońmi. Odnosił wrażenie, że sznurek zluzował się na tyle, że zdoła wysunąć dłoń.

Seria z karabinu maszynowego zabrzmiała tuż nad jego głową. Kto strzelał?

Dłoń wysunęła się. Rozprostował ramiona i rozłożył je na wodzie, dając się swobodnie unosić przez moment. Potem dotknął szyi. Bez trudu wyczuł supeł materii. Szarpnął go i końce materiału obwiązującego głowę puściły. Odrzucił worek. Jaskrawe światło reflektora oślepiło go sekundę później, zanim zdołał zorientować się, co się dzieje. Zrozumiał, że załoga

ścigacza oświetla powierzchnię morza, szukając go. Podniósł wysoko rękę, co spowodowało, że na moment zanurzył się, ale jego dłoń pozostała nad wodą. Gdy wypłynął, zobaczył kadłub blisko siebie. Marynarz, obwiązany linką w pasie, stał mocno wychylony poza burtę i trzymał koło ratunkowe. Czekał, aż podpłyną najbliżej, i rzucił koło, które z pluskiem spadło tuż obok niego.

- Dobry strzał, chłopie! - chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu. Słabł.

Chwycił linkę z boku koła i zacisnął dłoń z całej siły.

Po raz pierwszy zaczynał się bać, że pójdzie pod wodę. Mięśnie zastygały w lodowatej wodzie. Czuł, że zbliża się najbardziej krytyczny

309

czas. Powinien przełożyć koło przez ramiona, tak aby utrzymywało go na powierzchni. Bał się puścić linkę, aby nie utonąć.

Stracił przytomność. Nie na długo. Może kilka sekund. Nie dostrzegł, jak to się stało, że chwytają go silne dłonie. A może to halucynacje? Może w ogóle w pobliżu nie ma żadnego okrętu!

Ciągną go góry. Krawędź pokładu kadłuba boleśnie przejechała mu po goleni. Znowu wszystko pokryła ciemność.

Zapamiętał tylko uczucie strasznego żalu...

Ciepło płynące z klatki piersiowej rozchodziło się powoli, ogarniając tułów i ręce.

Otworzył oczy. Widział mężczyznę pochylonego nad nim, który ułożywszy dwie dłonie na jego klatce piersiowej, naciskał rytmicznie.

- Chwała Bogu, wraca - powiedział mężczyzna, dostrzegając ruch jego głowy.

Gdzieś z tyłu wychyliła się Urszula.

- Jeśli jestem w niebie, to dobrze, że umarłem - odezwał się, chyba za głośno, bo mężczyzna podniósł się i zawiązał koc, otulając go.

- Weźcie go na dół, bo może jeszcze wszystko wygadać, a potem będzie żałować.

Dwaj marynarze podnieśli rogi koca, na którym leżał.

Nie przywidziało mu się. To nie były halucynacje, obok stała Urszula w luźnym granatowym kombinezonie, stanowczo dla niej za dużym. Mokre włosy ułożyły się w pasemka na twarzy.

- Bój się Boga, jak ty wyglądasz - uśmiechnął się do niej. Wciąż nie wierzył, że otacza go realny świat.

- Stał się bardzo religijny. - Lekarz przytrzymał go za puls i po chwili skinął do marynarzy, że mogą go zanieść do kajuty. - Modlić się możesz, rozmawiać raczej nie. Jesteś, bracie, słaby jak pisklę.

Zapadał w odrętwienie. A może to przychodził zdrowy sen, przywracający siłę. Odwrócił głowę.

Obok ich okrętu stał kuter, przywiązany linami cumowniczymi do drugiego ścigacza. Dwaj marynarze z pistoletami maszynowymi stali na dziobie i na rufie. Pośrodku, na niewielkiej nadbudówce, zapewne tej, o którą się opierał, zanim nie wyrzucono go do morza, siedział... Kodar.

- Niemożliwe! Majaki! - Michał zamknął oczy.

310

- Myślisz o Kodarze? - usłyszał głos Urszuli. - Zgadza się, to on.

- Zostawcie go w spokoju choć na parę godzin, bo padnie na serce! - Lekarz oddzielił go od Urszuli, uniemożliwiając im rozmowę, co i tak nie było potrzebne, gdyż marynarze wcisnęli go przez wąskie drzwi do korytarzyka. Przeszli kilka kroków i ostrożnie umieścili go na koi w kabinie dowódcy, jak zdążył się zorientować. Lekarz zamknął drzwi.

Szum silników nasilał się. Okręt dokonał ostrego zwrotu i po chwili zwiększył prędkość.

- Może naprawdę powinienem się przespać...

Jakby wbrew temu postanowieniu Michał spróbował podnieść się, ale szybko poczuł, że rzeczywiście jest bardzo słaby.

- Tak, powinienem się przespać. - Zamknął oczy.

Urszula przyszła, gdy leżał w niewielkiej sali szpitala. Usiadła cicho przy łóżku i czekała aż się obudzi.

- Gdzie jestem?- otworzył oczy.

- Szpital Royal Navy w Brighton. - Położyła dłoń na jego ręce. - Witaj w świecie żywych.

- Na pewno?

Podniósł się. Wstała i podsunęła mu poduszkę, aby mógł wygodnie siedzieć.

- Powiesz mi wszystko? Skinęła głową.

- To jak, do cholery, ja się tu znalazłem? - podniósł głos. - Dlaczego w moim życiu jest tyle spraw, których nie rozumiem? Czy Bóg się na mnie uparł, żeby mi podsuwać same zagadki?

- Nie rzucaj się, bo wyrwiesz kroplówkę. A może ci być jeszcze potrzebna. Opowiadam...

Usiadła na kręconym stołeczku przy łóżku.

- Wyłowiliśmy cię z morza w pobliżu Seaford...
- Co to? Nigdy tam nie byłem!
- Byłeś, bo zawieźli cię tam z Londynu. Zapewne po narkotykach...

Skinął głową potwierdzająco.

- Potem trzymali cię w jakiejś przystani i wczoraj wywieźli w morze, aby przerzucić na pokład okrętu podwodnego.

311

- Jak się tam znalazłaś?
- Pilnowałem cię od czasu, gdy rozstaliśmy się w pubie. Pamiętasz, jak mówiłam, że mnie śledzą?
- Tak...
- Zrozumiałam, że przeze mnie chcą dojechać do ciebie. Więc poszłam za tobą.
- Czyja spotkałem się z Chinką, czy mi się to śniło?
- Spotkałeś się, na dworcu. Potem poszedłeś do Barclays Banku, następnie do Lloydsa. Tam cię obezwładnili i porwali.
- Czy na kutrze widziałem Kodara?
- Tak, on jest niemieckimi agentem.
- Od dawna?
- Myślę, że od czasu, gdy Niemcy zdekonspirowali organizację „Olimp” we Wrocławiu. Załamał się i poszedł na współpracę. Ale może wcześniej...

Michał zamknął oczy. To wszystko, co stało się w czasie ostatnich dni, wydawało mu się koszmarnym snem. Najgorsze było to, że stracił wszystkie dokumenty.

- Wyrzucili wszystko za burtę? - zapytał z nadzieją, że Urszula zaprzeczy, ale ona pokiwała głową.
- W pierwszym banku odebrałeś jakiś rulon papierów. Wyrzucili je do morza.
- Czyli moja nadzieja na oczyszczenie się też utonęła...
- Przecież z drugiego banku nie zdołałeś odebrać depozytu. - Urszula była zdziwiona, że tego nie pamięta.

Michał usiadł na łóżku. Na białych policzkach rozlał się rumieniec.

- Gdzie moje ubranie!? - krzyknął tak głośno, że ranny marynarz leżący na łóżku vis-a-vis podciągnął się na poręcz, aby lepiej widzieć, co dzieje się z sąsiadem.
- A masz klucz do sejfu? - Urszula machnęła uspokajająco do pielęgniarce, która zainteresowana stanęła w drzwiach.
- O, cholera. - Nadzieja, która pojawiła się tak gwałtownie, równie szybko zanikła.

Oparł się o poduszkę.

- To jednak wszystko stracone. Ale może dyrekcja banku da się przekonać, żeby otworzyć tę skrytkę.

312

- Znasz numer?
- Nie, tylko hasło! Numer był na kluczu, dlatego nie sprawdziłem. Niech otworzą wszystkie!
- znowu krzyknął.

Urszula wstała.

- Jak posiedzę tu jeszcze minutę, to zdemolujesz pokój. Idę sobie.
- Nie rozumiesz, że tam są dowody mojej niewinności?! Że będę mógł wrócić do normalnego życia? - powiedział z tak ogromnym żalem, jakby to ona uniemożliwiła mu odzyskanie dobrego imienia.

- Wrócę jutro...

Pochyliła się nad nim i pocałowała w policzek. Przytrzymała ją za rękę.

- Przepraszam, ale...

Poczuł, że Urszula zacisnęła dłoń w piąstkę. Czując jego uścisk, powoli otworzyła ją i coś położyła mu na dłoni.

Patrzył na nią zaskoczony, jakby nie wierząc, że czuje w dłoni klucz do sejfu.

- Pilnuj tego, bo tam jest twój honor - dodała.

Odwróciła się szybko z uśmiechem, który zapamięta do końca życia.

12. Długi cień

Sierżant Arthur Britton odsunął hełm na tył głowy, lecz natychmiast uznał, że był to zły pomysł. Promienie majowego słońca dotarły do jego oczu, więc zmrużył je i czym prędzej przywrócił płaski hełm brytyjskich wojsk na dawne miejsce, opuszczając jego brzeg nisko, tuż nad same powieki. Mijała czwarta godzina służby na zatłoczonym moście nad rzeką Oste w Bremervörde, niewielkim i brzydkim miasteczku na północy Niemiec, co Britton uważał za stratę czasu. Z dwóch mostów nad rzeką wschodni został wysadzony przez wycofujące się oddziały hitlerowskie i dopóki nie zastąpiono go pontonową przeprawą, cały ruch skupiał się na moście zachodnim.

313

- Wszystko w porządku, sierżancie? - usłyszał głos przełożonego, sierżanta sztabowego Johna Hogga, który dowodził posterunkiem przy moście. Przez cały czas urzędował w młynie oddalonym o kilkaset metrów, ale zwykł zjawiać się niespodziewanie, jakby obawiając się, że jeden z jego dwóch podwładnych zlekceważy służbę.

A co miałyby być nie w porządku w tym pieprzonym grajdole? - pomyślał Britton, lecz głośno powiedział:

- Tak jest, sierżancie!

Hogg rozsiadł się wygodnie na kamiennym słupku balustrady, jakby miał coś ważnego do zakomunikowania. Znali się od kilku miesięcy służby w 51. Highland Division, z której oddelegowano ich do 45., połowej sekcji bezpieczeństwa kontrwywiadu, zapewne ze względu na biegłą znajomość niemieckiego, co nie było częste wśród szkockich żołnierzy.

- Jakies szczególne polecenia? - zapytał Arthur, aby przyspieszyć wyznania sierżanta sztabowego, których ujawnienie ten najwyraźniej miał zamiar celebrować.

- Tak - szybko odparł Hogg. - Tych dwunastu, których zatrzymał wczoraj sierżant Baisbrown, to grube ryby.

Britton zerknął na Baisbrowna, który przechadzał się kilkanaście metrów dalej, obserwując tłum płynący przez most wąską strugą. Nie było to wielkie osiągnięcie. Dwunastu mężczyzn, którzy poprzedniego dnia o godzinie szesnastej usiłowali przejść przez most, z daleka wyglądało jak banda rzeźmieszków, co podkreślały długie ciemnozielone płaszcze Feldpolizei, policji polowej. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby jeden lub dwóch z tej grupki nosiło te płaszcze, gdyż w pierwszych tygodniach po zakończeniu wojny ludzie ubierali się we wszystko, co było pod ręką. Dwunastu rosnących mężczyzn jednakowo umundurowanych musiało zwrócić uwagę brytyjskich wartowników. Wezwani do okazania dokumentów wydobyli legitymacje Służby Bezpieczeństwa wydane 1 maja. To już było za dużo. W powojennej zawierusze mało kto miał przy sobie dokumenty. Baisbrown aresztował ich i odstawił na posterunek w młynie, gdzie rozpoczęły się przesłuchania.

- Papiery, które mieli przy sobie, były lipne, choć dobrze podrobione - powiedział Hogg. - Tożsamości nie udało się jeszcze ustalić, choć wszystko wskazuje, że to esesmani wysokiej, czy nawet bardzo

314

wysokiej rangi. Zeznali, że trzech ich towarzysze są gdzieś w Bremer-vörde. Trzeba uważać... Hogg podniósł się z kamienia.

- Być może będą próbowali tędy przejść - dokończył.

- A po co? - Britton wzruszył ramionami. - Po co mieliby pchać się na nasz posterunek na moście, skoro mogliby spokojnie pójść w górę rzeki i przejść przez bród, jak wszyscy to robią?

- A wiesz, po co tu lazło tych dwunastu? Więc wypatruj pozostałych trzech.

Hogg nasunął furażerkę i gwizdząc jakąś melodię, ruszył wzdłuż kolejki ludzi ustawiających się na podejściu do mostu, gdzie bariery pomalowane w biało-czerwone pasy wytyczały ich trasę na drugą stronę rzeki.

Britton zerknął na zegarek.

Do końca służby pozostało jeszcze półtorej godziny, więc przerzucił karabin przez ramię i ruszył na drugą stronę mostu.

Twarcz przedzielona czarną opaską zakrywającą oko mignęła niespodziewanie w tłumie. Zrazu nie zatrzymał wzroku dłużej na mężczyźnie idącym główną ulicą biegnącą do mostu, dopóki nie dostrzegł, że towarzyszą mu dwaj inni w ciemnozielonych płaszczach Feldpolizei. Czyżby o nich mówił Hogg? Wydawało się to prawie niewiarygodne. Jeżeli ich kompani zostali aresztowani poprzedniego dnia, to po co podążali ich trasą?

- Ken! - Britton zawołał do Bainsbrowna. - Nie podobają mi się ci trzej... - nieznacznie wskazał na mężczyzn, którzy karnie stanęli w kolejce.

Najniższy z nich, o okrągłej twarzy z ciemnym zarostem, ubrany w garnitur, na który narzucił niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, odwrócił się w ich stronę i powoli podszedł.

- Jestem Heinrich Hitziger - odezwał się cicho. - Sierżant policji polowej, oto moje dokumenty.

Podniósł dłoń, w której trzymał legitymację i kartkę złożoną na czworo.

Britton patrzył przez chwilę zaskoczony. Nigdy nie zdarzyło się, żeby Niemiec, niewzwany do okazania dokumentów, sam podszedł do wartowników, aby się wylegitymować. Sięgnął po papiery, które podawał mu mężczyzna z opaską.

315

Legitymacja była stara i mocno zużyta, a jej autentyczność nie budziła zastrzeżeń. Za to kartka z tekstem stwierdzającym, że sierżant Heinrich Hitzinger jest żołnierzem kompanii pancerniej oddelegowanej do Feldpolizei 3 maja, wydawała się nieautentyczna. Jakież urząd mógł się zajmować wydawaniem takich dokumentów już po kapitulacji garnizonu berlińskiego?

- Zatrzymamy pana do wyjaśnienia - powiedział Britton, uważnie obserwując twarz legitymowanego. Nie dostrzegł żadnej reakcji. - I pana dwóch kolegów.

Nie usiłowali uciekać, widząc, że wysłał żołnierzy w ich kierunku.

Kapitan Clement Wells podniósł kołnierz płaszcza, aby osłonić się przed przejmującym wiatrem. Kilkanaście minut wcześniej, gdy wrócił do swej jednostki stacjonującej w Liineburgu, zaskoczyło go, że już czekało na niego dwóch żandarmów, którzy kazali natychmiast zabierać się z nimi i dopiero w samochodzie wytłumaczyli, że chodzi o zbadanie więźnia.

- A czemu, do cholery, to właśnie ja mam badać więźnia? - Wells był wyraźnie niezadowolony. Poprzedniego dnia odebrał w sztabie zwolnienie na dwutygodniowy urlop i ostatnie godziny spędził na poszukiwaniu możliwości dostania się z Niemiec do Anglii.

- Rozkaz - mruknął jeden z żandarmów, dając znać, że wypełniają swoją powinność i nie będą odpowiadać na inne pytania.

Podwieźli go pod okazałą willę na Ulzenerstrasse 31 i zostawili na chodniku, nakazując czekać na samochód, który miał lada moment przyjechać.

Wschodni wiatr nasilał się, powodując nieprzyjemne uczucie przenikliwego zimna, które z łatwością dostawało się pod wojskowe sukno jego płaszcza. Nie rozumiał, dlaczego kazano mu czekać na ulicy, a nie w domu, gdzie bez wątpienia było o wiele przyjemniej. Uważał, że to wynik wojskowej biurokracji, której nie znosił i od dawna szukał możliwości znalezienia

służby gdzieś poza sztabem, a gdy tak się stało, to natychmiast przyjechało po niego dwóch żandarmów z tajemniczym nakazem. Wsunął ręce do kieszeni, wiedząc, że nie jest to zachowanie regulaminowe, ale miał to w nosie. Zabrano go z baraku w takim pośpiechu, że zapomniał

316

J

o rękawiczkach. Zresztą, kto w końcu ma pamięta o rękawiczkach.

W oddali dostrzegł światła samochodów i pomyślał z ulgą, że może to te, na które kazano mu czekać. Nie mylił się. Osobowe auto, eskortowane przez dwa jeepy z żandarmami, zatrzymało się przy krawężniku z piskiem hamulców. Wysiadł z niego wysoki chudy pułkownik, który widząc Wellsa, zwrócił głowę w jego kierunku.

- Jesteś lekarzem? - zapytał obcesowo.

Wystarczyło spojrzeć na wypustki na kołnierzu, aby się o tym przekonać, więc Wells, nie zadał sobie trudu odpowiedzi.

- Obejrzyj więźnia, czy nie ukrył gdzieś trucizny.

Wells spozjrzał na niego zaskoczony. Tego już za wiele. Wyciągają go wieczorem z ciepłego baraku, każą czekać na ulicy, a wszystko po to, żeby „obejrzał więźnia”.

- Jestem lekarzem, nie detektywem - zaprotestował Wells, co nie zrobiło żadnego wrażenia na chudym pułkowniku.

- Zrobisz, co ci kazano - burknął i skoncentrował natychmiast uwagę na samochodzie, z którego dwaj żandarmi wyciągnęli mężczyznę w szarej wojskowej koszuli i kocu przewiązany wokół bioder.

- Panie pułkowniku - podszedł do nich sierżant. - Dałbym mu w łeb.

Pułkownik spozjrzał na niego pytająco.

- Jeśli ukrył gdzieś truciznę, to należy go ogłuszyć - wyjaśnił sierżant.

Pułkownik pokręcił głową.

- Generał Preutzmann połknął truciznę - usiłował bronić swojego pomysłu sierżant, przypominając o losie generała, który zdołał ukryć i przegryźć fiolkę z cyjankiem.

- Nie - pułkownik przerwał dalszą dyskusję i niezadowolony sierżant odszedł za więźniem, którego wprowadzono po schodach do willi.

- Niech pan go sprawdzi. To Heinrich Himmler - powiedział do Wellsa. Odwrócił się i wbiegł schodami.

Wells poczuł, że pomimo zimna zaczyna się pocić. Nagle zrozumiał, jak wielka odpowiedzialność na nim spoczywa.

Cholera, nie miał kiedy wyjeżdżać - pomyślał o pułkowym lekarzu, którego zastępował. A wszystko układało się tak ładnie. Jutro powinien siedzieć w samolocie lecącym do Londynu.

317

Co gorsza, nie wiedział, czego szukać. Pułkownik nie poinformował go, że podczas pierwszej rewizji znaleziono w ubraniu przy Himmlerze dwie rurki o średnicy kilkunastu milimetrów i długości czterech centymetrów. W jednej była szklana fiolka długości trzydziestu pięciu milimetrów i średnicy dziewięciu milimetrów. Brytyjscy oficerowie znali takie przedmioty.

Wytwarzali je więźniowie obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, również dla hitlerowskich dostojników, którzy schwytani zdecydowaliby się uniknąć sprawiedliwości. W ampułce było osiem miligramów cyjanku potasu, trucizny zabijającej w ciągu kilkunastu sekund. Druga rurka była pusta, co sugerowało, że więzień mógł wyjąć z niej ampułkę i ukryć. Zabrano mu ubranie, ale nie sprawdzono jamy ustnej, bojąc się, że trzyma tam truciznę i przegryzie szkło.

Więzień stał pośrodku pustego pokoju i trząsł się. Wells zamknął okno, wziął koc leżący na stole i podał go więźniowi, aby narzucił na koszulę i ochronił się przed zimnem.

Rozejrzał się.

- Gdzie jest pułkownik? - był zdziwiony jego nieobecnością.

- Żołądek - mruknął sierżant Austin.

Odszedł kilka kroków na bok, odwołując tam sierżanta.

- Dlaczego podejrzewacie, że on chce się otruć? - zapytał szeptem.

- W jego ubraniu znaleziono truciznę. Może ma drugą.

Wells skinął głową. Nie miał pojęcia, jak zachować się w takiej sytuacji. Mógł założyć, że Himmler ukrył fiolkę w ustach lub w odbycie. Jeżeli w odbycie, to nie stanowiło to żadnego zagrożenia, gdyż nie potrafiłby jej szybko wydobyć. Ale jak postąpić, gdyby miał truciznę w ustach?

Podszedł do więźnia, wiedząc tylko, że musi uśpić jego czujność. Himmler powinien uznać, że jest to rutynowe badanie lekarskie, a nie poszukiwanie ukrytej trucizny.

Przejechał mu palcami po rzadkich włosach, choć nieprawdopodobieństwem było ukrycie tam czegokolwiek. Obmacał ramiona, jakby sprawdzając stan kości. Pomyślał przez moment, że zachowuje się bardzo dziecinnie, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Niech pan otworzy usta - powiedział wreszcie, starając się nadać swojemu głosowi ton lekarza, który chce sprawdzić uzębienie.

318

Himmler posłusznie spełnił jego polecenie. Niebieski błysk światła odbitego od jakiegoś przedmiotu wciśniętego między żuchwę i lewy policzek wskazywał, że była to fiolka. Wells nie miał wątpliwości, choć nie wiedział, że fiolki rzeczywiście miały niebieski czubek, co było wynikiem pozostałości po stopieniu szkła w tym miejscu.

Uśmiechnął się, maskując wrażenie, jakie zrobiło na nim odkrycie.

Co mam zrobić? Święci Pańscy! Co robić? - Wpadał w panikę, nie mogąc znaleźć rozsądnego wyjścia, które wydawało się tak proste. Wystarczyło zakończyć oględziny i niespodziewanie ogłuszyć więźnia lub zacisnąć mu pętlę na szyi, aby dusząc się, nie mógł przegryźć ampułki i przełknąć trucizny.

- Chyba powinienem powtórzyć badanie - powiedział do sierżanta stojącego z tyłu. Tylko tyle przyszło mu do głowy. Zaczął ponownie dotykać głowy, rąk i tułowia.

- Niech pan otworzy usta - powiedział wreszcie.

I tym razem Himmler posłusznie otworzył usta. Czyżby nie podejrzewał podstępny?

Ledwie rozchylił wargi, a Wells wsunął palec, starając się wydłubać ampułkę, którą dostrzegł z lewej strony jamy ustnej.

Oczy Himmlera zwięziły się. Złapał Wellsa za rękę i wyszarpnął ją, a potem, uśmiechając się, zgryzł ampułkę.

- Mój Boże! On ma to w ustach - krzyknął Wells.

Jego panika sięgała szczytu. Nie był w stanie rozsądnie myśleć. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął przecierać więźniowi usta. Ten runął na podłogę. Z gardła wydobywał mu się chrapliwy oddech. Wells chwycił jego dłonie i usiłował robić sztuczne oddychanie, co było zabiegiem całkowicie bezsensownym. Zrozumiał to po chwili i pochylił się nad Himmlerem leżącym na wznak. Silny zapach gorzkich migdałów nie pozostawiał wątpliwości, że więzień połknął cyjanek. Do pokoju wbiegł któryś z oficerów. Schwycił Himmlera w pól i podniósł, pochylając do przodu, aby wywołać wymioty. Himmler był już całkowicie bezwolny.

- Przynieście lek na pobudzenie mięśnia sercowego! - krzyknął Wells. Widział, jak oficer podbiega do telefonu i kręci gorączkowo korbką, mówi do operatora, „połącz mnie ze szpitalem”, ale rozumiał, że tę walkę przegrał.

319

Himmler posłusznie spełnił jego polecenie. Niebieski błysk światła odbitego od jakiegoś przedmiotu wciśniętego między żuchwę i lewy policzek wskazywał, że była to fiolka. Wells

nie miał wątpliwości, choć nie wiedział, że fiolki rzeczywiście miały niebieski czubek, co było wynikiem pozostałości po stopieniu szkła w tym miejscu.

Uśmiechnął się, maskując wrażenie, jakie zrobiło na nim odkrycie.

Co mam zrobić? Święci Pańscy! Co robić? - Wpadał w panikę, nie mogąc znaleźć rozsądnego wyjścia, które wydawało się tak proste. Wystarczyło zakończyć oględziny i niespodziewanie ogłuszyć więźnia lub zacisnąć mu pętlę na szyi, aby dusząc się, nie mógł przegryźć ampułki i przełknąć trucizny.

- Chyba powinienem powtórzyć badanie - powiedział do sierżanta stojącego z tyłu. Tylko tyle przyszło mu do głowy. Zaczął ponownie dotykać głowy, rąk i tułowia.

- Niech pan otworzy usta - powiedział wreszcie.

I tym razem Himmler posłusznie otworzył usta. Czyżby nie podejrzewał podstępny?

Ledwie rozchylił wargi, a Wells wsunął palec, starając się wydłubać ampułkę, którą dostrzegł z lewej strony jamy ustnej.

Oczy Himmlera zwęziły się. Złapał Wellsa za rękę i wyszarpnął ją, a potem, uśmiechając się, zgryzł ampułkę.

- Mój Boże! On ma to w ustach - krzyknął Wells.

Jego panika sięgała szczytu. Nie był w stanie rozsądnie myśleć. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął przecierać więźniowi usta. Ten runął na podłogę. Z gardła wydobywał mu się chrapliwy oddech. Wells schwycił jego dłonie i usiłował robić sztuczne oddychanie, co było zabiegiem całkowicie bezsensownym. Zrozumiał to po chwili i pochylił się nad Himmlerem leżącym na wznak. Silny zapach gorzkich migdałów nie pozostawiał wątpliwości, że więzień połknął cyjanek. Do pokoju wbiegł któryś z oficerów. Schwycił Himmlera w pól i podniósł, pochylając do przodu, aby wywołać wymioty. Himmler był już całkowicie bezwolny.

- Przynieście lek na pobudzenie mięśnia sercowego! - krzyknął Wells. Widział, jak oficer podbiega do telefonu i kręci gorączkowo korbką, mówi do operatora, „połącz mnie ze szpitalem”, ale rozumiał, że tę walkę przegrał.

319

13. Gorące popołudnie

Michał podniósł się z ławki, widząc nadjeżdżający autobus.

W gorące czerwcowe południe Londyn opustoszał. Ci, którzy nie wyjechali z miasta, usiedli nad brzegami Tamizy albo rozłożyli leżaczki na trawnikach Kew Garden, aby znaleźć trochę ochłody w rozgrzanym mieście.

Autobus skręcił w uliczkę biegnącą stromo pod górę przy Prim-rose Hill i rozpędzał się z trudem.

Michał podał konduktorowi monetę, wziął bilet i usiadł przy oknie, obserwując dzieciaki grające w piłkę między bramkami, jakie wyznaczały patyki wetknięte w trawę. Minęli równe rzędy takich samych jednopiętrowych domów i wjechali na szeroką ulicę, wciąż biegnącą pod górę, prowadzącą do serca Hampstead.

Polecenie stawienia się tam otrzymał w niedzielny poranek, co nie zdziwiło go tak bardzo, jak miejsce, do którego miał się zgłosić: szkoła St Paul. Dopiero Urszula, która zadzwoniła chwilę później, wyjaśniła mu, że mieści się tam jedna z placówek polskiego wywiadu.

- Czy pan tu wysiada? - Konduktor pochylił się nad nim. Był jedynym pasażerem, a na przystanku nikt nie stał, więc konduktor postanowił się upewnić, czy warto zatrzymywać autobus.

- Hampstead Heath - dodał, nie wiadomo dlaczego uznając, że Michał nie zna tej części Londynu.

- Tak, a wie pan, gdzie jest St Paul School?

- W prawo, łatwo pan znajdzie - roześmiał się konduktor. - Po słupie dymu. Michał zeskoczył ze stopnia i spojrzał w kierunku, który wskazywał konduktor. Wysoka brama w ceglany murze prowadziła na dziedziniec, gdzie stał wartownik. Kilku innych żołnierzy wydobywało papiery z dwóch skrzyń i układało je pośrodku wielkiego placu, na którym przed wojną było boisko szkolne. Kanistry z benzyną, stojące pod ścianą, wskazywały, że wkrótce zapłonie tam ognisko.

W szerokich dwuskrzydłowych drzwiach prowadzących do szkolnego budynku dostrzegł pułkownika Gano, który na jego widok skinął na wartownika, by ten nie tracił czasu na sprawdzanie

320

dokumentów. Podeszedł szybko do Michała i wyciągnął przyjaźnie rękę.

- Zastanawia się pan, co tu się dzieje? - zapytał, widząc zdziwienie na twarzy Michała.

- Tak, już w autobusie konduktor powiedział, że łatwo znajdzie szkołę po słupie dymu.

Gano machnął lekceważąco ręką.

- Okoliczni mieszkańcy skarżą się, że utrudniamy im życie. Chodzi im o dym i popiół. Już niedługo. To ostatnie - wskazał na stertę układaną przez żołnierzy.

- Co to?

- Nasze tajne dokumenty. Obawiam się, że mogą trafić w ręce Rosjan, a na tych kartkach jest wystarczająco dużo informacji, aby NKWD zidentyfikowało nasze siatki w Rosji.

- Jak mogą trafić do Sowietów?

- Zaczyna się demobilizacja, wielu oficerów zdecydowało się wrócić do kraju. Może będą chcieli wkupić się w łaski nowych władz. Anglikom też nie wierzę. Sprzedali nas raz, to dlaczego nie mogą zrobić tego po raz drugi i w geście dobrej woli nie oddać naszych archiwów Stalinowi? Niech pan idzie do mnie...

Wskazał na drzwi, z których wyszedł.

Przeszli długim szkolnym korytarzem do pokoju na samym końcu, gdzie mieścił się gabinet szefa tej placówki wywiadu.

- Niech pan siada. - Gano wskazał na proste krzesło przy długim stole, który zapewne służył do doświadczeń chemicznych, na co wskazywały liczne kolorowe plamy na blacie.

- Sprawa jest poważna. - Pułkownik stanął przy oknie, obserwując, jak żołnierze podpalają papiery. Dopiero gdy ogień buchnął jasnym płomieniem, usiadł naprzeciw Michała.

- Istnieją podejrzenia, że... - mówił wolno, starannie dobierając słowa - Heinrich Himmler nie popełnił samobójstwa.

Michał wzruszył ramionami. W każdej bulwarowej gazecie można było znaleźć sensacyjne informacje o ucieczkach nazistowskich dostojników, a nawet samego Hitlera i jego żony Ewy Braun. Gano zauważył ten gest.

- Nie mogę ujawnić panu źródeł - dodał - ale niech mi pan wierzy, że to przypuszczenie traktuję jako bardzo poważne. Bardzo!

321

Michał odchylił się. Czyżby znowu padł na niego długi cień reichsführera SS?

- Najprościej byłoby zajrzeć do protokołu sekcji - powiedział Michał.

- Otóż nie! - Gano ponownie podeszedł do okna, aby sprawdzić jak działają żołnierze palący dokumenty. Wrócił po chwili zadowolony z obserwacji.

- Rząd brytyjski utajnił wszystkie dokumenty dotyczące śmierci Heinricha Himmlera!

- Może więc ekshumacja...

- Zwłoki pochowano gdzieś w lesie pod Liineburgiem. Tylko trzech ludzi, brytyjscy żołnierze, wiedzą gdzie!

- Panie pułkowniku - Michał pochylił się. - Za sprawę Himmlera zapłaciłem straszną cenę. Czyżby znowu to do mnie wracało?

- Tak - odpowiedział spokojnie Gano. - Ponieważ pan jest jedynym człowiekiem, który dotarł tak blisko największych tajemnic Himmlera. Pan pierwszy ostrzegwał, że wyszkolono zamachowca, że Himmler chciał usunąć Hitlera.

- Nikt mi nie wierzył.

- Tak, szkoda. Pan miał rację!

- Dziękuję - Michał uśmiechnął się z przekąsem.

- Pana raporty dowodzą, że Niemcy nauczyli się... - zastanawiał się chwilę nad doborem właściwego słowa - ...tworzyć bezwolnych ludzi, wykonujących posłusznie wszystkie polecenia. Wszystkie!

- Panie pułkowniku - przerwał mu Michał - ci, na których wskazywałem: Sievers, Schellenberg, Plótner, lekarze dokonujący eksperymentów w Dachau, są w rękach aliantów. Nic prostszego...

- Myli się pan! - Gano nie pozwolił mu dokończyć. - Objęto ich tajemnicą tak ścisłą, że nie tylko nie sposób ich przesłuchać, ale nawet dowiedzieć się, gdzie są! A ja chcę wiedzieć, co stało się z Himmlerem. Wie pan, dlaczego?

Wstał i podszedł do Michała, który również podniósł się z krzesła

- Nie da się wykluczyć, że Himmler przeżył, a śmieć poniósł jego sobowtór.

322

Milczał przez chwilę, jakby sprawdzając, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na Michale.

- Jeżeli nawet tak się stało, to jak go odnaleźć?

- Uważam, że pana wiedza może być w tym przydatna. Czy podejmie się pan tego?

- Panie pułkowniku, jestem żołnierzem...

- Dobrze, tego oczekiwałem. - Gano był wyraźnie zadowolony. - Dla nas wojna się nie skończyła, bo Polska nie jest wolna.

- Co mam robić?

- Rozpocznie pan pracę nad raportem, w którym zbierze pan wszystkie swoje obserwacje i przemyślenia. Charakterystyki tych, którzy mogli mieć cokolwiek wspólnego z programem tworzenia bezwolnych ludzi. Niech pan spíše nazwiska wszystkich, którzy mogą nas doprowadzić do Himmlera, jeżeli żyje, lub tych, którzy chcą, aby żył. Potem omówimy nasze działania.

- Rozkaz, panie pułkowniku! Michał sięgnął po czapkę.

- Aha, spotkamy się tutaj o jedenastej. Tej kwaterze bardziej wierzę...

Michał nie spieszył się do wyjścia. Gano zauważył to.

- Coś jeszcze?

- Pan ma dokumenty odnalezione w banku, na podstawie których uznano, że jestem niewinny. Czy mogę je przejrzeć?

- Nie! - Gano powiedział to w sposób zamykający wszelką dyskusję.

Tego się obawiał. Dokumenty zdeponowane przez Schellenberga zawierały zapewne wiele innych nazwisk, które musiały pozostać tajemnicą. Właściwie nie powinno go to interesować. Został oczyszczony z zarzutów, na podstawie których uznano go za zdrajcę i skazano na piętnaście lat więzienia. A jednak chciałby poznać prawdę. Czyżby nie tylko Kodar brał udział w grze przeciwko niemu? A może również Schoffer, który zniknął równie szybko, jak się pojawił?

Zasalutował i wyszedł na korytarz. We wnęce okiennej zobaczył Urszulę, która odwrócona od okna przypatrywała się wielkiemu ognisku na szkolnym dziedzińcu. Najwidoczniej czekała na niego. Słyszając jego kroki, odwróciła się.

323

- Jestem - powiedziała, uśmiechając się.

- Jeżeli czekałaś na człowieka wolnego i spokojnego, to spotkałaś kogoś zupełnie innego - Michał też się uśmiechnął.

- To dobrze - Urszula wzięła go za rękę. - Nie ma nic gorszego niż nuda...

Epilog

Żadnej z osób najbliższych Himmlerowi, w tym bratu Gebhardowi i kochance Hedwig Potthast, którzy przybyli do Liineburga, nie pokazano zwłok, chociaż tego się domagali. W raporcie kapitana M.C. Bonda, który dokonał oględzin ciała tuż po samobójstwie, nie ma żadnej wzmianki o bliźnie, jaką prawdziwy Himmler powinien mieć na prawym ramieniu; był to ślad po ranie zadanej przez pocisk, który trafił go przypadkowo w czasie zamachu na Hitlera 20 czerwca 1943 roku w Scharfheide.

Jeden z brytyjskich lekarzy, którzy w maju 1945 roku przeprowadzali sekcję zwłok człowieka uważanego za Heinricha Himmlera, podpułkownik Browne, twierdził, że na lewym policzku na wysokości oka nie było blizny, jaką prawdziwy Himmler miał po pojedynku na szpady stoczonym w czasach studenckich, a która jest łatwo zauważalna na jego zdjęciach.

Rząd brytyjski utajnił na sto lat, a więc do roku 2045, protokoły sekcji zwłok, jedyny dowód, że w Liineburgu samobójstwo popełnił Heinrich Himmler.

324

Drogi Czytelniku!

Wydawałoby się, taka prosta historia. Johann Georg Elser, stolarz, zwolennik komunizmu, dochodzi do wniosku, że powinien ocalić świat przed wojenną pożogą, którą rozpalił Adolf Hitler, i przygotowuje zamach na niego. Przeprowadza się z rodzinnej Konstancji, miasta nad Jeziorem Bodeńskim, do Monachium i przez trzy miesiące, od sierpnia do listopada 1939 roku, realizuje swój plan. Nocami zakrada się do piwiarni „Burgerbraukeller”, aby w kolumnie wykuć schowek dla bomby, którą sam skonstruował.

Z czego żyje? Gdzie mieszka? Dlaczego nikt w Monachium nie interesuje się stolarzem, który nigdzie nie pracuje?

Podkłada bombę z bardzo skomplikowanym mechanizmem zegarowym i powinien uciekać jak najdalej od miejsca zamachu. Nie, on wraca, aby przyrzeć się swojemu dziełu. To bardzo naturalne. Ale dlaczego ucieka? Nikt go nie ściga. Nikt nie podejrzewa o przygotowanie zamachu. Ucieka do Szwajcarii. Skąd miał paszport? Skąd - pieniądze, aby przeżyć na wygnaniu? Jak zamierzał wytłumaczyć niemieckiej straży granicznej chęć wyjazdu? Na domiar wszystkiego w kieszeni trzyma dowód zbrodni: widokówkę przedstawiającą salę w „Burgerbraukeller” z zaznaczoną kolumną, w której umieścił bombę.

Schwytany, chętnie wyjaśnia przesłuchującym, jak dokonał zamachu. Nie spotyka go za to kara, jaka powinna zostać wymierzona w imieniu mściwego i bezwzględnego dyktatora, którego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Elser, umieszczony w specjalnie powiększonej celi w Dachau, do której wstawiono warsztat stolarski, dożywa 1945 roku. Zostaje zlikwidowany niedługo przed końcem wojny.

Ta historia frapowała mnie od dawna, gdy zacząłem szukać możliwego wyjaśnienia, początkowo odrzucając myśl, że za zamachem stał Heinrich Himmler, który zamierzał przejąć władzę w Rzeszy. Ale historia wciąż ujawnia tajne karty, których treść pozwala zrozumieć jej bieg.

Heinrich Himmler utrzymywał ściśle kontakty z przedstawicielami opozycji. Przebiegły i bezwzględny potrafił wykorzystać

325

tych, którzy, jak Carl Gordeler czy Joachim Popitz, podjęli walkę z nazizmem, a stali się narzędziem w jego rękach. To on, za ich pośrednictwem, przez całą wojnę kontaktował się z rządami Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, prowadząc tajne negocjacje na temat

utworzenia nowego rządu. To on, znając antyhitlerowskie nastawienie pułkownika Clausa von Stauffenberga, doprowadził do mianowania go szefem sztabu Armii Rezerwowej, co dawało mu dostęp do najbliższego otoczenia Hitlera. To jego ludzie odebrali od brytyjskiego wywiadu zapalniki chemiczne do bomb, które dwudziestego lipca 1944 roku Stauffenberg umieścił pod stołem w Wilczym Szańcu. To z jego rozkazu dziesiątego sierpnia 1944 roku, gdy było już wiadomo, że wojna zakończy się klęską, w Strasburgu zebrali się najwięksi niemieccy przemysłowcy i finansisci, aby dowiedzieć się, jak i dokąd mają wysłać kapitały swoich firm.

Ostatnie lata wydobyły na światło dzienne tajemnicę największą: lekarz dokonujący sekcji zwłok Heinricha Himmlera przyznał, że na twarzy nie było blizny, jaką autentyczny Himmler miał po ranie otrzymanej w pojedynku na szpady w 1921 roku. Protokołów sekcji sprawdzić się nie da, gdyż rząd brytyjski utajnił je na sto lat, a więc do 2045 roku.

Jeżeli dodamy do tego tajny program realizowany od 1935 roku w Dachau, a potem także w innych obozach koncentracyjnych, gdy badano możliwości całkowitego podporządkowania ludzi, możemy otrzymać fascynujące wyjaśnienie historii, która często jest zupełnie inna od tej, jaką znamy. Tym bardziej że ta odległa przeszłość dawała o sobie znać już w czasach znacznie nam bliższych. Po niewyjaśnionym zabójstwie senatora Roberta Kennedy'ego w 1968 roku wyszło na jaw, że Centralna Agencja Wywiadowcza od 1950 roku prowadziła w Landlay w stanie Wirginia tajny program pod kryptonimem „Artichoke” [karczoch], którego celem było tworzenie bezwolnych ludzi. Jeden z nich, o nazwisku Sirhan Sirhan, miał strzelać do Kennedy'ego.

Może więc ta powieść oparta na faktach jest bliższa prawdy niż opracowania historyczne? W każdym razie warto ciągle rozważać, czy wszystko, co wydawałoby się tak oczywiste, jak bunt pewnego stolarza z Konstancji, jest aby na pewno całkowicie wyjaśnione...